W. SHAKESPEARE

DZIEŁA

DRAMATYCZNE

IX



WILLIAM SHAKESPEARE
DZIEŁA DRAMATYCZNE

WILLIAM SHAKESPEARE
DZIEŁA DRAMATYCZNE

W DWUNASTU TOMACH

Z PORTRETEM AUTORA

ŻYCIORYS SHAKESPEARA I PRZEDMOWY DO POSZCZEGÓLNYCH UTWORÓW OPRACOWAŁ PROF. DR. ROMAN DYBOSKI. — STUDYUM »SHAKESPEARE W POLSCE« NAPISAŁ DR. LUDWIK BERNACKI. — WYBORU PRZEKŁADÓW DOKONAŁ STANISŁAW KRZEMIŃSKI.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

WILLIAM SHAKESPEARE

DZIEŁA DRAMATYCZNE

TOM IX.

KORYOLAN

W PRZEKŁADZIE J. PASZKOWSKIEGO.

JULIUSZ CEZAR

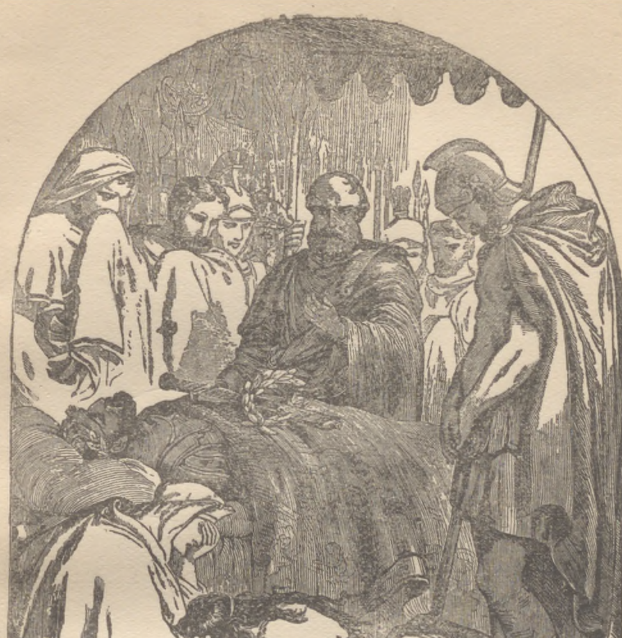
W PRZEKŁADZIE A. PAJGERTA.

ANTONIUSZ I KLEOPATRA

W PRZEKŁADZIE K. OSTROWSKIEGO.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK ▫ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

KRAKÓW. – DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI



TŁÓMACZENIE J. PASZKOWSKIEGO.

Wobec braku wydań za życia poety, oraz wszelkich wzmianek u współczesnych, o dacie »Koryolana« wnioskować tylko możemy ze stylistycznych znamion utworu. Natłok myśli, zdania długie i zawiłe, często niedokończone lub zerwane; wierszowanie wielce nieregularne, obfite w nadliczbowe stopy i przestawienia akcentów rytmicznych; żeńskie zakończenia wierszy, swobodne przeprowadzanie toku zdań z wiersza do wiersza; — z drugiej strony widoczna rutyna dramaturgiczna, pewność siebie w prowadzeniu akcyi, niezmącona świadomość celu w szczegółach budowy dzieła[1]: wszystko to zgodnie domaga się dla »Koryolana« miejsca późnego w szeregu arcydzieł Shakespeara. Był on może ostatnią z wielkich tragedyi poety i powstał przypuszczalnie około roku 1608.

Źródłem »Koryolana«, tak samo jak innych dramatów rzymskich Shakespeara, były »Żywoty szlachetnych Greków i Rzymian« Plutarcha, które w roku 1579 Sir Thomas North przełożył był na język angielski z francuskiej wersyi Amyota. Książka jest znakomitym pomnikiem prozy angielskiej; w coraz nowych wydaniach z zachwytem ją czyta cała generacya shakespearowska; poeta w kilku jej rozdziałach znalazł materyały dramatyczne prawie gotowe, które często tylko w dyalog i wiersz obracać potrzebował. Nigdzie w swej twórczości — prócz jednej może komedyi »Jak się wam podoba« — Shakespeare nie trzyma się tak wiernie oryginału literackiego: najświetniejsze retoryczne zwroty we wszystkich prawie dłuższych deklamacyach tragedyi są żywcem i dosłownie przejęte z Plutarcha: bajka

[1]) Jako wyjątek wyszczególnić można jedną scenę prozaiczną (IV, 3), która właściwie całkiem jest niepotrzebna dla ciągłości dramatu, a ozdoby poetyckiej także nie stanowi.

Meneniusza (I, 1); długa i gwałtowna mowa Koryolana do patrycyuszów przeciwko ludowi (III, 1); słowa, w których się na wygnaniu przedstawia Aufidyuszowi (IV, 5); rozprawa między matką a synem (V, 3); — to wszystko dokładne parafrazy równie wymownych ustępów u Northa, w najdobitniejszych słowach zupełnie z jego tekstem identyczne [1]). Dosłownie także z Plutarcha, który lubi nawiązywać do wypadków opowiadania ogólnikowe uwagi o zwyczajach i zapatrywaniach narodów, pochodzą wtrącane, szczególnie do dłuższych deklamacyi w dramacie, maksymy i refleksye moralne: Plutarcha słowami konsul, rozpoczynając pochwały Koryolana, wygłasza jedną z naczelnych zasad starego Rzymu (II, 2):

»Powszechnie twierdzą, że waleczność z wszystkich
Cnót jest najpierwszą, i że sama przez się
Najznakomiciej uszlachetnia ludzi«.

Plutarch rozpoczyna biografię od genealogii i sumarycznej charakterystyki Marcyusza, poczem opowiada o jego młodości i pierwszych bohaterskich czynach: Shakespeare

---

[1]) Jako przykład niech posłuży bajka Meneniusza według angielskiego Plutarcha; poszczególne wyrażenia, które przejął Shakespeare, tłómaczę słowami Paszkowskiego:

»Pewnego razu wszystkie członki ciała ludzkiego zbuntowały się przeciw żołądkowi, żaląc się, że on spoczywa w środku ciała, nie robi niczego, i żadną pracą nie przyczynia się do utrzymania reszty, gdy tymczasem inne części i członki pracują ciężko, i z wielką starannością zaspokajają żądze i potrzeby ciała. Na to żołądek wbrew tym skargom roześmiał się z ich głupoty i rzecze: »Prawda, że pierwszy odbieram wszelkie pokarmy, co żywią ciało ludzkie; ale też potem ja je rozsyłam na wyżywienie innych jego części«. Tak samo i wy — mówił dalej Meneniusz — panowie obywatele rzymscy: stosunek jest podobny między senatem a wami. Bo, zważywszy dobrze wszystkie sprawy, i zbadawszy dokładnie czynność senatu, tyczącą się publicznego dobra, powiedzieć trzeba, że senatorowie są źródłem ogólnej korzyści, jaka przypada każdemu z was«.

Bajkę tę opowiadził także Liwiusz w swej historyi rzymskiej (księga II, rozdział 32), której angielskiego tłómaczenia dokonał Philemon Holland w r. 1600. Żartobliwy obrót, jaki Meneniusz u Shakespeara nadaje swej alegoryi na końcu (»mój ty wielki palcze u nogi tego zgromadzenia«), pochodzi z wersyi bajki w »Archeologii brytyjskiej« *(Remains concerning Britain)* Williama Camdena, drukowanej w r. 1604, — fakt ważny dla chronologii »Koryolana«.

Charakterystyczna przerwa przez jednego ze słuchaczy, tak świetnie w kilku słowach opisująca funkcye zbuntowanych przeciwko żołądkowi członków, i wytwarzająca dramatyczne napięcie przed ostatecznym argumentem, — jest pomysłem poety.

te szczegóły umiejętnie rozmieścił po pierwszych aktach, wypełniając osobą bohatera wszystkie prawie rozmowy między Rzymianami: rodowód jego przypomina ludowi jeden z trybunów (II, 3); o wojennych zasługach od najwcześniejszych lat prawi konsul w mowie pochwalnej (II, 2); o koronie dębowej wspomina i on i matka (II, 1); rany, odniesione w służbie ojczyzny, na zawody wyliczają Wolumnia i Meneniusz (II, 1); waleczność po myśli maksym Katona [1]) wśród zgiełku bitwy wielbi Titus Lartius (I, 4); na samym początku z ust mieszczan (I, 1) dowiadujemy się, że celem ambicyi Koryolana zawsze tylko były pochwały matki. Nigdzie jednak nie uwydatnia poeta faktu, który dla wyjaśnienia charakteru na samym początku podnosi Plutarch: że mianowicie Marcyusz, wcześnie straciwszy ojca, wychowany był wyłącznie przez matkę, zatem bez surowej dyscypliny społecznej, i wskutek tego właśnie obok wrodzonej, fizycznie ugruntowanej dzielności bujnie się u niego rozwinęły narowy, pańska duma i wyniosłość w obejściu. Tą dumą Koryolana jak refrenem rozbrzmiewają w dramacie wszystkie dyalogi między osobami niższego stanu; ale ukazuje się nam ona od początku w całej swej potędze jako coś żywiołowego, jest poprostu postulatem poety [2]).

W obrazie buntu plebejskiego na początku tragedyi Shakespeare połączył historyę dwukrotnych rozruchów u Plutarcha; tam raz lud powstaje po wojnie sabińskiej, nie mogąc się doczekać złagodzenia okrutnych ustaw przeciwko dłużnikom; uspokaja go przypowieść Meneniusza i ustanowienie trybunów; powtórnie zaś przychodzi do niepokojów po wyprawie przeciwko Wolskom, z powodu braku zboża, gdyż nie było komu orać; tym razem wyprawia się niezadowolonych na kolonizacyę wyludnionego przez zarazę miasta Velitres; Koryolan wymusza wy-

---

[1]) Przejmując dosłownie z Plutarcha te pochwały, Shakespeare nie dbał o anachronizm, jaki popełnia, każąc Katona cytować wodzowi rzymskiemu w r. 491 przed Chrystusem. Z tą samą niedbałością z Latiusa u Plutarcha zrobił Lartiusa.

[2]) Sam poeta podkreśla tę odmianę w przedstawieniu rzeczy, gdy jeszcze w akcie III (sc. 2) każe matce, namawiającej syna do upokorzenia się przed ludem, orzec stanowczo:

»Odwaga,
Którą się pysznisz, moją jest: tyś z mojem
Mlekiem ją wyssał; ale duma twoja
Wyłączną twoją własnością«.

konanie tego zarządzenia, a z przyjaciółmi i ochotnikami wyrusza na wyprawę w ziemie Ancyatów, skąd wracają z bogatym łupem w zbożu, bydle i niewolnikach. Z tego drugiego epizodu poeta wcielił do pierwszego główny motyw zaburzeń: brak zboża i głód; zresztą pominął go zupełnie. Natomiast już w tej pierwszej i jedynej scenie rozruchów drożyźnianych uzmysłowił dramatycznie zaznaczony u Plutarcha w obu wypadkach kontrast między stanowczym i zasadniczym arystokratyzmem Marcyusza a oportunistyczną polityką innych patrycyuszów, której uosobieniem jest zręczny Meneniusz; obaj z kolei, każdy na swój sposób, przemawiają do ludu, tak samo jak Brutus i Antonius po śmierci Cezara (»Juliusz Cezar«, III, 2); i tak samo jak w tamtej tragedyi dla szlachetnej mowy Brutusa, tak w tej dla wzgardliwych słów Marcyusza nie znalazł poeta wzoru u Plutarcha.

Poza tą charakterystyką bohatera, która go głównie zajmuje, poeta starannie uzupełnia zaraz na początku ekspozycyę osobistą, ukazując nam i przeciwnika Koryolana (I, 2) i niewiasty rzymskie (I, 3) w osobnych scenach, pozbawionych właściwie innej funkcyi dramatycznej. Dla takich scen oczywiście niema wzoru w biografii; natomiast wiernie według Plutarcha przedstawiony jest przebieg zdobycia miasta Corioli i inne walki, wypełniające resztę pierwszego aktu hałasem wojennym, który żywo przypomina dramaty królewskie. Shakespeare wybiera i przejmuje z przemówień wodzów najprzydatniejsze dramatycznie zwroty; dosłownie z tekstu biografii pochodzi ognisty apel Koryolana do żołnierzy (I, 4):

»Bramy otwarte: wesprzyjcie mnie teraz!
Szczęście otwiera je idącym naprzód,
Nie tym, co podle tył podają. Za mną!«

Niektóre momenty życiorysu poeta dla efektu dramatycznego stara się spotęgować: jego pomysłem jest, że Marcyusz sam jeden wdziera się do miasta i tam jest osaczony przez nieprzyjaciół (I, 4); u Plutarcha garstka żołnierzy odrazu odważa się iść za nim. Shakespearowskim dodatkiem także jest płomienna przemowa Marcyusza przed ponowną walką w polu, i wywołany przez jego słowa wybuch zapału wojennego w szeregach (I, 6). Takie środki poetyckie służą uwydatnieniu osobistości bohatera, przemianie kroniki bojów z Wolskami w dramat jego czynów.

W celu tej koncentracyi interesu dramatycznego uwypukla także poeta — znowu niezależnie od Plutarcha — figury głównych przeciwników Koryolana: naiwnym symbolem jest homerycki jego pojedynek z Aufidyuszem (I, 8), subtelną ciągła charakterystyka trybunów, którzy prawie nie schodzą ze sceny w drugim i trzecim akcie.

Filipika Koryolana w senacie przeciwko ludowi, jego wniosek zniesienia urzędu trybunów, zaburzenia, rozprawa przeciwko niemu, wreszcie wygnanie, — w opowiadaniu Plutarcha łączą się nie z jego kandydaturą na konsula, której upadek opowiedziany jest poprzednio i dosyć krótko, — lecz z opozycyą Koryolana przeciw rozdawaniu zboża za darmo między ubogą ludność. U Shakespeara wprawdzie Koryolan z początkiem swej wielkiej mowy (III, 1) zapowiada, że powtórzy, co powiedział w sprawie zboża; ale przedmiotem samej walki w dramacie jest nie sprawa ekonomiczna, lecz polityczna. Że na rozprawę z ludem stawia się Koryolan z namowy matki (III, 2), to dodatek poety: wytwarza on tym sposobem pewien paralelizm pomiędzy tą pierwszą katastrofą dumy i ambicyi bohatera a drugą, ostateczną.

W rozprawie przed trybunami (III, 3) u Shakespeara przeważa gwałtowność ogólnikowych wyzwisk z obu stron, u Plutarcha rzeczowa argumentacya: tam, obok nieudowodnionego oskarżenia o dążenie do tyranii, mowa jest znowu przedewszystkiem o stanowisku Koryolana w sprawie rozdawania zboża, zaś jako punkt trzeci wytoczony zarzut, że zbyt samowolnie postąpił z podziałem łupów po wyprawie przeciw Ancyatom: Koryolan broni się, chwaląc dzielność uczestników ekspedycyi; Shakespeare ten epizod zupełnie pominął.

W drodze ku katastrofie poeta czasami jeszcze rozszerza, przeważnie jednak streszcza i skraca oryginał w swej parafrazie: ze wzmianki o pożegnaniu wygnańca z rodziną i przyjaciółmi robi osobną scenę (IV, 1) i drugą jeszcze poświęca macierzyńskim uczuciom Wolumnii (IV, 2); przybycie Koryolana do dawnego wroga przedstawia w głównej części dosłownie według Plutarcha (IV, 4, 5); przeskakuje natomiast bezpośredni powód nowej wyprawy Wolsków przeciwko Rzymianom: u Plutarcha *casus belli* powstaje przez wydalenie wszystkich Wolsków z miasta w przeciągu jednego dnia, wywołane może przez jakieś zakulisowe intrygi Koryolana.

W obrazie paniki w Rzymie wobec wojennej wyprawy Koryolana i Wolsków pomija znowu poeta ważny w opowiadaniu biografa motyw niezgody: według Plutarcha lud winił szlachtę, że namówiła Marcyusza do tej ekspedycyi, aby się mścił i znęcał nad ludem tylko; potem lud chce odwołać wyrok wydany na Koryolana, czemu znowu opiera się z kolei Senat; dopiero gdy Marcyusz z Wolskami staje w pobliżu miasta, konsternacya jest powszechna, i poczynają się próby przebłagania dumnego wodza przez posłów. Nad przewlekłą historyą tych usiłowań ugodowych i układów dramaturg także przechodzi pośpiesznym krokiem, zdążając odrazu do ich głównej fazy: u Plutarcha Koryolan za pierwszą próbą daje Rzymianom miesiąc czasu do namysłu i na ten czas usuwa się z wojskami z pod Rzymu, co już budzi podejrzenia Wolsków; potem jeszcze prócz innych posłów jest u niego procesya kapłanów; wreszcie Walerya, natchniona jakby przez jakiego boga pomysłem poselstwa niewieściego, projekt swój na ceremonialnej wizycie wymownie przedstawia żonie i matce Koryolana; teraz dopiero następuje ich wyprawa do obozu.

W samej fazie końcowej u Plutarcha niema słownej rozprawy między Koryolanem a Aufidyuszem: sprzysiężeni odrazu zabijają bohatera. Shakespeare scenę rozszerzył i stworzył jeden jeszcze paralelizm pomiędzy katastrofą politycznych ambicyi Koryolana w Rzymie a tragicznym końcem jego losów pośród obcego narodu: nie tylko, że drugi raz w dramacie Koryolan uległ namowom matki, ale tak samo jak wtedy na forum (III, 3) na słowo »zdrajca« wybuchł wyzwiskami przeciwko plebejom, tak teraz obelżywe wyrazy »zdrajca« i »dzieciuch« wywołują ostatnią i zgubną eksplozyę jego pańskiego temperamentu. Hołd Aufidyusza, który nad zwłokami rywala po raz trzeci w utworze nagle i gruntownie zmienia swoje wobec niego usposobienie, jest nieco wymuszonym, konwencyonalnym dodatkiem; takimi nekrologami kończył się i »Juliusz Cezar« i »Hamlet« i »Antoniusz«. U Plutarcha epilog biografii stanowią: żałoba żony i matki Koryolana w Rzymie, klęska Wolsków i śmierć Aufidyusza; Shakespeare tym wypadkom osobnych scen nie poświęca: dramat — i tak już bardzo przedłużony — miał być wyłącznie tragedyą osobistą Koryolana.

Temu zamiarowi posągowego uwydatnienia postaci

bohatera służy cała ekonomia dramatu, wszystkie te przeważnie nieznaczne zmiany, jakie poeta poczynił w swym materyale literackim; by pomnik tragiczny uczynić jak najbardziej jednolitym, odrzuca kilka epizodów, które w dziełach tego typu co »Cezar«, »Makbet« albo »Lir« byłby może chętnie zużytkował jako romantyczne dekoracye: Plutarch, opowiadając o pierwszych czynach wojennych Koryolana, wspomina o pojawieniu się Kastora i Polluxa na polu bitwy i na forum; później, opisując wrzenie w Rzymie po wygnaniu Koryolana, opowiada szeroko o zamąceniu uroczystości religijnych przez surowe ukaranie jakiegoś niewolnika, i o tem, jak bogowie objawili tę swą urazę pewnemu obywatelowi w złowrogich snach i nawiedzeniach; w stadyum katastrofy znowuż Plutarch obszernie i w sposób nader ciekawy dla psychologii epoki roztrząsa zagadnienie, czy ufundowany przez Wolumnię i inne panie rzymskie na pamiątkę wybawienia miasta posąg Fortuny istotnie, jak głosi tradycya, przemówił, gdy go ustawiano w świątyni. Shakespeare z tych naiwnych akcesoryów mitologiczno-legendarnych nie skorzystał, tak samo jak oczywiście zostawił na boku dydaktyczne ekskursy biografa o przydomkach u Greków i Rzymian i o zapatrywaniach Homera na stosunek między natchnieniami bogów a wolą ludzką.

»Koryolan«, jak »Ryszard III«, jest dramatem jednej, górującej nad całem otoczeniem postaci; nie tylko traktowanie Plutarchowej fabuły wyraża ten zamiar; nie tylko wszystkie wyraźniej nakreślone osoby wokoło, ale także wszystkie różnej kondycyi tłumy w dramacie — Rzymianie i Wolskowie, senatorowie i sprzysiężeni, żołnierze i niewolnicy — są na usługach bohatera, wciąż pracują w swych dyalogach nad jego charakterystyką. Podobieństwo do »Ryszarda III« leży i w tem, że Koryolan, tak samo jak tamten zbrodniarz, pojawia się na scenie odrazu jako gotowy i skończony charakter; niema w jego usposobieniu rozwoju, stopniowania, odmiany; pierwsza przemowa do zbuntowanego ludu tę samą ma wartość ekspozycyjną co monolog Ryszarda III na początku jego dramatu. Podobny w tem jest Koryolan i do bohaterów tragedyi starożytnej, że od początku wydaje się skazany na zagładę przez niezmienną stałość swego zaślepienia; ten nieustannie wybuchający temperament — to ὕβρις tragików greckich, wyzwanie potęg przeznaczenia. »Koryolan« jest klasycznym

literackim obrazem dumy, nie uznającej koniecznych w życiu ograniczeń i upokorzeń, i jej nieuchronnego upadku. Ale jest on czemś więcej i czemś głębszem jeszcze, niż tragedyą dumy. Jak pięknie wypowiedział Courthope, dramat jest krytyką ideału honoru osobistego, wiekopomnem stwierdzeniem faktu, że cześć i wartość człowieka wyłącznie polegać nie może w jego własnym szacunku dla siebie, że mniemanie drugich jest istotnym oceny moralnej składnikiem i dbałość o nie powszechnym ludzkim obowiązkiem.

Najbardziej wykończoną i samodzielną, najwięcej heroiczną obok bohatera postacią tragedyi jest jego matka Wolumnia, bardziej posągowa i typowa jako matrona rzymska niż Koryolan jako patrycyusz. W zachwycie nad tą wzniosłą postacią poeta Swinburne cały utwór streszcza jako »tragedyę syna«, jako właściwe dla niej godło wypisuje proste słowa *Volumnia Victrix*. To podniesienie matki do godności drugiej głównej postaci dramatu jest niewątpliwie przesadą; niemile z drugiej strony razić nas muszą usiłowania pewnych nowszych krytyków, którzy w swym zapale dla pańskości Koryolana starają się obniżyć znaczenie Wolumnii, a nawet jej wielkość moralną. Przyznać jednak trzeba, że nie stoi ona wciąż na piedestale, jak syn; do poziomu powszednich śmiertelników, zatem i do zrozumienia i sympatyi nas wszystkich zbliża ją ta ludzka i kobieca niekonsekwencya, w jaką popada: daje synowi oportunistyczną radę, by się upokorzył wobec ludu, a sama w tejże scenie (III, 2) na usilne prośby do niego zdobyć się nie może; jej wyrzekaniom i przekleństwom po wygnaniu Koryolana (IV, 1, 2) niedostaje koturnowej godności, i nie każdy widz i czytelnik przyzna jej słuszność, gdy się sama w końcu porównywa z Junoną, choć zapewne nie posuwa się do krzykliwej gderliwości niektórych dostojnych niewiast w młodocianych dramatach królewskich poety.

Meneniuszowi dał Shakespeare więcej miejsca, niż Plutarch, u którego po bajce, opowiedzianej zbuntowanym plebejom, więcej się nie pojawia. Zażywny patrycyusz shakespearowski głównie nam pozostaje w pamięci przez świetny portret własny, który kreśli w rozmowie z trybunami (II, 1); o ile przez swój dowcipny realizm wybornie służy rodzajowemu urozmaiceniu akcyi politycznej, o tyle w późniejszych aktach coraz wyłączniej jest

chwalcą i heroldem Koryolana, po jego wygnaniu jakby namiestnikiem jego dumy i pogardy wobec ludu.

Z antagonistów Koryolana Aufidyusz od początku objawia się jako przeznaczony do charakterystyki bohatera przez kontrast: ile w tamtym jednolitej stanowczości, tyle u niego niestałych i sprzecznych porywów. Zagadkowa zmienność tego charakteru, nad którą zastanawiał się Coleridge, podyktowana jest przez naczelny zamiar dramatyczny poety.

Trybunowie ludu — to nie indywidualności dramatyczne, lecz typy demagogów i wcielenia samych najgorszych pierwiastków demokracyi: w ich głowach rodzą się pomysły niecnych intryg przeciw ludziom wybitnym, oni najbardziej obywatelskim czynom bohatera — jak oddanie się pod komendę konsula (I, 2) — podsuwają nizkie motywy, zgodne z własną naturą. W ręce takich ludzi poeta oddaje bezwładną masę; z drugiej strony w całym stosunku Koryolana do reszty patrycyuszów silnie uwydatnia, że podstawą jego dumy jest zbiorowa tradycya jego stanu, nie — jak u Plutarcha — jedynie warunki osobistego wychowania. Wobec takiego postawienia rzeczy nic dziwnego, że od dawna w krytyce shakespearowskiej »Koryolan« właśnie uchodził za główną okazyę do roztrząsań nad społecznemi zapatrywaniami poety, że przytaczany bywał jako najcharakterystyczniejszy wyraz arystokratycznego sposobu myślenia Shakespeara. Jednak miał pono słuszność Coleridge, gdy intuicyjnie podziwiał »cudownie filozoficzną bezstronność« poety w tym utworze — *the wonderfully philosophic impartiality of Shakespeare's politics*. Właśnie owo obciążenie najgorszymi przymiotami samych trybunów jest jakby dewolucyą moralną, uniewinniającą ogół ludu: tłum w »Koryolanie« jest naiwnie podatny dla zręcznej retoryki, jest nadewszystko nader zmienny w swych sympatyach i humorach, jest i fizycznie wstrętny dla ludzi o wyższej kulturze cielesnej, ale nie jest zły, nie unosi go chciwość i dziki instynkt niszczycielski, jak w trzecim akcie »Juliusza Cezara« (sc. 2, 3). Fatalizm upadku Koryolana wydać się musi wyrazem przeświadczenia autora o nieuniknionem bankructwie zasad jednostajnie i skrajnie arystokratycznych; pewne wymagania równowagi społecznej widocznie w przekonaniu poety zawsze zwyciężać muszą nad bujnym indywidualizmem czy to klasy czy jednostki. Wrażenie to wzmaga się mocą faktu, że bohater dramatu, postać imponująca,

jednak nie jest przedstawiony przez poetę z nieograniczonem przejęciem i uniesieniem; niema tej miłości i tego zapału poety dla swej postaci, co w patryotycznej apoteozie Henryka V; charakterystyka Koryolana jest daleko bardziej objektywną: najwspanialsze słowa, jakie o nim słyszymy, pochodzą z ust zaślepionego przyjaźnią stronnika [1]). W istocie daleko goręcej i bezkrytyczniej, niż sam Shakespeare, wielbią jego Koryolana literaci naszych dni, wykarmieni na dziełach Nietzschego i upatrujący w tym bohaterze shakespearowskim idealny obraz »nad-człowieka«: typowym przedstawicielem tej kategoryi entuzyastów jest M. I. Wolff, dla którego treść i wartość dramatyczną utworu stanowią wyłącznie osobiste losy wielkiego człowieka, jego tragiczne odosobnienie wśród otoczenia, które — nie wyjmując nawet najbliższych — sympatycznie zrozumieć go nigdy nie zdoła, jego konieczny upadek przez kompromis z tem poziomem otoczeniem — *der Selbstverrat des grossen Menschen.*

W jakiekolwiek różne sposoby reasumuje się i jeszcze reasumować będzie niepożytą wartość myślową »Koryolana«, w każdym razie dla wiekuistej i ogólno-ludzkiej treści tej myśli obojętnym pozostaje kostyum staro-rzymski, w który poeta ją przyoblekł. Obok dwóch cyklów dramatycznych z historyi angielskiej stanął w późniejszej twórczości poety cykl dramatów rzymskich. Te jednak nie były pisane, jak tamte, z myślą o jakimś epicznym zespole całości; dowodem fakt, że nie przedstawiają, jak dramaty o dynastyi York lub o dynastyi Lancaster, wypadków bezpośrednio po sobie w historyi następujących; ciągłość osobista i dziejowa łączą tylko »Cezara« z »Antoniuszem«; wcześniejszy od nich w porządku historycznym »Koryolan« powstał prawdopodobnie później od obydwóch. Że mimo takiej genezy te trzy utwory przedstawiają szereg momentów pierwszej doniosłości w dziejach Rzymu, że

---

[1]) III, 1 (Meneniusz):

»Jego umysł
Jest za szlachetny dla naszego świata:
Nie schlebiłby on Neptunowi, choćby
Mu szło o trójnóg, ani Jowiszowi
Za wszystkie jego gromy. Jego serce
Jest w ustach: co się pocznie w jego piersi,
To jego język wnet musi urodzić;
Będąc zaś zdjęty gniewem, zapomina,
Że kiedykolwiek słyszał miano śmierci«.

łączą się w obraz jego rozwoju od oligarchii przez demokracyę do cezaryzmu, — to jest dziełem nie świadomego planu, lecz genialnej intuicyi poety. Poza tą najogólniejszą syntezą niema podstawy do historyozoficznych spekulacyi nad jednolitą treścią dramatów rzymskich; najśmielszy w takich rojeniach Ulrici wciągał w ich obręb nawet monstrualny dramat młodociany »Tytus Andronikus« jako obraz ostatecznej degeneracyi cesarstwa w przededniu najazdów germańskich.

Ta sama siła jasnowidzenia dziejowego, co uchwyciła i utrwaliła kilka z najistotniejszych wypadków historyi rzymskiej, odtworzyła także szczegóły potocznego życia, publicznego i prywatnego, w starym Rzymie z przekonywającym realizmem, który do kornego hołdu zmusza nawet uczonych filologów i archeologów dni późniejszych. Cudownej barwy i pulsującego życia obrazów shakespearowskich brak współczesnym elaboratom dramatycznym kolegi i rywala poety, Ben Jonsona, o upadku Sejana i o sprzysiężeniu Katyliny, choć erudyt Jonson mógł w obfitych notach pod tekstem cytować wszystkie oryginalne łacińskie źródła, a Shakespeare tylko z angielskiego Plutarcha korzystał.

Myśl i nauka osobista i społeczna, zawarta w »Koryolanie«, prawdopodobnie wyłoniła się ze znalezionego u Plutarcha tematu dramatycznego, a nie poprzedziła jego wyboru, szukając dla siebie kształtów i szaty. Odwrotnie rzecz sobie wyobrażają ci, co (jak A. Brandl) w »Koryolanie« widzą ukryty pod przebraniem rzymskiem obraz tragicznego upadku wielkiego kolonizatora Waltera Raleigh, i z tej racyi nawet wyznaczają dla dramatu datę wcześniejszą (1603/4). Tak samo treść psychologiczna poprzedza kostyum historyczny u tych liczniejszych jeszcze krytyków, co nie mogą się oprzeć natrętnej pokusie utożsamienia bohatera z jego twórcą, i widzą w »Koryolanie«, podobnie jak w niektórych sonetach (110, 111), boleść tego poniżenia, jakiem w świadomości Shakespeara być miała prostytucya jego geniuszu wobec nierozumnego tłumu przez sztukę aktorską, a może nawet i autorską. Ten wiekuisty tragizm twórczości artystycznej, to także jedna z form odmalowanego w »Koryolanie« konfliktu między życiem osobistem a społecznem; ale czy istotnie tkwi w dramacie pierwiastek autobiograficzny, tego wiedzieć nie możemy.

Temat »Koryolana«, jak to wykazuje w umiejętnem zestawieniu M. Koch, niejednokrotnie ujmował fantazyę poetów dramatycznych: niezależnie od Shakespeara i w swój zwykły nawpół fantastyczny sposób dramatyzował go Calderon w dziele »Broń piękności« *(Armas de la Hermosura)*. W Anglii były w okresie Restauracyi i pseudo-klasycyzmu zwykłe przeróbki dzieła shakespearowskiego (1682, 1755), a także osobna tragedya J. Thomsona (1748), którą chwalił jeszcze Lessing, zanim poznał utwór Shakespeara. We Francyi dramaty o Koryolanie napisali A. Hardy, H. Richer, M. Balze, La Harpe i Ségur. W Niemczech przedmiot miał oczywiście szczególny urok dla rewolucyonerów literackich szkoły *Sturm und Drang*; tłómaczył dramat Shakespeara Lenz, a naśladował go Klinger; młody Schiller w okresie »Zbójców« zachwyca się Plutarchem, a »Koryolana« Shakespeara poznaje w tłómaczeniu prozą (1779); jeszcze w okresie swych arcydzieł dramatycznych nosi się z myślą o tragedyi »Koryolan«; inny jego projekt ma za przedmiot dzieje Temistoklesa, który także, wygnany z ojczyzny, łączy się z jej wrogami; wreszcie tragiczne losy Wallensteina w całym swym przebiegu są najwspanialszą bodaj w literaturze dramatycznej analogią do »Koryolana«. Z dzieł Goethego »Egmont« w charakterystyce i stanowisku bohatera najwięcej ma podobieństwa do »Koryolana« i w szczegółach wyraźnie objawia wpływ dzieła shakespearowskiego. Wiedeński poeta J. von Collin przez mierną tragedyę o Koryolanie dał impuls Beethovenowi do uwertury »Koryolan« (1807), która obok Schillerowskiego »Wallensteina« najsnadniej ze wszystkich pokrewnych przedmiotem dzieł potomności porównać się daje i równać się może z tragedyą Shakespeara.

OSOBY:

Kajus Marcyusz Koryolan, Rzymianin szlachetnego rodu.
Tytus Larcyusz,
Kominiusz, } dowódcy wojsk przeciw Wolskom.
Meneniusz Agryppa, przyjaciel Koryolana.
Sycyniusz Welutus,
Junius Brutus, } trybunowie ludu.
Młody Marcyusz, syn Koryolana.
Rzymski herold.
Tullus Aufidyusz, wódz Wolsków.
Powiernik Aufidyusza.
Sprzysiężeni w zmowie z Aufidyuszem.
Jeden z obywateli Ancyum.
Dwóch wolscyjskich wartowników.
Wolumnia, matka Koryolana.
Wirgilia, żona Koryolana.
Walerya, przyjaciółka Wirgilii.
Jedna ze służebnic Wirgilii.

Rzymscy i wolscyjscy senatorowie, patrycyusze, edylowie, liktorowie, żołnierze, obywatele, gońcy, słudzy Aufidyusza i inne osoby.

Rzecz dzieje się częścią w Rzymie, częścią w posiadłościach Wolsków i Ancyatów.

KORYOLAN.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Ulica w Rzymie.

(Tłum zbuntowanych obywateli wchodzi z kijami, pałkami i inną podobną bronią).

Pierwszy obywatel. Posłuchajcie mnie, nim się dalej udamy.

Obywatele *(jeden przez drugiego).* Mów, mów!

Pierwszy obywatel. Postanowiliścież nieodmiennie wszyscy umrzeć raczej, niż głód cierpieć?

Obywatele. Nie inaczej, nie inaczej.

Pierwszy obywatel. Trzeba wam przedewszystkiem wiedzieć, że Kajus Marcyusz jest hersztem nieprzyjaciół ludu.

Obywatele. Wiemy o tem, wiemy.

Pierwszy obywatel. Zabijmy go więc, a będziemy mieć zboże za dowolną cenę. Zgadzacież się na to?

Obywatele. Zgadzamy się, niema się nad czem rozwodzić: idźmy, idźmy.

Drugi obywatel. Słowo, zacni obywatele.

Pierwszy obywatel. Myśmy biedni obywatele, zacnymi nazywają się patrycyusze. To, co przeładowywa ich uprzywilejowane kiszki, nasby postawiło na nogach. Gdyby przynajmniej dla własnego zdrowia chcieli nam odstąpić przewyżki od swych potrzeb, moglibyśmy przypuścić, że nas z ludzkości wspierają, ale oni powta-

rzają sobie, że nas trzeba krótko trzymać. Nasza chudość, widomy skutek nędzy naszej, jest tabelą specyfikacyjną ich intrat, nasze cierpienia są dla nich lichwą. Zemścijmyż się za to, póki się nie obrócimy w szczapy, a bogom wiadomo, że mówię to, łaknąc chleba, nie zaś pragnąc zemsty.

Drugi obywatel. Nastajesz więc osobliwie na Kaja Marcyusza?

Pierwszy obywatel. Najbardziej na niego, bo on jest najzawziętszym na lud brytanem.

Drugi obywatel. Zważ, jakie on ojczyźnie wyświadczył przysługi.

Pierwszy obywatel. Nie przeczę, moglibyśmy mu za nie wdzięcznością zapłacić, ale on sam sobie płaci za nie dumą.

Drugi obywatel. Być może, w każdym razie jednak nie godzi się źle o nim mówić.

Pierwszy obywatel. Powiadam wam, że co bądź dobrego zrobił, zrobił to jedynie dla zaspokojenia dumy. Niech tam ludzie delikatni, jak chcą, mówią, że on ojczyznę miał na celu; ja nie przestanę utrzymywać, że celem jego było przypodobanie się matce i wyniosłość, w którą rośnie w miarę zasług.

Drugi obywatel. Poczytujecie mu za występek to, co leży w jego naturze i czego tem samem nie może się pozbyć. Nie możecie jednak żadną miarą powiedzieć, żeby był chciwy.

Pierwszy obywatel. Jeżeli tego powiedzieć nie mogę, nie idzie za tem, żeby mi brakło zarzutów, znalazłoby się ich tyle, że człowiek zmordowałby się ich wyliczaniem. *(Krzyki za sceną).* Cóż to za krzyki? Tamta część miasta powstała. Czegoż tu stoim i paplem? Dalej, do Kapitolu!

Obywatele. Dalej! dalej!

Pierwszy obywatel. Cicho, któż się zbliża?

(Wchodzi Meneniusz Agryppa).

Drugi obywatel. Szanowny Meneniusz Agryppa, ten był zawsze dobrym dla ludzi.

Pierwszy obywatel. On jeden jako tako poczciwy, niechby wszyscy byli tacy tylko!

Meneniusz. Cóż się to święci, moi współrodacy?
Gdzież to idziecie z kijmi i pałkami?
O co wam idzie? Powiedzcie mi, proszę.

Pierwszy obywatel. Zamiar nasz nie jest senatowi obcym; już go przed piętnastu dniami doszły posłuchy o tem, cośmy mieli na myśli, a co teraz postanowiliśmy przywieść do skutku. Panowie senatory mówią, że biedni suplikanci mają ciężki oddech, poznają teraz, że mają i ciężkie pięści.

Meneniusz. Moi panowie, łaskawcy, sąsiedzi,
Chcecież się sami o zgubę przyprawić?

Pierwszy obywatel. Nie boimy się tego, panie, bośmy już o nią przyprawieni.

Meneniusz. Mogę wam ręczyć, moi przyjaciele,
Że patrycyusze mają o was pieczę,
Co się waszego tyczy niedostatku
I waszej biedy, podczas tej drożyzny.
Za to zarówno moglibyście miotać
Kijmi na niebo, jak na rzymskie państwo,
Które iść dalej będzie swoją drogą,
Rwąc krocie twardszych wędzideł, niż wszelkie,
Mogące przez was stawić się zawady.
Drożyznę bowiem zrządzają bogowie,
Nie patrycyusze, a u tych schylone
Kolana raczej mogłyby coś wskórać,
Nie podniesione ramiona. Niestety!
Niedola rzuca was w większą niedolę;
I złorzeczycie sterownikom państwa,
I przeklinacie jako nieprzyjaciół
Tych, co się o was, jak ojcowie, troszczą.

Pierwszy obywatel. Troszczą się o nas! Ba i bardzo! Pięknie się troszczą: pozwalają nam umierać z głodu, a magazyny ich pełne zboża; wydają ustawy o lichwie, aby wspierać lichwiarzy; kasują codzień zbawienne jakie prawo, stawiające tamę bogaczom i codzień uciążliwsze ogłaszają postanowienia ku uszczerbkowi i ograniczeniu biedaków. Jeżeli nas wojna nie zje, oni to zrobią. Taka to ich troskliwość o nas.

Meneniusz. Albo musicie przyznać, że nad miarę
Złe macie serce, albo ścierpieć zarzut,
Że macie bardzo źle w głowie. Opowiem
Wam jedną powieść, jużeście ją może
Słyszeli kiedy, gdy jednakże ona
W obecnej chwili wielce jest stosowną,
Spóbuję ją wam raz jeszcze przytoczyć.

Pierwszy obywatel. Słuchamy jej, panie; nie spodziewaj-

cie się jednak otumanić dykteryjkami naszej biedy.
Mówcież więc.
Meneniusz. Onego czasu wszystkie członki ciała
Zbuntowały się przeciw żołądkowi
I obwiniły go, że on jak przepaść
Spoczywa w ciele gnuśny i nieczynny,
Chłonąc pokarmy i nigdy nie dzieląc
Prac z resztą członków; gdy tymczasem one
Patrzą, słuchają, radzą, uczą, chodzą,
Czują, i wzajem sobie pomagając,
Zaspokajają żądze i potrzeby
Całego ciała. Żołądek rzekł na to...
Pierwszy obywatel. Cóż on rzekł? Ciekawy jestem.
Meneniusz. Zaraz się o tem dowiecie. Z uśmiechem,
Nie takim jednak, co to idzie z serca,
Lecz oto takim — (bo żołądek może
Nie tylko mówić, jak widzicie, ale
I śmiać się czasem), odparł on szyderczo
Niechętnym członkom, owym rozdąsanym
Organom, co mu zazdrościły bytu;
Z równą słusznością, jak wy powstajecie
Na senatorów, że nie są takimi,
Jakbyście chcieli i jacyście sami.
Pierwszy obywatel. Niech wasz żołądek kpi sobie zdrów: [jakto!
Tożby król członków głowa, serce radca,
Oko stróż, ramię żołnierz, koń nasz noga,
Język nasz herold, oprócz tylu innych
Ważnych narzędzi i pomniejszych cząstek
Naszej machiny, tożby to...
Meneniusz. Co? Cóżby?
Ten człowiek śmie mi przerywać! — Co? Cóżby?
Pierwszy obywatel. Tożby to wszystko pasibrzuch żołądek
Miał trzymać w klubach; żołądek, ta istna
Kloaka ciała?
Meneniusz. Cóż dalej? cóż dalej?
Pierwszy obywatel. Jakąż odpowiedź mógł dać ten pasorzyt
Na zażalenie owych cnych działaczów?
Meneniusz. Zaraz wam powiem, jeżeli się tylko
Zdołacie zdobyć przez parę chwil na to,
Na czem wam zbywa, to jest na cierpliwość,
Będziecie słyszeć odpowiedź żołądka.
Pierwszy obywatel. Za długo się z nią ociągacie.

Meneniusz. Uważ,
Mój przyjacielu, poważny żołądek
Nie był tak prędkim, jak strona skarżąca;
Zastanowiwszy się, tak odpowiedział:
Prawda to, moi współwcieleni bracia,
Że ja karm wspólną nam pierwszy odbieram,
I słusznie, bom ja śpichrz, bom ja magazyn
Całego ciała. Pomnijcie atoli,
Że ją strumieńmi krwi waszej posyłam
Do dworu, w serce; do stolicy, mózgu;
I że rozliczną drogą różnych funkcyi
Najtęższe nerwy i najmniejsze żyłki
Biorą ode mnie swój dział pożywienia.
Skoro zaś, moi kochani, (tak dalej
Mówił żołądek), uważajcie dobrze...
Pierwszy obywatel. No, no, cóż dalej mówił pan żołądek?
Meneniusz. Skoro zaś wszyscy razem nie możecie
Widzieć naocznie, czego wam dostarczam,
Mogę wam moje rachunki pokazać,
Z których poznacie, że wszyscy ode mnie
Otrzymujecie sam ekstrakt wszystkiego,
Mnie zaś zostają gręzy. — Cóż wy na to?
Pierwszy obywatel. Wzdyć to odpowiedź. Radzibyśmy [tylko
Usłyszeć teraz jej zastosowanie.
Meneniusz. Senat nasz jest tym poczciwym żołądkiem,
A wy jesteście krnąbrnymi członkami,
Bo zważcie tylko jego trudy, jego
Gorliwą czynność; rozpoznajcie bacznie,
To, co się tyczy publicznego dobra,
A przekonacie się sami, że wszelka
Ogólna korzyść, jaka wam przypada,
Od niego tylko pochodzi, nie od was.
Cóż na to waszmość, waszmość, mój ty wielki
Palcze u nogi tego zgromadzenia?
Pierwszy obywatel. Ja wielki palec u nogi? Dlaczego?
Meneniusz. Bo będąc jednym z najnieokrzesańszych,
Najnikczemniejszych, najbrudniejszych cząstek
Tej mądrej zgrai, stajesz na jej czele.
Nędzny odrzutku, znam cię: tyś tu przyszedł
Podszczuwać innych, byś sam coś skorzystał.
Dalej, do pałek! Rzym z szczurami swymi

Staje do walki, jedna strona musi
Wziąć wnyki. — Witaj, szlachetny Marcyuszu!
(Wchodzi Kajus Marcyusz).
Marcyusz. Witaj! — Cóż się to dzieje? Co to znaczy!
Niesforne gbury, dlaczegoż to, drapiąc
Litości godną świerzbę swych mózgownic,
Chcecie powiększać swoje wrzody?
Pierwszy obywatel. Zawsze
Otrzymujemy od was dobre słowo.
Marcyusz. Ktoby wam dobre dał słowo, ten byłby
Pochlebcą niższym nad wszelką pogardę.
Czegoż wy chcecie, trutnie, wy, co ani
Pokoju ani wojny nie lubicie?
Jedno was straszy, drugie uzuchwala.
Kto wam zaufa, ten, zamiast lwów znaleźć,
Znajdzie zające, zamiast lisów, gęsi.
Statek wasz tem jest, czem iskra na lodzie,
Czem szron na słońcu. Cała wasza cnota
Na tem polega, aby pod niebiosa
Wynosić tego, kogo potępiły
Własne postępki, a potępiającą
Lżyć sprawiedliwość. Kto na cześć zasłużył,
Ten zasługuje na waszą nienawiść,
Życzenia wasze są jako apetyt
Chorego, który najbardziej pożąda
Tego, co może zwiększyć jego niemoc.
Kto wasze względy zyskuje, ten pływa
Pletwą z ołowiu, trzciną dęby rąbie.
Niech wam kat świeci! Wamże by zaufać?
Wam, co zmieniacie zdanie z każdą chwilą,
Szlachetnym zwiecie tego, co wam wczoraj
Był nienawistnym, a nikczemnym tego,
Co wczoraj jeszcze był ozdobą waszą?
Cóż się to znaczy, że się tu i owdzie
Włóczycie wrzeszcząc i wyszczekujecie
Na senat, który za przewodem bogów
Trzyma was w swoich opiekuńczych karbach,
Ażebyście się sami nie pożarli?
Czegoż oni chcą?
Meneniusz. Zboża i zniżenia
Jego wysokiej ceny, twierdzą bowiem,
Że miasto jest niem dobrze opatrzone.
Marcyusz. Obwiesie! oni to twierdzą? Jak świerszcze

Siedzą za piecem i wmawiają w siebie,
Że wiedzą, co się dzieje w Kapitolu:
Kto pozyskuje wziętość, kto się wznosi
I kto upada. Popierają fakcye
I domniemane kojarzą małżeństwa.
Jednym dodają splendoru, a drugich,
Których nie lubią, obryzgują błotem
Gorzej, niż swoje dziurawe chodaki.
I oni twierdzą, że mamy dość zboża?
O! gdyby senat chciał na bok odłożyć
Litość i miecza użyć mi pozwolił,
Nagromadziłbym z tych głów kapuścianych
Stos tak wysoki, jak najwyżej mogę
Dosięgnąć szpicą mej włóczni.

Meneniusz. Ci się już dali przekonać, bo chociaż
Na roztropności potężnie im zbywa,
Tchórzem są za to porządnie podszyci.
Ale powiedz mi, proszę, co się stało
Z tą drugą tłuszczą, tam?

Marcyusz. Już się rozpierzchła.
Niech im kat świeci! Mówili, że głodni,
Stękali, plotąc przysłowia, jako to:
Że głód rozbija mury, że psy nawet
Dostają strawy, że chleb jest dla wszystkich,
Co mają gęby, że bogowie dają
Zboże nie tylko dla bogatych. W takich
I tym podobnych bzdurstwach wyzionęli
Swe użalenia, którym czyniąc zadość,
Postanowiono, zgodnie z ich życzeniem,
Coś, co szlachetną myśl przejmuje zgrozą
I śmiałą władzę w bladą lalkę zmieni.
Zaczęli wtedy rzucać czapki w górę,
Jakby je chcieli zawiesić na obu
Rogach księżyca, i jak opętani
Wrzeszczeć z radości.

Meneniusz. Cóż postanowiono?

Marcyusz. Pięciu trybunów wedle ich wyboru,
Którzy praw szui strzedz i bronić mają,
Jednym obrany został Juniusz Brutus,
Drugim Sycyniusz Welutus, kto więcej,
Nie wiem. — Do krocset siarczystych piorunów!
Prędzej byłoby to szubrawcze plemię
Z całego Rzymu pozdzierało dachy,

Niżby zdołało było coś takiego
Wymódz ode mnie. Wezmą oni wkrótce
Większą przewagę i, poparci buntem,
Przyjdą nam podać trudniejsze warunki.
Meneniusz. Rzecz dziwna.
Marcyusz. Precz stąd do domów, hultaje!
(Goniec nadchodzi).
Goniec. Gdzie Kajus Marcyusz?
Marcyusz. Tu, cóż mi obwieścisz?
Goniec. To, że Wolskowie wzięli się do broni.
Marcyusz. Cieszę się z tego, będziem przecie mogli
Przewietrzyć trochę ten stęchły kram gminu;
Lecz oto nasza starszyzna.
(Kominiusz, Tytus Larcyusz i inni senatorowie, Juniusz Brutus i Sycyniusz Welutus wchodzą).
Pierwszy senator. Marcyuszu,
Prawdę mówiłeś; Wolskowie istotnie
Podnieśli oręż.
Marcyusz. Przywodzi im sławny
Tullus Aufidyusz, z którym twarda sprawa.
Grzeszę, zazdroszcząc mu jego wartości.
Zaprawdę, gdybym nie był tem, czem jestem,
Nim tylko być-bym chciał.
Kominiusz. Jużeście kiedyś
Szczerbili z sobą miecze?
Marcyusz. Gdyby jedna
Połowa świata drugą wzięła za łeb,
A on stał na tej samej ze mną stronie,
Umyślniebym wszczął bunt, dlatego tylko,
Abym go mógł mieć przeciw sobie. On jest
Lwem, na którego polowanie łechce
Mą dumę.
Pierwszy senator. Zacny Marcyuszu, chciej zatem
Pod Kominiuszem wziąć udział w tej wojnie.
Kominiusz. Wszakżeś nam to już przyrzekł?
Marcyusz. Nie inaczej,
I wierny-m słowu. — Tytusie Larcyuszu,
Będziesz więc jeszcze raz świadkiem mojego
Spotkania z Aufidyuszem; wszakże będziesz?
Jeszcześ nie stępiał?
Larcyusz. Nie, Marcyuszu, wolę
Choćby o kuli pójść z drugimi walczyć,
Niż zostać z tyłu.

Meneniusz. Szlachetna krew!
Pierwszy senator. Idźmy
Do Kapitolu, tam na nas czekają
Najlepsi nasi przyjaciele.
Larcyusz. Idźmy.
Ty nam przewodnicz, panie, i ty także,
Cny Kominiuszu; my za wami pójdziem,
Wam wprzód przystoi.
Kominiusz. Szlachetny Larcyuszu!
Pierwszy senator *(do obywateli).* Dalej! do domu!
Marcyusz. Nie, niech pójdą z nami,
Wolskowie mają dość zboża; pozwólcie
Tym szczurom napaść się w ich śpichrzach. Nuże,
Przezacna zgrajo, pokaż swą waleczność!
(Senatorowie, Kominiusz, Marcyusz, Larcyusz i Meneniusz wychodzą. Obywatele wynoszą się chyłkiem).
Sycyniusz. Jestże kto bardziej dumny, niż ten Marcyusz?
Brutus. Nie wiem, kogoby z nim porównać.
Sycyniusz. Będąc obrani trybunami ludu...
Brutus. Czy uważałeś jego wzrok i gesty?
Sycyniusz. Nie, tylko jego przekąsy.
Brutus. Gdy go rozdrażnisz, z bogów szydzić gotów.
Sycyniusz. Drwić z spokojnego księżyca.
Brutus. Obecna wojna pożera go; nie wie,
Jak się już nadąć, że tak jest waleczny.
Sycyniusz. Tego rodzaju ludzie, połechtani
Bodźcem powodzeń, pogardzają cieniem,
Po którym chodzą w południe. Dlatego
Dziwi mnie, że on, przy swej wyniosłości,
Pod Kominiuszem nie wzbrania się służyć.
Brutus. Sławy, o którą mu idzie, a której
Nie skąpe względy już zyskał, nie można
Skuteczniej nabyć i łatwiej zarazem,
Jak stojąc za kimś będącym na czele.
Bo, jeśli się co nie uda, powiedzą:
Wódz temu winien, choć wódz z swojej strony
Czynił, co tylko człowiek czynić może;
Głupia krytyka krzyczeć będzie wtedy:
O! gdyby Marcyusz był tę rzecz prowadził!
Sycyniusz. Jeżeli się zaś powiedzie, opinia,
Która tak bardzo sprzyja Marcyuszowi,
Obierze z zasług Kominiusza.
Brutus. Z góry

Można przewidzieć, że połowa chwały
Kominiuszowej na Marcyusza spłynie,
Choćby ten na nią nie pracował. Wszystkie
Zaś jego chyby podniosą wysokość
Zalet Marcyusza, choćby Marcyusz w gruncie
Bynajmniej na to nie zasłużył.

Sycyniusz. Pójdźmy
Posłuchać, co tam o wyprawie radzą
I w jaki sposób weźmie się ten człowiek
Do obecnego przedsięwzięcia.

Brutus. Idźmy.

(Wychodzą).

SCENA II.

Koryole. Wnętrze senatu.

(Aufidyusz i senatorowie).

Pierwszy senator. Jesteś więc tego zdania, Aufidyuszu,
Że Rzym przeniknął nasze tajne plany
I wie, co knujem?

Aufidyusz. Inneż zdanie wasze?
Kiedyżto u nas co bądź umyślono
I wykonano, żeby wprzód do Rzymu
Nie doszły o tem posłuchy? Przed czterma
Nie spełna dniami miałem stamtąd wieści,
Których treść na to wychodzi; podobno
Mam list przy sobie, oto jest, słuchajcie:

(Czyta).

»Zbierają wojska, nie wiadomo jednak,
Czy je chcą wysłać na wschód, czy na zachód,
Drożyzna wielka, lud wichrzy i słychać,
Że wódz Kominiusz, a z nim Marcyusz, dawny
Wasz nieprzyjaciel, (którego jednakże
Rzymianie bardziej niż wy nienawidzą)
I Tytus Larcyusz, waleczny Rzymianin,
Kierują we trzech przygotowaniami
Do tej wyprawy. Snadź ona jest na was.
Pomyślcie nad tem«.

Pierwszy senator. Nasze wojska w polu.
Nie wątpiliśmy, że Rzym skory będzie
Dać nam odpowiedź.

Aufidyusz. Ani się wam zdało
Stosownem plan nasz w tajemnicy trzymać
Tak długo, ażby śmiało mógł wyjść na wierzch;
Bo go Rzym w samym zarodzie przewąchał.
Przez to odkrycie zostajemy zbici
Z drogi do celu, który się zasadzał
Na wzięciu kilku miast, nimby się w Rzymie
O poruszeniach naszych dowiedziano.
Drugi senator. Działaj niezwłocznie, zacny Aufidyuszu,
Nie tracąc czasu, śpiesz do swoich hufców;
My tu w Koryolach zostaniem ku straży
I ku obronie. Jeśli nas oblegną,
Przyjdź nam na odsiecz; nie sądzę jednakże,
Abyś ich znalazł przygotowanymi.
Aufidyusz. O! nie uwodźcie się, mówię wam o tem
Jako o rzeczy pewnej, więcej powiem:
Liczne oddziały ich wojsk już są w marszu
I tu zmierzają. Żegnam was, panowie.
Jeśli się spotkam z Kajusem Marcyuszem,
Nie będzie żartów między nami, bośmy
Przysięgli sobie wzajem póty walczyć,
Póki jednemu z nas tchu nie zabraknie.
Wszyscy. Niech cię bogowie wspierają!
Aufidyusz. I w zdrowiu
Was utrzymują!
Pierwszy senator. Żegnaj!
Drugi senator. Żegnaj!
Wszyscy. Żegnaj!

(Wychodzą).

SCENA III.

Rzym. Komnata w domu Marcyusza.

(Wolumnia i Wirgilia siedzą na stołkach i szyją).

Wolumnia. Proszę cię, córko, śpiewaj, a przynajmniej bądź weselszą. Gdyby mój syn był moim mężem, bardziejbym się czuła szczęśliwą w jego nieobecności, która mu jedna sławę, niż w jego objęciach, któreby mi świadczyły o jego miłości. Gdy jeszcze małem był chłopięciem, jedynym owocem mego żywota; gdy jego młodość i uroda wszystkich pociągała oczy; gdy inna

matka takiego dziecka na całodzienne prośby królów nie byłaby odstąpiła jednej godziny spoglądania na nie: wtedy ja, marząc o jego przyszłości, myśląc, że ta piękna postać bez wieńca chwały byłaby tem, czem marny obrazek zawieszony na ścianie, znajdowałam uciechę w wyszukiwaniu dlań niebezpieczeństw, wśród których mógł się dobić chwały. Wysłałam go na krwawą wojnę, z której wrócił ozdobiony wieńcem dębowym. Zaprawdę, córko, nie bardziej zadrgałam z radości, słysząc po raz pierwszy, że mi się urodziło dziecię płci męskiej, niż widząc po raz pierwszy, że się to dziecię pokazało mężem.

Wirgilia. Lecz gdyby był zginął, o pani, gdyby był zginął!

Wolumnia. Wtedy jego dobre imię zastąpiłoby mi było miejsce syna i w niembym się była odrodziła. Szczerze ci wyznaję, że gdybym miała dwunastu synów, z którychby każdy stał na równi w mem sercu i każdy był mi tak drogim, jak twój i mój kochany Marcyusz, wolałabym, żeby jedenastu szlachetnie umarło za ojczyznę, niż żeby jeden poza bitwą zmarniał na łożu rozkoszy. *(Wchodzi domownica).*

Domownica. Pani, szlachetna sąsiadka, Walerya,
Przyszła odwiedzić was.

Wirgilia. Błagam cię, pani,
Pozwól mi odejść.

Wolumnia. Zostań. Zdaje mi się,
Że słyszę odgłos trąb twojego męża,
Że widzę, jak w tej chwili Aufidyusza
Targa za włosy, a przed nim Wolskowie,
Jak dzieci przed lwem, stronią; zdaje mi się,
Że jestem przy tem, jak tupa i woła:
Za mną tu, tchórze! was w trwodze poczęto,
Chociaż byliście w Rzymie narodzeni —
I łuskokrytą ręką obcierając
Skrwawione czoło, postępuje naprzód,
Nakształt żniwiarza, który postanowił
Zżąć wszystko, albo utracić zarobek.

Wirgilia. Skrwawione czoło! O, chroń go, Jowiszu!

Wolumnia. Milcz, głupie dziecko! Krwawe znamię bardziej
Ozdabia męża, niż złote trofeje.
Piersi Hekuby, karmiące Hektora,
Mniej były piękne, niż Hektora czoło,
Gdy zeń krew ciekła pod ciosami Greków.

Powiedz Waleryi, żeśmy ją gotowe
Przyjąć, jak zawsze.
(Wychodzi domownica).
Wirgilia. O nieba! zasłońcie
Mego małżonka przed tym Aufidyuszem!
Wolumnia. Dziecinne modły! On zegnie zuchwały
Kark Aufidyusza i zdepce go nogą.
(Domownica wprowadza Waleryę i jej towarzyszkę).
Walerya. Zacne niewiasty, bądźcie pozdrowione!
Wolumnia. Luba sąsiadko.
Wirgilia. Miło mi widzieć was.
Walerya. Jakże się macie? Zakute z was domatorki. Cóż to? szyjecie, widzę; śliczne rąbki, na poczciwość! Jakże się miewa twój mały synek, Wirgilio?
Wirgilia. Dziękuję wam, łaskawa pani, zdrów jest, do usług waszych.
Wolumnia. Wolałby patrzeć na połysk mieczów i słuchać odgłosu trąb, niż siedzieć przy swoim ochmistrzu.
Walerya. Walny chłopiec, prawdziwy syn swego ojca. Przeszłej środy przyglądałam mu się przez pół godziny, ma coś tak pewnego w sobie. — Widziałam, jak pogonił za złotobarwnym motylem; schwytał go i puścił, dalejże znowu w pogoń za nim i znowu go schwytał. Schwytawszy go znowu, czy to z gniewu, że się dał złapać, czy to z innej jakiej przyczyny, zacisnął zęby i zgniótł go; powiadam wam, zgniótł go bez litości.
Wolumnia. To z ojca te raptusy.
Walerya. Doprawdy, rzadkie dziecko.
Wirgilia. Ladaco, pani.
Walerya. Odłóżcie na bok robotę i pójdźcie ze mną; muszę was dziś rozpróżniaczyć.
Wirgilia. Wybacz, kochana pani, nie wyjdę na krok z domu.
Walerya. Ani na krok?
Wolumnia. Wyjdzie, wyjdzie.
Wirgilia. Przepraszam cię, matko: nie wyjdę, nie przestąpię progu domu, dopóki mój pan nie powróci z wojny.
Walerya. Wstydź się, nierozsądnie czynisz, więżąc się tak w domu. Pójdź, odwiedzimy leżącą połogiem przyjaciółkę.
Wirgilia. Życzę jej prędkiego wydobrzenia i odwiedzę ją w modłach moich, ale do niej pójść nie mogę.
Wolumnia. Dlaczego? powiedz, dlaczego?

Wirgilia. Nie dla oszczędzenia sobie fatygi, ani dla braku życzliwości ku niej.

Walerya. Chcesz być drugą Penelopą; powiadają jednak, że wszystkie jej prace pod niebytność Ulissesa posłużyły tylko do rozplenienia molów w Itace. Pójdź, chciałabym, żeby ten twój rańtuch tak był czuły, jak twoje palce, ażebyś go z litości kłuć przestała. Pójdź, pójdź z nami.

Wirgilia. Nie, kochana pani, wybacz mi; doprawdy nie pójdę.

Walerya. Daj się namówić, a ja ci za to udzielę wybornych nowin o twym mężu.

Wirgilia. Jeszcze ich być nie może, pani.

Walerya. Jako żywo, nie żartuję; tej nocy nadeszły wieści od niego.

Wirgilia. O! pani, czy podobna?

Walerya. Tak jest, rzeczywiście; słyszałam to od jednego z senatorów. Rzecz się ma tak: Wolskowie wysłali wojsko, przeciw któremu pociągnął Kominiusz z częścią naszych falang. Twój mąż i Tytus Larcyusz rozłożyli się pod Koryolami; nie wątpią bynajmniej o pomyślnym skutku wyprawy i spodziewają się położyć wkrótce koniec tej wojnie. Wszystko to, na honor, szczerą jest prawdą; a teraz, proszę cię, pójdź z nami.

Wirgilia. Miej mnie za wytłómaczoną, łaskawa pani; będę ci we wszystkiem posłuszną, prócz w tem jednem.

Wolumnia. Daj jej pokój, w takiem usposobieniu, jak jest teraz, popsułaby nam dobry humor.

Walerya. W istocie, i ja tak sądzę. Bądź więc zdrowa. — Pójdźmy, szanowna przyjaciółko. — Proszę cię, jeszcze raz, Wirgilio, wypraw za drzwi posępność i pójdź z nami.

Wirgilia. Nie, kochana pani; rzetelnie powiadam, że nie mogę. Życzę wam dobrej zabawy.

Walerya. Kiedy tak, bądźże zdrowa.

(Wychodzą).

SCENA IV.

Pod Koryolami.

(Przy odgłosie trąb wchodzą z chorągwiami Marcyusz, Larcyusz, dowódcy i żołnierze, ku nim nadbiega goniec).

Marcyusz. Nadchodzą wieści stamtąd. O co idzie,
Że się już starli?
Larcyusz. Konia mego stawiam
Przeciw twojemu, że jeszcze nie.
Marcyusz. Zgoda.
Czy wódz nasz starł się już z nieprzyjacielem?
Goniec. Stoją naprzeciw siebie, ale jeszcze
Nie przemówili do siebie i słowa.
Larcyusz. Koń twój należy do mnie.
Marcyusz. Przyjmij odkup.
Larcyusz. Ani go sprzedam, ani go daruję,
Pożyczyć ci go wszakże gotów jestem
Na jakie pół sta lat. Wezwijmy miasto
Do poddania się.
Marcyusz. Dalekoż stąd stoją
Obadwa wojska?
Goniec. O półtorej mili.
Marcyusz. Będziemy ich więc, a oni nas słyszeć.
A teraz, Marsie, dodaj nam szybkości,
Abyśmy mogli, nie otarłszy mieczów
Ruszyć na pomoc naszym braciom w polu.
Nuże, surmacze, dajcie znak.
(Dają znak do rozmówienia się. Na murach ukazuje się kilku senatorów i mieszczan).
Tullus Aufidyusz jestli w murach waszych?
Odpowiadajcie.
Pierwszy senator. Niema go i niema
Nikogo, coby się lękał was bardziej,
Niż on, który się wcale was nie lęka.
Słyszycie odgłos naszych trąb?
(Odgłos trąb w oddali).
Wzywają
One do walki dzielną naszą młodzież.
Zburzym te mury prędzej, niżby one
Miały nas zamknąć jak bydło. Te bramy
Zdają się wprawdzie zatarasowane,

Ale podparte są tylko trzcinami;
Otworzą się wnet same. Czy słyszycie?
(Powtórny odgłos trąb i wrzawa w oddaleniu).
Tam jest Aufidyusz, słyszycie, jak hula
Wśród waszych falang rozbitych?

Marcyusz. Dość tego.

Larcyusz. Niech ten zgiełk będzie nam hasłem. — Hej! [drabin!

(Bramy Koryoli otwierają się nagle i Wolskowie wchodzą na scenę).

Marcyusz. Nie boją się nas i wychodzą. Dalej!
Zasłońcie serca tarczami i walczcie
Przy serc pomocy, pewniejszej niż tarcze.
Naprzód, waleczny Tytusie! Te łotry
Wyraźną sobie igraszkę z nas stroją,
Czuję po całem ciele pot wściekłości.
Dalej, żołnierze! Naprzód! kto się cofnie,
Będzie w mych oczach Wolskiem i poczuje
Smak mego miecza.

(Hasło do bitwy. Rzymianie i Wolskowie wychodzą, walcząc. Rzymianie zostają odparci do swych przekopów. Marcyusz powraca).

Marcyusz. Niech was tkną wszystkie zarazy południa!
Wy kały Rzymu, psy! — niech was okryją
Wrzody i trądy, byście wstręt budzili
Przed ukazaniem się, byście się wzajem
O milę z ciągiem wiatru zarażali!
O, gęsie dusze w powłoce człowieczej!
Jakżeście mogli uciec przed hałastrą,
Którąby małpy w puch rozbiły? Bodaj
Was Ereb schłonął! Wszystkie rany z tyłu,
Plecy czerwone, a oblicza blade
Z trwogi i znoju. Wróćcie do ataku,
Albo do wszystkich piorunów, porzucę
Nieprzyjaciela, a rzucę się na was;
Podnieście głowy! Poprawcie się! Jeśli
Śmiało natrzecie, zagnamy ich nazad
Między ich baby, tak jak oni teraz
Do tych przekopów nas odparli.

(Powtórne hasło do bitwy. Wolskowie i Rzymianie stają znowu naprzeciw siebie i walka znowu się wszczyna. Wolskowie cofają się do miasta. Marcyusz ściga ich aż do bram).

Bramy otwarte: wesprzyjcie mnie teraz!
Szczęście otwiera je idącym naprzód,
Nie tym, co podle tył podają. Za mną!
(Wbiega w bramę, która w tejże chwili zostaje za nim zatrzaśniętą).
Pierwszy żołnierz. Szalona śmiałość! Nie głupim pójść [za nim.
Drugi żołnierz. Ani ja.
Trzeci żołnierz. Patrzcie, zatrzasnęli bramę!
(Szczęk broni nie ustaje).
Wszyscy. Będzież mu ciepło! Przepadł, ani wątpić.
(Wchodzi Tytus Larcyusz).
Larcyusz. Co się z Marcyuszem stało?
Wszyscy. Zginął pewnie.
Pierwszy żołnierz. Zdążając krok w krok za pierzchającymi,
Wszedł z nimi razem do miasta, wtem nagle
Zamknięto bramy. Został się sam przeciw
Całej załodze.
Larcyusz. O, szlachetny mężu!
W tobie jest lepszy hart, niż w mieczu twoim,
Choć on ze stali; kiedy on się zgina,
Ty się wyprężasz. Opuszczono ciebie!
Rubin, tak wielki jak ty, obok ciebie
Straciłby wartość. Tyś był wojownikiem
Szkoły Katona, nie tylko prawicą
Dzielnym i strasznym, lecz i siłą wzroku
I brzmieniem głosu, do gromu podobnem,
Takeś przerażać umiał nieprzyjaciół,
Że się zdawało, jakby świat miał febrę
I trząsł się w swoich posadach.
(Marcyusz wraca skrwawiony i ścigany przez nieprzyjaciół).
Pierwszy żołnierz. Patrz, wodzu!
Larcyusz. To Marcyusz, idźmy mu pomódz lub zginąć!
(Walczą i wszyscy wchodzą do miasta).

SCENA V.

Wewnątrz miasta. Ulica.

(Kilku Rzymian wchodzi z łupami).

Pierwszy Rzymianin. Zaniosę to do Rzymu.
Drugi Rzymianin. A ja to.

Trzeci Rzymianin. Zjedzże kaduka! Wziąłem to za złoto.
(Wrzawa wojenna ciągle się daje słyszeć w oddali. Marcyusz i Tytus Larcyusz wchodzą z trębaczami).
Marcyusz. Patrzno, ci trutnie ważą czas na równi
Z złamaną drachmą. Ołowiane łyżki,
Bety, żelazo nie warte obola,
Stare łachmany, któreby kat pogrzebł
Razem z wisielcem: wszystko to zagarnia
Ta szuja, jeszcze przed skończeniem bitwy.
Rzućcie mi zaraz precz tę drań. — Słyszycie
Tę wrzawę, ten szczęk broni w tamtej stronie?
Tam wasz wódz, dalej do niego! Tam brodzi
W strugach krwi waszych współziomków Aufidyusz,
Cel nienawiści mojej. Cny Tytusie,
Weź pewną liczbę ludzi, ile trzeba
Do obsadzenia miasta; ja tymczasem
Z takimi, którzy mają szczyptę ducha,
Pośpieszę w pomoc Kominiuszowi.
Larcyusz. Zacny człowieku, tyś ranny: po takiej
Gwałtownej pracy niepodobna tobie
Przedsiębrać nowej wyprawy.
Marcyusz. Bez pochwał.
Tytusie, jeszczem się wcale nie rozgrzał.
Bądź zdrów, ubytek tych kilku krwi kropel
Na zdrowie będzie mi, a nie na szkodę.
Tak się ukazać chcę Aufidyuszowi
I walczyć.
Larcyusz. Oby nadobna bogini
Fortuna chciała zakochać się w tobie,
I swymi czary odbijała miecze
Twych przeciwników! Dzielny wojowniku,
Niech szczęście będzie ci giermkiem!
Marcyusz. A tobie
Tak wiernym druhem, jak tym, których wznosi
Najwyżej. Bywaj zdrów!
Larcyusz. O wzorze mężów!
(Wychodzi Marcyusz).
Idź zadąć w trąbę na rynku, każ na nim
Zebrać się pierwszym urzędnikom miasta!
Tam im zamiary oznajmimy nasze.
(Wychodzą).

SCENA VI.

W poblizkości obozu Kominiusza.

(Kominiusz z wojskiem w odwrocie wchodzi na scenę).

Kominiusz. Nabierzcie nieco tchu, jestem z was kontent.
Sprawiliście się, moi przyjaciele,
Tak, jak przystoi Rzymianom, w spotkaniu
Nie lekkomyślnie, w odwrocie nie podle.
Będziemy jeszcze musieli wytrzymać
Nowe natarcie wrogów. W ciągu walki
Dochodziły nas od czasu do czasu
Wiatrem niesione wojenne odgłosy
Naszych współbraci. Oby ich orężom
Bogowie rzymscy tak błogosławili,
Jak tego sobie życzym; aby nasze
Obadwa wojska, radośnie złączone,
Dziękczynną mogły im ofiarę złożyć!
(Goniec nadbiega).
Cóż tam nowego?
Goniec. Mieszkańcy koryolscy
Zrobiwszy z miasta wycieczkę, wydali
Wojskom Larcyusza i Marcyusza bitwę.
Widziałem naszych odpartych do szańców,
I z tem przychodzę.
Kominiusz. Choćbyś mówił prawdę,
Nie zdaje mi się, abyś dobrze mówił.
Jakże to dawno się stało?
Goniec. Nie dawniej,
Jak przede dwoma godzinami, wodzu.
Kominiusz. Niemasz stąd mili do Koryol, dopiero
Cośmy słyszeli odgłosy ich kotłów,
Jakżeś mógł tyle czasu spotrzebować
Na przejście jednej mili i tak późno
Przybyć z tą wieścią?
Goniec. Przednie straże Wolsków
W pogoń puściły się za mną, musiałem
Nałożyć drogi trzy czy cztery mile;
Inaczej byłbym tu był przed godziną.
(Wchodzi Marcyusz).
Kominiusz. Któż to jest, co się tu zbliża, jak widmo
Męża ległego w boju? O! bogowie!

To twarz, to postać Marcyusza, widziałem
Go już tak kiedyś.
Marcyusz. Przychodzęż zapóźno?
Kominiusz. Pasterz nie mógłby dokładniej odróżnić
Odgłosu grzmotu od brzęku grzechotki,
Jak ja odróżniam dźwięk głosu Marcyusza
Od wszelkich dźwięków znajomych.
Marcyusz. O! pozwól
Mi się uścisnąć ramieniem tak zdrowem,
Jak wtedy, kiedy chodziłem w zaloty;
Z równie radosnem uczuciem, jak wtedy,
Kiedyśmy ślubny dzień nasz obchodzili,
I blask jarzących pochodni nam świecił
Do łóż małżeńskich.
Kominiusz. Kwiecie wojowników!
Mów, co się dzieje z Tytusem Larcyuszem?
Marcyusz. To, co z kimś, urząd sędziego pełniącym:
Dekretującym jednych na wygnanie,
A drugich na śmierć, ułaskawiającym
Jednych, a drugich przejmującym trwogą.
W imieniu Rzymu trzyma on Koryole,
Jakby na sforze ogara, którego
Puści, gdy zechce.
Kominiusz. Gdzież jest ten niecnota,
Co mówił, że was odparto od szańców?
Niech się tu zaraz stawi.
Marcyusz. Daj mu pokój,
On prawdę mówił, bo te bohatery,
Co były ze mną — (podła zbieranina!
Niech im kat świeci! im dawać trybunów!)
Jak mysz przed kotem zemknęli przed zgrają
Gorszą od siebie.
Kominiusz. Jakimże sposobem
Zwycięstwo przy was zostało?
Marcyusz. Zostawmy
Opowiadanie na później.
Gdzież nieprzyjaciel? Jesteścież już pola
Bitwy panami? Jeśli nie, dlaczegoż
Stać się onymi zwlekacie?
Kominiusz. Marcyuszu,
Ścieraliśmy się z niepomyślnym skutkiem
I cofnęliśmy się dla pomyślniejszej
Odmiany losu.

Marcyusz. Nie wiecież, jak stoją
Ich wojska i gdzie znajdują się ludzie,
W których swą ufność położyli?
Kominiusz. Jeślim
Dobrze uważał, przednią straż trzymają
Ancyaci, czoło ich wojska, a wodzem
Ich jest Aufidyusz, jądro ich nadziei.
Marcyusz. Wodzu! zaklinam cię na wszystkie bitwy,
Któreśmy razem odbyli, na wszystką
Krew, którą obok siebie przelelismy;
Na ową przyjaźń, którąśmy przyrzekli
Sobie nawzajem — pozwól mi pójść przeciw
Aufidyuszowi i jego Ancyatom,
I to niezwłocznie. Napełniwszy przestwór
Podniesionymi mieczmi i włóczniami,
Doświadczmy szczęścia tej chwili.
Kominiusz. Chociażbym
Wolał, ażebyś przedewszystkiem innem
Pokrzepiającą wziął kąpiel i balsam
Pozwolił sobie przyłożyć na rany,
Nie śmiem się jednak opierać
Żądaniu twemu. Wybierz sobie ludzi,
Którzy najlepiej wesprzeć cię zdołają
W tem przedsięwzięciu.
Marcyusz. Są nimi ci, którzy
Najwięcej czują pochopu do tego. —
Jeżeli tu jest kto taki, (a grzechem
Byłoby wątpić), co lubi ten pokost,
Którym widzicie mnie pomalowanym;
Jeżeli tu jest kto taki, co mniej się
Uszczerbku ciała, niż złej sławy lęka,
Co myśli, że śmierć szlachetna ma stokroć
Więcej wartości, niż jałowe życie,
I bardziej kocha ojczyznę, niż siebie,
Niech taki, wespół z podobnymi sobie,
Poruszy ręką — tak:
(Podnosi rękę i wstrząsa nią).
Na okazanie
Swej gotowości, i uda się za mną.
(Wszyscy wydają okrzyk i potrząsają mieczami, podnoszą go na ramionach i rzucają czapki w górę).
Mnie tylko? tylko mnie? Cóżto, czy chcecie
Miecz ze mnie zrobić? Bez tych zwierzchnich oznak!

Któryż z was w gruncie nie wart czterech Wolsków?
Któryż, w spotkaniu z Aufidyuszem, tak się
Nie złoży tarczą, jak on się nią składa?
Przecież choć wszystkim wam dziękuję, muszę
Pewną część tylko z pomiędzy was wybrać,
Reszta dopełni swego obowiązku
W innem spotkaniu, gdy się pora zdarzy.
Marsz więc! — Niech czterech setników oddzieli
Z komendy swojej tych, co się okażą
Najbardziej skłonni do boju.
Kominiusz. Ruszajcie.
Moi waleczni, stwierdźcie te oznaki
Męstwa czynami, a będziecie z nami
Dzielili wszelkie korzyści zwycięstwa.
(Wychodzą).

SCENA VII.

Bramy Koryoli.

(Tytus Larcyusz, zostawiwszy załogę w Koryolach, idąc przy odgłosie trąb i kotłów na pomoc Kominiuszowi i Marcyuszowi, wchodzi na scenę z namiestnikiem swoim, oddziałem żołnierzy i przewodnikiem).

Larcyusz. Niech bramy będą strzeżone, pełnijcie
Waszą powinność tak, jakem wam wskazał;
Jeżeli przyślę, wyprawcie natychmiast
Tamte centurye, reszta ich wystarczy
Do utrzymania się jakiś czas. Jeśli
Przegramy bitwę, będziemy musieli
Opuścić miasto.
Namiestnik. Spuść się na nas, wodzu.
Larcyusz. Idźcie i bramy zamknijcie za sobą —
Hej! przewodniku, postępuj przed nami
I do rzymskiego prowadź nas obozu.
(Wychodzą).

SCENA VIII.

Pole bitwy pomiędzy obozami Rzymian i Wolsków.

(Wrzawa wojenna, Marcyusz i Aufidyusz wchodzą).

Marcyusz. Z tobą chcę tylko walczyć, boś ty dla mnie
Nienawistniejszy, niż krzywoprzysiężca.
Aufidyusz. Równieśmy sobie nienawistni. Niema
W Afryce węża, którymbym się bardziej
Brzydził, niż twoją sławą i zuchwalstwem.
Trzymaj się krzepko!
Marcyusz. Kto się pierwszy cofnie,
Niech skona jako niewolnik drugiego
I niech go przeklną bogowie!
Aufidyusz. Jeżeli ja ci tył podam, Marcyuszu,
Wolno ci będzie szczuć mnie jak zająca.
Marcyusz. Niema trzech godzin, Tullusie, jak w murach
Twojego miasta samopas walczyłem
I wyprawiałem, co chciałem. Nie moja
To krew, którą mnie widzisz tak upstrzonym.
W imieniu zemsty natęż swoje siły.
Aufidyusz. Chociażbyś nawet był Hektorem owym,
Gwiazdą twojego chełpliwego rodu,
Nie wymkniesz mi się stąd.
(Walczą. Kilku Wolsków przychodzi w pomoc Aufidyuszowi).
Usłużni, ale nie mężni! — Przeklęta
Wasza gorliwość wstydem mnie okrywa.
(Wychodzą, walcząc. Aufidyusz i Wolskowie ustępują przed Marcyuszem).

SCENA IX.

Tamże.

(Zgiełk bitwy. Sygnały do odwrotu. Muzyka tryumfalna. Z jednej strony wchodzi Kominiusz z częścią wojska; z drugiej Marcyusz, z zawieszoną ręką na bindzie, na czele swego oddziału).

Kominiusz. Gdybym ci zaczął opowiadać twoje
Dzisiejsze czyny, sambyś im, Marcyuszu,
Nie chciał dać wiary, ale zdam z nich sprawę

Tam, gdzie słuchając ich senatorowie
Łzy mieszać będą z uśmiechem radości,
Gdzie znakomici patrycyusze, milcząc,
Słuchać mnie będą, wzruszać ramionami,
Wreszcie podziwiać, gdzie kobiety będą
Drżeć z przerażenia i w słodkiem wzruszeniu
Z uwagą chwytać każde moje słowo,
Gdzie płytkogłowi trybunowie, wespół
Z cuchnącą zgrają niesfornych plebejan,
Nienawidzący twej wyższości, będą
Zmuszeni mówić: Dziękujemy bogom,
Że Rzym takiego posiada żołnierza!
Aleś ty przyszedł na szczątki biesiady,
Sutą wprzód ucztę spożywszy.

(Tytus Larcyusz wracając z pogoni za nieprzyjacielem, wchodzi z wojskiem swojem).

Larcyusz. O wodzu!
Oto jest rumak, my tylko czapraki.
Gdybyś był widział!

Marcyusz. Przestań! moja matka
Posiadająca szczególny przywilej
Do wynoszenia zalet swego rodu,
Chwaląc mnie, przykrość mi sprawia. Zrobiłem
To, co wy, to jest, co mogłem; jednaki
Mieliśmy bodziec, to jest myśl, że przez to
Służym ojczyźnie. Kto wypełnił tylko
To, czego pragnął, ten w zasłudze stoi
Ze mną na równi.

Kominiusz. Nie będziesz ty grobem
Twych cnót. Rzym musi znać wartość swych dzieci.
Występkiem by to było, i zaprawdę
Gorszym niż kradzież, gorszym niż oszczerstwo,
Kryć czyny twoje i przemilczać o tem,
Co podniesione do szczytu uwielbień,
Skromnem by jeszcze się zdało. Dlatego
Pozwolisz, abym (w celu okazania
Czem jesteś, nie zaś w dank za to, coś zdziałał)
Przemówił do cię przed obliczem wojska.

Marcyusz. Rany me, chociaż same przez się błahe,
Bolałyby mnie, gdybym o nich słyszał.

Kominiusz. Gdyby je raczej milczeniem pokryto,
Wtedyby słusznie mogły się rozgnoić
I zgangrenować; byłaby to bowiem

Niewdzięczność gorsza, niż drażniący plaster.
Z wszystkich tych koni (którycheśmy wzięli
Nie małą ilość i to dobrej rasy),
Z wszystkich tych skarbów, których nam dostarczył
Ich gród i obóz, wolno ci dziesiątą
Część wziąć na własność, oddajem ją tobie
Przed uczynieniem ogólnego działu
I zostawiamy ci wybór.

Marcyusz. Dziękuję-ć,
Wodzu! nie mogę jednak w żaden sposób
Na sercu mojem wymódz przyzwolenia,
Iżbym zapłatę przyjął za usługi
Miecza mojego. Uchylam się przeto
Od tej korzyści i pragnę pozostać
Na równej stopie z tymi, którzy byli
Świadkami moich usiłowań.

(Przeciągły odgłos trąb. Wszyscy wykrzykują: Marcyusz! Marcyusz! rzucają w górę czapki i włócznie, Kominiusz i Larcyusz stoją z odkrytemi głowami).

Oby
Te instrumenty, które znieważacie,
Nigdy już więcej nie zabrzmiały! Kiedy
Trąby i kotły na polu Bellony
Mogą się zniżać do dworaczych pochlebstw,
Dwory i miasta powinnyby w tysiąc
Barw się przyodziać. Kiedy się stal może
Stawać tak miękką, jak jedwab gnuśnika,
Niechże z niej szyją kołdry wojownikom!
Przestańcie. Toż więc za to, żem jak baba
Nie otarł nosa, gdy mi krew szła z niego,
Żem kilku słabych powalił charłaków,
Co i niejeden z obecnych tu zrobił,
Chociaż nikt tego nie pamięta, za to
Hyperboliczne odbieram oklaski,
Jak gdybym lubił karmić moją małość
Mdłą karmią pochwał, zaprawionych kłamstwem.

Kominiusz. Za skromny jesteś, Marcyuszu, surowszy
Dla swoich zasług, niż uprzejmy dla nas,
Którzy cześć prawdzie oddajemy. Wybacz,
Ale ponieważ sam chcesz krzywdzić siebie,
Musim cię pierwej (jak kogoś, co godzi
Na własne zdrowie) ująć w pęta, zanim
Będziem się mogli lepiej porozumieć. —

Niech więc wiadomo będzie nam i światu,
Że Kajus Marcyusz zasłużył w tej wojnie
Na bohaterski wieniec; w dowód czego
Daję mu mego dziarskiego rumaka,
Wychowanego w obozach, z wszelkimi
Należącymi do niego przybory.
Za to zaś, co pod Koryolami zdziałał,
Niechaj nazwany będzie uroczyście,
Wśród wiwatowych ogólnych okrzyków:
Kajem Marcyuszem Koryolanem. —
Noś ten dodatek godnie aż do śmierci!
(Odgłos trąb i kotłów).

Wszyscy. Niech żyje Kajus Marcyusz Koryolanus!

Koryolan. Idę twarz obmyć, zobaczycie potem,
Czy mnie ta nazwa rumieni. Przyjmijcie
Dzięki tymczasem. — Konia twego, wodzu,
Rad będę dosiąść i przez całe życie,
Jako pióropusz na szyszaku nosić
Na czele mych nazw ten drogi dodatek,
Który od ciebie otrzymałem.

Kominiusz. A teraz idźmy do namiotów spocząć
Po trudach, wprzódy trzeba nam jednakże
Wysłać do Rzymu listy z doniesieniem
O odniesionem zwycięstwie. — Larcyuszu,
Tobie wypada powrócić do Koryol;
Przyślesz nam stamtąd do Rzymu przedniejszych
Obywateli, celem traktowania
Z nimi o własnem ich dobru i naszem.

Larcyusz. Wypełnię, wodzu, co każesz.

Koryolan. Bogowie
Naigrawać się ze mnie zaczynają.
Ja, com przed chwilą odrzucił ofiarę
Książęcych darów, zniewolony jestem
Udać się z prośbą do mojego wodza.

Kominiusz. Z góry już masz jej skutek. — O cóż idzie?

Koryolan. Zdarzyło mi się w Koryolach, przed laty,
Nocować w domu pewnego biedaka,
Który mię przyjął gościnnie. Ten człowiek
Zostawszy dzisiaj pojmany przez naszych,
Zawołał na mnie, ale wzrok mój wtedy
Widział przed sobą tylko Aufidyusza,
I gniew zagłuszył litość w mojem sercu.

Proszę cię teraz, wodzu, puść na wolność
Tego biedaka!
Kominiusz. O! ta prośba godną
Jest ciebie! Choćby ten człowiek był mego
Brata zabójcą, zostałby natychmiast
Tak jak wiatr wolnym. — Uwolń go, Tytusie.
Larcyusz. Jakież jest jego miano?
Koryolan. Na Jowisza,
Nie mogę sobie przypomnieć — znużony
Jestem, nie jestem w stanie zebrać myśli.
Niema tu wina?
Kominiusz. Idźmy do namiotu,
Krew ustąpiła z twych lic, czas w to wejrzeć,
Nie ociągajmy się dłużej.
(Wychodzą).

SCENA X.

Obóz Wolsków.

(Odgłos trąb i rogów. Tullus Aufidyusz skrwawiony wchodzi na scenę z dwoma czy trzema żołnierzami).

Aufidyusz. Wzięto więc miasto!
Pierwszy żołnierz. Nie inaczej, wodzu;
Ale podobno ma być powrócone
Pod łagodnymi dla nas warunkami.
Aufidyusz. Pod warunkami? — O! trzeba mi było
Być Rzymianinem, kiedy, będąc Wolskiem,
Nie mogę być tem, czem jestem. Warunki!
Jakież u kata łagodne warunki
Mogą się mieścić w układach dla strony,
Co się na łaskę zdała lub niełaskę?
Pięć razy z tobą walczyłem, Marcyuszu,
I tyleż razy pobity zostałem,
Spotkałoby mnie, rozumiem, toż samo
Za każdym razem, chociażbyśmy z sobą
Ścierali miecze tak często, jak jemy.
Na wszystkie nieba i piekła! Jeżeli
Kiedybądź jeszcze przyjdzie mi się znowu
Broda o brodę zetknąć z tym człowiekiem,
Albo ja padnę albo on. Szlachetne
Współzawodnictwo już mnie dziś nie łechce.

Dotąd myślałem go zgnieść w równej walce,
Miecz z jego mieczem skrzyżowawszy: teraz
Nie dbam o środki, byle się go pozbyć,
Siła lub podstęp, jedno z tego dwojga
Musi go dosiądz.

Pierwszy żołnierz. To prawdziwy szatan.

Aufidyusz. Śmielszy od niego, ale mniej subtelny.
Moja waleczność nasiąkła trucizną
Przez to jedynie, że cierpiała plamę,
Którą ją okrył, gotowa dla niego
Zaprzeć się siebie. Nic nie zdoła wstrzymać
Mej ręki, ani sen, ani modlitwa,
Ani choroba, ani nagość, ani
Próg Kapitolu, ani wnętrze świątyń,
Ani kapłanów pobożne obrzędy,
Ani czas ofiar: nic z tego wszystkiego,
Co wszelkiej stawia wściekłości zaporę,
Nie zdoła żadnym starym przywilejem
I zardzewiałym puklerzem zwyczaju
Zasłonić piersi Marcyusza przed gromem
Mej nienawiści. Gdziekolwiek go znajdę,
Choćby to było w domu i pod strażą
Brata mojego własnego, utopię
Chciwą krwi dłoń w własnych jego wnętrznościach.
Idźcie do miasta, wywiedzcie się, co tam
Zaszło nowego i jacy do Rzymu
Posłani będą zakładnicy.

Pierwszy żołnierz. Mamyż
Sami iść, wodzu? nie pójdziesz-że z nami?

Aufidyusz. Czekają na mnie w gaju cyprysowym
(Ku południowi za młynami miasta).
Tam mi donieście, jak się świat obraca,
Abym do tego zastosować umiał
Dalszy mój obrót.

Pierwszy żołnierz. Uczynim tak, wodzu.

(Wychodzą).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Rzym. Plac publiczny.

(Meneniusz, Sycyniusz i Brutus).

Meneniusz. Augurowie powiedzieli mi, że tej nocy będziemy mieli wieści.

Brutus. Dobre czy złe?

Meneniusz. Nie zupełnie odpowiednie życzeniom ludu, bo lud nie lubi Marcyusza.

Sycyniusz. Natura uczy zwierzęta poznawać nieprzyjaciół.

Meneniusz. Powiedzcie mi, proszę, kogo wilk lubi?

Sycyniusz. Jagnięta.

Meneniusz. Ba, dlatego, żeby je rad pożreć, tak jak głodni plebejanie radziby pożreć szlachetnego Marcyusza.

Brutus. To jagnię nie lada, mruczy jak niedźwiedź.

Meneniusz. To niedźwiedź nie lada, co żyje jak jagnię. Jesteście już starzy obadwaj, odpowiedzcież mi, proszę, na jedno zapytanie.

Obaj trybunowie. Chętnie to uczynim.

Meneniusz. Jakiemiż to wadami upośledzony jest Marcyusz, którychbyście wy nie mieli poddostatkiem?

Brutus. Nie upośledzony on jest żadną, owszem sowicie każdą uposażony.

Sycyniusz. Mianowicie dumą.

Brutus. Którą depcze drugich bez względu.

Meneniusz. To rzecz dziwna, wiecież wy, co o was mówią na mieście, to jest w naszych wyższego rzędu towarzystwach. Czy wiecie?

Obaj trybunowie. Cóż takiego o nas mówią?

Meneniusz. Ponieważ dopiero co wspomnieliście o dumie, nie będziecież urażeni?

Obaj trybunowie. Bynajmniej, panie, bynajmniej.

Meneniusz. Niewiele zresztą na tem zależy, bo maleńka doza pierwszej lepszej okoliczności zdolną wam będzie odjąć i bez tego wielką porcyę wyrozumienia. Popuśćcie więc cugle cholerze i gniewajcie się, jak chcecie, jeżeli się wam to podoba. Zarzucacie więc Marcyuszowi, że jest dumny?

Brutus. Nie sami jedni to czynimy.

Meneniusz. Wiem ja, że sami jedni mało co możecie uczynić, macie licznych popleczników; inaczej czynności wasze wydałyby się dziwnie odosobnionemi. Zdolności wasze są tak drobne, iż niepodobna im wiele zrobić samym przez się. Mówicie o dumie? O! gdybyście mogli zwrócić oczy wasze na włos rosnący wam na karku, i zrobić jaki taki przegląd wewnętrznej strony jestestw waszych! Gdybyście mogli!

Brutus. Cóżbyśmy zobaczyli?

Meneniusz. Co? oto parę lichych, nadętych, gwałtownych, drażliwych urzędników, (*alias* półgłówków), jedynych w swoim rodzaju na cały Rzym.

Sycyniusz. Meneniuszu, waszmość także dokładnie jesteś znany!

Meneniusz. Znany jestem jako patrycyusz, mający swoje dziwactwa i lubiący czarę dobrego wina, w którego skład Tyber nie wchodzi, o którym mówią, że jest cokolwiek za słaby, bo pierwszego lepszego skargi popiera, porywczy i do hubki podobny, kiedy głupie wymagania słyszy: że woli pośladek nocy, niż czoło poranku. Co myślę, to i mówię; złość mą przelewam w słowa, kiedy spotkam dwóch takich jak wy dobroczyńców ludzkości, (Likurgami nazwać was nie mogę), a napój podany mi przez nich nie głaszcze mi podniebienia, to się skrzywię. Nie mogę powiedzieć, że Wasze Miłoście dobrze rzecz rozważyli, kiedy widzę, że do większej części ich sylab wchodzi *as*-i-*nus*, a chociaż nie spieram się z tymi, co utrzymują, żeście poważni i szanowni, mniemam jednak, że kapitalnie kłamią ci, co mówią, że wam dobrze z oczu patrzy. Jeżeli tego wszystkiego dostrzegacie na mapie mego mikrokosmu, idzież zatem, że jestem znany dokładnie? I cóżby wasze ślepe przenikliwości mogły sprostować, jeżeli dokładnie jestem znany?

Brutus. No, no, już my Waćpana dobrze znamy.

Meneniusz. Nie znacie ani mnie, ani siebie, ani niczego zgoła! Dumni jesteście z tego, że czereda gnojków czapice zdejmuje przed wami i nogami wam uniżenie wierzga; marnujecie drogie przedpołudnie, słuchając sprawy między przekupką i tandeciarzem, a potem odraczacie mizerny spór o trzy grosze na drugi dzień audyencyi. Jeżeli was przy słuchaniu stron kolka zażgnie,

wykrzywiacie się jak maszkary, podnosicie czerwoną flagę ku zniecierpliwieniu najspokojniejszych, i chwytając się za brzuch, zostawiacie spór zawikłany bardziej, niż był przed wprowadzeniem. Jedyna zgoda, do której przyprowadzacie strony, na tem zależy, że i tych i owych nazwiecie szelmami. Jesteście czworonożną szajką dziwnego nabożeństwa.

Brutus. No, no, no, wiadomo każdemu, że Waszmość jesteś lepszym śmieszkiem u stołu, niż potrzebnym sprzętem w Kapitolu.

Meneniusz. Kapłani nawet muszą się stać trefnisiami w towarzystwie tak śmiesznych, jak wy, kreatur. Kiedy się wam zdarzy jako tako mówić w jakiej materyi, to jeszcze i wtedy wasza mowa nie warta poruszenia bród waszych, a wasze brody nie zasługują na nic szlachetniejszego po śmierci, jak żeby niemi wypchać poduszki gałganiarza lub utkać z nich derę dla osła. Mimo tego utrzymujecie, że Marcyusz jest dumny, on, którego wartość lekko oceniona przewyższa wartość wszystkich poprzedników waszych w rumel wziętych od czasów Deukaliona, chociaż może najlepsi z nich z ojca na syna pełnili urząd oprawców. Dobranoc, moi przezacni pasterze plebejskiej trzody, dłuższa rozmowa z wami mogłaby mi mózg zarazić; pozwalam sobie pożegnać was.

(Brutus i Sycyniusz oddalają się w głąb sceny).

(Wolumnia, Wirgilia, Walerya i kilka innych niewiast wchodzą).

Witajcie, piękne, szlachetnie niewiasty. Gdyby Luna była ziemianką, śmiałoby mogła obok was stanąć. Gdzież to tak niecierpliwie wzrok posyłacie?

Wolumnia. Zacny Meneniuszu, mój Marcyusz jest spodziewany. Na miłość Junony, idźmy naprzeciwko niego.

Meneniusz. Co słyszę! Marcyusz powraca?

Wolumnia. Tak jest, Meneniuszu, powraca szczęśliwie i zaszczytnie!

Meneniusz. Do góry, czapko moja! Jowiszu, przyjm pokłon i dzięki! — Marcyusz, Marcyusz powraca?

Dwie niewiasty. Nie inaczej, wkrótce tu będzie.

Wolumnia. Patrz, oto list od niego; senat odebrał drugi, jego żona trzeci, a czwarty pewnie w domu na was czeka!

Meneniusz. Biada memu domowi! Roztrząsnę go za powrotem. List do mnie od niego?

Wirgilia. Najniezawodniej znajdziecie list w domu, widziałam go.

Meneniusz. List od niego? Wieść ta wprawia mnie w stan zdrowia, którego na siedm lat wystarczy. Dziś jeszcze dam szczutka w nos lekarzowi. Najdoskonalszy przepis Galena szarlatańskim jest środkiem, nielepszym od końskiej mikstury, w porównaniu z taką receptą. Nie jestże on ranny? bo on bez ran nie zwykł powracać.

Wirgilia. O, nie, nie, nie.

Wolumnia. I owszem, jest ranny; bogom za to dzięki składam.

Meneniusz. Czynię i ja toż samo, jeżeli tylko jego rany nie są cięższego kalibru, będą mu one do twarzy. — Przynosi-ż w garści zwycięstwo?

Wolumnia. Na czole, Meneniuszu; po trzeci to już raz wraca w wieńcu dębowym.

Meneniusz. Musiał dać dobrą pamiątkę Aufidyuszowi?

Wolumnia. Tytus Larcyusz pisze, że walczyli z sobą, ale Aufidyusz uszedł.

Meneniusz. I dobrze zrobił, mogę mu ręczyć; bo gdyby mu był dotrzymał placu, za wszystkie skrzynie Koryolów i wszystko złoto, co w nich jest, nie chciałbym wyglądać tak, jakby on wyglądał. Czy wie o tem senat?

Wolumnia. Idźmy, moje kobiety. — Nie inaczej, nie inaczej, senat odebrał listy od wodza, w których ten przyznaje mojemu synowi cały zaszczyt tej wojny, przewyższyć on miał w dwójnasób tym razem poprzednie swoje czyny.

Walerya. W istocie, dziwne o nim rzeczy opowiadają.

Meneniusz. Dziwne? gwarantuję, że nie przesadzono o włos rzeczywistości.

Wirgilia. Dałyby bogi, żeby tak było!

Wolumnia. Dałabyś pokój swoim, żeby...

Meneniusz. A ja dałbym gardło, że tak jest. — Gdzież on raniony? — Polecam was bogom! — *(Do trybunów, którzy przystąpili).* Marcyusz powraca, przybyło mu powodów być dumnym. — Gdzież on raniony?

Wolumnia. W łopatkę i w lewe ramię; poddostatkiem będzie miał blizn do pokazania ludowi, kiedy się będzie starał o przynależny mu stopień. Przy wypędzeniu Tarkwiniuszów otrzymał był siedm cięć.

Meneniusz. Z tych, jedno w kark, a dwa w udo, o ile pamiętam, wiemy już więc o dziewięciu.

Wolumnia. Udając się na ostatnią wyprawę, miał na sobie dwadzieścia pięć szram.

Meneniusz. Będzie ich więc miał dwadzieścia i siedm, każda z nich stała się grobem nieprzyjaciela. *(Odgłos trąb i okrzyków).* Słyszycie te głosy?

Wolumnia. Są to Marcyusza heroldowie, przed nim
Idą okrzyki, za nim łzy zostają.
Duch śmierci siedzi na jego prawicy,
Którą gdy wstrząśnie, giną przeciwnicy.

(Marsz. Odgłos trąb. Kominiusz i Tytus Larcyusz wchodzą, pomiędzy nimi Koryolan z dębowym wieńcem na czole, za nimi rotmistrze i żołnierze, na przodzie herold).

Herold. Wiadomo czynim Rzymowi, że Marcyusz
Sam jeden walczył w murach miasta Koryol,
Gdzie obok sławy zyskał nowe miano
W dodatku do dwóch dawnych. Od tej pory
Ma się zwać: Kajus Marcyusz Koryolanus. —
Witaj, wsławiony męstwem Koryolanie!
(Odgłos trąb).

Wszyscy. Witaj, wsławiony męstwem Koryolanie!

Koryolan. Dość tego, okrzyk ten razi mi serce.
Dość tego, błagam.

Kominiusz. Oto wasza matka.

Koryolan. O! matko! *(Klęka).* Wiem, że za moją pomyślność
Do wszystkich bogów zanosiła modły.

Wolumnia. Powstań, waleczny bohaterze, powstań,
Luby Marcyuszu, szlachetny Kajuszu,
W nagrodę chlubnych dzieł świeżo nazwany —
Jakież to miano? Ha, mam cię podobno
Zwać Koryolanem? Drogi Koryolanie!
Lecz oto twoja żona.

Koryolan. O! ty moje
Wdzięczne milczenie, pozdrawiam cię! Czyżbyś
Się śmiała, gdybym był w trumnie powrócił,
Kiedy przy moim tryumfie łzy ronisz?
O! luba, takie oblicza dziś mają
Wdowy w Koryolach i matki żałosne
Po stracie synów.

Meneniusz. Niechże cię bogowie
Ukoronują!

Koryolan. Żyjesz jeszcze, stary? —
(Do Waleryi).
Wybacz mi, zacna pani; w rzeczy samej,

Nie wiem, gdzie pierwej mam się zwrócić. Witaj,
Rodzinne miasto, witajcie mi wszyscy
Razem, witajcie po szczególe wszyscy!
Meneniusz. Po sto tysięcy razy witaj! Mógłbym
Śmiać się i płakać; czuję się napoły
Lekkim i ciężkim: witaj nam! Niech temu
Przekleństwo toczy serce, kto nie kontent
Z twego widoku. — W was trzech powinienby
Rzym się rozszaleć; są tu jednak stare,
Dzikie jabłonie, których cierpki owoc
Oblektamentów wam nie da. Z tem wszystkiem
Bądźcie nam całem sercem pozdrowieni;
Chwastem nazwijmy chwast, a błędy głupców
Głupotą.
Kominiusz. Dobrze mówisz.
Koryolan. Tak, jak zawsze.
Herold. Dalej, mężowie!
Koryolan *(do matki i żony).* Podajcie mi dłonie!
Nim mnie dach domu naszego ocieni,
Muszę odwiedzić zacnych patrycyuszów,
Od których obok pozdrowień zaszczytny
Dank otrzymałem.
Wolumnia. Dożyłam spełnienia
Życzeń mych, nawet marzeń: jednej tylko
Brak jeszcze rzeczy, a i tej zapewne
Rzym względem ciebie ziścić nie zaniedba.
Koryolan. Bądź przekonana, matko, że wolałbym
Być po swojemu sługą, niż panować
Po służalczemu.
Kominiusz. Idźmy na Kapitol.
(Odgłos trąb i rogów. Wszyscy odchodzą tym samym porządkiem, jak weszli. Trybunowie zostają).
Brutus. Wszystko, co żyje, o nim tylko mówi.
Kto ma wzrok słaby, okulary wkłada,
Aby go ujrzeć. Świegotliwa niańka
Pozwala dziecku zanieść się od krzyku,
A plecie o nim: lada pluch, skręciwszy
Najdroższą szmatę koło szyi, idzie
Piąć się na mury i gapić na niego;
Wystawy domów, przyzby, okna, ganki
Upstrzone, gną się dachy, na facyatach
Okraczkiem siedzą żyjące facyaty,
Tem tylko jednem do siebie podobne,

Że wszystkie oczy wytrzeszczają. Rzadko
Napotykani Flaminowie drą się
Pośrodkiem tłumów, i zaledwie dysząc,
Szukają sobie miejsca wśród motłochu.
Nasze zazwyczaj zakwefione damy
Podają śmiało swoje delikatne
Różą i lilią jaśniejące lica
Na łup figlarnych Feba pocałunków:
Taki ścisk wszędzie, taki wir, jak gdyby
Jakiś bóg w tego człowieka wcielony
Dał mu nadludzką potęgę i powab.
Sycyniusz. Zobaczysz, że się ani spostrzeżemy
Jak go obiorą konsulem.
Brutus. A wtedy
Urząd nasz pójdzie spać.
Sycyniusz. On nie potrafi
Z umiarkowaniem piastować do końca
Swoich godności; to, co dziś pozyskał,
Utraci jutro.
Brutus. W tem nasza otucha.
Sycyniusz. Nie wątp, że nasi mieszczańscy mandanci
Przy pierwszej lepszej okazyi poczują
Dawną ku niemu niechęć i zapomną
O jego nowych zaszczytach, do czego
Że im da powód, znając jego dumę,
Z łatwością można przewidzieć.
Brutus. Słyszałem,
Jak się zarzekał, że, choćby chciał zostać
Konsulem, nigdy nie pójdzie na rynek,
Nigdy nie włoży na siebie wytartej
Szaty pokory, ani też nie będzie
Ran swych po formie okrywać ludowi,
By tym sposobem skarbić sobie jego
Smrodliwy oddech.
Sycyniusz. Tem lepiej.
Brutus. Powiedział,
Oto są jego słowa: — że wolałby
Nie być konsulem, niż być nim inaczej,
Jak za usilną prośbą sobie równych
I wskutek życzeń szlachty.
Sycyniusz. Nie pragnijmy
Niczego więcej: jedno, żeby wytrwał
W tem przedsięwzięciu i one wykonał.

Brutus. Zdaje się, że tak zrobi.
Sycyniusz. W takim razie
Zgotuje sobie to, czego mu życzym,
To jest niechybną zgubę.
Brutus. Jedno z dwojga
Musi nastąpić: albo on upadnie,
Albo my wpływ nasz utracim. Dlatego
Trzeba nam zręcznie poszepnąć ludowi,
Jak on go zawsze nie cierpiał; że, gdyby
Miał władzę, toby go zaprzągł do jarzma;
Obrońcom jego nakazał milczenie;
Ukrócił jego swobody; że on go
W praktycznem życiu, w publicznych stosunkach,
Względnie na zdolność i na użyteczność,
Za nic lepszego nie ma, jak wielbłąda
Na wojnie, który dostaje posiłek
Za to jedynie, że dźwiga ciężary,
A kije, kiedy pod nimi upada.
Sycyniusz. Skoro się o tem, coś powiedział, wspomni
W stosownym czasie, kiedy jego niczem
Nieposkromiona zuchwałość wybuchnie
W oczy ludowi, (wybuchnie zaś ona,
Jak tylko się go podżegnie, a jego
Podżedz tak łatwo, jak psem poszczuć owce),
Wtedy ten wybuch ogarnie w lot suche
Paliwo ludu, a dym stąd powstały
Zaćmi na zawsze cały jego urok.
(Wchodzi posłaniec).
Brutus. Co nam przynosisz?
Posłaniec. Jesteście wezwani
Do Kapitolu. Zanosi się na to,
Że Marcyusz będzie konsulem. Widziałem
Głuchych tłoczących się, żeby go widzieć,
A ślepych — żeby go słyszeć. Matrony,
Niewiasty, panny, rzucały na niego
W przechodzie chusty, szarfy i zasłony;
Szlachta skłaniała się z uszanowaniem,
Jak przed statuą Jowisza; a nasze
Tłumy wydały taki grzmot okrzyków,
Zrobiły taki grad z czapek, jakiegom
Jeszcze nie widział.
Brutus. Idźmy na Kapitol!
Nastrojmy oczy i słuchy do tego,

Co jest, a serca postawmy na czatach
Tego, co będzie.
Sycyniusz. Wesprę cię we wszystkiem.
(Wychodzą).

SCENA II.

Tamże. Kapitol.

(Dwaj woźni ustawiają senatorskie krzesła i kładą na nich poduszki).

Pierwszy woźny. Śpieszmy się; wkrótce nadejdą. Iluż jest kandydatów do konsulatu?

Drugi woźny. Trzech podobno; ale powszechnie mówią, że Koryolan będzie obrany.

Pierwszy woźny. Tęgi to człowiek, ale kaducznie dumny i nie ma serca do ludu.

Drugi woźny. Prawdę mówiąc, bywali wielcy ludzie, którzy pochlebiali ludowi, a lud do nich nie miał serca; są także tacy, do których lud ma serce, nie wiedząc sam dlaczego: idzie za tem, że jeżeli lud ma do kogoś serce, nie wiedząc dlaczego, z równąż zasadą nie ma go do kogoś drugiego. Jeżeli więc Koryolan nie dba o to, czy go lud lubi, czy nie lubi, dowodzi tem, że zna doskonale naturę ludu, a szlachetności charakteru tem, że mu to jawnie okazuje.

Pierwszy woźny. Gdyby mu to było wszystko jedno, czy lud go lubi, czy nie lubi, obojętnieby się względem niego zachował; to jest: nie czyniłby mu ani dobrze, ani źle; ale on żarliwiej się stara o nienawiść ludu, niż lud o uczynienie mu w tem zadość, i niczego nie zaniedbuje, żeby się okazać otwartym jego przeciwnikiem. Mojem zdaniem, paradę robić z lekceważenia i drażnienia ludu, jest równie nagannem, jak czynić to, co prawość nie pozwala, to jest, pochlebiać dla zyskania jego względów.

Drugi woźny. Znakomicie się zasłużył ojczyźnie i wyniesienie się jego nie szło po tak łatwych stopniach, jak u tych, co, nadskakując i łasząc się ludowi, czapkowaniem tylko, bez żadnego innego tytułu, jednali sobie jego cześć i życzliwość. On swoją godność tak mu postawił przed oczyma, a swoje czyny tak mu wraził

w serce, że jego milczenie i niewyznawanie tego, co czuje, byłoby już rodzajem krzyczącej niewdzięcznością obelgi, a odezwanie się ubliżające złością, która, sama sobie zadając kłamstwo, oburzyłaby i przejęła zgrozą każdego, coby ją słyszał.

Pierwszy woźny. Niema co mówić; zacny to jest człowiek. Ustąpmy; oto nadchodzą.

(Przy odgłosie muzyki wchodzą poprzedzeni od liktorów: Kominiusz, konsul, Meneniusz, Koryolan, wielu innych senatorów, Sycyniusz i Brutus. Senatorowie zajmują swoje miejsca, trybunowie swoje).

Meneniusz. Po tymczasowem załatwieniu kwestyi
W sprawie z Wolskami, i po wyrzeczeniu
Względem powrotu Tytusa Larcyusza,
Głównem zadaniem zebrania naszego
W obecnej dobie jest wynagrodzenie
Znakomitego męża, który świeżo
Tak ważne przyniósł ojczyźnie posługi.
Dlatego chciejcie łaskawie, przezacni
I przedostojni panowie, zawezwać
Teraźniejszego naszego konsula,
A niegdy wodza naszej tak pomyślnie
Przeprowadzonej wyprawy, ażeby
Wam zdał pokrótce relacyę o czynach
Kaja Marcyusza Koryolana, który
Jest tu pomiędzy wami, a to celem
Podziękowania mu i zawdzięczenia
Miarą zaszczytów odpowiednią mierze
Jego zasługi.

Pierwszy senator. Mów, cny Kominiuszu;
Nie pomiń, przez wzgląd na długość, niczego,
I spraw, abyśmy uznali, że raczej
Naszemu państwu brakuje nagrody,
Niźli nam chęci przysądzenia onej
Jak najsowiciej. Naczelnicy ludu!
Senat was prosi, abyście nasamprzód
Uprzejme ucho podać, a następnie
Z przychylnym wnioskiem raczyli zdać sprawę
Z tego, co zajdzie.

Sycyniusz. Jest to arcymiłem
Dla nas wezwaniem i jesteśmy skłonni
Wedle możności uczcić i potwierdzić
Przedmiot naszego zebrania.

Brutus. O tyle
Chętniej, o ile dostojny kandydat
Zechce uprzejmiej cenić wartość ludu,
Niż to dotychczas czynił.
Meneniusz. Dawne dzieje!
Lepiej byłoby milczeć, niż to wznawiać.
Chcecież posłuchać Kominiusza?
Brutus. Z całą
Uwagą, panie; rozumiałbym jednak,
Że moja wzmianka stosowniejszą była,
Niżeli wasza przygana.
Meneniusz. On kocha
Wasz lud, upewniam; nie żądajcie jednak,
Żeby z miłości aż łoże z nim dzielił.
Zabierz głos, zacny Kominiuszu. — Cóż to?
O! zostań, zostań!
(Koryolan zrywa się z miejsca i chce wyjść).
Pierwszy senator. Usiądź, Koryolanie,
Nie wstydź się słyszeć o tem, co z honorem
Spełnić umiałeś.
Koryolan. Wybaczcie, ojcowie:
Wolę na nowo goić moje rany,
Niż słuchać, jakem je poniósł.
Brutus. Nie mogę
Przypuścić, panie, że to moje słowa
Tak cię wzruszyły z miejsca.
Koryolan. O, bynajmniej!
Masz waćpan słuszność; nieraz mi się jednak
Zdarzyło słowom tył podać, gdziem stale
Dotrzymał placu padającym ciosom.
Nie głaszcząc, zranić mnie waszmość nie mogłeś.
Co się zaś tyczy ludu, o! na honor,
Cenię go, ile wart.
Meneniusz. Usiądź, prosimy.
Koryolan. Wolałbym sobie spokojnie dać głowę
Iskać na słońcu, gdy alarm uderzą,
Niż siedzieć gnuśnie, słuchając opisu
Mojej nicości.
(Wychodzi).
Meneniusz. Przewodnicy ludu!
Możeż ten człowiek zalecać się tłumom,
(W których na tysiąc głów ledwie jest jedna
Godna uczczenia), gdy sam, jak widzicie,

Wolałby raczej wszystkie swoje członki
Podać na hazard w honorowej sprawie,
Niż jedno ucho tym, coby mu chcieli
O tem powiedzieć? — Zacznij, Kominiuszu.
Kominiusz. Słów mi zabraknie: Koryolana czyny
Słabo się bowiem nie dadzą wyrazić.
Powszechnie twierdzą, że waleczność z wszystkich
Cnót jest najpierwszą i że sama przez się
Najznakomiciej uszlachetnia ludzi;
Jeżeli tak jest, nikt w świecie nie może
Zrównać w zacności mężowi, o którym
Mówić mam zaszczyt. Gdy Tarkwiniusz Pyszny
Wojskami pod Rzym podstąpił, on, wtedy
Szesnaście mając lat, walczył opodal
Od reszty hufców. Ówczesny dyktator,
O którym ze czcią przychodzi mi wspomnieć,
Był świadkiem jego popisu i widział,
Jak przed bezbrodem, amazońskiem licem
Młodzieńca starzy pierzchali brodacze.
Jakiś Rzymianin obskoczony został
Od nieprzyjaciół, on, niosąc mu pomoc,
Wobec konsula własną ręką zabił
Trzech napastników; z samym Tarkwiniuszem
Ścierał się nawet i takie mu zadał
Cięcie, że stary wojownik aż przykląkł.
Wtedy już, kiedy mógł był jeszcze dziewkę
Udać na scenie, okazał się w boju
Najpierwszym mężem i w nagrodę zyskał
Dębowy wieniec. Tak nieznacznie przeszedł
Z małoletności do męskiego wieku;
Rosnąc jak morze, odtąd w siedemnastu
Bitwach z kolei wszystkim innym mieczom
Odbierał wieńce. Nareszcie w ostatniej,
Tak pod murami jak i w murach Koryol —
Tu muszę wyznać, że nie będę w stanie
Sprostać mu żadnym opisem — powstrzymał
Uciekających i nieporównanym
Przykładem swoim sprawił, że lękliwym
Niebezpieczeństwo stało się igraszką.
Jak przed okrętem żaglolotnym fala,
Tak przed naciskiem jego dłoni wszystko
Ustępowało i padało: jego
Miecz (stempel śmierci), gdziekolwiek zabłysnął,

Wszędzie ślad wyrył. Od stóp aż do głowy
Cały wydawał się jakąś żyjącą
Masą krwi, której wszelkim poruszeniom
Towarzyszyły jęki konających.
Sam jeden wkroczył w groźne bramy miasta,
Aby się zgubnym stać jego obrońcom;
Sam bez pomocy wyszedł z nich i nagle,
Nowych nabrawszy sił, spadł jak planeta
Na mury Koryol. Cokolwiek się stało,
Jego jest dziełem. Kiedy trud wojenny
Zaczynał czasem nieco wątlić jego
Przytomne władze, wtedy podwojony
Duch jego dawał w mgnieniu oka odsiecz
Fatydze ciała. Szybkim zwrotem przeszedł
Na pole bitwy, jak geniusz zagłady,
Depcąc tych, co mu śmieli opór stawić.
I pókiśmy się nie stali panami
Tak pola bitwy, jak i miasta, póty
Nie ustał w pracy, aby choć na chwilę
Dać folgę piersi wytchnieniem.

Meneniusz. To człowiek!

Pierwszy senator. Wart on ze wszech miar tego dosto-[jeństwa,
Na jakie chcemy go wynieść.

Kominiusz. On łupy
Odtrącił nogą, skarbami pogardził,
Jak pospolitem śmieciem; on nie pragnie
Niczego więcej nad to, co ostatnia
Nędza dać może; nagrodę swych czynów
Znajduje w samychże czynach, i dość mu
Działać dlatego tylko, żeby zdziałać.

Meneniusz. Szlachetny człowiek! Każcie go przywołać.

Pierwszy senator. Idźcie przywołać Koryolana.

Woźny. Właśnie nadchodzi.

(Koryolan wraca).

Meneniusz. Cny Koryolanie, senat postanowił
Nadać ci godność konsula.

Koryolan. Do niego
Należą moje usługi i życie.

Meneniusz. Zostaje ci już tylko zwykłym trybem
Mieć rzecz do ludu.

Koryolan. Pozwólcie mi, proszę,
Tryb ten pominąć: nie mogę przyoblec

Szat kandydata; nie mogę obnażać
Mych ran i w imię ich błagać o głosy.
Raczcie od tego mnie uwolnić.
Sycyniusz. Panie!
Lud nie odstąpi od swych praw i ani
Joty nie ujmie ze zwykłych obrzędów.
Meneniusz. Lud pod tym względem nie zwykł czynić ujmy.
Proszę cię, poddaj się prawom zwyczaju
I za przykładem poprzedników dopełń
Form wymaganych.
Koryolan. Jest to rola, której
Nikt nie odegra bez zarumienienia
I która słusznie powinnaby kiedyś
Być skasowaną.
Brutus. Zapiszmy to sobie.
Koryolan. Chełpić się wobec mas, prawić im: patrzcie,
Com to ja zrobił; odsłaniać im szramy
Już zabliźnione, którebym chciał ukryć,
Tak, jakbym na to tylko je odebrał,
Abym skuteczniej o ich łaskę żebrał.
Nie!
Meneniusz. Nie bądź wzbronny. Trybunowie ludu,
Zalecamy wam, abyście ludowi
Postanowienie oznajmili nasze;
Szlachetnemu zaś konsulowi życzym
Wszelkich powodzeń i honorów.
Senatorowie. Wszelkich powodzeń i honorów cnemu
Koryolanowi!
(Odgłos trąb. Senatorowie rozchodzą się).
Brutus. A co, słyszałeś,
Jak się on względem ludu chce postawić?
Sycyniusz. Niechże i lud wie, jak się ma postawić
Naprzeciw niego. Jeśli on wystąpi
Z prośbą do ludu, to będzie miał minę,
Jakby pogardzał tem, o co go prosi,
Dlatego, że cel jego prośby zawisł
Od łaski ludu.
Brutus. Pójdź, uwiadomimy
Naszych klientów o tem, co tu zaszło.
Czekają na nas na rynku.
(Wychodzą).

SCENA III.

Tamże. Forum.

(Wchodzi kilku obywateli).

Pierwszy obywatel. Jużto, jeżeli nas poprosi o głosy, odmówić mu nie będziemy mogli.

Drugi obywatel. Będziemy mogli i owszem, jeżeli tylko zechcemy.

Trzeci obywatel. Mocni jesteśmy to uczynić, ale jest to moc przechodząca naszą możność, bo jak nam pokaże swoje rany, to nam zamknie gęby i zmusi nas do względnej odpowiedzi. Jeżeli nam znowu powie o swoich pięknych czynach, będziemy mu także musieli o naszych uczuciach coś pięknego powiedzieć. Niewdzięczność potworną jest rzeczą, zaczem lud niewdzięczny byłby potwornym ludem, a my, jako jego członkowie, bylibyśmy potwornymi członkami.

Pierwszy obywatel. Na poparcie czego mogłyby posłużyć własne jego wyrazy, boć on nas przecie nazwał pstrogłową hydrą wtedy, kiedyśmy się domagali zboża.

Trzeci obywatel. Nazwało nas tak wielu; nie dlatego, że jedni z nas mają czarne głowy, inni siwe, a inni łyse; ale że u nas w głowach są takie różne barwy. I w rzeczy samej, gdyby myśli nasze mogły się wydobyć z jednej czaszki, podobnoby jedne poleciały na wschód, drugie na zachód, te na północ, a te na południe, a zdania ich zwróciłyby się z prostej drogi na wszystkie punkta kompasu.

Drugi obywatel. Tak myślicie? Na jakąż drogę, waszem zdaniem, zwróciłoby się moje zdanie?

Trzeci obywatel. Twoje zdanie nie tak prędko mogłoby się wyzwolić, jak u kogokolwiek innego, bo jest w ciasnem miejscu szczelnie zamknięte, ale gdyby się wydostało na wolność, toby pewnie powędrowało na południe.

Drugi obywatel. Dlaczego na południe?

Trzeci obywatel. Dlatego, żeby się w parę zamienić. Skoroby się tam trzy jego części ulotniły w masie złych wyziewów, czwarta, przez sumienność, powróciłaby do ciebie, żeby ci do ożenienia się dopomódz.

Drugi obywatel. Ciebie się zawsze żarty trzymają; wolneć one, wolne.

Trzeci obywatel. Jesteścież gotowi pisać się za nim? Ale mniejsza o to, większość tu rozstrzygnie. Powiadam wam, że gdyby on się tylko chciał zbliżyć do ludu, nie byłoby godniejszego człowieka. *(Wchodzą Koryolan i Meneniusz).* Otóż i on, i to w szacie pokory. Uważajcie na jego postawę. Nie wypada nam tu stać razem, ale zbliżyć się do niego po jednemu, po dwóch albo po trzech. Trzeba, żeby każdemu z nas pojedyńczo przełożył swoje żądanie; tym sposobem każdy z nas będzie miał honor dać mu głos własnemi usty. Pójdźcie więc, pokażę wam, jak macie do niego przystąpić.

Wszyscy. Zgoda! zgoda! *(Wychodzą).*

Meneniusz. Błędnie uważasz tę rzecz, Koryolanie;
Nie wiesz-li, że się temu poddawali
Najznakomitsi ludzie?

Koryolan. Cóż im powiem?
»Proszę waszmościów« — tfy! tfy! nie potrafię
Nagiąć języka do takiej przemowy:
»Patrzcie panowie, oto moje rany:
Odebrałem je walcząc za ojczyznę,
Wtenczas, gdy pewna liczba braci waszych
Gwałtu krzyczała i zmykała z placu
Przed dźwiękiem własnych trąb naszych«.

Meneniusz. Na bogi!
Nie mów im tego: powinieneś raczej
Polecić siebie ich dobrej pamięci.

Koryolan. Niech im kat świeci z ich pamięcią! Wolę,
Żeby zupełnie o mnie zapomnieli,
Jak zapomnieli o cnotach, o których
Napróżno prawią im nasi kapłani.

Meneniusz. Chcesz wszystko popsuć. Zostawiam cię: prze-[mów
Do nich uprzejmie, zaklinam cię!

(Wychodzi).

(Wchodzi dwóch obywateli).

Koryolan. Każ im
Umyć się pierwej i wypłukać zęby. —
Oto już dwóch się zbliża. — Wiecie waszmość,
W jakim tu celu jestem?

Pierwszy obywatel. Wiemy, panie,
Lecz chciejcie wyznać, co was tu przywiodło?

Koryolan. Moje zasługi.

Drugi obywatel. A! wasze zasługi.

Koryolan. Ma się rozumieć, że nie dobra wola.
Pierwszy obywatel. Jakto? nie dobra wola?
Koryolan. Nie inaczej,
Bom dobrowolnie nigdy jeszcze dotąd
Nie trudził biednych prośbami.
Pierwszy obywatel. Trzeba wam wiedzieć, panie, że jeżeli
Wam w czem wygodzim, to tylko w nadziei,
Że coś zyskamy u was.
Koryolan. Bardzo dobrze.
Siłaż kosztuje wasz konsulat?
Pierwszy obywatel. Tyle,
Ile kosztuje żądać go uprzejmie.
Koryolan. Uprzejmie żądać? Proszę więc waszmościów,
Pozwólcie mi go dostąpić. Mam rany,
I gotówem je wam zaprezentować
Gdzie na ustroniu. — Cóż, panowie, będęż
Miał wasze głosy?
Drugi obywatel. Będziesz je miał, panie.
Koryolan. Rzecz więc skończona. Wyprosiłem sobie
Przecie jałmużnę dwóch poważnych głosów.
Dobranoc!
Pierwszy obywatel. Jakoś to dziwnie wygląda.
Drugi obywatel. Radbym się cofnąć, ale mniejsza o to.
(Wychodzą).
(Wchodzą dwaj inni obywatele).

Koryolan. Moi panowie, jeżeli się to zgadza z melodyą głosów waszych, żebym był konsulem, chciejcie zauważyć, że mam na sobie strój formalny.

Trzeci obywatel. Piękneś się, panie, zasłużył ojczyźnie, ale nie pięknie się zasługiwałeś.

Koryolan. Co znaczy ten enigmat?

Trzeci obywatel. Byłeś, panie, plagą nieprzyjaciół kraju a biczem jego przyjaciół, okazywałeś się nieprzychylnym pospolitemu ludowi.

Koryolan. Powinnibyście mi to do cnót policzyć, żem przychylności mojej nie pospolitował. Będę odtąd, mój panie, inaczej sobie postępował z przyrodnim moim bratem, ludem: głaskać go będę, żeby sobie na większy jego szacunek zasłużyć; jest to bowiem warunek, którego on ściśle przestrzega. A ponieważ w mądrości swojej woli posiadać raczej moją czapkę niż serce, nie zaniedbam mu się kiwać i kłaniać, i przestanę być oryginałem, to jest kopiować będę urok ludzi popu-

larnych i hojnie obdzielać nim na żądanie. Na tej zasadzie, proszę waszmościów o możność zostania konsulem.

Czwarty obywatel. Spodziewamy się, panie, znaleźć w was dobrego przyjaciela, i na tej zasadzie ofiarujemy wam nasze głosy.

Trzeci obywatel. Odebrałeś, panie, niemało ran za ojczyznę.

Koryolan. Nie będę świadomości waszmość panów obarczał ich pokazywaniem. Wielce sobie ważę ich głosy, dlatego nie chcę ich dłużej zatrzymywać.

Obywatele. Niech wam bogowie, panie, dadzą wszystko dobre! Z serca wam tego życzymy.

(Wychodzą).

Koryolan. Miluchne głosy!
Lepiej jest umrzeć, głód i męki znosić,
Niż o nagrodę zasłużoną prosić.
Mnież to przystoi, tu, w tej wilczej szacie
Stać ku jałowej gminu aprobacie?
Przed tym i owym uniżać się chłystkiem?
Zwyczaj chce tego. Gdyby nam we wszystkiem
Zwyczaj był normą, starożytne śmiecie
Pozostałyby nietknięte na świecie,
I takie góry błędów by powstały,
Że święta prawda jużby tej zawały
Przebić nie mogła. Precz, podła głupoto!
Kto dla godności gotów rzucać w błoto
Wewnętrzną godność, niech sobie zabierze
Ten cel upodleń. Lecz jużem w tej mierze
Przebył pół drogi, cofnąć się nie mogę:
Zabrnąwszy, muszę przebrnąć dalszą drogę.

(Wchodzą trzej inni obywatele).

Otóż i nowe głosy!
Mości panowie, dajcie mi swe głosy!
Dla pozyskania ich głosów walczyłem,
Nie dosypiałem, odebrałem przeszło
Parę tuzinów ran; dla pozyskania
Ich głosów, byłem w kilkunastu bitwach;
Dla pozyskania ich głosów zrobiłem
Siła zachodów mniej więcej zaszczytnych.
Dajcież mi głosy, krótko mówiąc, chciałbym
Zostać konsulem.

Piąty obywatel. Szlachetnie postępował, nie może mu więc zbraknąć głosów poczciwych ludzi.
Szósty obywatel. Niech więc będzie konsulem! Niech go bogowie błogosławią i utrzymują w przyjaźni z ludem.
Wszyscy. Tak niech się stanie!
Bogowie z tobą, szlachetny konsulu!
(Wychodzą obywatele).
Koryolan. Szanowne głosy!
(Wchodzi Meneniusz z Brutusem i Sycyniuszem).
Meneniusz. Uczyniłeś już, Koryolanie, zadość
Zwykłej rutynie; oto trybunowie
Przychylne ludu przynoszą ci wota.
Nie pozostaje ci teraz nic więcej,
Jak tylko w znakach godności niezwłocznie
Pójść się przedstawić senatowi.
Koryolan. Zatem
To już minęło.
Sycyniusz. Dopełniłeś, panie,
Uświęconego zwyczajem warunku;
Lud cię potwierdza; wzywamy cię przeto,
Abyś się udał niezwłocznie po odbiór
Publicznej sankcyi.
Koryolan. Gdzież się to mam udać?
Do Kapitolu?
Sycyniusz. Tak, do Kapitolu.
Koryolan. Mogę więc zdjąć ten ubiór?
Sycyniusz. Możesz, panie.
Koryolan. Uczynię też to natychmiast, a skoro
Znów będę sobą, stawię się w senacie.
Meneniusz. Idźmy. A waszmość panowie?
Brutus. My tutaj
Czekać będziemy na lud.
Sycyniusz. Bądźcie zdrowi.
(Koryolan i Meneniusz wychodzą).
Zgryzł orzech, ale mu ciężko na sercu:
To z oczu widać.
Brutus. Pod szatą pokory
Zawsze taż sama wyniosłość. Cóż myślisz?
Mamyż rozpuścić lud?
(Obywatele wracają).
Sycyniusz. Tak więc, waszmoście,
Daliście temu człowiekowi głosy?
Pierwszy obywatel. Ta, jużci; niby tak.

Brutus. Prosimy bogów,
Ażeby się on wam za to odwdzięczył.
Drugi obywatel. Dałyby bogi! Według mojej biednej
Miary widzenia zdało mi się jakoś,
Że on z nas szydził, prosząc nas o głosy.
Trzeci obywatel. Ba, nawet drwił z nas.
Pierwszy obywatel. Ej, to taki jego
Sposób mówienia; nie myślał drwić.
Drugi obywatel. Żaden
Z nas, oprócz ciebie jednego, nie wątpi,
Że on się z nami obszedł pogardliwie:
Powinien nam był pokazać znamiona
Swojej zasługi, rany odebrane
W obronie kraju.
Sycyniusz. Musiał-ci je przecie
Pokazać. Jakto, nie?
Obywatele *(jeden przez drugiego).* Nikt ich nie widział.
Trzeci obywatel. Powiedział, że ma rany, że je gotów
Zaprezentować nam gdzie na uboczu;
Potem, skłaniając się z urągowiskiem,
Rzekł: — Chciałbym zostać konsulem, atoli
Bez waszych głosów, dawny zwyczaj nie chce
Na to pozwolić; dajcie mi więc głosy. —
Kiedyśmy mu w tem uczynili zadość,
Wtedy przebąknął: — Dziękuję wasanom
Za wasze głosy, — lube głosy! — teraz,
Mając je w garści, nie mam już z wasaństwem
Nic do czynienia. — Nie byłyż to drwiny?
Sycyniusz. Alboście byli ślepi, żeście tego
W lot nie spostrzegli; albo dobroduszni
Jak dzieci, żeście, spostrzegłszy to, dali
Mu jednak głosy.
Brutus. Czyżeście nie mogli
Tak mu powiedzieć, jak was nauczono?
Nie mając władzy, będąc jeszcze w rzędzie
Prostych sług państwa, był on wrogiem waszym;
Zawsze opierał się waszym swobodom
I przywilejom, które posiadacie,
Stanowiąc ciało rzeczypospolitej.
Jeżeli teraz, zyskawszy znaczenie,
Miejsce u steru państwa, pozostanie
Nieprzyjacielem ludu, czyliż wasze
Wota nie będą przeciwko wam samym

Wołać o pomstę? Trzeba mu wam było
Powiedzieć, że jak z jednej strony jego
Chwalebne czyny torują mu drogę
Do tego, o co się stara, tak z drugiej
Uprzejmy jego i wdzięczny charakter
Niepłonną czyni wam wróżbę, że będzie
Pamiętał o was, w dank za wasze głosy
I że zamieni niechęć ku wam w miłość,
Zostając stale przychylnym wam panem.

Sycyniusz. Gdybyście byli rzecz tak wyłuszczyli,
Jak wam instrukcyę dano, bylibyście
Byli trafili w jego słabą stronę
I chęci jego zbadali. A przytem
Alboby musiał był wam uroczyste
Dać przyrzeczenie, którebyście w każdym
Razie potrzeby mogli mu przypomnieć;
Alboby jego gwałtowna natura,
W niczem hamulca klauzul nie cierpiąca,
Została przez to podrażnioną. Wtedy
Wzburzywszy mu żółć, bylibyście byli
Mogli korzystać z jego uniesienia
I z kwitkiem panka odprawić.

Brutus. Skoroście
Zauważyli, że on was traktował
Z jawną pogardą, wtenczas, kiedy jako
Suplikant waszych potrzebował względów:
Pomyślcie jeno, jakiej to pogardy
Przyjdzie wam wtedy doświadczyć od niego,
Kiedy was będzie mógł zgnieść? Cóż u licha,
Nie macież serca w ciele, klepek w głowie,
A język na to tylko, żeby wrzeszczeć
Przeciw powadze rozumu?

Sycyniusz. Czyżeście
Żadnego dotąd jeszcze kandydata
Nie odpalili? Skądże wam dziś znowu
Przyszedł szał czynić fawor człowiekowi,
Który bynajmniej was nie prosił, owszem
Zbył was drwinkami?

Trzeci obywatel. On nie zatwierdzony
Jeszcze; możemy go jeszcze odpalić.

Drugi obywatel. I odpalimy; ja pięćset mieć będę
Głosów po temu.

Pierwszy obywatel. Ja tysiąc; nie licząc
Półgłosów, które się przypną w dodatku.
Brutus. Idźcież, nie tracąc czasu, uwiadomić
Waszych przyjaciół, że sobie obrali
Konsula, który ich z swobód obierze,
Głos im ukróci, jak psom, które często
Bywają bite za szczekanie, chociaż
Na to są, żeby szczekały.
Sycyniusz. Zgromadźcie
Ich i po zdrowem rozważeniu rzeczy
Jednozgodnymi głosy odwołajcie
Wasz niedorzeczny wybór. Przypomnijcie
Im jego dumę i nienawiść ku wam;
Nie zapomnijcie im także nadmienić,
Z jaką on wzgardą był dla szat pokory;
Jak się z was, niby prosząc, naigrawał,
Ale naówczas afekt wasz ku niemu,
Wzgląd na zasługi jego nie pozwolił
Wam pilnie baczyć na jego obejście,
Którem niegodnie i uwłaczająco
Zakorzenionej nienawiści ku wam
Jawny dał dowód.
Brutus. Złóżcie całą winę
Na nas: powiedzcie, żeśmy pracowali
Usilnie nad tem, ażebyście (w razie,
Jeżeli k'temu nie zajdzie przeszkoda)
Poparli jego elekcyę.
Sycyniusz. Powiedzcie,
Żeście mu dali wasze wota raczej
Wskutek naszego rozkazu, niż wskutek
Własnej skłonności, i że ważąc w myśli
To, co wam zrobić kazano, z tem, co wam
Zrobić przystało, w chwili roztargnienia
Mimowolnieście głosowali za nim.
Tak, bez skrupułu złóżcie na nas winę.
Brutus. Nie oszczędzajcie nas: powiedzcie, żeśmy
Opowiadali wam, jakto on młodo
Zaczął ojczyźnie służyć; jak już dawno
Służy; z jakiego szczepu ród wywodzi:
Że go szlachetny dom Marcyuszów wydał,
Z którego wyszedł niegdyś Ankus Marcyusz,
Zięć Numy, ten sam, co później był królem
Po wiekopomnej sławy Hostyliuszu.

Z tegoż samego pochodzili domu
Publiusz i Kwintus, którzy nam najlepszą
Wodociągami wodę sprowadzili;
A Cenzorinus, ulubieniec ludu,
Godzien swej nazwy, bo dwakroć piastował
Godność cenzora, był jego pradziadem.
Sycyniusz. Jako potomka tak zacnego rodu,
Który sam oprócz tego osobiście
Na wywyższenie zasłużył, żarliwie
Poleciliśmy go waszej pamięci.
Porównywając wszakże teraźniejsze
Postępowanie jego i poprzednie,
Przekonaliście się, że on jest stale
Nieprzyjacielem waszym, i dlatego
Cofacie waszą skorą aprobatę,
Brutus. Powiedzcie, (i w to bijcie jak najwięcej),
Żebyście mu jej, jako żywo, nigdy
Nie byli dali, gdybyście nie byli
Do tego przez nas namówieni. — Idźcie
I zebrawszy się w przyzwoitej liczbie,
Udajcie się do Kapitolu.
Obywatele. Śpieszym
Błąd nasz naprawić; był to błąd nielada.
(Wychodzą).
Brutus. Niech idą; lepiej nam zaryzykować
To poruszenie, niż czekać na większe,
Które musiałoby nastąpić. Skoro
On po swojemu w wściekłość wpadnie, słysząc
Ich odwołanie, my wtedy wystąpmy
I korzyść schwyćmy za łeb.
Sycyniusz. Idźmy zaraz,
Trzeba nam bowiem być na Kapitolu
Wprzód, niż pospólstwo; tym sposobem cała
Ta sprawa wyda się własnem ich dziełem,
Choć w gruncie przez nas była podżegnioną.
(Wychodzą).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Kapitol.

(Odgłos rogów. Koryolan, Meneniusz, Kominiusz, Tytus Larcyusz wchodzą w orszaku senatorów i patrycyuszów).

Koryolan. Tullus Aufidyusz znów się więc odgrażał?
Larcyusz. Tak, i to właśnie nas spowodowało
Pośpieszniej zawrzeć pokój.
Koryolan. Więc Wolskowie
Stoją na takiej stopie, jak poprzednio,
Czekając tylko na sposobną porę,
Żeby nas znowu napaść?
Larcyusz. Taką oni
Świeżo ponieśli klęskę, że my starzy
Powiewających chorągwi ich pewnie
Nigdy już więcej nie ujrzym.
Koryolan. Widziałżeś,
Gdzie Aufidyusza?
Larcyusz. Z glejtem bezpieczeństwa
Przyszedł on do mnie i klął Wolskom za to,
Że tak nikczemnie miasto nam poddali.
Jest teraz w Ancyum.
Koryolan. Czy mówił co o mnie?
Larcyusz. Mówił.
Koryolan. Cóż mówił?
Larcyusz. Żeście się już nieraz
Starli samowtór; że niema na świecie
Rzeczy, którejby nienawidził bardziej,
Niż ciebie, i że gotów oddać wszystkie
Swoje dostatki, bez nadziei zwrotu,
Byleby tylko mógł się wreszcie nazwać
Twoim zwycięzcą.
Koryolan. Jest więc teraz w Ancyum?
Larcyusz. Tak, w Ancyum.
Koryolan. Radbym go pójść tam odwiedzić
I nienawiści jego odpowiedzieć. —
A teraz, witaj nam, Tytusie! —
(Sycyniusz i Brutus wchodzą).

Patrzcie!
Są to tak zwani trybunowie ludu,
Języki gminnej gęby. Gardzę nimi,
Bo się dmą w sposób wzburzający wszelką
Szlachetną flegmę.
Sycyniusz. Ani kroku dalej!
Koryolan. Co to jest?
Brutus. Dalej iść byłoby zgubnem:
Nie idźcie dalej.
Koryolan. Co znaczy ta zmiana?
Meneniusz. Skąd powód?
Kominiusz. Czyliż on nie zyskał wotów
Szlachty i ludu?
Brutus. Nie zyskał ich jeszcze.
Koryolan. Miałżem więc głosy żaków?
Pierwszy senator. Trybunowie,
Nie brońcie mu iść na rynek: odstąpcie.
Brutus. Lud jest rozżarty na niego.
Sycyniusz. Ogólny
Wybuch nastąpi, jeśli się ukaże.
Koryolan. To więc lud waszą jest trzodą? — I na cóż
Głos jest udziałem tych, co go wydają
I zaprzeczają go natychmiast? — Jakaż
Jest wasza funkcya? Jesteście ich gębą,
Czemuż ich zębów nie trzymacie w karbach?
Podbechtaliście ich?
Meneniusz. Miarkuj się, miarkuj!
Koryolan. To ułożona rzecz: intryga, w celu
Upokorzenia szlachty. Możnaż znieść to
I żyć, gdzie tacy bezkarnie rej wodzą,
Co, sami rządzić nie umiejąc, nie chcą
Być rządzonymi?
Brutus. Nie nazywaj tego
Intrygą, panie. Lud woła, żeś szydził
Z niego; żeś sarkał, kiedy mu bezpłatnie
Dawano zboże; żeś czernił tych, co się
Za nim wstawiali, zwąc ich lizusami,
Chorągiewkami, odstępcami szlachty.
Koryolan. To i wprzód było wiadomem.
Brutus. Nie wszystkim.
Koryolan. Doniosłeś im więc potem?
Brutus. Jam miał donieść?
Koryolan. Do takich kroków zdasz się waszmość.

Brutus. Zdam się
Do niejednego, by sprostować wasze.
Koryolan. Na cóż mi tedy być konsulem, na co?
O, na te chmury, co wiszą nad nami,
Jeżeli jestem tak złym sługą kraju,
Zróbcie mnie lepiej trybunem.
Sycyniusz. Ta mowa
Zdradza zbyt jawnie to, co jest przyczyną
Szemrania ludu. Chcesz-li, panie, dopiąć
Celu swych życzeń, trzeba ci oględniej
Dotychczasowe zbadać stanowisko.
Ani się stawiać tak górnie, jak konsul,
Ani tak nizko, jak trybun.
Meneniusz. Zbierz flegmę.
Kominiusz. Lud błędnie został poinformowany.
Takie krętactwo nie jest godne Rzymian,
Ani Koryolan nie zarobił sobie,
Aby mu dzisiaj na utorowanej
Zasługą drodze tak uwłaczającą
Tamę stawiano.
Koryolan. Prawić mi o zbożu!
Com wtedy mówił, powtórzę i teraz.
Meneniusz. Tylko nie teraz, nie teraz.
Pierwszy senator. Nie teraz,
W tem uniesieniu.
Koryolan. Teraz, jako żywo!
Wybaczcie, zacni przyjaciele. — Niechaj
Ten zmienny, durny tłum spojrzy mi w oczy
I w nich się przejrzy. Powtarzam, że, głaszcząc
Ten ród, żywimy ku ujmie senatu
Kąkol rokoszu, zuchwalstwa, zamieszek;
Sami go siejem i sami worujem,
Dając tym ludziom miejsce w naszem kole,
Któremu chyba o tyle brak tylko
Czci i powagi, o ile się niemi
Dzieli z żebractwem.
Meneniusz. Dobrze, ale przestań.
Pierwszy senator. Prosim cię, panie, przestań.
Koryolan. Ja mam przestać?
Jakem przelewał krew mą za ojczyznę,
Nie obawiając się potęgi wrogów,
Tak przekonanie me przelewać będę
W słowa, dopóki tchu w piersi mej stanie,

Na przekor temu liszajowi, który
Lekceważymy, jednakże samochcąc
Zarażać mu się pozwalamy.
Brutus. Mówisz,
Panie, o ludzie, jak gdybyś był bóstwem
Karzącem, nie zaś stworzeniem podobnież
Upośledzonem.
Sycyniusz. Trzeba nam lud o tem
Uprzedzić.
Meneniusz. O czem? o jego gorączce?
Koryolan. O mej gorączce! Chociażbym był zimnym,
Jak sen północny, na władcę piorunów,
Ani na jotę nie zmieniłbym zdania.
Sycyniusz. Jad tego zdania pozostanie jadem
Tam, gdzie jest; nigdzie dalej nie dosięgnie.
Tak ma być.
Koryolan. Tak ma być! — Mości panowie,
Słyszycie tego trytona serdeli?
Uważaliście jego ton stanowczy?
Kominiusz. Tak, to trąciło prawodawczym stylem.
Koryolan. »Tak ma być!« O! wy, dobrzy ale słabi
Patrycyuszowie, wy senatorowie,
Poważni ale nad miarę niebaczni,
Jakżeście mogli pozwolić tej hydrze
Obierać sobie urzędników, którzy,
Chociaż są tylko rogami potworu,
Apodyktycznym tonem śmią przemawiać
I przez to dawać wam do zrozumienia,
Że waszą rzekę sprowadzą do rowu
I sami w łożu jej spoczną? Jeżeli
Przy nich jest władza, zasłońcie ze wstydem
Waszą ślepotę, jeżeli nie, zbudźcie
Zgubną łagodność waszą. Jeżeliście
Światli, przestańcie być prostodusznymi!
Jeśli nie, idźcie im krzesła podstawiać
I kłaść przy sobie poduszki. Będziecie
Plebejuszami, jeśli oni będą
Senatorami; a onić już nie są
Czem innem, skoro po zmieszaniu głosów
Obojej strony ich wrzask idzie górą.
Pozwoliliście im obierać sobie
Pełnomocników: otóż i obrali
Sobie takiego, który wobec grona

Mężów, powagą przewyższającego
Areopagi greckie, śmie wyjeżdżać
Z swem popularnem: »tak ma być!« Na bogi!
Taki stan rzeczy poniża konsulat.
I serce mi się kraje, pomyślawszy,
Że kędy miejsce obok siebie mają
Dwie równe władze, łatwo zamieszanie
Zakraść się może w szczeliny i zrządzić
Upadek jednej przez drugą.
Kominiusz. Masz słuszność.
Idźmy na rynek.
Koryolan. Kto pierwszy wniósł, żeby
Z publicznych śpichrzów darmo wydać zboże,
Jak się to zwykło było praktykować
U Greków...
Meneniusz. Dobrze, dobrze, ale przestań.
Koryolan. (Chociaż tam lud miał więcej praw do władzy),
Ten, mówię, rzucił kość nieposłuszeństwa
I zgubę państwa zaszczepił.
Brutus. Miałżeby
Lud dać głos komuś, co tak mówi?
Koryolan. Dam ja
Natychmiast racyę, dlaczego tak mówię,
A ta ważniejszą jest, niż jego głosy.
Wie on, że zboża nie dostał w nagrodę,
Boć mu wewnętrzne przekonanie szepce,
Że żadnych k'temu zasług nie położył.
Będąc wezwany na wojnę, podówczas,
Kiedy ojczyźnie szło o śmierć lub życie,
Nie chciał przestąpić bram. Ten rodzaj zasług
Nie jedna prawa do bezpłatnych datków.
Na samejże zaś wojnie ciągłe jego
Niespokojności i rokosze, w których
Głównie dał dowód swojej waleczności,
Nie przemówiły za nim. Jego liczne
Skargi na senat, jako wiatr zasadne,
Nie mogły także, rozumiem, wywołać
Naszej tak łatwej darowizny. Jakiż
Był tedy powód? Jakimże procesem
Ten różnolity, niesyty brzuch trawi
Ową uczynność senatu? Niech fakta
Staną za słowa, któreby brzmieć mogły,
Jak następuje: Żądaliśmy tego,

Bo stanowimy większość, i z bojaźni
Dano nam, cośmy chcieli. — Tym sposobem
Sami wzruszamy świętość naszych posad
I przyprawiamy się o to, że szuja
Troskliwość naszą nazywa bojaźnią.
Przyjdzie do tego z czasem, że wyłamią
Rygle senatu i że wrony będą
Dziobały orłów.
Meneniusz. Pójdź, pójdź; dość już tego.
Brutus. Dość, i nad miarę.
Koryolan. Nie, weźcie, co wasze:
Niech to, co możnaby stwierdzić przysięgą
Zarówno w bogów jak ludzi obliczu,
Zapieczętuje koniec mowy mojej!
Przy takiej dwójcy władz, gdzie jedna strona
Słusznie pogardza, a druga niesłusznie
Miota obelgi; gdzie ród, tytuł, mądrość
Niczego zgoła stanowić nie może,
Bez potwierdzenia albo odrzucenia
Masy głupoty — prawdziwe potrzeby
Ustąpić muszą chwilowym błyskotom;
A gdzie jest taka przewrotność, tam wszystko
Prędzej czy później musi się przewrócić.
Dlatego wzywam was, którym przystoi
Nie lękliwymi być, lecz przezornymi,
Którzy podstawy egzystencyi państwa
Bardziej kochacie, niż się domyślacie,
Jak mało braknie im, żeby runęły;
Którzy szlachetny żywot przekładacie
Nad długowieczny i wolicie raczej
Heroicznemi dryakwiami chore
Przesadzić ciało, niż oddać je śmierci
Na pewną pastwę: wyrwijcie od razu
Ten język paszczy pospólstwa, nie dajcie
Im lizać miodu, który jest dlań jadem.
Uszczerbek waszej powagi przynosi
Uszczerbek zdrowej loice, odbiera
Właściwą godność państwu, przyprawiając
Je o niemożność świadczenia dobrodziejstw
Wśród złego, które śmie je kontrolować.
Brutus. Dość już powiedział.
Sycyniusz. Mówił jako zdrajca
I jako zdrajca odpowie.

Koryolan. Nędzniku!
Przepadnij w wzgardzie! — Na lichoż ludowi
Ta drań trybunów? od których zależny
Odmawia wyższej władzy posłuszeństwa?
W zamęcie buntu obrano ich w chwili,
Gdy nie potrzeba, aby mus był prawem;
Niechże na odwrót w sposobniejszej chwili
Musi być prawem to, co jest koniecznem,
I wpływ ich legnie w prochu!
Brutus. Jawna zdrada.
Sycyniusz. I toż to ma być konsul? — Nigdy, nigdy!
Brutus. Hej, edylowie! pochwyćcie go!
Sycyniusz. Biegnij
Po lud! *(Wychodzi Brutus).*
W którego wszechwładnem imieniu
Aresztuję cię, jako nowatora,
Zdrajcę i wroga rzeczypospolitej.
Rozkazuję ci zaraz być posłusznym
I zaraz za mną pójść.
Koryolan. Precz, stary capie!
Senatorowie i patrycyusze. My poręczamy za nim.
Kominiusz. Odstąp, starcze.
Koryolan. Zbutwiały zlepku, precz, albo wytrząsnę
Z szat twoich wszystkie twe kości.
Sycyniusz. Na pomoc,
Obywatele!
(Brutus powraca z edylami i gromadą obywateli).
Meneniusz. Zalecamy jednej
I drugiej stronie więcej wzajemnego
Uszanowania.
Sycyniusz. Oto ten, co śmiał się
Targnąć na waszą władzę.
Brutus. Edylowie,
Bierzcie go!
Obywatele. Biada mu! biada mu!
Drugi senator. Stójcie!
(Patrycyusze i obywatele ucierają się około Koryolana).
Hola! hej! trybunowie, patrycyusze,
Obywatele! — Hej! obywatele,
Brutusie, Sycyniuszu, Koryolanie!
Obywatele. Stójcie, wstrzymajcie się, czekajcie, stójcie!
Meneniusz. Do czegoż to ma przyjść?... Tchu mi brakuje.
Ta waśń nas wtrąci w przepaść. — Trybunowie,

Przemówcie przecie. — Miej wzgląd, Koryolanie.
Mów, Sycyniuszu.
Sycyniusz. Słuchajcie mnie, ludzie.
Obywatele. Nasz trybun mówi. Słuchajmy. Hej, cicho!
Sycyniusz. Jesteście w punkcie utracenia swobód,
Marcyusz chce je wam odjąć, ten sam Marcyusz,
Coście go świeżo zanominowali
Konsulem.
Meneniusz. Fuj, fuj, fuj! nie jest to gasić,
Ale rozżarzać pożar.
Pierwszy senator. Burzyć miasto
I wszystko z ziemią równać.
Sycyniusz. Czemże innem
Jest miasto, jeśli nie ludem?
Obywatele. To prawda,
To szczera prawda: lud stanowi miasto!
Brutus. Za zezwoleniem wszystkich zostaliśmy
Urzędnikami ludu.
Obywatele. Tak, i nadal
Pozostaniecie nimi.
Meneniusz. Jako tacy
Powinnibyście także postępować.
Koryolan. Tak postępować jest to siać zniszczenie,
Z fundamentami równać szczyty gmachów
I wszystko, co się znakomicie wznosi,
Grzebać w zwaliskach.
Sycyniusz. Godzien śmierci za to.
Brutus. Albo się mamy utrzymać przy władzy,
Albo ją mamy utracić. — W imieniu
Tej części ludu, która nas obrała
Stróżami swoich praw, dekretujemy
Marcyusza godnym śmierci.
Sycyniusz. Niech więc będzie
Zaprowadzony na Tarpejską skałę
I z niej strącony w przepaść.
Brutus. Edylowie,
Weźcie go!
Obywatele. Poddaj się, poddaj, Marcyuszu.
Meneniusz. Posłuchajcie mnie, trybunowie, słowo,
Nic, tylko słowo.
Edylowie. Cicho, cicho!
Meneniusz. Bądźcie
Takimi, jak się wydajecie, to jest

Rzeczywistymi przyjaciołmi kraju,
I zachowajcie się z umiarkowaniem
W tej sprawie, którą z taką gwałtownością
Chcecie załatwić.

Brutus. Powolne działanie
Dobrym jest, panie, środkiem, lecz nie w razie
Gwałtownych chorób. — Bierzcie go, prowadźcie
Zaraz na skałę!

Koryolan. Nie, tu wolę umrzeć.
(Dobywa miecza).
Niejeden tu jest, co mnie widział w boju:
Niechaj na sobie sprawdzi to, co widział.

Meneniusz. Schowaj miecz. Chwilę tylko, trybunowie.

Brutus. Bierzcie go, dalej!

Meneniusz. Na pomoc, na pomoc!
W kim krew szlachetna płynie! Hej, na pomoc,
Młodzi i starzy!

Obywatele. Niech ginie, niech ginie!

(Wśród tego zamieszania trybunowie, edylowie i obywatele zostają wyparci).

Meneniusz. Wracaj do domu teraz, śpiesz, bez zwłoki,
Inaczej wszystko za nic.

Drugi senator. Idź, idź!

Koryolan. Śmiało
Stawmy im czoło, mamy równą liczbę
Przyjaciół jak i nieprzyjaciół.

Meneniusz. Chcesz-że
Do tego rzeczy doprowadzić?

Pierwszy senator. Niech nas
Bogowie chronią! Zacny przyjacielu,
Odejdź do domu i zdaj naszej pieczy
Tę smutną sprawę.

Meneniusz. Bo w w tej alternacie
Nic sam nie wskórasz, zaklinam cię, odejdź!

Kominiusz. Pójdź z nami razem, pójdź z nami.

Koryolan. Chciałbym, żeby to byli barbarzyńcy,
(Którymi w gruncie są, choć ich Rzym wydał),
A nie Rzymianie (którymi bynajmniej
Nie są, choć się ich matki ocieliły
Pod przysionkami Kapitolu).

Meneniusz. Odejdź,
Błagamy ciebie; nie przelewaj w usta

Sprawiedliwego gniewu twego: jedna
Chwila zaciąga dług względem następnych.
Koryolan. Na innym gruncie zgniótłbym ich czterdziestu.
Meneniusz. Ja sam najtęższych dwóch wziąłbym na siebie,
Choćby tych łotrów trybunów.
Kominiusz. Lecz teraz
Liczba nad wszelką miarę jest nierówną,
A męstwo zmienia się w istne szaleństwo,
Gdy chce walący się budynek wspierać.
Chcesz-że tu czekać na powrót motłochu,
Którego wściekłość wybuchnie niebawem,
Jak woda w biegu wstrzymana, i przerwie
Dotychczasowe swe tamy?
Meneniusz. Idź, proszę:
Spróbuję, czy mój stary dowcip znajdzie
Odbyt u ludzi niezdolnych nim zgrzeszyć.
Trzeba nam zatkać tę dziurę gałganem
Jakiejbądź barwy.
Kominiusz. Wysłuchaj próśb naszych,
Daj się nakłonić.
Koryolan. Idźmyż więc.
(Wychodzą Koryolan, Kominiusz i inni).
Pierwszy patrycyusz. Ten człowiek
Zniweczył sobie przyszłość.
Meneniusz. Jego umysł
Jest za szlachetny dla naszego świata:
Nie schlebiłby on Neptunowi, choćby
Mu szło o trójnóg, ani Jowiszowi
Za wszystkie jego gromy. Jego serce
Jest w ustach: co się pocznie w jego piersi,
To jego język wnet musi urodzić;
Będąc zaś zdjęty gniewem, zapomina,
Że kiedykolwiek słyszał miano śmierci.
Będziemy mieli sęk nielada!
(Zgiełk zewnątrz).
Drugi patrycyusz. Radbym,
Żeby już byli w łóżku!
Meneniusz. Jabym wolał,
Żeby nie w łóżku byli, ale w Tybrze! —
Co za zawziętość! Nie mógłże on trochę
Ustąpić?
(Brutus i Sycyniusz wracają z gromadą pospólstwa).

Sycyniusz. Gdzie jest ta żmija, co chciała
Wyludnić miasto i sama być wszystkiem?
Meneniusz. Cni trybunowie...
Sycyniusz. Zostanie strącony
Z Tarpejskiej skały; niema dlań litości:
Śmiał się opierać prawu, to też prawo
Odmawia mu wręcz zwykłej procedury
I oddaje go całej surowości
Władz, które za nic miał.
Pierwszy obywatel. Powinien wiedzieć,
Że trybunowie są ustami ludu,
A my rękami ich.
Obywatele *(kilku razem)*. Już on się dowie.
Meneniusz. Moi panowie!
Sycyniusz. Cicho!
Meneniusz. Nie wołajcie
Gwałtu, gdzie swego możecie spokojnym
Dopiąć wyrokiem.
Sycyniusz. Jakże się to stało,
Żeście panowie temu człowiekowi
Ujść dopomogli?
Meneniusz. Chciejcie mnie wysłuchać.
Tak samo, jak znam zalety konsula,
Tak samo mogę wymienić i jego
Wady.
Sycyniusz. Konsula! — Jakiego konsula?
Meneniusz. Konsula Koryolana.
Brutus. Co? on konsul?
Meneniusz. Jeżelibym mógł zyskać posłuchanie
Panów trybunów i wasze, poczciwi
Obywatele, powiedziałbym słowo
Lub dwa najwięcej, coby was o inną
Nie przyprawiło szkodę, jak o stratę
Kilku chwil czasu.
Sycyniusz. Mówcież, panie, mówcie,
Ale nie długo, bo nam pilno sprzątnąć
Ten gad zdradziecki: wypędzić go, grozi
Niebezpieczeństwem; trzymać go zaś w mieście,
Grozi nam śmiercią: stanęło więc, że ma
Zginąć tej nocy.
Meneniusz. Nie dajcie, bogowie,
Aby nasz sławny Rzym, którego wdzięczność
Dla zasłużonych dzieci swoich stoi

W Jowisza nawet księdze zapisana,
Na wzór wyrodnej matki miał dziś własny
Płód swój pożerać.
Sycyniusz. On jest chorobliwą
Naroścą, którą gwałtem trzeba odciąć.
Meneniusz. O! on jest raczej chorym tylko członkiem:
Odciąć go zgubnie, uleczyć go łatwo.
Cóż on tak złego uczynił Rzymowi,
Żeby aż na śmierć zasłużył? Że wrogów
Naszych zabijał? Krew, którą utracił,
(A utracił jej, ręczę, o niejedną
Uncyę obficiej, niż ją dziś ma), krew ta
Przelaną była w obronie ojczyzny:
Ma mu ojczyzna resztę jej odbierać?
Taki postępek okryłby nas wszystkich,
Cobyśmy mogli zrobić to i ścierpieć,
Wieczystem piętnem hańby.
Sycyniusz. Stara piosnka.
Brutus. I na fałszywą nutę. Kiedy dobrze
Służył ojczyźnie, wtedy go ojczyzna
Umiała także cenić.
Meneniusz. Kiedy nogę
Dotknie gangrena, dawne jej usługi
Przestająż już być cenione?
Brutus. Niczego
Słuchać nie chcemy. — Idźcie go poszukać
W jego mieszkaniu i wywlec go stamtąd,
Aby się jego zaraźliwy oddech
Dalej nie rozszedł.
Meneniusz. Jeszcze tylko słowo,
Słowo, panowie. Ta tygrysia wściekłość,
Poznawszy gorzkie skutki nierozważnej
Swej porywczości, zechce po niewczasie
Ołowiem sobie okowywać nogi.
Złóżcie na niego sąd, inaczej bowiem
Powstaną partye, (bo on ma przyjaciół),
I wielki nasz Rzym runie w waśni Rzymian.
Brutus. Gdyby tak miało być...
Sycyniusz. Co wasze prawisz!
Nie wiemyż, jak on umie być posłusznym?
Nie uderzyłże on naszych edylów?
Nie targnąłże się na nas samych? — Idźmy!
Meneniusz. Zważcie, że on się wychował w obozach,

Odkąd mógł dźwignąć miecz, że się nie ćwiczył
W cedzonej mowie: mąkę i otręby
Razem pytluje. Pozwólcie mi działać:
Pójdę do niego i biorę na siebie
Skłonić go, żeby się stawił przed wami
I wedle prawnych form usprawiedliwił
Z zarzutów, albo kaźń poniósł.

Pierwszy senator. Szlachetni
Obrońcy ludu, to jest droga zgodna
Z ludzkością, inna byłaby za krwawą;
A końca naprzód nie można przewidzieć.

Sycyniusz. Szlachetny Meneniuszu, bądźże Waćpan
W tej sprawie niby delegatem ludu.
Mości panowie, złóżcie broń.

Brutus. Jednakże
Nie rozpierzchajcie się.

Sycyniusz. Idźcie na rynek.
Tam, Meneniuszu, czekać na was będziem:
Jeśli Marcyusza nam nie przyprowadzisz,
Chwycim się pierwszej drogi.

Meneniusz. Przyprowadzę
Go, przyprowadzę. Szanowni koledzy,
Mogęż na wasze liczyć uczestnictwo?
(Do senatorów).
Musi się stawić, inaczej najgorsze
Skutki wynikną.

Pierwszy senator. Chętnie ci służymy.
(Wychodzą).

SCENA II.

Komnata w domu Koryolana.

(Wchodzi Koryolan z patrycyuszami).

Koryolan. Niech się wkoło mnie jak chcą srożą, niech mi
Stawią przed oczy sromotną śmierć w kole,
Albo u kopyt rozpędzonych koni;
Niech na Tarpejską skałę wsadzą jeszcze
Dziesięć skał takich, aby dno przepaści
Sięgało dalej, niż wzrok może dosiądz;
Jeszcze i wtedy będę dla nich takim
Samym, jak jestem. *(Wchodzi Wolumnia).*

Pierwszy patrycyusz. Tem szlachetniej czynisz.
Koryolan. Zastanawia mnie to, że moja matka
Nie okazuje mi teraz takiego
Zadowolenia, jak dawniej; a przecie
Sama ich dawniej zwała poddańcami
Z wełną pod strzyżę; istotami, które
Na to są tylko, aby je kupować
Za marny szeląg i za marny szeląg
Sprzedawać; żeby szły na zgromadzenia
Z odkrytą głową; żeby się gapiły,
Słuchały milcząc i wpadały w podziw,
Kiedy ktoś mego stopnia wstał i prawił
O sprawach kraju!
(Do Wolumnii).
O was mówię, matko.
Dlaczegoż mnie chcesz widzieć uleglejszym?
Chciałażbyś, abym zaprzeczał sam sobie?
O, powiedz raczej, że nie zaprzestaję
Być tem, czem jestem.
Wolumnia. Synu, synu, synu!
Trzeba ci było wprzód pozyskać władzę,
Nimeś ją stracił.
Koryolan. Dajmy temu pokój.
Wolumnia. Byłbyś był łatwo mógł być tem, czem jesteś,
Gdybyś być sobą mniej był usiłował.
Nie postawionoby się tak na drodze
Twoim widokom, gdybyś był dopiero
Wtedy był pozór odrzucił, kiedyby
Już nie zdołano stanąć ci na poprzek.
Koryolan. Niech im kat świeci!
Wolumnia. Niech ich spali nawet!
(Wchodzi Meneniusz z senatorami).
Meneniusz. Pójdź! pójdź! za ostro się z nimi obszedłeś,
Za opryskliwie; trzeba ci powrócić
I złe naprawić.
Pierwszy senator. Niema środka: jeśli
Tego nie zrobisz, nasze wielkie miasto
Rozpadnie się i runie.
Wolumnia. Słuchaj rady:
I ja mam serce nieugięte, ale
Umysł mój zwraca czynność mego gniewu
Na korzystniejszą drogę.
Meneniusz. Dobrze mówisz,

Zacna matrono. Nimby on w ten sposób
Stanąć miał przed tą trzodą, w innym czasie,
Nie omieszkałbym ja sam przywdziać zbroi,
Którą już ledwie mogę dźwignąć; ale
W obecnym razie krok ten jest niezbędnym,
Jako lekarstwo w gwałtownej chorobie
Czasu, potrzebne dla całego państwa.
Koryolan. Cóż mam uczynić?
Meneniusz. Wrócić do trybunów.
Koryolan. Dobrze; cóż potem? cóż potem?
Meneniusz. Żałować
Tego, coś wyrzekł.
Koryolan. Żałować? Przed nimi?
Nie mógłbym tego przed obliczem bogów,
A mam żałować przed nimi?
Wolumnia. Mój synu,
Za niezawisły masz sposób myślenia;
Piękny to przymiot, ale niebezpieczny
W niektórych razach ostatecznych. Nieraz
Z ust twych słyszałam, że honor i zręczność,
Na wzór przyjaciół nierozłącznych, w parze
Chodzą na wojnie; jeśli tak jest, powiedz,
Czem może jedno drugiemu zaszkodzić
W czasie pokoju, że je w nim rozdzielasz?
Koryolan. Przestańcie, matko.
Meneniusz. Dobre zapytanie.
Wolumnia. Jeśli na wojnie zgadza się z honorem,
Wydawać się tem, czem się w gruncie nie jest,
I k'temu zręczność przyzywać na pomoc:
Dlaczegożby mniej miało być godziwem,
Honor z zręcznością spleść w czasie pokoju,
Kiedy tak wojna jak pokój zarówno
Obu tych zalet wymaga?
Koryolan. O! matko,
Dlaczegoż przy tem obstajesz?
Wolumnia. Bo teraz
Masz się odezwać do ludu nie wedle
Własnego zdania i poszeptu serca,
Ale takiemi słowy, które będą
Języka twego nieprawemi dziećmi:
Głoskami, które z przekonaniem twojem
Nie będą nic mieć wspólnego. Nie bardziej
Ci to ubliży, niż wejście do miasta

Wskutek uprzejmej odezwy, bez czego
Nie uniknąłbyś niebezpieczeństw walki
I krwi rozlewu. Byłabym zaiste
W sprzeczności z sobą, gdybym się wahała
Tak honorowo postąpić w potrzebie,
W którejby los mój i moich najbliższych
Był narażony. W tej potrzebie teraz
Jestem ja, żona twa, syn, szlachta, senat —
A ty ludowi wolisz pokazywać
Zmarszczone czoło, niż pozorny uśmiech,
Którymbyś kupić mógł jego przychylność
I zabezpieczyć tem samem nas wszystkich
Od nieochybnej ruiny.
Meneniusz. Szlachetna
Matko Rzymianko! — Pójdź, pójdź z nami; przemów
Do nich uprzejmie: tym sposobem zdołasz
Nie tylko zakląć złe dziś nam grożące,
Lecz i odzyskać to, cośmy stracili.
Wolumnia. Uczyń tak, synu, proszę cię; pójdź do nich
Z tą czapką w ręku; unieś ją do góry,
Pocałuj ziemię kolanami (w takich
Bowiem okazyach gesty są wymową,
A oczy gminu wrażliwsze, niż uszy),
Kiwaj im głową, aby pomyśleli,
Że twarde serce twe skruszało, zmiękło,
Jako dojrzała morwowa jagoda,
Którą najmniejszy wiatr strząsa. Lub wreszcie
Powiedz im, żeś jest żołnierzem, że, będąc
W bitwach i w wrzawie wychowanym, nie masz
Tego łatwego, słodkiego obejścia,
Które właściwie, jak to sam przyznajesz,
Miećbyś powinien; a którego oni
Właściwie mogą od ciebie wymagać,
Skoro się starasz o ich względy. Wszakże
Uczynisz wszystko, co będzie w twej mocy,
Ażeby się im nadal przypodobać.
Meneniusz. Weź się w ten sposób do rzeczy, a wszystkich
Sobie zniewolisz; bo tacy prostacy
Równie pochopni są do przebaczenia,
Gdy ich pogłaszczesz, jak skorzy do krzyków
O lada bzdurstwo.
Wolumnia. Jeszcze raz cię proszę,
Posłuchaj rady i pójdź do nich, chociaż

Wiem, że wolałbyś za nieprzyjacielem
W ognistą otchłań skoczyć, niż mu w chłodzie
O włos pochlebić. Otóż i Kominiusz.
(Wchodzi Kominiusz).

Kominiusz. Byłem na rynku; wypada ci śpiesznie
Zebrać stronników lub szukać ucieczki
W zimnej krwi, albo oddaleniu. Wszystko
Wre przeciw tobie.

Meneniusz. Niech jeno uprzejmie
Do nich przemówi.

Kominiusz. Toby wprawdzie mogło
Zaradzić złemu, ale czy on tylko
Potrafi zdobyć się na to?

Wolumnia. Powinien,
Musi się zdobyć. — Zaklinam cię, synu:
Powiedz, żeś gotów, i idź to uczynić.

Koryolan. Mam więc pójść ciemię odkrywać przed nimi?
Podłemi usty szlachetnemu sercu
Kłamstwo zadawać, że się musi temu
Poddać spokojnie? Dobrze, niech tak będzie.
Gdyby atoli tylko szło o stratę
Tej pojedyńczej jednostki Marcyusza,
Niechby ją starli w proch i rozrzucili
Na cztery wiatry. — Idźmy. — Zadaliście
Mi rolę, której plamy nigdy w życiu
Zatrzeć nie zdołam.

Meneniusz. Pójdź, my cię wesprzemy.

Wolumnia. Kochany synu, mówiłeś był dawniej,
Że ci pochwały moje bodźcem były
Na polu Marsa: niechajże cię one
Zachęcą teraz do tej roli trudnej
I tak dla ciebie nowej.

Koryolan. Dobrze więc, dobrze więc. Precz, męski duchu!
Niech mnie duch sprośnej niewolnicy natchnie;
Wojenne gardło moje, które dźwiękom
Trąb wtórowało, niechaj się zamieni
W cienką piszczałkę rzezańca lub niańki,
Co dzieci lula! Niech szalbierski uśmiech
Osiądzie na mych licach; łzy żakowskie
Powloką szybę mych oczu! Niech w ustach
Moich żebraczy język zabełkoce;
Kolana moje, com je dotąd chyba
Pnąc się pod górę zginał, niech się zniżą,

Jak u charłaka, co bierze jałmużnę!
Nie, nie, nie zrobię tego; bo musiałbym
Przestać czcić godność własną i grą ciała
Wdrażać swój umysł do najostatniejszej
W świecie podłości.

Wolumnia. Jak ci się podoba:
Żebrać od ciebie większą jest zakałą
Dla mnie, niż od nich dla ciebie. Zgub wszystko;
Daj matce doznać skutków dumy twojej!
Wolę to, niż się obawiać zgubnego
Twego uporu; bo pogardzam śmiercią
Tak samo, jak ty. Rób, co chcesz. Odwaga,
Którą się pysznisz, moją jest: tyś z mojem
Mlekiem ją wyssał; ale duma twoja
Wyłączną twoją własnością.

Koryolan. O, matko,
Idę na rynek. Bądź zadowoloną,
Przestań mnie winić. Jak szachraj wyłudzę
Ich dobre względy, jak kuglarz podchwycę
Serc ich życzliwość i wrócę do ciebie
Pieścidłem wszystkich rzemieślników Rzymu.
Oto już idę, patrz. Pozdrów mą żonę.
Wrócę konsulem lub zwątpię na zawsze,
Aby mój język na drodze pochlebstwa
Mógł kiedy czego dokazać.

Wolumnia. Masz wszelką
Wolność. *(Wychodzi).*

Kominiusz. Dalejże, dalej; trybunowie
Czekają na cię; uzbrój się w łagodność,
Bo oni mają, jak słyszę, wystąpić
Z oskarżeniami gorszemi, niż dotąd.

Koryolan. Łagodność jest więc hasłem. Dobrze, idźmy.
Niech mnie oskarżą, jak chcą, ja odbiję
Ich oskarżenia, jak mi honor każe.

Meneniusz. Tylko łagodnie.

Koryolan. O! tak, tak, łagodnie.
(Wychodzą).

SCENA III.

Tamże. Forum.

(Wchodzą: Sycyniusz i Brutus).

Brutus. Bijmy w to, że on chce sobie przywłaszczyć
Tyrańską władzę. Jeśli nam w tem ujdzie,
Przywiedźmy jego nienawiść do ludu,
I to, że zdobycz wzięta na Ancyatach,
Jeszcze nie była rozdzieloną.
(Wchodzi Edyl).
Jakże,
Czy przyjdzie?
Edyl. Idzie już.
Brutus. Z kim?
Edyl. Z Meneniuszem
I z pewną liczbą senatorów, którzy
Mu są życzliwi.
Brutus. Czy masz szczegółowy
Spis wszystkich głosów przez nas zwerbowanych?
Edyl. Mam go tu; oto jest.
Brutus. Są-li spisane
Porządkiem cechów?
Edyl. Tak jest.
Brutus. Idźcie teraz
Wezwać w to miejsce gminy, skoro powiem:
»Tak ma być z mocy praw i woli ludu«,
Czyli to będzie śmierć, sztrof, czy wygnanie,
Niech, jeśli powiem: śmierć, chórem: »śmierć«, krzyczą,
»Sztrof«, jeśli powiem: sztrof, »wygnanie«, jeśli
Powiem: wygnanie, obstając przy dawnej
Prerogatywie swojej i legalnej
W tej mierze władzy.
Edyl. Powiem im.
Brutus. A skoro
Raz zaczną krzyczeć, niech nie poprzestają,
Owszem z całego gardła wrzeszczą, nagląc
O przyśpieszenie wydanego przez nas
Wyroku.
Edyl. Bardzo dobrze.
Sycyniusz. Niech się niczem

Zmiękczyć nie dają i bacznymi będą
Na wszelkie nasze skinienia.
Brutus. Śpiesz po nich.
(Wychodzi Edyl).
Od razu wprawmy go w wściekłość. On przywykł
Zwycięsko wszelki pokonywać opór,
Żadnem się nie da powściągnąć wędzidłem.
Jak weźmie na kieł, wypowie nam wszystko,
Co żywie ślina mu poda, a wtedy
Będziemy go mieć w punkcie pożądanym,
Żeby mu prawnie kark skręcić.
Sycyniusz. Nadchodzi.
(Koryolan, Meneniusz, Kominiusz, senatorowie i patrycyusze wchodzą).
Meneniusz. Tylko spokojnie, błagam cię.
Koryolan. Spokojnym
Będę jak szkapa, która za garść paszy
Furę gałganów ciągnie. — Niech bogowie
Stale w opiece swojej utrzymują
Nasz Rzym i krzesła sędziowskie osadzą
Zacnymi ludźmi, niech pomiędzy nami
Zaszczepią miłość! Obszerne świątynie
Nasze napełnią łaską, a ulice
Błogim widokiem zgody!
Pierwszy senator. Amen, amen.
Meneniusz. Piękne zaiste życzenie.
(Edyl wraca z tłumem obywateli).
Sycyniusz. Obywatele, przystąpcie!
Edyl. Słuchajcie
Waszych trybunów, uciszcie się: baczność!
Koryolan. Słuchajcie mnie wprzód.
Obaj trybunowie. Dobrze, mów. — Milczenie!
Koryolan. Nie będęż więcej badany? Czy na tem
Skończy się wszystko?
Sycyniusz. Ja się ciebie pytam,
Czy się poddajesz wyrokowi ludu,
Czy chcesz szanować jego urzędników,
I czyś jest gotów ponieść zgodną z prawem
Karę za winy, które ci niebawem
Dowiedzionemi będą?
Koryolan. Jestem gotów.
Meneniusz. Słyszycie, obywatele, on mówi,
Że gotów. Weźcie na uwagę jego

Wojenne czyny, pomyślcie o jego
Szerokich bliznach, które wyglądają
Jako grobowce na cmentarzu.
Koryolan. Furda!
To są draśnięcia, szramy, śmiechu warte.
Meneniusz. Zważcie następnie, że gdy w jego mowie
Nie przebija się obywatel, żołnierz
Stoi przed wami. Nie bierzcie przyszorstkich
Jego wyrażeń za objaw niechęci,
Jeno, jak rzekłem, za sposób mówienia,
Który przystoi żołnierzowi bardziej,
Niż urażanie się wam.
Kominiusz. Nie inaczej.
Koryolan. Jakiż jest powód, że, zostawszy świeżo
Za wspólną zgodą obrany konsulem,
Doznaję teraz tak wielkiej obelgi,
Iż mi tę godność odbieracie?
Sycyniusz. Zanim
Ci odpowiemy, ty nam odpowiadaj.
Koryolan. Mówcie więc, ani słowa, powinienem.
Sycyniusz. Oskarżamy cię, żeś się kusił odjąć
Rzymowi jego starodawne prawa,
I sam zagarnąć despotyczną władzę:
Dopuściłeś się przez to zdrady ludu.
Koryolan. Co? zdrady?
Meneniusz. Tylko bez gniewu: przyrzekłeś...
Koryolan. Żeby z najgłębszych otchłani piekielnych
Ognie zionęły na ten lud! Ja zdrajca! —
Bezwstydny, fałszem przesiąkły trybunie!
Choćby w twych oczach pięćdziesiąt tysięcy
Środków zagłady siedziało, w twych ręku
Tyleż milionów, w kłamliwych twych ustach
Dwa razy tyle, jeszczebym ci w oczy
Powiedział: kłamiesz, tak śmiało, jak śmiało
Zanoszę modły do bogów.
Sycyniusz. Czy słyszysz,
Ludu?
Obywatele. Na skałę z nim, na skałę z nim!
Sycyniusz. Cicho! Nie mamy potrzeby przywodzić
Na potępienie go niczego więcej:
Jego postępki, jego słowa, dosyć
Świadczą w tej mierze. Widzieliście sami,
Jak się na waszych targnął urzędników,

Siłą się oparł prawu. Słyszeliście,
Jak wam złorzeczył, i tu nawet bluźnił
Tym, których prawa władza ma stanowić
O jego losie. Te wszystkie przestępstwa
Tak kapitalne, już go czynią godnym
Najsromotniejszej śmierci.
Brutus. Bacząc wszakże,
Że względem Rzymu położył zasługi...
Koryolan. Co tam waść pleciesz o zasługach?
Brutus. Mówię,
O czem wiem...
Koryolan. Waść wiesz?
Meneniusz. Także dotrzymujesz
Danego matce przyrzeczenia?
Kominiusz. Miejże
Wzgląd przecie.
Koryolan. Nie chcę już na nic mieć względu:
Niechaj wyrzekną wyrok, niech mnie skażą
Na śmierć z Tarpejskiej skały, na wygnanie,
Na dożywotnie tułactwo. Chociażbym
O jedno ziarnko dnia chciał ten los odwlec,
Nie opłaciłbym jednem dobrem słowem
Ich przyzwolenia, anibym za wszystkie
Dary ich łaski nie krępował dłużej
Mojego męstwa, choćbym je ryczałtem
Mógł u nich kupić za marne »dzień dobry«.
Sycyniusz. Z powodu przeto, że różnymi czasy
Uwłaczał ludu powadze, szukając
Środków odjęcia mu władzy, jak tego
Świeży dał dowód, podniósłszy zbrodniczo
Rękę nie tylko wobec nietykalnej
Sprawiedliwości, ale, co ważniejsza,
Na samychże jej wykonawców:
W imieniu ludu i z mocy służących
Nam atrybucyi trybunalnej władzy,
Wypędzamy go z miasta jednocześnie
Z tem wyrzeczeniem: nie wolno mu odtąd
Pod karą śmierci wstąpić w bramy Rzymu.
Taka jest wola ludu, tak ma być.
Obywatele. Tak ma być! Precz z nim! Niech będzie wy-
[gnany!
Tak ma być!
Kominiusz. Posłuchajcie mnie, moi przyjaciele!

Sycyniusz. Wyrok już zapadł, już po wszystkiem.
Kominiusz. Słowo:
Byłem konsulem i mogę na sobie
Pokazać znaki nieprzyjaciół Rzymu,
Kocham ojczyznę uczuciem gorętszem,
Świętszem i głębszem, niż własne me życie,
Drogą mą żonę, owoc jej żywota,
Skarb mego rodu. Jeżeli obecnie
O tem nadmieniam...
Sycyniusz. Wiemy, dokąd zmierzasz.
Cóż tedy?
Brutus. Niema tu o czem już mówić;
Wygnany został jako nieprzyjaciel
Ludzi i kraju: niechże się wynosi.
Tak ma być.
Obywatele. Tak ma być! tak ma być! Precz z nim!
Koryolan. Podła, wrzaskliwa psiarnio, której tchnienie
Jest dla mnie tem, czem wyziew zgniłych bagien,
Której przychylność tyle u mnie warta,
Ile poblizkość ścierw niepogrzebionych,
Zarażająca mi powietrze. Ja to,
Ja ci powiadam: precz ode mnie! Zostań,
Marnij tu w swojem niedołęstwie! Niech was
Najmniejszy szelest wskróś przejmuje dreszczem!
Widok wiejących piór nieprzyjacielskich
Niechaj was w rozpacz wprawia! Używajcie
Z całą swobodą władzy wypędzania
Obrońców waszych, aż was wreszcie wasza
Głupota, która nie widzi, nie czując,
I nie ma nawet prostego instynktu
Własnego dobra, odda w obce ręce,
Które was w kluby wezmą, jako bydło,
Nie wydobywszy miecza! Gardząc wami,
Z wzgardą odwracam się od tego miasta.
Jest-ci gdzieindziej jeszcze świat!
(Koryolan, Kominiusz, Meneniusz, senatorowie i patrycyusze wychodzą).
Edylowie. Poszedł już, poszedł wróg ludu!
Obywatele. Wróg nasz wygnany! poszedł już! Ha! ha!
(Lud wydaje okrzyki i rzuca czapki w górę).
Sycyniusz. Idźcie w trop za nim aż do bram,
Urągajcie mu, jak on wam urągał;

Oddajcie mu wet za wet, nam zaś dajcie
Dla bezpieczeństwa straż przez miasto.
Obywatele. Idźmy,
Odprowadźmy go do bram. — Niech bogowie
Strzegą dni naszych szlachetnych trybunów!
(Wychodzą).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Tamże. Przed bramą miasta.

(Koryolan, Wolumnia, Wirgilia, Meneniusz, Kominiusz wchodzą z orszakiem młodych patrycyuszów).

Koryolan. Połóżcie tamę łzom; bądźcie mi zdrowi:
Tysiączno-głowy zwierz rogami swymi
Wybódł mnie z moich progów. — Ejże, matko,
Gdzież jest twój dawny hart? Nieraz mawiałaś,
Że poczciwości są próbnym kamieniem
Tęgości ducha; że los pospolity
Znośnym być może pospolitym ludziom;
Że kiedy morze jest spokojne, wtedy
Każda łódź śmiało płynie; że im cięższe
Ciosy fortuny, tem chlubniejsze rany,
Jeśli je znosim mężnie i roztropnie.
Tyś we mnie takie wpoiła zasady,
Które przejęte niemi serce mogły
Niezwyciężonem uczynić.
Wirgilia. O bogi!
Koryolan. Przestań, kobieto, proszę cię.
Wolumnia. Niech czarna
Zaraza spadnie na ten lud i wszystkie
Warsztaty jego przepadną!
Koryolan. Cóż z tego?
Będą mnie cenić, gdy mnie mieć nie będą.
Matko! zbierz w sobie ów duch, za którego
Wzniosłem natchnieniem mawiałaś mi nieraz,
Że, gdybyś była żoną Herkulesa,
Byłabyś była część jego prac wzięła
Na swój rachunek, aby tym sposobem

Ulżyć mężowi trudów. — Kominiuszu,
Nie smuć się, bądź zdrów! — Żono moja! matko!
Żegnam was! jeszcze mi będzie się szczęścić.
I ty, mój stary, wierny Meneniuszu!
Łzy twoje słońsze są, niż łzy u młodych:
Mogą ci strawić wzrok. — Dawny mój wodzu!
Widziałem nieraz twoją nieugiętość,
I tyś był nieraz świadkiem takich rzeczy,
Na których widok serce mogło stwardnąć;
Powiedz tym smutnym niewiastom, że szlochać
Nad nieszczęściami nieuniknionemi
Równie jest zdrożnem, jak z nich się naśmiewać.
Matko! wiesz dobrze, że niebezpieczeństwa
Moje kończyły się dotychczas zawsze
Twoją pociechą: ufaj w to i nadal.
Chociaż sam jeden idę w świat, (jakoby
Do odludnego legowiska smoka,
Który do koła szerzy postrach, wszakże
Bardziej w podaniach, niż w rzeczy istnieje),
Nie myśl na chwilę, by syn twego łona
Albo się kusił przejść dane granice,
Albo się kiedykolwiek dał uwikłać
W sidła przewrotnych praktyk.

Wolumnia. Drogi synu!
Gdzież się chcesz udać? Weź z sobą na jaki
Czas Kominiusza: postanów coś naprzód,
Zamiast się puszczać na dzikie koleje
Ślepego trafu.

Koryolan. Bogom się oddaję.

Kominiusz. Ja cię przez miesiąc nie opuszczę: razem
Będziemy radzić, gdzie stale zamieszkasz,
Abyś mógł słyszeć o swoich i oni
Wzajem o tobie, a gdy czas nastręczy
Sposobną porę, w którejbyś mógł wrócić,
Abyśmy wtedy nie potrzebowali
Pojedyńczego po szerokim świecie
Szukać człowieka i nie utracili
Korzyści, które nieobecnych zawsze
Chybiają.

Koryolan. Bądźcie zdrowi! — Kominiuszu!
Jesteś już letni i syty wojennych
Biesiad: nie tobie tułać się po świecie
Z kimś, co ma jeszcze niestargane siły;

Przyjmuję twoje towarzystwo tylko
Do bramy. — Luba żono, droga matko,
Cni przyjaciele, pójdźcie! Jak odejdę,
Poślijcie za mną nieme pożegnania
I uśmiechnijcie się. Pójdźcie! choć będę
Zdaleka od was, zawsze mieć będziecie
Ode mnie wieści i nigdy inaczej
Nie usłyszycie o mnie, jak w sposobie
Godnym przeszłości mojej.

Meneniusz. To mi mowa:
Aż miło słuchać! — No, no, dość już tego;
Idźmy, otrzyjmy łzy! — Gdybym mógł strząsnąć
Jakich dziesiątek lat z tych starych kości,
Wszędziebym poszedł za tobą.

Koryolan. Daj rękę:
Idźmy.

(Wychodzą).

SCENA II.

Tamże. Ulica w poblizkości bramy.

(Sycyniusz i Brutus wchodzą z Edylem).

Sycyniusz. Każ im się rozejść; już go niema w mieście:
Nie posuwajmy się dalej. — Stronnicy
Jego ze szlachty krzywo na nas patrzą.

Brutus. Pokazaliśmy im, co możem; teraz
Dopiąwszy swego, trzeba nam się wydać
Pokorniejszymi naprzeciw tych panów,
Niżeśmy byli przed dopięciem.

Sycyniusz. Każ się
Rozejść ludowi: powiedz mu, że jego
Wróg już ustąpił i że jego prawa
Znów odzyskały moc.

Brutus. Rozpuść ich zaraz.

(Edyl wychodzi).

(Wolumnia, Wirgilia i Meneniusz wchodzą).

Oto nadchodzi jego matka.

Sycyniusz. Zejdźmy
Jej z drogi.

Brutus. Czemu?

Sycyniusz. Oszalała, mówią.

Brutus. Już nas spostrzegli; idźmy swoją drogą.
Wolumnia. Ha, to wy! Niech was kaźń niebios przywali
Za wasze dzieło!
Meneniusz. Ciszej, ciszej!
Wolumnia. Gdybym
Mogła płacz wstrzymać, usłyszelibyście...
Lecz posłuchajcie i tak.
(Do Brutusa, który chce odejść).
Zostań.
Wirgilia *(do Sycyniusza).* Zostań. —
Czemuż nie mogę tak samo powiedzieć
Do mego męża!
Sycyniusz. Azaliż jesteście
Męskiego rodu?
Wolumnia. Tak, głupcze. — Ot głupiec!
Czyliż to ojciec mój nie był mężczyzną?
Mamże się tego rumienić? — Nikczemny,
Lisi wyrodku, tyżeś to się ważył
Wygnać człowieka, który w sprawie Rzymu
Orężem swoim więcej zadał ciosów,
Niżeś ty twoim językiem słów spłodził?
Sycyniusz. O, dobre nieba!
Wolumnia. I to szlachetniejszych
Ciosów, niżeli ty słów, z dobrem Rzymu. —
Słuchajno: ale nie; poczekaj jednak:
Chciałabym, żeby mój syn był w Arabii
I miał przed sobą całe twoje plemię,
A w ręku swój miecz.
Sycyniusz. Cóżby stąd wynikło?
Wirgilia. Co? Położyłby on od razu, pewnie,
Koniec twojemu pokoleniu.
Wolumnia. Temu
Gniazdu bękartów! — Tak szlachetny człowiek
Za tyle zasług!
Meneniusz. Dajcie pokój, idźmy.
Sycyniusz. Żałuję, że tak nie skończył, jak zaczął,
I że, związawszy tak chwalebny węzeł,
Sam go rozwiązał potem.
Brutus. Żałujemy.
Wolumnia. Żałosne dusze! A któż to, jeżeli
Nie wy, podbechtał przeciw niemu motłoch?
To bydło, które o jego wartości

Tyle jest w stanie osądzić, ile ja
O niezbadanych tajemnicach niebios.
Brutus. Prosim was, Panie, pozwólcie nam odejść.
Wolumnia. Proszę cię, Panie, odejdź. Spełniliście
Czyn bohaterski, tryumfujcież teraz;
Ale pomnijcie, że jako Kapitol
Przenosi czołem nizkie strzechy Rzymu,
Tak syn mój (mąż tej szlachetnej niewiasty,
Co ją widzicie tu) przenosi duchem
Wszystkich was w rumel wziętych.
Brutus. Dobrze, dobrze:
Już idziem.
Sycyniusz. Czegoż tu stoim, u licha,
Za cel przekąsów szalonej niewiasty?
Idźmy.
Wolumnia. Zabierzcie z sobą modły moje.
(Trybunowie odchodzą).
Radabym, żeby bogowie nie mieli
Nic do czynienia więcej, jedno spełniać
Moje przekleństwa! Gdybym tych nędzników
Raz na dzień tylko mogła mieć przed sobą,
Pozbyłabym się wnet tego ciężaru,
Który mi tłoczy serce.
Meneniusz. Obeszłyście
Się walnie z nimi i słusznie: a teraz
Podobaż się wam spożyć w moim domu
Małą wieczerzę?
Wolumnia. Gniew jest moją karmią;
Sama się trawię i głodową śmiercią
Umrę z sytości. Pójdź, córko; zaniechaj
Tych niedołężnych, nadaremnych żalów;
Rozpaczaj tak, jak ja, na wzór Junony
Wrąc gniewem. Pójdź, pójdź.
Meneniusz. Hańba ci, o Rzymie!
(Wychodzą).

SCENA III.

Droga pomiędzy Rzymem a Ancyum.

(Z dwóch stron przeciwnych wchodzą: Rzymianin i Wolsk i spotykają się w pośrodku).

Rzymianin. Znam cię i jestem ci znany: nazwisko twoje Adryan, jeśli się nie mylę.

Wolsk. W istocie, tak mnie zowią; ale wasza osoba wyszła mi z pamięci.

Rzymianin. Rzymianinem jestem, ale, jak ty, służę przeciw Rzymowi; nie poznajesz-że mnie teraz?

Wolsk. Nikanor? wszakże tak?

Rzymianin. Ten sam, do usług.

Wolsk. Większą miałeś brodę, kiedym cię widział po raz ostatni, ale mowa twoja uwydatnia rysy twojej twarzy. Cóż tam nowego w Rzymie? Mam polecenie od wolscyjskiego rządu dowiedzieć się, co się u was dzieje: oszczędziłeś mi dzień drogi.

Rzymianin. W Rzymie były niespokojności: lud powstał przeciwko senatorom, patrycyuszom i szlachcie.

Wolsk. Były? A więc się już skończyły? Rząd nasz nic nie wie o tem i czyni wielkie przygotowania do wojny, spodziewając się ich zejść w samym zapale rozruchu.

Rzymianin. Gorączka już minęła, ale najmniejsza okazya może ją wzmódz na nowo; bo szlachta tak żywo wzięła do serca wygnanie poczciwego Koryolana, że bardzo myśli o odebraniu wszelkiej władzy ludowi i skasowaniu na zawsze trybunów. Tli to tak, powiadam waszmości, i niewiele brakuje do gwałtownego wybuchu.

Wolsk. Koryolan wygnany?

Rzymianin. Wygnany, bracie.

Wolsk. Mile przyjęty będziesz z tą wieścią, Nikanorze.

Rzymianin. Pora wam jest przyjazną: słyszałem, że cudzą żonę najłatwiej uwieść wtedy, kiedy się z mężem poróżni. Wasz mężny Tullus Aufidyusz poradzi sobie w tej wojnie bez wielkiego trudu, skoro Rzymowi ubył taki, jak Koryolan, obrońca.

Wolsk. Nie zaśpi też pewnie sprawy. Poczytuję sobie za szczęście, żem się z waszmością tak przypadkowo zdybał; uwalniasz mnie od dalszych zachodów i stawiasz mnie w możności towarzyszenia ci.

Rzymianin. Opowiem ci w ciągu drogi dziwne rzeczy o Rzymie; wszystkie się składają na waszą korzyść. Powiadasz więc, że macie armię w pogotowiu?

Wolsk. I to prawdziwie królewską. Już setnicy z centuryami swemi mają wyznaczone marszruty; żołd im z góry zapłacono, czekają tylko na rozkaz do pochodu.

Rzymianin. Cieszę się, słysząc o takowej ich gotowości, i tuszę, że moje przybycie tem mniej im pozwoli stać nieczynnie. Niechże się święci nasze spotkanie; serdeczniem rad z towarzystwa waszmości.

Wolsk. Uprzedzasz mnie waszmość; dla mnie to radość, że mu mogę służyć.

Rzymianin. Idźmy teraz razem.

(Wychodzą).

SCENA IV.

Ancyum. Przed domem Aufidyusza.

(Koryolan, w pospolitej odzieży przebrany i osłonięty).

Koryolan. Porządne to jest miasto, ten gród Ancyum;
O! grodzie, ja to jestem, tem sam, który
Twoje niewiasty przywiódł o wdowieństwo;
Przed którym w wirze bitwy padł i skonał
Niejeden dziedzic tych pięknych budowli.
Nie poznaj ty mnie, boby mnie inaczej
Twe białogłowy rożnami zakłuły,
A chłopcy twoje ukamienowały
W pigmejskiej bitwie.

(Obywatel wchodzi).

Bądź pozdrowion, panie.

Obywatel. Nawzajem.

Koryolan. Wskażcie mi, jeżeli łaska,
Gdzie mieszka wielki Aufidyusz. Nie wiecie,
Czy jest on w Ancyum?

Obywatel. Jest, i teraz właśnie
Wyprawia ucztę panom rady.

Koryolan. Gdzie jest
Dom jego? chciejcie mi, proszę, pokazać.

Obywatel. Ot tu, przed wami.

Koryolan. Dziękuję waszmości.

(Obywatel wychodzi).

O świecie, dziwneż są twoje koleje!
Najprzywiązańsi przyjaciele, którzy
W dwojgu łon jedno zdali się mieć serce,
Których godziny, łoże, mienie, jadło,
Prace, uciechy, wszystko było wspólnem,
Którzy w miłości byli nierozdzielni
Jako bliźnięta, nagle skutkiem sporu
O rzecz nie wartą szeląga, wpadają
W najzapalczywszą ku sobie nieprzyjaźń.
A z drugiej strony najnieubłagańsi
Nieprzyjaciele, którym jadowite
Szepty zawiści i przemyśliwania,
Jakby mógł jeden drugiemu zaszkodzić,
Sen przerywały, dla bzdurstwa, o którem
Wspomnieć nie warto, zmieniają się nagle
W najzagorzalszych przyjaciół i ściśle
Jednoczą z sobą byt i całą przyszłość.
Tak się ma właśnie ze mną: nienawidzę
Miejsc mych rodzinnych, a kocham to miasto,
Którego dotąd byłem wrogiem. Wnijdźmy:
Zabije-li mnie, sprawiedliwie zrobi;
Zostawi-li mnie przy życiu, wyświadczę
Przysługi jego ojczyźnie.

(Wychodzi).

SCENA V.

Tamże. Sala w domu Aufidyusza.

(Muzyka zewnątrz. Jeden z miejscowych sług wchodzi).

Pierwszy sługa. Wina, wina, wina! Cóż to za usługa! Czy nasi ludzie posnęli?

(Drugi sługa wchodzi).

Drugi sługa. Gdzie Kotus? Pan go woła. Kotusie!

(Koryolan wchodzi).

Koryolan. Piękny dom; miły zapach uczty wionie,
Lecz jam do gościa niepodobny.

(Pierwszy sługa wraca).

Pierwszy sługa. Czego chcesz, przyjacielu? Skąd jesteś? Niema tu miejsca dla ciebie: proszę cię, wyjdź za drzwi.

Koryolan. Nie zasłużyłem na lepsze przyjęcie,
Będąc, czem jestem.

(Wchodzi drugi sługa).

Drugi sługa. Skąd waść? Czy odźwierny ma oczy z tyłu, że wpuszcza takie figury? Wynoś się, skąd przyszedłeś.

Koryolan. Precz!

Drugi sługa. Precz? Ty sam precz!

Koryolan. Jesteś naprzykrzony.

Drugi sługa. Jaki mi zuch! Zaraz ci lepiej rzecz przełożę.

(Wchodzi trzeci sługa. Pierwszy spotyka się z nim).

Trzeci sługa. Co to za człowiek?

Pierwszy sługa. Oryginał, jakiego nie widziałem; nie mogę się go pozbyć z domu: poprośno tu naszego pana.

Trzeci sługa. Po coś tu przyszedł, człowieku? Radzę ci, nie zawadzaj tu dłużej.

Koryolan. Pozwólcie mi tu stać, moi panowie;
Nie zrobię krzywdy waszemu ognisku.

Trzeci sługa. Któż waść jesteś?

Koryolan. Szlachcic.

Trzeci sługa. Podupadły, widać.

Koryolan. W istocie, podupadły.

Trzeci sługa. Proszę cię, mój podupadły szlachcicu, obierz sobie inne stanowisko; tu niema miejsca dla waszmości; wynoś się, pókiś cały!

Koryolan. Precz, drabie! pilnuj twego obowiązku,
I idź się napaść szczątkami biesiady.

(Odtrąca go).

Trzeci sługa. Cóżto? Nie chcesz? Idźno, kamracie, donieś panu, jakiego tu ma gościa.

Drugi sługa. Zaraz to zrobię.

(Wychodzi).

Trzeci sługa. Gdzie mieszkasz?

Koryolan. Pod stropem.

Trzeci sługa. Jakim?

Koryolan. Niebieskim.

Trzeci sługa. Pod stropem niebieskim?

Koryolan. Wzdyć tak.

Trzeci sługa. Gdzież jest ten strop?

Koryolan. W mieście wron i kawek.

Trzeci sługa. W mieście wron i kawek? — Patrzcie, co co to za osieł! — To tedy mieszkasz i z gawronami?

Koryolan. Nie, nie jestem przecie sługą twego pana.

Trzeci sługa. Mojego pana śmiesz zaczepiać?
Koryolan. Patrz, żebym twojej pani nie zaczepił;
Dość tego: weź blat pod pachę i ruszaj!
(Wypędza go).
(Aufidyusz wchodzi z drugim sługą).
Aufidyusz. Gdzie jest ten człowiek?
Drugi sługa. Tu, panie; byłbym go wypchnął jak psa, gdybym się nie był obawiał harmideru narobić w poblizkości panów.
Aufidyusz. Skąd jesteś? czego chcesz? jak się nazywasz?
Czemu nie mówisz? Odpowiadaj, jak się
Nazywasz?
Koryolan *(odsłaniając się).* Jeśliś mnie jeszcze nie poznał,
Tullusie, jeśli ci widok mej twarzy
Nie mówi głośno, kim jestem; zaprawdę,
Muszę ci moje wymienić nazwisko.
Aufidyusz. Wymień je.
(Słudzy oddalają się w głąb sceny).
Koryolan. Jest to nazwisko niedźwięczne
Dla ucha Wolsków; twarde i rażące
Dla twego.
Aufidyusz. Wymień je. Masz postać groźną,
W twarzy twej jest coś rozkazującego;
A choć pokrowiec twój podarty, widno,
Że się szlachetny pod nim sprzęt ukrywa.
Jak się nazywasz?
Koryolan. Przygotuj się zmarszczyć
Czoło. Jeszcze mnie teraz nie poznajesz?
Aufidyusz. Nie, nie poznaję cię. — Jak się nazywasz?
Koryolan. Nazwisko moje, Tullusie, jest Marcyusz.
Jam to ów Kajus Marcyusz, który Wolskom,
A w szczególności tobie, tyle ciężkich
Krzywd i klęsk zadał, na poparcie czego
Posłużyć może nazwa Koryolana,
Którą mi dano. W nagrodę przebytych
Mozolnych trudów, srogich niebezpieczeństw
I krwi przelanej za niewdzięczną ziemię,
Zyskałem tylko ten przydomek: hasło
Twej sprawiedliwej ku mnie nienawiści.
Krom tego miana nic mi nie zostało.
Dzikość i zawiść ludu, ośmielona
Ustąpieniami chwiejącej się szlachty,
Niedbałej o mnie, pochłonęła resztę

I przyprawiła mnie o to, żem został
Przez niewolniczą hałastrę sromotnie
Wygnany z Rzymu. Ta to ostateczność
Sprowadza mnie dziś do twego ogniska.
Nie myśl, ażebym łudził się nadzieją,
Że mi zachowasz życie; gdybym bowiem
Lękał się śmierci, nikogobym pewnie
Na całym świecie nie unikał bardziej,
Niż ciebie. Staję tu nie w innym celu,
Jeno, ażebym się skwitował z tymi,
Co mnie skrzywdzili. Jeżeli więc w sercu
Żywisz gniew, któryby rad odwetować
Własne twe krzywdy i zabliźnić rany
Twojego kraju, masz sposobność: przybierz
Moją niedolę w pomoc doli twojej
I użyj zemsty mojej za narzędzie
Twojej korzyści; będę bowiem walczył
Przeciwko mojej skażonej ojczyźnie
Z całą wściekłością podziemnych zastępów.
Jeżeli ci to jednak nie dogadza,
Jeżeli syty walk i znojów nie chcesz
Dalej próbować szczęścia, w takim razie
Krótko rzecz możesz skończyć: syty życia,
Chętnie ci głowę poddaję pod topór,
Weź ją jak swoją, zmyj dawne urazy.
Niedorzecznością byłoby z twej strony
Nie wziąć jej, bacząc, żem cię od tak dawna
Z zawziętą ścigał nienawiścią, z piersi
Ojczyzny twojej beczki krwi wytoczył,
I żyćbym nie mógł, jeno ku twej szkodzie,
Jeślibym nie mógł żyć ku wyświadczeniu
Przysług twej sprawie.

Aufidyusz. O, Marcyuszu, każde
Z twych słów wyrwało z serca mego korzeń
Dawnej niechęci. Choćby mi sam Jowisz,
Z głębi chmur boskie obwieszczając rzeczy,
Powiedział: »tak jest«, nie dałbym mu większej
Wiary, niż tobie, szlachetny Marcyuszu.
Pozwól mi objąć ramieniem to ciało,
O które tylekroć razy miotałem
Sękatą moją maczugą, aż trzaski,
Lecące w górę, zaćmiewały księżyc.
Oto, rękojeść miecza obejmując,

Zobowiązuję się równie żarliwym
Współzawodnikiem twoim być w przyjaźni,
Jak mnie nim w boju znajdowałeś, kiedym,
Zajrząc ci sławy, występował na harc
Doświadczać twego męstwa. Wiedz nasamprzód,
Żem kochał dziewkę, którąm wziął za żonę;
Żaden miłośnik nie wzdychał serdeczniej;
Lecz teraz, widząc tu ciebie, cny mężu,
Radośniej skacze mi serce, niż wówczas,
Kiedym małżonkę moją po raz pierwszy
Ujrzał wchodzącą w me progi. Tak, Marsie!
A teraz, dowiedz się, żeśmy na nowo
Zebrali siły. Zakładałem sobie
Raz jeszcze zmierzyć się z tobą i albo
Tobie odrąbać tarczę od ramienia,
Albo dać sobie odciąć ramię. Tyś mnie
Dwanaście razy pokonał, za każdym
Co noc marzyłem o spotkaniach z tobą:
Stałeś przede mną we śnie, walczyliśmy,
Gruchotaliśmy sobie wzajem hełmy,
Chwytaliśmy się oburącz za gardło,
I przebudzałem się martwy z rozpaczy,
Że to był sen tylko. O! tak, Marcyuszu,
Choćbyśmy żadnych zajść nie mieli z Rzymem,
Żadnych do niego uraz, za to jedno,
Że ciebie wygnał, wielki bohaterze,
Podnieślibyśmy całą naszą ludność
Od lat dwunastu do siedemdziesięciu,
I jako wrzący potok wlelibyśmy
Żar wojny w wnętrze niewdzięcznego kraju.
Pójdź, pójdź i w dowód przyjacielskich uczuć
Uściśnij ręce naszym senatorom,
Którzy mnie przyszli pożegnać; nie później
Bowiem jak jutro zamierzam się rzucić
Na posiadłości wasze, może nawet
Na samo miasto.

Koryolan. Wspierajcie mnie, bogi!

Aufidyusz. Jeżeli zatem chcesz, dostojny mężu,
Sam sprawą zemsty twej kierować, przyjmij
Połowę mojej władzy i postanów —
Ile że jesteś bieglejszy w rzemiośle
I bliżej zdolny ocenić silniejszą
I słabszą stronę twej ziemi — którędy

Mamy się udać i od czego zacząć:
Czy zaraz do bram Rzymu zakołatać,
Czyli też, celem rzucenia postrachu,
Pohulać pierwej w dalszych okolicach.
Ale pójdź: pozwól, bym cię przedewszystkiem
Przedstawił moim gościom, którzy z góry
Na każde twoje zgodzą się żądanie.
Witaj po tysiąc razy! Nigdyś nie był
Nieprzyjacielem naszym w takim stopniu,
Jak teraz jesteś przyjacielem, mimo
Żeś niepoślednio był tym pierwszym. Podaj
Mi rękę! Niechaj się święci ta chwila,
W której cię mogę nazwać gościem moim.

(Wychodzą: Koryolan i Aufidyusz).

(Słudzy zbliżają się).

Pierwszy sługa. Szczególne się rzeczy dzieją.

Drugi sługa. Świerzbiało mnie coś, żeby go poczęstować lagą, a jednak coś mi szeptało, że jego ubiór fałszywie mówi o jego osobie.

Pierwszy sługa. Cóż to on ma za rękę! Zakręcił mną w dwóch palcach, jak ten, co frygę puszcza.

Drugi sługa. Wyczytałem mu ja z oczu, że w nim jest coś; miał on widocznie w twarzy coś takiego — nie wiem, jakby to powiedzieć.

Pierwszy sługa. W istocie, miał coś takiego, jak gdyby — niech mnie kaci porwą, jeżelim zaraz nie pomyślał — że w nim jest coś więcej, niż myślałem.

Drugi sługa. Dalipan, i ja to samo; po prostu mówiąc, niema na świecie równego mu człowieka.

Pierwszy sługa. I ja tak sądzę; ani większego żołnierza, chyba tylko jeden.

Drugi sługa. Kto? nasz pan?

Pierwszy sługa. Ani mowy o tem.

Drugi sługa. On wart sześciu takich.

Pierwszy sługa. Ejże, chyba nie tyle; ale że większy żołnierz, to pewna.

Drugi sługa. Prawdę powiedziawszy, nie wysłowię, jakby to można wyrazić: jednakże nasz wódz jedyny jest do obrony miasta.

Pierwszy sługa. Ba, i do szturmu.

(Wchodzi trzeci sługa).

Trzeci sługa. O, mazgaje, o niedołęgi, wiecież, co wam powiem?

Pierwszy i drugi sługa. Co, co, co? Co takiego? Mów.

Trzeci sługa. Nie chciałbym być Rzymianinem za nic w świecie: na jednoby mi wyszło być zbrodniarzem, co go na śmierć wiodą.

Pierwszy i drugi sługa. Dlaczegoż to? Dlaczego?

Trzeci sługa. Dlaczego? A toć tu jest ten, co tyle razy na kwaśne jabłko zbił naszego wodza — Kajus Marcyusz.

Pierwszy sługa. Na kwaśne jabłko naszego wodza?

Trzeci sługa. Co tam kwaśne jabłko, ale, że go nieraz pobił, to pewna!

Drugi sługa. Dajcie pokój; jesteśmy zgodni kamraci i dobrzy przyjaciele; stał on mu zawsze kością w gardle: sam to słyszałem z jego ust.

Pierwszy sługa. Prawdę mówiąc, dał on mu się nieraz we znaki. Pod Koryolami, naprzykład, popłatał go i pokiereszował jak pieczeń.

Drugi sługa. Gdyby miał ludożerczą naturę, byłby go był upiekł i pożarł.

Pierwszy sługa. Cóż nam więcej powiesz?

Trzeci sługa. Na rękach go tam noszą, jak gdyby był rodzonym synem i dziedzicem Marsa; sadowią go na najpierwszem miejscu przy stole; senatorowie za lada słowem uniżają przed nim łysiny; sam nasz wódz nadskakuje mu jak gach w zalotach, błogosławi się ręką i z wytrzeszczonem białkiem stoi na czatach jego słów. Ale esencyą moich nowin jest to, że nasz wódz rozpadł się na dwie części i że jest tylko połową tego, czem był wczoraj, bo tamten zabrał drugę połowę na prośby i za zgodą całej kompanii. Powiada, że pójdzie natrzeć uszu tym, co bram Rzymu strzegą, że wszystko skosi przed sobą i wolną sobie utoruje drogę.

Drugi sługa. Bardzo on do tego podobny. Nie wyobrażam sobie człowieka, któremuby bardziej coś takiego z oczu patrzało. Jak powiedział, tak zrobi.

Trzeci sługa. Niema kwestyi, że zrobi; bo trzeba wam wiedzieć, moi panowie, że tyluż ma przyjaciół, co i nieprzyjaciół; tylko że owi przyjaciele (mówiąc między nami) nie śmią (widzicie) pokazać się (że tak powiem) jego przyjaciółmi, dopóki jest dyskredowany.

Pierwszy sługa. Dyskredowany! Co to znaczy?

Trzeci sługa. Ale skoro zobaczą, że mu się grzebień podniósł i że mu krew nie skrzepła, powyłażą z kryjó-

wek, jak króliki po deszczu, i skakać zaczną wkoło niego.

Pierwszy sługa. Rychłoż rozpocznie działanie?

Trzeci sługa. Jutro; dziś; teraz zaraz. Usłyszycie kotły dziś jeszcze po południu, będzie to niejako na wety: nie otrą ust, a już hasło zabrzmi.

Drugi sługa. Tak więc świat znowu się rozrucha. Pokój na to jest tylko, żeby żelazo rdzewiało, żeby się krawcy mnożyli i fabrykanci rymów.

Pierwszy sługa. Bodajto wojna, i ja mówię; ona a pokój, to tak jak dzień i noc; rzeźko na niej, ruchawo, głośno i swobodnie. A pokój to prawdziwy letarg, paraliż: ckliwy, głuchy, ospały, nieczuły, i więcej płodzi bękartów, niż wojna zabija ludzi.

Drugi sługa. Tak, tak, i jeżeli wojna pod pewnym względem może się zwać nierządnicą, to niezaprzeczenie pokój śmiało można nazwać przyprawiaczem rogów.

Pierwszy sługa. I przyprawiaczem ludzi o to, że jedni drugich nienawidzą.

Trzeci sługa. Racya zaś w tem, że wtedy mniej potrzebują jedni drugich. Niech więc żyje wojna! a w szczególności ta, co ma nastąpić. Kładę mieszek w zakład, że wkrótce Rzymianie tak będą tani, jak Wolskowie! — Wstają od stołu, wstają od stołu.

Wszyscy trzej. Śpieszmy, śpieszmy, śpieszmy.

(Wybiegają).

SCENA VI.

Rzym. Plac publiczny.

(Wchodzą: Sycyniusz i Brutus).

Sycyniusz. Nic coś nie słychać o nim; w każdym razie
Nie mamy się go potrzeby obawiać.
Pokój obecny i spokojność ludu,
Który niedawno jeszcze tak się burzył,
Bezsilnym czynią wszelki jego zamach.
Świat idzie swoim trybem, na przekorę
Jego stronnikom, którzyby woleli,
Aczkolwiek może z własną swoją szkodą,
Widzieć wichrzące po ulicach tłumy,
Niżeli cichą czynność rzemieślnika,

Śpiewającego przy pracy i raźnie
Zwijającego się koło warsztatu.
(Wchodzi Meneniusz).
Brutus. W poręśmy wzięli się do rzeczy. Wszak to
Meneniusz.
Sycyniusz. On sam. Od pewnego czasu
Wygrzeczniał stary. — Witaj, panie.
Meneniusz. Witam
Waszmościów.
Sycyniusz. Ten wasz Koryolan niewielką
Jakoś po sobie próżnię pozostawił,
Chybaby może między przyjaciołmi.
Rzeczpospolita stoi i stać będzie,
Choćby się nie wiem jak zżymał.
Meneniusz. Tak, jak jest, dobrze jest, byłoby jednak
Nierównie lepiej, gdyby był miał władzę
Nad sobą.
Sycyniusz. Gdzież on się teraz obraca?
Nie słyszeliścież nic?
Meneniusz. Nic nie słyszałem;
I jego matka, jego żona także
Nic nie słyszały.
(Wchodzi trzech czy czterech obywateli).
Obywatele. Niech wam bogowie płacą!
Sycyniusz. Dobry wieczór,
Sąsiedzi.
Brutus. Dobry wieczór, dobry wieczór.
Pierwszy obywatel. Powinniśmy się z żonami i dziećmi
Na klęczkach dzień w dzień modlić za was.
Sycyniusz. Żyjcie
I prosperujcie!
Brutus. Bądźcie zdrowi. Gdyby
Was był Koryolan tak jak my miłował!
Obywatele. Poruczamy was bogom.
Obaj trybunowie. Bądźcie zdrowi.
(Wychodzą obywatele).
Sycyniusz. Lepsze to dzisiaj czasy i weselsze,
Niż owe, kiedy ciż sami ludziska
Biegali, »gwałtu!« krzycząc.
Brutus. Kajus Marcyusz
Niepospolitym, prawda, był żołnierzem,
Ale zuchwałym nad wszelkie pojęcie,
Dumnym, wyniosłym, samolubnym.

Sycyniusz. Pełnym
Uzurpatorskich uroszczeń.
Meneniusz. Nie sądzę.
Sycyniusz. Bylibyśmy się o tem przekonali,
Niechnoby tylko był został konsulem.
Brutus. Bogowie strzegli nas i uchronili
Rzym od tyranii.
(Wchodzi Edyl).
Edyl. Cześć wam, trybunowie.
Jakiś niewolnik przytrzymany przez nas,
Wskutek badania zeznał, że Wolskowie
Dwoma wojskami wtargnęli w granice
Rzymu i z wściekłą zawziętością niszczą,
Co tylko im się nawinie.
Meneniusz. Aufidyusz
Nie traci czasu, widzę: usłyszawszy
O oddaleniu Marcyusza, na nowo
Wystawia rogi, które, przytulone
W skorupie, ruszyć się z miejsca nie śmiały,
Dopóki Marcyusz bronił Rzymu.
Sycyniusz. Co tam
Waszmość nam prawisz o Marcyuszu?
Brutus. Każcie
Wychłostać tego rozsiewacza bajek.
To być nie może, Wolskowie-by z nami
Nie śmieli zerwać.
Meneniusz. Nie śmieliby zerwać?
To być nie może? Że może być, mamy
Przykłady, ja sam trzy razy widziałem
Coś podobnego. Zanim ukarzecie
Tego człowieka, dowiedzcie się wprzódy,
Skąd on zaczerpnął tę wieść; moglibyście
Go bowiem skrzywdzić, jeżeli rzetelną
Prawdę podając, uprzedził was o tem,
Co nam istotnie grozi.
Sycyniusz. Przestań waćpan:
To być nie może.
Brutus. To bajka wierutna.
(Wchodzi goniec).
Goniec. Szlachta w największem poruszeniu śpieszy
Do sali obrad: doszła ją wiadomość
Przerażająca.
Sycyniusz. To ten pies niewolnik. —

Wysypcie mu sto plag na środku rynku:
On to narobił tego swem zeznaniem!
On to!
Goniec. Zeznanie tego niewolnika
Sprawdza się, panie; oprócz tego chodzi
Straszniejsza jeszcze wieść.
Sycyniusz. Jeszcze straszniejsza?
Goniec. Dość głośno mówią, (o ile to prawda,
Nie wiem), że Kajus Marcyusz w połączeniu
Z Aufidyuszem znaczne wojska wiedzie
Przeciw Rzymowi i przysięga zemstę
Tak wielką, jak jest wielki przeciąg czasu
Między najmłodszym a nastarszym wiekiem.
Sycyniusz. Niepodobnego w tem nic niema.
Brutus. Jest to
Po prostu wymysł, dążący do tego,
Ażeby słabsi ludzie zapragnęli
Mieć znów Marcyusza w Rzymie.
Sycyniusz. Próżny fortel.
Meneniusz. Niema w tem ani cienia podobieństwa:
On i Aufidyusz tak się z sobą zgodzą,
Jak najsprzeczniejsze żywioły.
(Wchodzi drugi goniec).
Goniec. Panowie!
Senat was wzywa: masy wojsk pod wodzą
Kaja Marcyusza i Aufidyusza
Pustoszą naszą ziemię; już zajęły
Znaczną część kraju, spaliwszy i wziąwszy,
Co im stanęło na drodze.
(Wchodzi Kominiusz).
Kominiusz. Cieszcie się z swego dzieła!
Meneniusz. Cóż się stało?
Kominiusz. Dopomogliście gwałcić córy wasze,
Dopomogliście, żeby wam na głowy
Dachy zrzucano, żeby wam pod nosem
Żony hańbiono!
Meneniusz. Nieba! cóż się stało!
Kominiusz. Żeby świątynie wasze do ostatniej
Cegły runęły, i owe swobody,
O które tak wam chodziło, zmalały
I znikczemniały tak, iżby je można
W najlichszą dziurę wsadzić.
Meneniusz. Cóż się stało?

Piękneście dzieło usnuli. — Na bogi,
Mów, co się stało? Jeżeliby Marcyusz
Miał się połączyć z Wolskami...

Kominiusz. Jeżeli!
On jest bożyszczem ich, jest dla nich jakiemś
Wyższem jestestwem, które nie natura
Wydała, ale jakieś inne bóstwo
Z lepszego ludzi lejące metalu.
Prowadzi ich, jak chce, a oni idą
W trop za nim przeciw nam frycom tak ufnie,
Jak chłopcy, co za motylami gonią,
Lub jak rzeźnicy, idący na szlachtuz
Muchy zabijać.

Meneniusz. Oto wasze dzieło,
Wasze i waszej fartuchowej zgrai;
Otóż to skutek waszego wspólnictwa
Z tymi, co mają powalane łapy,
A dech cuchnący czosnkiem.

Kominiusz. On wam strząśnie
Rzym na kark.

Meneniusz. Tak jak Herkules trząsł z drzewa
Dojrzały owoc. Piękneście nam żniwo
Zasieli!

Brutus. Ale czy to tylko prawda?

Kominiusz. Czy prawda! Prędzej zbledniecie, jak trupy,
Niż się dowiecie o czem innem. Wszystkie
Powiaty rokosz podnoszą radośnie.
Kto się opiera odważnem szaleństwem,
Śmiech tylko wzbudza i pada ofiarą
Głupiej stałości. Możnaż mu to zganić?
Wy sami łącznie z wrogami waszymi
Musicie przyznać mu słuszność.

Meneniusz. Jedynie
Jego wspaniałość może nas ocalić.

Kominiusz. I któż go o nią poprosi? Trybunom
Wstyd nie otworzy ust; lud zasługuje
Na jego litość tak, jak wilk na litość
Owczarza, jego przyjaciele także
Nie mogą się z tem odezwać, bo gdyby
Mu powiedzieli: »Oszczędź Rzym«, podobnąż
Niesprawiedliwość-by mu wyrządzili,
Jak ci, co jego ściągnęli nienawiść,

I okazaliby się przez to jego
Nieprzyjaciołmi.
Meneniusz. Niestety, to prawda!
Gdybym go widział podpalającego
Mój dom, nie miałbym czoła mu powiedzieć:
»Folguj«. — Pięknieście nas wykierowali,
Trzymając z stekiem partaczów! Pięknieście
Spartali dzieło!
Kominiusz. Wyście to przywiedli
Rzym o wstrząśnienie, któremu zaradzić
Niepodobieństwem jest prawie.
Trybunowie. Nie mówcie,
Że to my.
Meneniusz. Nie wy! któż więc? Może senat?
Myśmy sprzyjali mu, ale jak bydło
Rozbrataliśmy szlachetność z szlachectwem,
Ustąpiwszy wam i dawszy go z miasta
Wysykać waszym szczekaczom.
Kominiusz. Zawyją
Oni wnet za nim. Tullus Aufidyusz,
Pierwszy mąż po nim, słucha jego skinień,
Jak gdyby jego był podwładnym. Rozpacz
Jedyną tarczą jest, jedyną siłą,
Jaką im możem przeciwstawić.
(Wchodzi gromada obywateli).
Meneniusz. Oto
Szanowna gawiedź. — Aufidyusz jest tedy
Z nim razem? — Wyście to zapowietrzyli
Rzym, podrzucając swoje przepocone,
Plugawe czapki, wtenczas gdy Koryolan
Szedł na wygnanie. Zbliża się on teraz,
A każdy włos tych, co mu towarzyszą,
Biczem jest na was. Ilu niedołęgów
Rzucało czapki, tylu głąbów gardłem
Zapłaci za głos, co im wyszedł z gardła,
Niema co mówić; chociażby nas wszystkich
Spalił na węgiel, jeszczeby miał słuszność.
Obywatele. Straszne nas rzeczy dochodzą.
Pierwszy obywatel. Co do mnie,
Kiedy mówiłem: wygnać go, mówiłem
Także, że szkodaby go było wygnać.
Drugi obywatel. I ja także.
Trzeci obywatel. I ja także, i prawdę mówiąc, wielu

z nas tak samo mówiło. Cokolwiek zrobiliśmy, zrobiliśmy w najlepszej myśli; i chociażeśmy dobrowolnie zgodzili się, żeby go wygnać, stało się to jednak mimo woli naszej.

Kominiusz. Poczciwe dusze z was!

Meneniusz. Nawarzyliście
Kwaśnego piwa, wypijcież je teraz.
Udamyż się na Kapitol?

Kominiusz. A jakże;
Tam przedewszystkiem.

(Wychodzą: Kominiusz i Meneniusz).

Sycyniusz. Wracajcie do domów,
Nie przypuszczajcie obawy: to klika;
Oniby radzi, żeby było prawdą
To, co na pozór tak ich trwoży! Idźcie,
Idźcie do domów i nie okazujcie
Najmniejszej trwogi.

Pierwszy obywatel. Niech się bogowie nad nami zmiłują! Chodźcie, bracia, wracajmy do domów. Ja zawsze mówiłem, żeśmy nie mieli racyi go wypędzać.

Drugi obywatel. Wszyscyśmy to mówili. Cóż robić! wracajmy do domów.

(Wychodzą obywatele).

Brutus. Nie podobają mi się te nowiny.

Sycyniusz. I mnie tak samo.

Brutus. Idźmy na Kapitol.
Chętniebym oddał połowę fortuny,
Żeby to było bajką.

Sycyniusz. Idźmy, idźmy.

(Wychodzą).

SCENA VII.

Obóz w niewielkiej odległości od Rzymu.

(Wchodzi Aufidyusz z swym powiernikiem).

Aufidyusz. Czy jeszcze wszystko bije czołem temu Rzymianinowi?

Powiernik. Nie pojmuję, jaką
Moc czarodziejską posiada ten człowiek:
On staje naszym żołnierzom za przedmiot
Modłów przed stołem, rozmów w czasie jadła,

Podzięk przy końcu biesiad; ty zaś, panie,
Bledniesz nieznacznie w oczach własnych ludzi.
Aufidyusz. Nie mogę temu na teraz zaradzić,
Bo przedsiębiorąc coś przeciwko temu,
Zwichnąłbym nasze plany. Takiej dumy,
Jakiej sam teraz od niego doświadczam,
Nie przypuszczałem: mianowicie wtenczas,
Kiedym mu moje otwierał objęcia.
Natura jego niepoprawna; darmo,
Trzeba zabaczać i znosić to, czego
Zmienić nie można.
Powiernik. Wolałbym był jednak,
(Dla twego dobra, panie), żebyś nie był
Dzielił z nim władzy, lecz żebyś albo
Na siebie przyjął cały onej ciężar,
Albo zupełnie jemu go zostawił.
Aufidyusz. Zrozumiałem cię dobrze, i bądź pewnym,
Że skoro przyjdzie z nim do porachunku,
Będę mu takie mógł stawić zarzuty,
Jakich się ani domyśla. Na pozór
Zdaje się wprawdzie, i on sam rozumie,
Że dobrze rzeczy prowadzi, że cały
Wylany jest dla sprawy Wolsków. Walczy
Jak smok i ledwie miecz z pochwy dobędzie,
Jużci i pobił; jest jednak coś, czego
Jeszcze nie zrobił; coś, co albo jemu
Kark skręci, albo mój na szwank narazi,
Jeżeli kiedy przyjdzie między nami
Do porachunku.
Powiernik. Rozumiesz-li, panie,
Że on zdobędzie Rzym?
Aufidyusz. Wszystkie obronne
Miejsca poddają mu się bez oporu,
I szlachta rzymska trzyma jego stronę;
Senatorowie i patrycyusze
Także są za nim: trybunowie zera
W sprawie wojennej; a lud ich zarówno
Pochopny będzie wezwać go napowrót,
Jak był skwapliwy wygnać go. Ja mniemam,
Że Rzym tem będzie dla niego, czem ryby
Są dla morskiego orła, który one
Porywa mocą naturalnej władzy.
Służył on zrazu zaszczytnie Rzymowi,

Ale nie umiał z jednostajnem zawsze
Umiarkowaniem piastować zaszczytów.
Czyli to była duma, nazbyt często
Pociągająca szczęśliwych za metę
Danej im doli, czyli brak zdrowego
Rozsądku w trafnem użyciu wypadków,
Których był panem, czy wreszcie natura,
Która nie dając mu być tem, czem nie był,
Nie pozwoliła mu twardego hełmu
Złożyć na miękkiem krześle i szeptała,
Że surowością równie dobrze można
W pokoju rządzić, jak na wojnie: Mniejsza
Czy to, czy owo, dosyć, że coś z tego,
(Bo on wszystkiego tego ma potrochu,
Potrochu, mówię; nie powiem, że wszystko),
Dość, że coś z tego zrobiło go strasznym,
Znienawidzonym, a wreszcie wygnańcem.
Zasługi jego same się zabiły
Tem, że za bardzo wychodziły na wierzch.
Niezaprzeczenie cnoty nasze leżą
W opinii świata; wszelka zaś potęga,
Jakkolwiek w sobie chwalebna, znajduje
Grób na mównicy, z której siebie chwali.
Płomień ruguje płomień, falę fala.
Prawo praw, siła sił budowę zwala.
Idźmy. Marcyuszu, jeśli Rzym posiędziesz,
Biada ci wtedy, bo wnet moim będziesz.

(Wychodzą).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Rzym. Plac publiczny.

(Wchodzą: Meneniusz, Kominiusz, Sycyniusz, Brutus i inni).

Meneniusz. Nie, ja nie pójdę: słyszeliście sami,
Co mówił dawny wódz jego, któremu
On tak był drogim. On mnie wprawdzie kiedyś
Ojcem nazywał, ale cóż stąd? Wyście
Go wypędzili, wy idźcie do niego;

Idźcie na milę przed jego namiotem
Paść na kolana i na klęczkach pełzać,
Żebrając jego przebaczenia. Kiedy
On Kominiusza wzbraniał się wysłuchać,
Ja ani kroku nie zrobię.
Kominiusz. Nie chciał mnie poznać nawet.
Meneniusz. Czy słyszycie?
Kominiusz. Raz mnie jednakże nazwał po imieniu:
Zakląłem go na dawne nasze związki,
Na krew, którąśmy przelewali razem,
Ale on głuchy był na te zaklęcia.
Zaparł się wszelkich nazw dotychczasowych;
Powiedział, że jest czemś nieokreślonem,
Czemś bezimiennem, że sobie dopiero
Zamierza ukuć nazwisko w płomieniach
Palącego się Rzymu.
Meneniusz. Cóż wy na to?
Pięknychście rzeczy narobili; to mi
Para trybunów, co się przez patryotyzm
Starała o to, żeby w Rzymie węgle
Staniały. Będą wam pomniki stawiać.
Kominiusz. Napomknąłem mu, jakąby to było
Monarchy godną wspaniałomyślnością
Przebaczyć tam, gdzie ani śmią rachować
Na przebaczenie; a on odpowiedział:
Że to jest śmieszna rzecz, aby karzący
Ukaranego o łaskę prosili.
Meneniusz. Wybornie; mógłże powiedzieć inaczej?
Kominiusz. Usiłowałem obudzić w nim czułość
Na dolę jego prywatnych przyjaciół.
Odrzekł mi na to, że trudno mi zdrową
Słomę wybierać ze stosu zepsutej,
Zbutwiałej mierzwy; że gwoli jednego
Albo dwóch biednych ziarn byłoby głupstwem
Nie puszczać z dymem barłogu i wąchać
Coś, co obraża nos.
Meneniusz. Gwoli jednego
Albo dwóch biednych ziarn? Ja, jego matka,
Żona, syn, nawet ten szanowny człowiek,
Jesteśmy biedne ziarna; wy jesteście
Zbutwiałą mierzwą, której odór bije
Pod księżyc: dla was wszyscy musim spłonąć.
Sycyniusz. Nie, nie; uspokój się, panie. Jeżeli

Nam odmawiacie pomocy w tej nigdy
Nieprzewidzianej toni, nie zwalajcie
Na nas przynajmniej całej winy. Pewni
Jesteśmy jednak, że gdybyście chcieli
W tej opłakanej odezwać się sprawie,
Głos wasz dopomógłby ojczyźnie bardziej,
Niż wszelkie wojska, którebyśmy mogli
Zebrać na prędce.
Meneniusz. Nie; nie chcę się wcale
W to mieszać.
Sycyniusz. Błagam was, pójdźcie do niego.
Meneniusz. Po cóż ja tam mam pójść?
Brutus. Po to jedynie,
Żeby spróbować, co wpływ wasz u niego
Wskórać potrafi dla zbawienia Rzymu.
Meneniusz. A jeśli on mnie tak, jak Kominiusza
Z niczem odprawi, to cóż wtedy? — Jeśli
Niewysłuchany, obrażony jego
Nieuprzejmością, z kwitkiem do was wrócę;
To i cóż wtedy?
Sycyniusz. Wtedy Rzym wam będzie
Za waszą dobrą chęć obowiązany,
Z uwagi, żeście czynili, co mogli
Dla jego dobra.
Meneniusz. Dobrze więc, spróbuję.
Rozumiem, że mnie wysłucha; że jednak
Mógł się oburknąć i zacisnąć zęby,
Kiedy Kominiusz go odwiedził, to mnie
Zbija z terminu. Snadź wtedy był nie swój,
Musiał być jeszcze przed obiadem. Kiedy
Żyły niepełne, krew w człowieku chłodna,
Zrzędni jesteśmy i niezdolni baczyć
Ani przebaczyć; kiedy zaś przeciwnie
Winem i jadłem dobrze wprzód opatrzym
Owe kanały i dukta krwi, wtedy
Wnet nasze dusze giętszemi się stają,
Niż kiedy pościm jak kapłani. Czekać
Więc będę, aż pod dyetetycznym względem
Usposobiony będzie odpowiednio;
Wtedy dopiero szturm przypuszczę.
Sycyniusz. Wiecie
Najlepiej, panie, jaką obrać drogę

Do jego serca, i fatyga wasza
Nie może chybić celu.
Meneniusz. Na poczciwość,
Zrobię, co mogę, i wkrótce się dowiem,
Jak wiele mogę.
(Wychodzi).
Kominiusz. On go nie wysłucha.
Sycyniusz. Nie?
Kominiusz. Nie, powiadam wam. On siedzi w złocie;
Wzrok mu się iskrzy, jakby chciał Rzym spalić;
A litość jego jest spętanym więźniem
Jego urazy. Uklęknąłem przed nim;
Półgębkiem rzekł mi: »powstań«, i niedbałem
Skinieniem ręki pokazał mi wyjście.
Co postanowił zrobić i od czego
Z mocy przysięgi odstąpić nie może,
W przysłanym liście oznajmił mi potem,
Dodając, iż nam pozostaje tylko
Poddać się jego warunkom.
Jeśli go matka nie zmiękczy i żona,
Które, jak słyszę, mają go pójść błagać
O łaskę, żadnej już niema nadziei.
Idźmy więc do nich, panowie, i prośmy,
Aby zabiegi swoje przyśpieszyły.
(Wychodzą).

SCENA II.

Forpoczty Wolsków przed Rzymem. Warty na posterunkach.

(Wchodzi Meneniusz).

Pierwszy wartownik. Stój! Skąd?
Drugi wartownik. Stój! nazad!
Meneniusz. Pełnicie służbę po ludzku, to dobrze;
Ale za wielkiem waszem pozwoleniem
Przychodzę tutaj w poselstwie — w poselstwie
Do Koryolana.
Pierwszy wartownik. Od kogo?
Meneniusz. Od Rzymu.
Pierwszy wartownik. Nie przejdziesz wasze, wracaj, skąd [przyszedłeś:
Koryolan nie chce już słyszeć o Rzymie.

Drugi wartownik. Prędzej ujrzycie Rzym w płomieniach, [niż się
Z nim rozmówicie.
Meneniusz. Moi przyjaciele,
Musiał wam pewnie wasz wódz nieraz prawić
O Rzymie i o przyjaciołach, których
W nim pozostawił; można więc sto stawić
Przeciw jednemu, że i moje miano
Was doszło: jestem Meneniusz.
Pierwszy wartownik. Być może;
Idź waść zdrów, mości Meneniuszu: siła
Waszego miana nic tu nie poradzi.
Meneniusz. Mówię ci przecie, chłopcze, żem przyjaciel
Twojego wodza; żywą byłem księgą
Jego chwalebnych dzieł, w której to księdze
Ludzie czytali szeroko i długo
O jego sławie niezrównanej; bom ja
Moich przyjaciół (których on jest głową)
Zawsze wystawiał w tak korzystnem świetle,
Na jakie tylko prawda bez uszczerbku
Zgodzić się mogła; ba, czasami nawet
Przeholowałem i, chwaląc go, pchnąłem
Prawdę, jak kulę po gładkiej płaszczyźnie,
Za rzeczywisty jej obręb: dlatego
Musisz mnie puścić, chłopcze.

Pierwszy wartownik. Chociażbyś był waszmość tyle kłamstw na jego korzyść powiedział, ileś tu w swoim interesie słów uronił, nie przejdziesz dalipan, nie przejdziesz; chociażby równy zaszczyt przynosiło kłamać, jak żyć poczciwie. Dlatego proszę nazad.

Meneniusz. Zważ, mój przyjacielu, że się nazywam Meneniusz; że to nazwisko figurowało zawsze na czele listy przyjaciół twego wodza.

Drugi wartownik. Jeżeli waszmość z przyjaźni ku niemu pełnił urząd kłamcy (jak to sam wyznajesz), ja z mojego urzędu oświadczam ci po prawdzie, że nie przejdziesz: zawróć się więc i odejdź.

Meneniusz. Powiedzcie mi, czy jadł on już obiad? bo nie chciałbym z nim mówić przed obiadem.

Pierwszy wartownik. Jesteś waść Rzymianinem, czy nie jesteś?

Meneniusz. Jestem nim, tak dobrze jak i wasz wódz.

Pierwszy wartownik. Powinienbyś więc nienawidzieć Rzy-

mu, tak jak on go nienawidzi. Jakto? Wyforowaliście najdzielniejszego swego obrońcę, w przystępie ślepego szału oddaliście tarczę waszą w ręce nieprzyjaciół i spodziewacie się zakląć jego zemstę babskimi jękami, dziewiczemi załamywaniami rąk i niedołężnemi instancyami takiego starca gaduły jak waszmość? Jak wam może przejść przez głowę, ażeby tak słaby oddech mógł zdmuchnąć grożący Rzymowi pożar? Mylicie się grubo. Dlatego zawróć się waszmość do Rzymu i gotuj się na śmierć wraz z drugimi. Zapadł już dekret na was; przysięga naszego wodza zagradza wam wszelką drogę do frysztu i ułaskawienia.

Meneniusz. Milcz, drabie; gdyby twój komendant wiedział, że tu jestem, obszedłby się ze mną z uszanowaniem.

Drugi wartownik. Idź waść: nasz komendant nie wie nawet, czy waść jesteś na świecie.

Meneniusz. Mówię o waszym wodzu.

Pierwszy wartownik. Nasz wódz nie troszczy się o waści. Jeszcze raz, odstąp waść, jeżeli nie chcesz, żebym z twojego ciała wyprosił resztę krwi, co się w niem kołacze. — Nazad! oto ostatnie słowo; nazad!

Meneniusz. Ależ posłuchaj, posłuchaj.

(Wchodzą: Koryolan i Aufidyusz).

Koryolan. Co się tu dzieje?

Meneniusz. Zaraz mi ty inaczej śpiewać będziesz, zuchwały zawalidrogo: dowiesz się, jak się ze mną trzeba obchodzić, i że lada drągal na placówce nie może mi bronić przystępu do mego syna Koryolana. Bacz na rozmowę moją z nim i wnioskuj, azali zasługujesz na szubienicę lub na inny jaki rodzaj śmierci, dłuższy dla widzów i cięższy dla ciebie; słuchaj i truchlej, myśląc, co cię czeka. *(Obraca się do Koryolana).* Niech nieśmiertelni bogowie na nieustającem posiedzeniu radzą o twej prywatnej pomyślności i niech cię miłują, tak jak cię miłuje stary twój przyjaciel Meneniusz! O, synu, synu mój! ty nam pożogę gotujesz; patrz, tu jest woda do ugaszenia jej. Zaledwie mnie nakłoniono, żebym się udał do ciebie; ale przekonany, że oprócz mnie nikt cię nie potrafi wzruszyć, podałem ucho naglącym mnie westchnieniom i oto staję przed tobą: zaklinam cię, przebacz Rzymowi i żebrzącym łaski twej współrodakom. Niech litościwi bogowie ukoją twój gniew

i zwrócą szczątki jego na tego tu hultaja, który jak kloc zagradzał mi drogę do ciebie.

Koryolan. Precz!

Meneniusz. Jakto? Precz!

Koryolan. Nie znam cię; nie znam matki, żony, dziecka,
Nikogo. Wszystko, co się mnie dotyczy,
Należy dzisiaj do kogo innego.
Choć zemsta, którą tchnę, moją jest własną,
Jej umorzenie leży w piersiach Wolsków.
Niech raczej czarna niepamięć ze szczętem
Zatrze ślad naszej dawnej zażyłości,
Niżby ją litość miała budzić. Odejdź!
Twardsze są uszy moje dla próśb waszych,
Niż bramy wasze dla mojej potęgi.
Ponieważ jednak był czas, żem ci sprzyjał,
Weź to: pisałem to dla ciebie, starcze,
(Oddaje mu list).
I miałem przesłać ci przez gońca. Nie chcę
Z ust twoich słyszeć ani słowa więcej.
Patrz, Aufidyuszu, ten człowiek był pierwszym
Mym przyjacielem w Rzymie: widzisz jednak...

Aufidyusz. Stałość ta czyni ci zaszczyt.

(Wychodzą: Koryolan i Aufidyusz).

Drugi wartownik. No, i cóż, mości panie, nazywasz się przecie Meneniusz?

Pierwszy wartownik. To istne czarodziejskie słowo. Patrz-że teraz, którędy droga do domu.

Drugi wartownik. Kaducznie nas zmyto za daną waszej wielmożności odprawę.

Pierwszy wartownik. Z jakiegoż to ja powodu mam truchleć, jak waść myślisz?

Meneniusz. Mniejsza mi o cały świat, a z nim i o waszego wodza. Co się tyczy takich, jak wy, istot, o takim drobiazgu ani mi przyjdzie pomyśleć. Kto sam pragnie umrzeć, ten się nie boi śmierci z rąk drugiego. Niech wasz wódz, co chce, robi. Co do was: pchajcie jak najdłużej waszą taczkę i niech się z wiekiem powiększa nędza wasza! Jak mnie powiedziano, tak ja wam powiadam: Precz! *(Wychodzi).*

Drugi wartownik. Tęgi starowina, na poczciwość!

Pierwszy wartownik. Bierz go licho! Nasz wódz, to mi człowiek! Jak skała, jak dąb niewzruszony wiatrem.

(Wychodzą).

SCENA III.

Namiot Koryolana.

(Wchodzą: Koryolan, Aufidyusz i inni).

Koryolan. Jutro staniemy pod murami Rzymu.
Współtowarzyszu mój w tej sprawie, donieś
Wolscyjskim panom rady, czy rzetelnie
Zobowiązania mojego dopełniam.
Aufidyusz. W istocie, tylko nasz interes miałeś
Na względzie, głuchy byłeś na wszechstronne
Utyskiwania i błagania Rzymu,
Puściłeś, mimo poszepty przyjaciół,
Tych nawet, którzy z pewnością liczyli
Na twą powolność.
Koryolan. Ten starzec, którego
Świeżo z rozdartem sercem odprawiłem,
Kochał mnie bardziej, niż ojciec; co mówię,
On mnie ubóstwiał: w istocie, ostatnia
Otucha Rzymu na nim polegała.
Okazałem się twardym względem niego;
Przez wzgląd jednakże na dawną z nim przyjaźń,
Podałem jeszcze raz owe warunki,
Które Rzym już był odrzucił, a których
I teraz pewno nie przyjmie, tem bardziej
Że się za jego pośrednictwem większych
Rzeczy spodziewał. Dobrze rzecz zważywszy,
Ustąpiłem z nich nieco. Od tej chwili
Żadne wstawienia, żadne prośby posłów,
Ani prywatnych przyjaciół nie znajdą
Do mnie przystępu. Lecz cóż to za hałas?
(Hałas za sceną).
Czyliżbym miał być stawiony na próbę
W tej właśnie chwili, kiedy to wyrzekłem?
(W żałobnych szatach wchodzi Wirgilia, Wolumnia, prowadząca małego Marcyusza za rękę, Walerya i ich orszak).
Małżonka moja idzie przodem, za nią
Szanowna forma, w której to naczynie
Wzięło początek, a obok niej mała
Odrośl jej szczepu. Ale precz, czułości!
Pękajcie wszelkie ogniwa natury!
Zakamieniałość niechaj będzie cnotą.

Czemże jest wdzięczna ta pokora, albo
Ten wzrok gołębi, który bogów nawet
Może uczynić krzywoprzysiężcami?
Mięknę i czuję się z takiegoż kruszcu
Jak inni. Matka moja chyli czoło,
Jak gdyby Olimp skłaniał się błagalnie
Przed kretowiskiem, a mój mały synek
Ma w twarzy wyraz pojednawczy, którym
Cała natura woła: »Nie odmawiaj!«
Nie! Niech Wolskowie Rzym zrównają z ziemią,
Niechaj Italię wzdłuż i wszerz rozryją,
Nie będę nigdy tyle dobrodusznym,
Iżbym ślepego miał słuchać instynktu;
Nieporuszony stać będę, jak gdybym
Własnym był twórcą i nie miał najmniejszej
Wspólności z ludźmi.

Wirgilia. Mężu mój i panie!

Koryolan. Niestety, inne w Rzymie miałem oczy.

Wirgilia. Smutek to, panie, który tak nas zmienił,
Nasuwa ci tę myśl.

Koryolan. Jak ów zły aktor,
Na samym wstępie zapominam roli
I najsromotniej utykam. Najmilsze
Moje! przebaczcie mi moją nieczułość,
Ale nie mówcie mi: »przebacz Rzymianom«.
O! choćby tylko jeden pocałunek,
Długi jak moje wygnanie, a słodki
Jak nasycenie zemsty! Na zazdrosną
Królowę niebios, pocałunek taki
Wziąłem od ciebie, luba, przy rozstaniu,
I wierne usta me w dziewiczym stanie
Zachowały go dotąd. O, bogowie!
Ja tu rozprawiam, a najszlachetniejsza
Ze wszystkich matek na tej ziemi jeszcze
Niepowitana. Zniżcie się, kolana! *(Klęka).*
Okażcie głębszą cześć, niż zwykłe hołdy
Niewieścich synów.

Wolumnia. Powstań! Mnie to raczej
Na granitowej poduszce wypada
Klęknąć przed tobą i wbrew przyrodzeniu
Cześć ci okazać, tak, jak gdybym była
Jakiemś obłędnem, pośredniem jestestwem
Pomiędzy dzieckiem a matką. *(Klęka).*

Koryolan. Ty klękasz?
Przede mną? przed twym zawstydzonym synem?
Niechże więc lichy żwir z wyschłego brzegu
Bije o gwiazdy, niech szalony wicher
Dumnymi cedry miota o tarcz słońca,
Niepodobieństwo mieniąc w rzeczywistość
I niemożebność w czyn.
Wolumnia. Tyś mój bohater,
Płód mego łona. Czy znasz tę niewiastę?
Koryolan. Witaj, szlachetna córo Publikoli.
Ty luno Rzymu, czysta jako sopla,
Którą mróz osnuł z najbielszego śniegu
I wdzięcznie zwiesił u świątyni Dyany,
Droga Waleryo!
Wolumnia. A to małe ziarnko
Twego pnia, które się z czasem stać może
Tak wielkiem, jak ty, drzewem.
Koryolan. Niech bóg wojny,
Za pozwoleniem wielkiego Jowisza,
Zaprawi duch twój szlachetnością, abyś
Rósł, wolen plamy i stał wśród bitw, jako
Ów słup na morzu, który się opiera
Wszelkim nawałom i chroni od zguby
Tych, co nań patrzą.
Wolumnia. Na kolana, chłopcze!
Koryolan. To mój waleczny syn.
Wolumnia. Dowiedz się teraz,
Że ten syn, żona twoja, ta niewiasta
I ja, przyszłyśmy z prośbami do ciebie.
Koryolan. Błagam was, milczcie lub, jeżeli chcecie
Prosić mnie o co, pamiętajcie z góry
Nie poczytywać za odmowę tego,
Czego, związany przysięgą, nie mogę
Dla was uczynić. Nie żądajcie, abym
Rozpuścił wojsko lub kapitulował
Z rzemieślnikami Rzymu. Nie znajdujcie
W postępowaniu mojem cech wyrodka;
Nie usiłujcie chłodniejszymi względy
Tłumić mojego gniewu.
Wolumnia. Przestań! przestań!
Jużeś powiedział, że się nie możemy
Niczego zgoła spodziewać od ciebie,
Bo my cię mamy o to tylko prosić,

Czego nam z góry odmawiasz. Będziemy
Prosić jednakże, aby cała wina
Bezskuteczności naszych błagań spadła
Na ciebie: słuchaj zatem.
Koryolan. Aufidyuszu
I wy Wolskowie, bądźcie obecnymi;
Nie chcę mieć bowiem z Rzymem żadnych obcych
Dla was stosunków. — O cóż tedy idzie?
Wolumnia. Choćbyśmy ani słowa nie wyrzekły,
Odzienie nasze i nasze oblicza
Jużby wskazały, jaki był nasz żywot
Od chwili tego oddalenia. Pomyśl
Sam tylko, czy są gdzie niefortunniejsze
Niewiasty, niż my w tej dobie? Twój widok
Miasto rozjaśniać nam oczy radością,
I serca nasze pociechą napawać,
Wyciska z tamtych łzy, a te przejmuje
Bólem i trwogą. Możeż być inaczej,
Gdy matka, żona, dziecko, widzi syna,
Męża i ojca rozdzierającego
Wnętrzności wspólnej ojczyzny! Zawziętość
Twoja pozbawia nas nawet możności
Wznoszenia modłów do bogów, tej ulgi,
Którą w nieszczęściu najlichszy ma nędzarz.
Bo czyliż możem modlić się za sprawę
Ojczyzny, co jest obowiązkiem naszym,
I za pomyślność twojego oręża,
Co jest podobnież naszym obowiązkiem?
Niestety! albo nam przyjdzie utracić
Ojczyznę, drogą żywicielkę naszą,
Albo postradać ciebie, który jesteś
Pociechą naszą w ojczyźnie. Na korzyść
Którejbądź strony los przechyli szalę,
Którebądź nasze spełni się życzenie,
Nie możem ciosu uniknąć. Bo albo
W kajdanach musisz, jak obcy złoczyńca,
Pośrodkiem ulic Rzymu być ciągniony,
Albo w tryumfie przejść po jego gruzach,
Palmą zwycięstwa ozdobiony za to,
Żeś mężnie przelał krew żony i dzieci.
Co się mnie tyczy, bynajmniej nie myślę
Czekać wypadku tej wojny: jeżeli
Nie zdołam skłonić cię do szlachetnego

Zaspokojenia obudwu stron, zamiast
Cobyś na zgubę jednej z nich miał godzić,
Nie prędzej pójdziesz zdobyć gród rodzinny,
(Nie prędzej, zapisz to sobie) aż przejdziesz
Po ciele matki twojej, po tem łonie,
Któreć wydało na świat.

Wirgilia. I po mojem,
Które ci tego dziedzica imienia
Twego wydało.

Mały Marcyusz. Nie przejdzie on po mnie:
Schowam się, będę rósł, a potem walczył.

Koryolan. Kto nie chce przejąć niewieściego ducha,
Niech nigdy niewiast i dzieci nie słucha.
Za długo już tu siedzę. *(Powstaje).*

Wolumnia. O! nie odchodź!
Gdyby to, o co cię prosim, zmierzało
Do ocalenia Rzymu jednocześnie
Ze szkodą Wolsków, którym służysz, słusznie
Mógłbyś odrzucić nasze prośby, jako
Zgubną dla twego honoru truciznę;
Ale nam o nic innego nie idzie,
Jak o wzajemne pojednanie. Niechby
Wolskowie mogli powiedzieć: »Wspaniale
Postąpiliśmy z nimi«, a Rzymianie:
»Wspaniale z nami postąpiono«. Niechby
Jedni i drudzy, błogosławiąc ciebie,
Mogli zawołać: »Chwała tobie, sprawco
Tego pokoju«! Synu mój, wiesz dobrze,
Że skutek wojen zawżdy jest niepewny;
Ale to pewna, że gdybyś Rzym zdobył,
Całym owocem twojego zwycięstwa
Byłoby takie imię, które nigdy
Z niczyichby ust nie wyszło bez przekleństw,
Pod którem takby pisały kroniki:
»Był to szlachetny mąż, ale ostatnim
Postępkiem zmazał całą swoją przeszłość,
Zburzył ojczyznę; imię jego przeto
Zgrozą dla przyszłych pozostanie wieków«.
Ubiegałeś się o zaszczytny rozgłos,
Chciałeś majestat bogów naśladować,
Gromem powietrzne sklepienia rozsadzać,
A wżdyć do siarki swej użyłeś tylko
Takiego bełtu, któryby zaledwie

Dąb mógł rozszczepić. Nic nie odpowiadasz?
Mniemasz-li, że to jest ozdobą męża
Nie zapominać uraz? — Mów ty, córko:
On nie dba o twe łzy. — Mów ty, pacholę:
Może dziecinne twoje słowa więcej
Na nim wymogą, niż moja wymowa. —
Nikt nie ma większych niż on obowiązków
Dla matki, a on mi się tu pozwala
Rozwodzić, jakby spętany miał język.
Biedna ja, com cię do walk zachęcała,
Gdacząc jak kokosz, choć tracąc cię, mogłam
Zostać bezdzietną; com cię za powrotem
Obsypywała błogosławieństwami.
Nie miałam nigdy tej słodkiej pociechy,
Abyś mi w czembądź okazał powolność.
Nazwij żądanie me niesprawiedliwem;
Każ mnie odpędzić; nie rzeknę i słowa:
Ale jeżeli tego nie uczynisz,
Wręcz ci powiadam, że czynisz niegodnie
I że bogowie skarzą cię za takie
Lekceważenie i łamanie względów,
Matce należnych. — Odwraca się, milczy:
Dalej, niewiasty, zegnijmy kolana,
Upokórzmy go tem upokorzeniem.
Przydomek jego więcej widać wpływa
Na jego pychę, niż nasze błagania
Na jego czułość. Dalej, na kolana!
Ostatni to już krok — wrócimy potem
Do Rzymu umrzeć razem z rodakami. — Spojrzyj
Raz jeszcze na nas, na to chłopię, które,
Nie mogąc jeszcze uczuć swych wysłowić,
Klęczy i ręce ku tobie wyciąga.
Czemżebyś upór twój usprawiedliwił
Wobec tej niemej wymowy? — Dość tego;
Idźmy. Ten człowiek miał matkę Wolsciankę,
W Koryolach żonę ma, a jego dziecko
Musi być pewnie takie jak i ojciec. —
Bywaj zdrów! skoro ujrzę pożar Rzymu,
Wtedy ci powiem jeszcze coś: na teraz
Niczego więcej z ust mych nie usłyszysz.

Koryolan. O! matko, matko!
(Bierze Wolumnię za rękę i milczy przez czas niejaki).
Cóżeś uczyniła?

Spojrzyj: niebiosa otwarły się na ścież;
Bogowie patrzą się na nas i szydzą
Z nienaturalnej tej sceny. O! matko,
Matko! odniosłaś zwycięstwo fortunne
Dla Rzymu, ale dla twojego syna,
Wierzaj mi, bardzo niebezpieczne, może
Nawet fatalne. Niech się święci jednak:
Przyjmę następstwa jego. — Aufidyuszu,
Nie mogąc dalej prowadzić tej wojny,
Zawrę godziwy pokój. Czyżbyś, powiedz,
Na mojem miejscu mniej był słuchał matki
I mniej był zadość uczynił jej prośbie?

Aufidyusz. Byłem wzruszony.

Koryolan. Mógłbym przysiądz na to!
Musiała to być trudna próba, kiedy
Litość zdołała oczy me zwilgocić.
Powiedz mi, jaki wam pokój najlepiej
Dogadzać będzie? Co do mnie, nie myślę
Wracać do Rzymu; pójdę z wami. Chciej mnie
Wesprzeć w tej sprawie. — Matko moja! żono!

Aufidyusz *(na str.).* Nie mam ci za złe, żeś wspaniało-
[myślność
Przeniósł nad honor: to mi dopomoże
Wrócić na dawne moje stanowisko.

(Niewiasty dają znak Koryolanowi).

Koryolan. Nie traćmy czasu.

(Do Wolumnii i Wirgilii).

Ale pierwej pójdźmy
Spełnić puhary. Weźmiecie ze sobą
Lepsze świadectwo, niż słowa, bo pismo,
W którem wzajemne, podobne warunki
Spisane będą i pieczęcią naszą
Stwierdzone. Pójdźcie z nami do namiotu.
Jeżeli komu, to wamby powinien
Rzym wznieść świątynie: wszystkie jego miecze,
Wszystkie zastępy wojsk z nim sprzymierzonych
Nie potrafiłyby były wyjednać
Tego pokoju.

(Wychodzą).

SCENA IV.

Rzym. Plac publiczny.

(Wchodzą: Meneniusz i Sycyniusz).

Meneniusz. Czy widzisz ten narożny kamień Kapitolu?

Sycyniusz. Widzę, cóż z tego?

Meneniusz. Jeżeli znajdziesz sposób poruszenia go z miejsca małym palcem, to jeszcze jest nadzieja, że nasze kobiety, a w szczególności jego matka, potrafią na nim coś wymódz. Ale ja mówię, że żadnej niema nadziei: głowy nasze dekretowane i egzekucya za pasem.

Sycyniusz. Możeż się człowiek w krótkim czasie do tego stopnia zmienić!

Meneniusz. Pomiędzy poczwarką a motylem jest różnica, a przecie motyl był poczwarką. Ten Marcyusz stał się z człowieka smokiem: ma skrzydła, jest czemś więcej, niż pełzającą istotą.

Sycyniusz. On był do matki bardzo przywiązany.

Meneniusz. I do mnie także, ale teraz dba on o matkę tyle, co koń ośmioletni. Cierpkość jego najdojrzalsząby skwasiła jagodę. Kiedy stąpa, myślałbyś, że to kusza posuwa się pod mury; ziemia zdaje się pod nim uginać; wzrok jego przebiłby pancerz, mowa jego jest jak dźwięk dzwonów pogrzebowych, a mruczenie podobne do grzmotu. Siedzi w obozie jak drugi Aleksander, co każe uczynić, to, ledwie wyrzekł, staje się czynem. Wieczności mu brak tylko, żeby był bogiem, i niebios, z którychby światu panował.

Sycyniusz. Biada nam, jeśli ten jego obraz prawdziwy!

Meneniusz. Odmalowałem go, jakim jest: osądź z tego, czy przyczynienie się matki potrafi go rozczulić. Jego rozczulić! U niego czułości tyle, co mleka w samcu tygrysie. Przekona się o tem biedne nasze miasto, a wszystkiego tego wyście przyczyną.

Sycyniusz. Niech się bogowie nad nami zmiłują!

Meneniusz. Nie, w takim przypadku nie zmiłują się nad nami bogowie. Nie mieliśmy na nich względu, kiedyśmy go wyganiali, to też i oni teraz nie będą mieli na nas względu, kiedy on nam przychodzi kark skręcić.

(Wchodzi posłaniec).

Posłaniec. Uciekaj, panie, jeśli dbasz o życie:

Lud gniewny porwał waszego kolegę,
Wlecze go środkiem ulic i przysięga,
Że go powolną śmiercią zamorduje,
Jeżeli matka i żona Marcyusza
Nie wrócą z dobrą odpowiedzią.
(Wchodzi drugi posłaniec).
Sycyniusz. Cóż tam?
Posłaniec. Dobre nowiny, radosne nowiny:
Niewiasty tryumf odniosły, Wolskowie
Usunęli się i Koryolan z nimi.
Od czasu wyjścia z Rzymu Tarkwiniuszów,
Jeszcze piękniejszy dzień nam nie zajaśniał.
Sycyniusz. Jestże to szczerą prawdą? Jestżeś pewny,
Ze to jest prawdą?
Posłaniec. Tak, jak pewny jestem,
Że słońce szczerym jest ogniem. Z jakiegoż
Świata wracacie, że wątpicie o tem?
Nigdy tak chyżo parta wichrem fala
Nie wylewała się przez łuki arkad,
Jak się w tej chwili przez bramy wylewa
Uradowany tłum ludu. Słyszycie?
(Odgłos trąb, obojów i kotłów w połączeniu z okrzykami słychać za sceną).
Trąby, puzony, harfy, surmy, flety,
Kotły, cymbały i okrzyki Rzymian,
Wzbudzają słońce do pląsów. Słyszycie?
(Znowu okrzyki).
Meneniusz. Walna wieść; śpieszę na spotkanie naszych
Szlachetnych niewiast. Tę Wolumnię warto
Ozłocić, całe miasto senatorów
I patrycyuszów, z konsulami razem,
Nie zrównoważy jej w zasłudze. Co się
Tyczy trybunów, takich jak wy, tychby
Do równowagi trzeba wziąć przynajmniej
Tylu, ileby cały kraj i morze
Mogło pomieścić. Dobrzeście się dzisiaj
Modlili. Jeszcze dziś rano nie byłbym
Był dał denara za dziesięć tysięcy
Głów waszych. Co za radosne okrzyki!
(Okrzyki i muzyka).
Sycyniusz. Niech cię nasamprzód bogi błogosławią!
Następnie przyjmij nasze dziękczynienia
Za tę wiadomość.

Posłaniec. My wszyscy podobno
Równy tu mamy powód do dziękczynień.
Sycyniusz. Dalekoż one są od miasta?
Posłaniec. Były
Tuż przed bramami, gdym tu przyszedł.
Sycyniusz. Idźmyż
Na ich spotkanie i dołączmy głosy
Do tych weselnych okrzyków. *(Postępują).*
(Niewiasty, otoczone senatorami, patrycyuszami i ludem, przechodzą przez scenę).
Pierwszy senator. Oto zbawczyni nasza, życie Rzymu!
Zwołajcie wszystkie cechy, chwalcie bogi,
Rozpalcie ognie tryumfalne, sypcie
Kwiaty pod nogi tych niewiast, zagłuszcie
Ów okrzyk, który Marcyusza wywołał,
W niebo bijącym okrzykiem wdzięczności,
Należnym jego matce! Krzyczcie: cześć wam,
Cześć wam, niewiasty! cześć wam!
Wszyscy. Cześć wam, cześć wam,
Niewiasty! Cześć wam!
(Odgłos trąb i kotłów. Wszyscy wychodzą).

SCENA V.

Ancyum. Plac publiczny.

(Tullus Aufidyusz wchodzi z orszakiem swoim).

Aufidyusz. Oznajmcie panom rady, że tu jestem;
Wręczcie im ten list: gdy go przeczytają,
Niech się zgrowadzą na rynku, ażebym
Tak im, jak gminom dowodnie wykazał
Zawartą w liście tym prawdę. Oskarżam
Tego zmiennika, który się nie wahał
Wnijść w bramy miasta i zamierza stanąć
Przed ludem, tusząc, że się wnet oczyści
Zręcznem do niego przemówieniem. Śpieszcie.
(Orszak odchodzi. Wchodzi trzech czy czterech sprzysiężonych stronników Aufidyusza).
Witam was!
Pierwszy sprzysiężony. Cóż się dzieje z naszym wodzem?
Aufidyusz. To, co z człowiekiem otrutym przez własny
Czyn miłosierdzia i zamordowanym
Przez własną litość.

Drugi sprzysiężony. Szlachetny Tullusie,
Jeżeli jeszcze trwasz w owym zamiarze,
W którym naszego poparcia żądałeś,
Gotowiśmy cię dziś jeszcze uwolnić
Od grożącego ci niebezpieczeństwa.
Aufidyusz. Nie mogę jeszcze nic wyrzec stanowczo:
Trzeba nam zbadać wprzód usposobienie
Ludu.
Trzeci sprzysiężony. Lud będzie wahał się bez końca,
Póki będziecie stać naprzeciw siebie;
Ale upadek jednego uczyni
Wnet spadkobiercą jego względów tego,
Co pozostanie przy życiu.
Aufidyusz. Wiem o tem;
I mam też na czem ugruntować powód
Mego zamachu. Wyniosłem go, dałem
Honor mój w zakład za jego rzetelność,
A on wyniósłszy się z mej łaski, polał
Rosą pochlebstwa nowe swoje pole;
Odwiódł ode mnie przyjaciół i ugiął
K'temu swój umysł, znany dotąd zawsze
Z samowolności, z szorstkości i dumy.
Trzeci sprzysiężony. Wyniosłość, z jaką starał się był
[w Rzymie
O konsulostwo, którego też za to
Nie dostał...
Aufidyusz. Właśnie o tem chciałem mówić:
Wygnany za to, przyszedł do mnie; poddał
Pod mój miecz gardło. Przyjąłem go mile;
Zrobiłem go mym towarzyszem broni;
Wszelkim życzeniom jego dogodziłem;
Co więcej, dałem mu wybrać w szeregach
Mojego wojska najdzielniejszych ludzi,
Z którymiby swe plany uskutecznił.
Sam osobiście podjąłem się służyć
Jego widokom; byłem mu pomocą
Do żniwa chwały, którą on wyłącznie
Sobie przywłaszczył; znajdowałem nawet
Jakowąś chlubę w wyrządzaniu sobie
Tej krzywdy: ażem się wydał nareszcie
Służalcem jego, nie współtowarzyszem,
Ażem się przezeń ujrzał traktowanym
Jak prosty żołdak.

Pierwszy sprzysiężony. Nie inaczej: wojsko
Zdumiewało się nad tem. Na ostatek,
Kiedy już Rzym miał w garści i kiedyśmy
Z rychłym podbojem wyglądali nie mniej
Łupów jak chwały...
Aufidyusz. Toć to przeciw niemu
Wypręży nerwy mojego ramienia.
Dla kilku kropel niewieściej wilgoci,
Tanich jak kłamstwo, sprzedał krew i trudy
Wielkiej wyprawy naszej; umrze za to,
A ja odżyję. Słyszycie ten odgłos?
(Trąby i kotły odzywają się przy głośnych okrzykach ludu).
Pierwszy sprzysiężony. Jak goniec wszedłeś, panie, w progi [domu,
Rodzinne miasto głucho cię przyjęło;
A jego powrót rozdziera powietrze
Grzmotem okrzyków.
Drugi sprzysiężony. Dobroduszne głąby,
Drą sobie gardła dla niego, nie pomnąc,
Że on im dzieci pozabijał.
Trzeci sprzysiężony. Nim więc
Zdoła głos zabrać i na lud zdradziecko
Wpłynąć swą mową, daj mu uczuć, panie,
Hart twego miecza; w czem my cię poprzemy.
Skoro zaś legnie, stosowna odezwa
Pogrzebie jego usprawiedliwienie
Wraz z jego ciałem.
Aufidyusz. Dosyć tego: oto
Panowie rajcy. *(Wchodzą rajcowie miasta).*
Rajcowie. Bądź nam pozdrowiony!
Aufidyusz. Nie zasłużyłem na to, miłościwi
Moi panowie; ale czyście tylko
Z uwagą list mój odczytali?
Rajcowie. Z całą
Uwagą.
Pierwszy rajca. Lecz i z niemałą boleścią.
Poprzednie jego przewinienia mogły
Się były jeszcze zatrzeć jako tako;
Ale tam kończyć, gdzie zaledwie zaczął,
Rzucać plon naszych wysileń i tylko
Trud nam zostawiać; zawierać układy,
Tam, gdzie był pewny podbój; to się nie da
Usprawiedliwić.

Aufidyusz. Otóż i nadchodzi.

(Koryolan wchodzi z muzyką i chorągwiami; za nim tłum obywateli).

Koryolan. Cześć wam, szlachetni panowie! Powracam
Tak, jakem wyszedł, wiernym wam żołnierzem;
Niezarażonym miłością ojczyzny,
Ale wylanym dla was i posłusznym
Waszym rozkazom. Wiedzcie, żem szczęśliwie
Wojnę rozpoczął i żem sobie krwawą
Aż do bram Rzymu utorował drogę.
Wartość zdobyczy, którą wam przynosim,
Przewyższa trzecią część kosztów wyprawy.
Uczyniliśmy mir z niemniejszą chwałą
Dla synów Ancyum, jak hańbą dla Rzymian;
A tu składamy waszmościom na piśmie
Zbiór punktów przez nas przyjętych, stwierdzony
Ręką konsulów oraz patrycyuszów
I opatrzony pieczęcią senatu.

Aufidyusz. Odrzućcie niecne to pismo i zdrajcą
Nazwijcie tego, co śmiał w taki sposób
Nadużyć waszej ufności.

Koryolan. Zdrajcą! — Ja, zdrajca?

Aufidyusz. Tak: zdrajco Marcyuszu!

Koryolan. Marcyuszu!

Aufidyusz. Ma się rozumieć, Marcyuszu,
Kaju Marcyuszu! Chcesz, żebym się krasił
Owocem twego rozboju, kradzionem
W koryolskich murach mianem Koryolana?
Tak, naczelnicy państwa, wiarołomnie
Zdeptał on waszą sprawę i za kilka
Mizernych kropel słonej wody wydał
Wasz Rzym (wasz, mówię, Rzym) matce i żonie.
Przysiąg, honoru stargał święte węzły,
Jak stary sznurek jedwabny, i nigdy
Radzie wojennej nie dawszy przystępu,
Dał wreszcie przystęp łzom matki i onym
Poświęcił wasze zwycięstwo. Pachołcy
Rumienili się na widok tej zgrozy,
A ludzie z sercem patrzyli po sobie,
Nie wierząc własnym uszom.

Koryolan. Słyszysz, Marsie?

Aufidyusz. Nie tobie wzywać tego boga mężnych,
Miękki dzieciuchu.

Koryolan. Ha!
Aufidyusz. Milcz, ani słowa!
Koryolan. Bezczelny kłamco! tyś mi serce zrobił
Tak wielkiem, iż się nie może pomieścić
W swojej siedzibie. O najnikczemniejszy
Synu podłości! — Przebaczcie, panowie,
Po pierwszy to raz lżyć musiałem. Sąd wasz,
Światli mężowie, zada nieochybnie
Temu bydlęciu fałsz, a własna jego
Świadomość (jego, który niezatarte
Nosi na sobie piętno dłoni mojej
I nosić ono będzie aż do śmierci).
Powie mu z wami: łżesz!
Pierwszy rajca. Stłumcie ten zapęd
I posłuchajcie nas.
Koryolan. Niech mnie Wolskowie
Zrąbią na sztuki, niechaj lada młokos
Aż po rękojeść miecz swój wbije we mnie!
Nędzny, fałszywy psie! Jeśli umiecie
Rzetelnie pisać, patrzcie w swoje dzieje:
Jest tam krwawemi podane głoskami,
Żem waszych Wolsków w puch rozbił w Koryolach,
Jak orzeł ptactwo w gołębniku. Sam to,
Sam to sprawiłem, ten nędznik zaświadczy.
Aufidyusz. Możecież ścierpieć, szlachetni panowie,
Ażeby wam ten niecny samochwalca
Ślepe swe szczęście, a z niem krzywdę waszą
Jakby na pośmiech przypominał?
Sprzysiężeni *(jednogłośnie)*. Niech zginie za to!
Obywatele *(jeden przez drugiego)*. Rozszarpcie go; rozćwiertujcie! On mi zabił syna — on mi zabił córkę, on zabił mego krewnego Marka — on mi zabił ojca.
Drugi rajca. Hola! wstrzymajcie się! bez zniewag! hola!
Jest to szlachetny mąż i jego chwała
Napełnia cały krąg ziemski. Ostatni
Czyn jego względem nas ulegnie śledztwu
W drodze właściwej. Miarkuj się, Tullusie,
I nie zakłócaj spokoju!
Koryolan. O! gdybym
Sześciu miał takich Tullusów i więcej,
Cały ród jego, do użycia mojej
Poczciwej stali!
Aufidyusz. Zuchwały niecnoto!

Sprzysiężeni. Śmierć mu! niech ginie!
(Aufidyusz i sprzysiężeni dobywają mieczów i przebijają Koryolana; ten pada, a Aufidyusz wstępuje na jego ciało).
Rajcowie. Stójcie! stójcie! stójcie!
Aufidyusz. Cni rządcy ludu, chciejcie mnie wysłuchać.
Pierwszy rajca. Tullusie, cóżeś uczynił?
Drugi rajca. Spełniłeś
Dzieło, nad którem zapłacze waleczność.
Trzeci rajca. Nie depcz go! — Hola! panowie! schowajcie
Miecze do pochew!
Aufidyusz. Szlachetni mężowie,
Skoro wam będzie wiadomem (bo teraz,
W tem zamieszaniu, które on wywołał,
Trudno wam wiedzieć), skoro się dowiecie,
Jak wielkiem złem wam zagrażało życie
Tego człowieka, cieszyć się będziecie,
Że je przeciąłem. Pozwólcie mi stanąć
Przed wami w sali obrad, tam dowiodę
Wiernej wam służby mojej lub poniosę
Kaźń najsurowszą.
Pierwszy rajca. Zdejmcie stąd to ciało
I uroczystym uczcijcie je żalem,
Bo nigdy herold szlachetniejszym zwłokom
Nie towarzyszył do urny.
Drugi rajca. Porywczość
Jego łagodzi winę Aufidyusza.
Załatwmy tę rzecz w dobry sposób.
Aufidyusz. Gniew mój
Już minął, smutek następuje po nim. —
Niech go trzech najcelniejszych wojowników
Weźmie na barki, ja jednym z nich będę. —
Uderzcie w kotły, niech żałobnie zabrzmią!
Uniżcie ostrza dzid! — Choć on w tem mieście
Niemało matek zrobił bezdzietnemi,
Niemało niewiast wdowami; choć dotąd
Z jego przyczyny płyną łez strumienie:
Znajdzie w niem jednak zaszczytne wspomnienie. —
Dalej!
(Wychodzą, niosąc ciało Koryolana. Muzyka odgrywa marsza pogrzebowego).



TŁÓMACZENIE A. PAJGERTA.

W roku 1599 bawił w Londynie szwajcarski lekarz, Tomasz Platter z Bazylei; zachował się nam jego dziennik. Notując osobliwości miasta, które zwiedził, wspomina, że »dnia 21 września, po obiedzie, około godziny drugiej, wybrał się ze swem towarzystwem na drugą stronę Tamizy, i tam w domu ze słomianym dachem widział tragedyę o pierwszym cesarzu *Julio Caesare,* graną bardzo dobrze, z udziałem około piętnastu osób«. Był więc Szwajcar prawdopodobnie w teatrze *Globe* na przedstawieniu shakespearowskiego »Juliusza Cezara«. W dwa lata później spotykamy się z niewątpliwą literacką aluzyą do dramatu w dziele poetyckiem Weevera «Zwierciadło męczenników«, gdzie w kilku wierszach jest wzmianka o przemówieniach Brutusa i Antoniusza nad trupem Cezara, o treści tych przemówień i ich wrażeniu na lud rzymski, — czyli o wypadkach trzeciego aktu tragedyi, po części nawet w słowach, użytych przez Shakespeara. Po tem pierwszem jest w drukach z lat następnych kilka jeszcze mniej lub więcej pewnych świadectw, dowodzących wielkiej popularności dramatu u współczesnych [1]).

---

[1]) Drayton w epopei o wojnach domowych za Edwarda II *(Barons' Wars)*, drukowanej w r. 1603, kopiuje piękne słowa Antoniusza nad trupem Brutusa o »żywiołach skojarzonych« w doskonałym człowieku: ustępu tego niema jeszcze w pierwszej wersyi epopei, wydanej w r. 1596 pod tytułem *Mortimeriados;* za to w późniejszej ponownej edycyi (1619) wysłowienie jest jeszcze bardziej zbliżone do tekstu Shakespeara, niż w roku 1603. — W anonimowym dramacie *A Warning for Fair Women* (1599) jeden ustęp przypomina opis ran Cezara (III, 2); — w zbiorze poezyi różnych autorów — jest wśród nich i Shakespeare — wydanym w roku 1601 pod tytułem »Śmierć z miłości, czyli Skarga Rozalindy«, znaleziono analogię bardziej ogólnikową i mniej przekonywającą; — w *Maid's Tragedy* Beaumonta i Fletchera (druk. 1619; III, 2) jest reminiscencya sporu wodzów (IV, 3); — wreszcie w dziele Bacona *Advan-*

Dzieła o tak wielkiem powodzeniu aktorowie trupy shakespearowskiej strzegli, zdaje się, ze szczególną starannością przed rozpowszechnieniem w druku: nie posiadamy wydania *in quarto;* dramat pojawia się dopiero w pośmiertnym zbiorze *in folio,* i tam jest jednym z najpoprawniejszych, najmniej popsutych tekstów. Zresztą styl i wierszowanie utworu także same w sobie nie nastręczają tych nadmiernych trudności, co szata poetycka późniejszych wielkich tragedyi: niema jeszcze konwulsywnego natłoku myśli, gorączkowego pościgu porównań i przenośni, bezgranicznej swobody wiersza, jakby bez tchu podążającego za koncepcyami poety: jest raczej ta równowaga między formą a treścią, to równomierne obciążenie słów i wierszy myślą, ta spokojna elaboracya wspaniałych, zamkniętych w sobie sentencyi poetyckich, — co w »Kupcu weneckim« lub w »Henryku IV«. Podobnie jak te dwa dzieła, »Cezar«, niezależnie od swych zalet dramatycznych, celuje niepospolitem pięknem gnomiki poetyckiej, obfituje w perły refleksyi ogólnych i wiekuiście prawdziwych, hojną ręką poety rozdawane pomiędzy wszystkich aktorów tragedyi: do skarbca »złotych myśli« Shakespeara należą słowa Brutusa — cytuję według Paszkowskiego —:

»Między spełnieniem okropnego czynu
A pierwszem jego wszczepieniem się w umysł,
Wszystko pośrednie jest jako fantazma
Lub sen straszliwy: duch wtedy odbywa
Walną naradę z wszystkiemi władzami,
I całe wnętrzne jestestwo człowieka,
Jakoby małe królestwo,
Zostaje w stanie chorobliwym buntu«.

(II, 1).

»W zabiegach ludzkich jest przypływ i odpływ:
Pora przypływu, stosownie schwytana,
Wiedzie do szczęścia; kto onę opuszcza,
Ten podróż życia po mieliznach z biedą
Musi odbywać«.

(IV, 3).

Albo uwaga Antoniusza (III, 2):

»Złe czyny ludzi żyją po ich śmierci,
Dobre — bywają częstokroć grzebane
Z ich popiołami«.

---

cement of Learning (1605) jest szereg myśli, w treści i wyrażeniu podobny do wspaniałych słów Brutusa (IV, 3):

»W zabiegach ludzkich jest przypływ i odpływ...«

Lub wreszcie rozpaczne wołanie Messali nad trupem Kasyusza (V, 3):

»O błędzie! dziecię fatalne rozpaczy!
Czemuż ty musisz wyobraźni ludzkiej
Przedstawiać rzeczy, które nie istnieją?
Poród twój zawsze przedwczesny i smutny,
Bo ty się nigdy szczęśliwie nie rodzisz:
Owszem, zabijasz tę, co cię poczęła«.

Nic w charakterze utworu nie sprzeciwia się wnioskowi, który wysnuć wypada ze świadectw zewnętrznych: że dramat powstał po »Henryku V« i po trzech najdojrzalszych, słonecznych komedyach (»Wiele hałasu o nic«, »Jak się wam podoba«, »Wieczór Trzech Króli«), a może w tym samym czasie, co one: przejście od ich pogody do tragicznego pesymizmu tak samo znamionuje ta majestatycznie spokojna w swych formach artystycznych tragedya, jak je zaznaczają z drugiej strony gorzkie komedye »Koniec wieńczy dzieło« i »Miarka za miarkę«. Że w chronologicznym szeregu arcydzieł tragicznych »Cezar« stoi bezpośrednio obok »Hamleta«, tego zdaje się dowodzić podniesione już przez Gervinusa, a przesadzone może przez Brandesa, podobieństwo między psychologią Brutusa a królewicza duńskiego: i ten i tamten postać autorowi droga, i ten i tamten ginie przez konstytucyjną wadę duszy: Brutus przez niezdolność idealisty do kompromisów, Hamlet przez niezdolność myśliciela do decyzyi. Jakby reminiscencyą niedawno opracowanego tematu, ostatnią jego wibracyą w duszy poety są w »Hamlecie« słowa Horacya (I, 1) o tych samych dziwach na ziemi i niebie, które w »Juliuszu Cezarze« (I, 3) z przerażeniem zwiastuje Casca. Pełno co prawda i w innych dziełach Shakespeara — i wcześniejszych i późniejszych — aluzyi do losów Cezara [1]); świadczą one,

[1]) »Henryk VI«, cz. I, akt I, sc. 1 («dusza twa była potężniejszą gwiazdą, niż J. C.«); cz. II, akt IV, sc. 1 (»bękarcia ręka Brutusa przebiła Cezara serce«); IV, 7; cz. III, akt V, sc. 5 (»Krwi nie przelali zabójcy Cezara, Czyn ich na zbrodni nie zasłużył imię, Z tą straszną, czarną porównany zbrodnią: Cezar był mężem, a to było dziecko«); — »Ryszard III«, III, 1; — »Henryk IV«, cz. II, akt I, sc. 1; — »Henryk V«, V (chór); — »Kupiec wenecki«, I, 1 (»Zowie się Porcya, nie tylko imieniem, Ale i sercem podobna do owej Córy Katona, Brutusowej Porcyi«); — »Jak się wam podoba«, V, 2, i »Cymbelin«, III, 1 (o »samochwalbie« Cezara: *veni, vidi, vici)*; — »Miarka za miarkę«, III, 2; — »Hamlet«, V, 1 (»Potężny Cezar przedzierzgnął się w glinę«); —

jak pilnie poeta rozczytywał się w Plutarchu także wtedy, gdy w nim nie szukał przedmiotów dramatycznych, a zarazem, jak szczególną władzę nad jego wyobraźnią zawsze dzierżył ten właśnie fakt wielkiego przewrotu w dziejach państwa rzymskiego.

W tem stałem zainteresowaniu dla historyi chwały i upadku Cezara nie różni się zresztą Shakespeare od ogółu Anglików Odrodzenia. Nie trzeba wcale przypuszczać, że to zajęcie u narodu obudził około początku nowego stulecia zamach stanu Essexa, zagrażający tronowi Elżbiety, że w tych starorzymskich wypadkach widziano historyczną doń analogię, że dramat Shakespeara, jak się dobitnie wyraził Wolff, miał być »fanfarą rewolucyi Essexowskiej«. W istocie od nadejścia humanizmu, od początku intensywniejszych studyów nad starożytnością, ten temat dziejowy, tak obficie ilustrowany pierwszorzędnemi dziełami piśmiennictwa klasycznego, poprostu narzucał się umysłom kształcących się ludzi i musiał fascynować literatów. Nie brakło naturalnie Cezara wśród bohaterów długiej seryi wierszowanych opowiadań o upadkach wielkich mężów, które pod nazwą »Zwierciadło dla dostojników« *(A Mirror for Magistrates)* na podstawie dzieła Boccaccia *De casibus virorum illustrium* i jego średniowiecznej angielskiej parafrazy przez Lydgata dla generacyi shakespearowskiej opracowało i w coraz nowych, powiększonych wydaniach do czytania jej podawało konsorcyum drugorzędnych poetów. Przedewszystkiem jednak losy Cezara mieć musiały szczególny urok dla pisarzy dramatycznych. Już w zaraniu renesansowego dramatu angielskiego, w roku 1562, grany był jakiś »Juliusz Cezar«; o dramacie »Cezar i Pompejusz« w swej purytańskiej polemice przeciwko teatrowi wspomina Stephen Gosson w r. 1579; łaciński dramat uniwersytecki, którego autorem był jakiś Dr. Ryszard Eades czy Eedes, grano w Oxfordzie w r. 1582; słyszał może o nim i Shakespeare: Poloniusz w »Hamlecie« (III, 2) przypomina sobie, że za czasów akademickich »przedstawiał Juliusza Cezara i został zabity przez Brutusa na Kapitolu«. W roku 1594 ajent teatralny Henslowe — prowadzący interesa z tą trupą, która rywalizo-

---

»Cymbelin«, II, 4; — i oczywiście rozliczne ustępy w dramacie »Antoniusz i Kleopatra«. — A. W. Ward, *History of English Dramatic Literature,* 1899, II, 140.

wała z shakespearowską — w zachowanym nam dzienniku jako nowy dramat notuje zwykłą swą barbarzyńską pisownią *Seser and pompie* (»Cezar i Pompejusz«); tenże zapisuje w roku 1602, że Munday, Drayton, Webster, Middleton »i reszta« (!) zajęci są do spółki pisaniem dramatu o upadku Cezara *(Sesers Falle)*. W roku 1604 William Alexander hrabia Stirling, wydał drukiem w Glasgowie swój klasycystyczny, nie przeznaczony dla sceny ludowej dramat »Cezar«; ponownie to dzieło drukowane było w Londynie w r. 1607. W druku z tegoż roku i w innym bez daty — może wcześniejszym — zachował nam się dramat popularny w dwóch częściach pod tytułem »Tragedya o Cezarze i Pompejuszu, czyli: Zemsta Cezara«. Pod tą ostatnią nazwą: »Zemsta Cezara« zanotowane jest także przedstawienie jakiegoś dramatu na dworze królewskim w roku 1613 z okazyi zaślubin królewnej: tu może chodzi o sam dramat Shakespeara; grano wtedy jego dzieł cały szereg. Znęcił przedmiot także rozczytanego w klasykach Chapmana, znakomitego tłómacza epopei homeryckich: w roku 1631 wydał drukiem pisany o wiele lat wcześniej, ale nigdy nie wystawiany na scenie dramat »Cezar i Pompejusz«, dzieło słabe, którego główną treść stanowią zmienne koleje wojny domowej, a właściwym bohaterem jest Kato utycki. Już z roku 1609 posiadamy wzmiankę o przedstawieniu śmierci Cezara także w teatrze maryonetek, co w shakespearowskiej Anglii oznacza ostateczne stadyum spopularyzowania tematu. Ziszczało się więc obficie już w epoce poety jego proroctwo, włożone w usta zabójcom Cezara, a zapowiadające i sławę samego dzieła shakespearowskiego u widzów potomnych, i niegasnący urok przedmiotu dla poetów teatralnych wszystkich czasów:

»Przez ileż to wieków
Wzniosła ta scena powtarzaną będzie
W nieznanych dotąd językach i formach?«
(III, 2).

Co do Shakespeara samego, niema powodu ani potrzeby przypuszczać, że korzystał z któregokolwiek z dramatycznych opracowań przedmiotu przez poprzedników; do tego, jak do innych dramatów rzymskich, wystarczał mu Plutarch. Trzyma się go już tu w szczegółach akcyi i często w doborze wyrażeń, równie wiernie jak później w »Koryolanie« i w »Antoniuszu i Kleopatrze«. Tylko że

w tym wypadku zadanie było bardziej skomplikowane, niż w obu tamtych: materyał, w dramacie połączony, w »Żywotach« Plutarcha rozdzielony jest pomiędzy biografie Cezara, Brutusa i Marka Antoniusza. Studyując stosunek dramatu do tych źródeł, mamy wielokrotnie sposobność podziwiać zmysł dramatyczny poety; objawia się on w doborze przydatnych faktów, w umiejętnem zestawianiu jednolitych obrazów scenicznych z rozrzuconych po kartach opowiadania drobnych szczegółów, wreszcie — szczególnie w akcie czwartym, na drodze ku katastrofie — także w pomijaniu całego mnóstwa wypadków, które musi rejestrować historyk, a opuszczać może i powinien w swej syntezie dramaturg. Wiele szczegółów oczywiście Plutarch musi opowiadać dwukrotnie, niektóre nawet we wszystkich trzech biografiach wspomina: Shakespeare idzie zwykle za wersyą, podaną w »Brutusie«, z którego materyalnie i psychologicznie najwięcej korzysta; sama myśl jednak połączenia śmierci Cezara i śmierci Brutusa w jednem dziele urodziła się, jak zobaczymy, z ostatnich rozdziałów Plutarchowego »Cezara«.

Plutarch po zakończeniu wojen Cezara długo opowiada o wielkich pokojowych dziełach jego rządów — jak reforma kalendarza —; Shakespeare zaczyna od dramatycznej demonstracyi jego popularności, posługując się w tym celu tłumem, który pozostaje odtąd przez cały dramat głównem jego narzędziem do ukazywania ogólnych faktów państwowych i społecznych. O niezadowoleniu patryotów republikańskich z tryumfu Cezara po zwycięstwie nad synami Pompejusza, którzy przecież byli obywatelami rzymskimi, wspomina Plutarch; Shakespeare uosobił tę opozycyę w trybunach ludu, którzy potem już w dramacie nie występują. Ich zachowanie się w tej pierwszej scenie, to jakby zarodek lub szkic do obszernej, intryganckiej roli trybunów-demagogów w pisanym później »Koryolanie«. W »Cezarze« ich interwencya jest jednym z licznych anachronizmów, których w podziwie nad intuicyą poety wcale nie dostrzegamy, czytając lub oglądając na scenie jego dramaty rzymskie: kontrola nad codzienną pracą zawodową rzemieślników należy do średniowiecznego ustroju cechowego, a nie do instytucyi starorzymskich. Plutarch opowiada o trybunach, że obalali posągi Cezara — u Shakespeara odzierają z nich ozdoby — i że ich Cezar za to pozbawił urzędów.

W głównej scenie pierwszego aktu Shakespeare, tak samo jak w kilku jeszcze wielkich obrazach scenicznych utworu, jednoczy rysy u Plutarcha rozrzucone, i odmiennie je motywuje: Plutarch osobno opowiada o powitaniu Cezara jako króla po powrocie z jednej z podróży, a osobno o ofiarowaniu mu korony przez Antoniusza podczas święta Luperkaliów; za pierwszym razem Cezar odpowiedział gniewnie i wzgardliwie, nie powstając nawet z miejsca na powitanie senatorów; później w domu z żalu darł szaty wobec przyjaciół i obnażał szyję, wołając, by mu ją ścięto; potem tłómaczył brak uszanowania dla senatu swą chorobą — epilepsyą — której objawem rzekomo jest zawrót głowy, gdy się wstaje w obecności większej liczby ludzi. Plutarch wyraźnie dodaje, że choroba była tylko wymówką; Shakespeare najdrastyczniejszy z wszystkich tych motywów zużytkował jako rzeczywisty atak niemocy; od siebie dodał głuchotę na jedno ucho, a po tym obrazie fizycznego zniedołężnienia w osobnych dwóch scenach (II, 2, 3) — tym razem już dokładnie według Plutarcha – przedstawił moralny uwiąd starczy wielkiego człowieka. Z Plutarcha bez wyjątku pochodzą wszystkie rozrzucone po pierwszych aktach dramatu złe wróżby, zjawiska i ostrzeżenia, poprzedzające śmierć Cezara.

Więcej miejsca niż Cezar już w pierwszej połowie dramatu zajmuje postać Brutusa. Z rozmyślnym paralelizmem scenie między Cezarem a jego zatrwożoną małżonką (II, 2) wprost przeciwstawiona jest scena — również we wszystkich szczegółach z Plutarcha zaczerpnięta — między Brutusem a jego bohaterską towarzyszką żywota (II, 1); już u Plutarcha sprzysiężeni pokonywają skrupuły Cezara argumentem, że nie wypada kazać senatowi czekać, aż »Kalpurnia będzie miała lepsze sny«; już u Plutarcha także Brutus błaga bogów, by go »uczynili godnym takiej żony«. Dodana wśród innych czysto nastrojowych momentów scena niepokoju osamotnionej Porcyi (II, 4) ma także źródło u Plutarcha; tam Porcya popada w omdlenie i niewolnik przed samem zamordowaniem Cezara przybiega powiedzieć Brutusowi, że żona jego jest konająca: Brutus mimo tej wiadomości zostaje na posterunku. To może poddało poecie w późniejszej scenie dramatu pomysł połączenia wiadomości o rzeczywistej śmierci Porcy ze sporem między wodzami, w którym Brutus mimo przygnębiającej wieści zachowuje godność (IV, 3). Plutarch

na samym końcu życiorysu Brutusa w dwóch różnych wersyach podaje fakt samobójstwa jego małżonki: według jednej z nich udusiła się, kładąc do ust rozżarzone węgle: »połknęła ogień«, jak mówi Brutus w dramacie.

Do charakterystyki Brutusa znalazł Shakespeare obfite materyały u Plutarcha, który wbrew ścisłości historycznej wyidealizował go pod każdym względem na ostatniego rycerza wolności republikańskiej i prawości obywatelskiej starego Rzymu: tem pojęciem postaci poeta od początku głęboko się przejmuje. Nie mógł Shakespeare w ramach dzieła korzystać z nagromadzonych na pierwszych kartach życiorysu szczegółów, tłómaczących ustaloną już w krytycznej chwili opinię Brutusa w Rzymie: Plutarch daje wyciągi z jego wspaniałych lakonicznych listów w sprawach polityki zewnętrznej; jako przykład jego karności narodowej przedstawia udział w wojnie domowej po stronie Pompejusza przeciw Cezarowi. Na to wszystko w dramacie niema oczywiście miejsca; że po ofiarowaniu Cezarowi korony zaufanie ogółu zwróciło się odruchowo ku Brutusowi, jako wybawcy od grożącej niewoli[1]): ten akt — lapidarnie stwierdzony przez Plutarcha w życiorysie Cezara, a uzasadniony początkiem biografii Brutusa — w tragedyi stanąć musi poprostu jako postulat autora. Nie z konieczności już, ale pono z rozmysłu pominął poeta dalej zapisane przez Plutarcha pogłoski o stosunku Cezara do matki Brutusa: wolał nie materyalizować przez takie anegdotyczne umotywowanie poezyi ojcowskiego przywiązania dyktatora do przywódcy sprzysiężenia.

Tak samo jak przez cały dramat, tak już i przez cały życiorys Brutusa u Plutarcha ciągnie się kontrast między doktrynerskim idealizmem i patryotyczną bezinteresownością Brutusa a praktyczno-politycznym oportunizmem i osobistą ambicyą Kasyusza. W życiorysie Cezara obydwaj razem jeszcze objęci są wspólnem określeniem z ust Cezara, które poeta odnosi do Kasyusza: u Plutarcha Cezar, ostrzegany przed Antoniuszem i Dolabellą, odpowiada, że woli takich »ludzi tłustych, o gładko uczesanych głowach« od »bladych na twarzy i chudych jak ścierwo«; Plutarch dodaje, że miał na myśli Brutusa i Kasyusza. To samo

[1]) Kartki bezimienne, wzywające Brutusa do stanowczego czynu, u Plutarcha są, nie jak w dramacie (I, 2), robotą samego Kasyusza, lecz różnych zwolenników i wielbicieli Brutusa w mieście.

prawie dosłownie powtórzone jest w »Brutusie«; ale tam także na samym początku Plutarch zaznacza zasadnicze i stanowcze przeciwieństwo między dwoma przywódcami spisku. »Sami nieprzyjaciele Brutusa i przeciwnicy sprzysiężenia«, powiada, »o ile przyznają, że były jakieś porywy szlachetne w tej całej sprawie, przypisują je w zupełności Brutusowi, wszystkie zaś postępki okrutne i gwałtowne Kasyuszowi, który był zaufanym przyjacielem Brutusa, ale nie miał jego dobrych skłonności i przymiotów«. Stosunek między nimi w biografii zaczyna się od rywalizacyi o urząd pretora, który Cezar przyznaje Brutusowi; drobnym śladem tego epizodu jest w dramacie skarga Kasyusza na początku dyalogu, że Brutus nie okazuje mu od pewnego czasu zwykłej »życzliwej dobroci«, że »zimno, obojętnie podaje teraz dłoń przyjacielowi«. U Plutarcha to pierwsza ich rozmowa po dłuższem zerwaniu, i rozpoczyna się formalnem pojednaniem. Sam dyalog, w którym Kasyusz oswaja Brutusa z myślą gwałtownego usunięcia samowładcy, to jedno z arcydzieł wśród scen Shakespeara: porównać go można z podobnemi treścią i wartością artystyczną rozprawami w dramacie »Miarka za miarkę« — gdzie namiestnik wyjawia zakonnicy swą zbrodniczą namiętność (II, 4) — i w »Otellu«, gdzie Jago zatruwa szlachetną duszę murzyna brudnem podejrzeniem (III, 3). I tutaj, jak w obu tamtych wypadkach, Shakespeare cudowny budynek swego dyalogu wystawia na tych samych fundamentach co autor, z którego czerpie, ale zresztą zupełnie samodzielnie: u Plutarcha rozmowa między Brutusem a Kasyuszem jest krótka i całkiem odmienna w argumentach: Kasyusz apeluje do urzędniczej ambicyi Brutusa; po nim jako pretorze lud się słusznie spodziewa ochrony przed tyranią, tak jak po innych pretorach — darów i widowisk.

Po długiej scenie podczas uroczystości Luperkaliów drugiem ogniskiem w dramacie, łączącem rozrzucone po tekście Plutarcha drobniejsze motywy, jest nocne zebranie sprzysiężonych w domu Brutusa (II, 1). Jak tamta intuicyą psychologiczną i umiejętną dyalektyką, tak znowu ta scena celuje właściwą poecie od młodości siłą wytwarzania nastroju. Za pomocą najprostszych tylko środków — jak czytanie przy »błysku wyziewów«, anachroniczne bicie zegara w domu rzymskim, wskazywanie mieczem strony wschodniej w chwili, gdy ważą się losy spisku, — poeta

który nie miał do dyspozycyi dekoracyi i sztucznego światła, tylko słowa i ruchy aktorów, napełnia wyobraźnię widza całym tajemniczym niepokojem tej nocy; i przez prostotę środków dramatycznych i przez potęgę efektu scena godna porównania z najwyższym w tym rodzaju wytworem geniuszu Shakespeara: z nocą morderstwa na zamku Makbeta (II, 1, 2). I z tego wszystkiego znowu tylko przedmioty merytorycznych narad między sprzysiężonymi — sprawa wtajemniczenia Cycerona, zabicia Antoniusza, udział chorego Ligaryusza — mają wzór u Plutarcha. Zamykając całe dzieje organizacyi spisku w tej jednej nocy bezpośrednio przed czynem, poeta po mistrzowsku wywołuje potrzebną dla dramatycznego wrażenia iluzyę ciągłości czasu, bez szkody dla bogactwa wypadków i swobodnego ruchu akcyi.

Trzecim wielkim obrazem w tem dramatycznem streszczeniu historyi spisku jest już samo dokonanie czynu. Miejscem jego Shakespeare zrobił Kapitol: u Plutarcha jest niem *porticus Pompeii* niedaleko teatru, i Kasyusz przed zamordowaniem wbrew swej filozofii cichym głosem o pomoc się modli do tego posągu Pompejusza, u którego stóp potem Cezar pada. U Plutarcha ci ze sprzysiężonych, co są pretorami — Brutus między nimi — przed wykonaniem zamachu spokojnie jeszcze rozsądzają różne bieżące sprawy [1]). Shakespeare z takich drobnych momentów, bezpośrednio czyn poprzedzających w opowiadaniu Plutarcha, powybierał tylko te, które dramatycznie się dały zużytkować do spotęgowania naprężenia, — jak cicha rozmowa Popiliusza Leny z Cezarem. Przed samą śmiercią poeta, jakby chciał rehabilitować Cezara po obrazach jego słabości w aktach poprzednich, kładzie mu w usta prawdziwie majestatyczne słowa, których nie poddał mu Plutarch: Cezar nieprzystępny jest dla pochlebstw, Cezar »krzywdy nie czyni nikomu« [2]), Cezar jest »stały, jak gwia-

---

[1]) Tak samo jak ten szczegół, pominął poeta także fakt, że sprzysiężeni przed zamachem zbierają się u Kasyusza, którego syn w tym dniu miał uroczyście przywdziać strój dorosłego mężczyzny *(toga virilis)*. Shakespearowskiego Brutusa i Kasyusza wyobrażamy sobie jako udzi bliższych jeszcze wieku młodzieńczego, niż tych późniejszych lat ojcostwa. Porcya u Plutarcha jest wdową po Bibulusie i ma syna, który później napisał biografię ojczyma.

[2]) »Wiedz o tem,
Że Cezar krzywdy nie czyni nikomu,

zda polarna«. Gest zasłonięcia twarzy na widok Brutusa między mordercami zastąpił poeta przysłowiowym łacińskim okrzykiem: *Et tu, Brute!* Niema tych słów u Plutarcha, ale żyły w tradycyi ustnej i często się rozlegały ze sceny renesansowej [1]).

Po zamordowaniu, tak samo jak przed niem, poeta w jeden sceniczny kompleks ściąga wypadki, u Plutarcha rozdzielone czasem i miejscem. Pomija zupełnie uchwałę senatu, ustanawiającą ogólną amnestyę, nadającą prowincye i honory Brutusowi i jego wspólnikom, i przyznającą Cezarowi pogrzeb z honorami boga; korzysta natomiast, choć nie w całej pełni, z opowiadania o uznaniu przez senat wysiłków Antoniusza nad przywróceniem porozumienia z zabójcami. Zarówno w »Cezarze« jak w »Brutusie« opowiada Plutarch, że Brutus na drugi dzień po zabójstwie wygłosił mowę, którą lud przyjął milczeniem szacunku: w dramacie jest krzykliwy zapał, niemal że równie głośny, jak potem po przeciwnej mowie Antoniusza. O tej Plutarch wspomina w życiorysach Brutusa i Antoniusza; w »Cezarze« mówi tylko, że roznamiętniła lud wiadomość o testamencie Cezara i widok jego zwłok; skutki są te same co w dramacie, nie wyłączając epizodu z Cinną (III, 3) [2]). W »Brutusie« jest opozycya Kasyusza przeciw udzieleniu Antoniuszowi pozwolenia na mowę pogrzebową; w »Antoniuszu« pokazywanie podziurawio-

---

I nie bez słusznych powodów wymaga,
Aby mu stało się zadość«.

Ben Jonson w swych notatkach krytycznych, zebranych pod nazwą *Discoveries,* czyni uwagę, że Shakespeare w swym górnolotnym stylu czasem popadał w śmieszność, i jako przykład przytacza te właśnie wiersze, które według niego brzmieć miały:

»Wiedz, że Cezar nigdy
Krzywdy nie czyni bez słusznych powodów...«

Może być, że taką niedorzeczność istotnie kiedyś na przedstawieniu przez omyłkę wygłosił aktor trupy shakespearowskiej, i to podchwycono jako autentyczny tekst; — a może i poecie raz powinęło się pióro!

[1]) Znajdujemy je w nieautoryzowanym druku trzeciej części »Henryka VI« z roku 1595.

[2]) Według »Brutusa« Plutarcha jeden Cinna chciał wypowiedzieć mowę przeciw pamięci Cezara, ale go lud nie dopuścił do głosu; potem zaś na pogrzebie drugi Cinna za tożsamość nazwiska z tamtym przypłacił życiem; i tu wspomina Plutarch, że ten drugi był poetą, — co daje Shakespearowi temat do brutalnego żartu motłochu: »Rozszarpać go za kiepskie wiersze!«

nego od sztyletów płaszcza, wybuch furyi tłumu i ucieczka sprzysiężonych. W żadnej z trzech biografii niema parafrazy lub streszczenia przemówień Brutusa i Antoniusza[1]: znowu tu więc Shakespeare — tak samo jak poprzednio namowy Kasyusza i nocne tło narady spiskowych — główny, nieśmiertelnie żywotny czynnik dramatycznego wrażenia zupełnie samodzielnie stworzył.

Streszczając historyę sprzysiężenia w trzech wielkich obrazach scenicznych, zdołał poeta pomieścić w ich ramach mnóstwo drobniejszych faktów, epicznym porządkiem opowiedzianych przez Plutarcha. W drugiej połowie dramatu streszczać wypadło daleko radykalniej, przeskakując poprostu całe szeregi wypadków. Zachowanie Antoniusza w dramacie ma od początku znamiona dokładnej świadomości celu; pojednanie z mordercami, jak sam w monologu nam powiada, jest komedyą; w pierwszej scenie czwartego aktu drugi tryumwirat staje przed nami już jako fakt dokonany; w następnej widzimy Brutusa i Kasyusza już na wyprawie wojennej w Azyi Mniejszej. U Plutarcha postępowanie Antoniusza tak konsekwentne nie jest; przedstawia ono obraz najpierw strachu i konsternacyi — ukrywa się w ubraniu niewolnika — potem dążności do załagodzenia całej sprawy i do pokoju w mieście i państwie — stawia w senacie wniosek o amnestyę, posyła zabójcom syna jako zakładnika, zaprasza do siebie Kasyusza —; wreszcie w trzeciem stadyum dopiero, gdy wszystko wokół z zaufaniem zwraca się do niego, zaczyna w nim grać ambicya: rządzi Rzymem w imię rzekomych zleceń Cezara. Droga do tryumwiratu prowadzi przez długie niesnaski między nim a Oktawiuszem, wojnę domową, klęskę Antoniusza i konferencyę w Bononii. Shakespeare, pomijając ten szmat historyi, zupełne porozumienie między tymi dwoma dyplomatami przeciwstawia fatalnej niezgodzie usposobień po stronie przeciwnej. Brutus u Plutarcha już po opuszczeniu Rzymu, bawiąc w Antium, wielkim kosztem i staraniem urządza jako pretor igrzyska dla ludu, choć sam na nie przybyć nie może. Po-

---

[1]) O mowie Antoniusza i jej wrażeniu na tłum opowiada A p p i a n u s w dziele *De Bellis Civilibus* (VII, 144—6), które było dostępnem dla Shakespeara w tłómaczeniu angielskiem z roku 1578; ale i on mowy samej nie odtwarza, i żadnego z głównych jej momentów w dramacie Shakespeare u niego nie znalazł.

tem pożegnanie z Porcyą, dłuższy pobyt w Atenach na studyach filozoficznych, wreszcie pierwsze kroki wojenne: zbieranie sił wojskowych i zasobów, przewagi w Macedonii, przeprawa do Azyi; w Rzymie za sprawą Oktawiusza, wybranego konsulem, wyrok śmierci na Brutusa i Kasyusza. Wezwawszy do siebie Kasyusza z Syryi, Brutus spotyka się z nim pod Smyrną. Tu Plutarch ponownie zasadniczo kontrastuje ich charaktery: choleryczność, samowolę i brak taktu u Kasyusza przeciwstawia pokorze, spokojowi, sprawiedliwości Brutusa, który jeden w tych czasach intryg i prywaty nie pragnie władzy dla siebie. Kasyusz prowadzi wojnę bezwzględnie i okrutnie, Brutus łagodnie i humanitarnie. Dwie są u Plutarcha sceny zwady między nimi: o pierwszej opowiada Plutarch tylko ogólnikowo, z drugiej przejął poeta kilka początkowych argumentów Brutusa w trzeciej scenie czwartego aktu. Z Plutarcha pochodzi także końcowa interwencya cynika — w biografii bogatsza w rysy komiczne. Poza tem ta czwarta z rzędu wielka scena dramatu znowu samodzielnie przez poetę jest ukształtowana.

U Plutarcha, tak samo jak w dramacie, Brutus dwukrotnie przed ostateczną klęską ma widzenie; Plutarch, opowiadając o tem i w »Cezarze« i w »Brutusie«, oba razy mówi tylko o »zjawisku potwornego kształtu«, o »mężu straszliwego wyglądu i wzrostu«, wreszcie o »duchu«; ale utożsamienie z postacią Cezara jest dziełem dramaturga, który tutaj, tak samo jak w »Hamlecie« i »Makbecie«, zastosował się poprostu do praktyki, za wzorem Seneki powszechnie panującej w renesansowym teatrze angielskim. Inne złe wróżby przed walką — uzupełnione w sprawozdaniu na początku piątego aktu — przejął poeta wiernie i bez zmiany z Plutarcha, tak samo jak w pierwszej połowie dramatu znaki i przepowiednie przed śmiercią Cezara; pominął tylko omina, zachodzące między śmiercią Kasyusza a Brutusa, jak pominął wszystko, co u Plutarcha dzieli te wypadki. Z Plutarcha wreszcie pochodzi charakterystyczna różnica zdań między wodzami: Brutus radzi wydać, Kasyusz odwlec, rozstrzygającą bitwę.

Obraz tej bitwy, podobnie jak w pierwszej części »Henryka IV«, wypełnia akt końcowy. Nie tylko sam fakt zresztą, ale i technika szczegółów żywo przypomina styl dramatów królewskich: homeryckiej szermierki na słowa między przywódcami niema u Plutarcha ani w »Brutusie«

ani w »Antoniuszu«. Jest za to u niego prawie dosłownie motyw urodzin Kasyusza i serdeczne pożegnanie z Brutusem. U Plutarcha Kasyusz śmiechem rozprasza melancholię Brutusowej zapowiedzi samobójstwa w razie klęski; u Shakespeara z głębokiem wzruszeniem powtarza słowa ostatnich pozdrowień: w tym szczególe wyraźniej, niż gdziekolwiek, uwydatnia się tendencya autora do wykazania wzrastającego wpływu szlachetnej natury Brutusa nawet na najsilniejszą z otaczających go indywidualności.

Dwie katastrofy, któremi kończy się historya spisku, ściągnął poeta w jeden kompleks scen, tak samo jak w jednym obrazie zamknął rozwój sprzysiężenia, w jednym przewrót w opinii rzymskiej po śmierci Cezara, w jednym pierwsze stadya wojny. U Plutarcha Kasyusz pada w jednej bitwie, Brutus w drugiej, późniejszej; w dramacie w chwili śmierci Kasyusza, jak Brutus powiada (V, 3), jest godzina trzecia: ta sama u Plutarcha, gdy Brutus rozpoczyna drugą bitwę, tylko w inny dzień; chwytamy tu dramaturga niejako na gorącym uczynku czarodziejskich manipulacyi chronologicznych, przez które tak stanowczo narzuca czytelnikom i widzom wrażenie ciągłości akcyi. Między pierwszą a drugą bitwą jest u Plutarcha szereg epizodów; najważniejszym z nich porażka transportu zapasów dla Antoniusza i młodego Cezara na morzu, w tym samym dniu, co śmierć Kasyusza na lądzie. »Bóg zrządził«, czytamy w angielskim Plutarchu, »że ta wiadomość, która mogła zmienić cały obrót wojny, doszła Brutusa zapóźno: tak zginął w chwale zasad republikańskich, zaś żyw i zwycięski, byłby z konieczności został tyranem, bo takiego a nie innego rządu stan Rzymu już się wtedy domagał«. Z tego motywu tragicznej ironii i z tej pięknej nad nim refleksyi nie mógł już skorzystać dramaturg, w jednym dniu i jednem miejscu zamykający rachunki obu wodzów spisku z cezaryzmem.

Same sceny ich zgonu są wierną kopią dramatyczną końcowych ustępów żywotu Brutusa. Szczególnie dokładnie przejmuje poeta nader przydatne dla niego okoliczności tragicznej śmierci Kasyusza: jest u Plutarcha ta cała jego nieszczęsna omyłka, jest nawet fakt krótkiego wzroku. Śmierć Brutusa, jakby gronem hołdowników dla jego heroizmu, otoczona jest epizodami, z których Shakespeare nie wszystkie mógł i chciał w zupełności zużytkować. Przejął pojmanie Luciliusa, podającego się za wodza;

przejął bohaterski skon młodego Katona; w dwóch wierszach tylko wspomina wysłanie na wywiady Statiliusa [1]); u Plutarcha jest potem także konwencyonalny motyw picia na ucieczce wody, hełmem czerpanej pod strzałami nieprzyjaciół; — wreszcie teatralny gest Brutusa, który na słowa: »Uciekać musimy«, odpowiada: »Uciekać musimy zaiste, ale nie nogi, lecz ręce nam będą ucieczki narzędziem«. Późniejszy epilog — przyjęcie Stratona w służbę Oktawiusza za to, że »wyświadczył Brutusowi ostatnią przysługę« — Shakespeare włączył do wypadków na polu bitwy; zamiast zarządzeń co do pogrzebu Brutusa, w których u Plutarcha Antoniusz okazuje zwykłą swą hojność, Shakespeare ostatniemu obrońcy rzeczypospolitej wypowiada wspaniały nekrolog przez usta tego, o którym już wtedy może myślał jako bohaterze dalszego dramatu z dziejów rzymskich.

* * *

Shakespeare nazwę Cezara nadał dramatowi, który zdaje się mieć dwóch bohaterów — dyktatora i republikanina — i dwie katastrofy, jedną w połowie, drugą na końcu. Nic dziwnego, że wyłoniło się przypuszczenie — wyraził je Fleay — iż połączone są w dramacie dwie odrębne pierwotnie tragedye: »Upadek Cezara« i »Zemsta Cezara«. Taka koncepcya odpowiadałaby w zupełności nader popularnemu na ówczesnej scenie angielskiej typowi dramatycznemu »tragedyi zemsty«, zwykle z udziałem ducha zamordowanej osoby w drugiej części akcyi, jak to się dzieje i w »Cezarze«. Arcywzorem tej klasy utworów, wywodzącej się od uwielbianego przez erę humanistyczną Seneki, — w Anglii była »Tragedya hiszpańska« Kyda; arcydziełem jej jest »Hamlet«. I to i tamto, co prawda, to drugie części tylko, dramaty zemsty samej, zaczynające się po zamordowaniu i od pojawienia się ducha. Ale do »Tragedyi hiszpańskiej« anonimowy jakiś autor uważał za potrzebne dorobić część pierwszą, a najbardziej natchniony z naśladowców »Hamleta«, Chapman, w dwóch oddzielnych dramatach z niedawnej historyi francuskiej przedsta-

---

[1]) »Statilius światło pochodni ukazał« (u Paszkowskiego mylnie: »ujrzał był«),
»Lecz sam nie wrócił: snadź wzięty lub zginął« (V, 5).

wił świetne powodzenia i skrytobójczą śmierć dworzanina Henryka III, imieniem Bussy d'Ambois, a potem zemstę za jego zamordowanie, dokonaną po hamletowskich dumaniach przez jego brata Clermonta. Shakespeare, łącząc oba tematy w jednym utworze, za tytuł obrał poprostu nazwisko najdostojniejszej w dramacie osoby, jak to zalecała pisarzom renesansowym poetyka Scaligera; tak samo później dramat małżeński Postumusa i Imogeny nazwał imieniem monarchy »Cymbelin«.

Pozostawiając jednak na boku nieprawdopodobne spekulacye o pierwotnym podziale materyału na dwa dzieła, znajdujemy się wobec głównego zagadnienia, jakie krytyce estetyczno-dramaturgicznej zawsze zadawał »Juliusz Cezar«: czy mamy przyjmować ten utwór poprostu jako dramatyczną kronikę wielkich wypadków dziejowych, rozmieszczonych u Plutarcha na kartach trzech biografii, — czy też mamy prawo podziwiać w dramacie umiejętnie zwartą budowę o jednolitej, organicznie powiązanej treści psychologicznej? Jeszcze w roku 1841 wielki poeta dramatyczny Grillparzer zapisuje w swym dzienniku opinię taką: »Jakkolwiek rzecz weźmiemy, »Juliusz Cezar« nie jest sztuką dobrą. Pierwsze trzy akty doskonale dramatyczne, potem się rwie i interes staje się ściśle historyczny. Nowy kontrast między bezinteresownością Brutusa a osobistą ambicyą i zawiścią innych (IV, 3) — nie wyzyskany konsekwentnie; ostatecznie — wydarzenia, nie akcya«. W krytyce dzisiejszej nie ulega wątpliwości, że Shakespeare od początku dramatu całą siłą twórczego umysłu się stara — i stara się z powodzeniem — o stworzenie i utrzymanie jedności akcyi. Mścicielem Cezara są nie ludzie, lecz sam cezaryzm jako siła i konieczność dziejowa. Właściwym jej symbolem i osobistym wykonawcą pomsty mógłby się w dramacie o takiem ideowem ujęciu stać przyszły władca Rzymu — Oktawiusz; ale temu na przeszkodzie stała większa u Plutarcha plastyka postaci Antoniusza, większe dla niej zainteresowanie poety, większa wreszcie czynna rola Antoniusza w pierwszych wypadkach po śmierci Cezara. Shakespeare nawet nie przejmuje z Plutarcha faktu, że Oktawiusz był adoptowanym synem i prawnym spadkobiercą Cezara; Oktawiusz pozostaje w półcieniu, tak samo jak zupełnie na boku pozostaje Cycero, którego działalność w czasie między zamordowaniem Cezara a powstaniem tryumwiratu Plutarch uwydatnia.

Jak w pierwszej połowie dzieła spiskowcy z Brutusem na czele stoją naprzeciw Cezara, tak w drugiej naprzeciw nich stoi duch dyktatora, ukazujący się Brutusowi. Ten zasadniczy kontrast jako główny temat utworu poeta jakby dobitnie przypomnieć chciał słuchaczom w słowach Brutusa w dniu klęski (V, 3):

»Jakżeś ty jeszcze potężny, Juliuszu!
Duch twój wkoło nas krąży i obraca
Oręże nasze w własne nasze piersi«.

I Brutus i Kasyusz, konając, wołają językiem bardziej już zbliżonym do konwencyonalnej terminologii »dramatów zemsty«: »Pomszczonyś, Juliuszu!« (V, 3). — »Cezarze, teraz bądź zaspokojony!« (V, 5).

Wypowiedziana tak bezpośrednio i wyraźnie intencya artystyczna jasno także uzasadnia »drażniącą« (jak powiada Dowden) charakterystykę Cezara w pierwszych aktach. Musiał poeta portret pana Rzymu nakreślić jako obraz próchnienia i dekadencyi wielkiej natury, by Cezar ogromem swej przeszłości nie przygniótł otoczenia, by słuchacze mogli się zająć obozem spiskowców i sympatyzować z nimi, by dramat mógł mieć dalszy ciąg po zamordowaniu Cezara. Im słabszy on w zachodzie swego słońca ziemskiego, tem potężniejszy duch jego w pozgonnej walce.

Wynikałaby słuszność twierdzenia, często wypowiadanego w paradoksalnej formie, że »heros eponymos« utworu, to nie Juliusz Cezar, lecz duch Cezara; cały dramat, jak drzewo z korzeni, zdaje się wyrastać z lapidarnych słów Plutarcha pod koniec życia Cezara: »Wielkie powodzenie i szczęście, które sprzyjało mu przez całe życie, trwało dalej w zemście za jego śmierć, ścigając zabójców na morzu i lądzie, aż ze wszystkich, co współdziałali czynem lub radą w spisku na jego życie, nie pozostał ani jeden, coby był uszedł zagłady«.

Ale dramat i wyobraźnia ludzka potrzebują cielesnego bohatera, nie idei ani widma: i tego bohatera dostarczył Shakespearowi Plutarch, pisząc jakby krwią serdeczną żywot Brutusa. Shakespeare z widocznem przejęciem, z miłością i uwielbieniem nakreślił w Brutusie prawdziwy po wszystkie czasy, w literaturze i w życiu nieskończone razy powtarzający się obraz tragicznej niezdatności szlachetnego ideologa do praktyki politycznej. Charakter Brutusa jako

najbardziej wykończony w dramacie, posągowy w swej jednolitości i konsekwencyi, zawsze był przedmiotem najgorętszego podziwu; pokorny głos krytyki przeciwko jego rozmyślaniom na początku drugiego aktu ośmielił się podnieść Coleridge: istotnie Brutus w tym jednym momencie jakoby się chwieje w swych zasadach; jakby nie był doktrynerem republikańskim, o władzy królewskiej mówi tylko jako o niebezpiecznem narzędziu w rękach ambitnego człowieka; jakby nie był fanatykiem obowiązku obywatelskiego, zapomina w swej miłości dla Cezara, że zwycięzca Pompejusza niezawsze się powodował tylko dobrem powszechnem i »uczuciem słuszności«.

Że Brutus dla poety jest stanowczo i świadomie centralną figurą utworu, o tem świadczy także fakt, iż — zupełnie w myśl Plutarchowego przedstawienia rzeczy — postać Kasyusza, równie mistrzowsko rysowana, najwyraźniej służy głównie charakterystyce tamtego przez kontrast: jego czysto osobista, zazdrosna zawiść do Cezara, jego oportunistyczny realizm w dyplomacyi i wojnie stanowią *repoussoir* dla najszlachetniejszych przymiotów Brutusa. Tak samo przebiegły Antoniusz, którego plastyczne przedstawienie zamknięte jest właściwie w ramach trzeciego aktu, w tych najwspanialszych może partyach utworu, dając głos monarchicznemu bałwochwalstwu tłumu, przeciwstawia tę potęgę wzniosłej bezinteresowności i bezstronności Brutusa.

Jeżeli obrońca ginącej republiki, tak samo jak w chwili powstania spisku był najbardziej poważanym obywatelem Rzymu, tak w całym dramacie jest najbardziej przez poetę uwielbianą postacią, nie można z tego jeszcze — jak to w entuzyazmie dla republikańskich ideałów swej epoki uczynił poeta Swinburne — wyciągać ogólnikowego wniosku, że dramat jest rehabilitacyą poety wobec historycznej idei republikanizmu, deklaracyą jego sympatyi dla niej. Kwestya, czy lepsza republika czy monarchia, jak słusznie zauważył oxfordzki krytyk Raleigh, wcale nie była żywotną u prawowiernie monarchistycznej generacyi shakespearowskiej; przytem pisarz dramatyczny mocą swojego rzemiosła musi być indywidualistą i poniekąd arystokratą; sztuka jego nie ma środków do uzmysłowienia ideałów demokratycznych. Że natomiast ma środki niepospolite do ukazania słabości i szkodliwości demokracyi, to czynem udowodnił Shakespeare — nigdzie doskonalej, jak właśnie

w »Juliuszu Cezarze«: do najwymowniej wychwalanych, i najbardziej podziwienia godnych cudów jego techniki należy umiejętność operowania na scenie tłumem, sztuka wyciągania z pośród niego to tej, to owej, to jednej, to kilku postaci, by wyrazić, co w danej chwili kiełkuje w mózgach lub przenika serca. Lud w »Cezarze« jest tą samą chwiejną, jak trzcina, nierozumną i chciwą, niewychowaną i cuchnącą zbieraniną, co już w »Henryku VI«, i później jeszcze w »Koryolanie«. Tragedya Brutusa jest nie tylko nieuniknioną tragedyą teoretyzującego idealizmu, nie tylko nieuchronną tragedyą wszelkiego spiskowania rewolucyjnego, ale jest tragedyą niewygasłej a nieziszczalnej iluzyi demokratycznej. Tę samą tragiczną iluzyę uwiecznia VII księga »Pana Tadeusza«, tę samą — z bardziej świadomem już wspomnieniem Shakespeara — przedstawia scena kapitolińska w »Legionie« Wyspiańskiego.

Z tem przechodzimy do wielkiego i stałego wpływu tego dramatu na literacką potomność. Główne naśladowania i parafrazy starannie zestawił Max Koch.

Do klasycystów XVIII stulecia »Juliusz Cezar« przemawiać musiał silniej od innych dramatów Shakespeara, jako klasyczny nie tylko przedmiotem, ale poniekąd i formą: prawie że niema domieszki komicznej; szlachetni Rzymianie zawsze przemawiają z majestatyczną powagą, jakby przejęci doniosłością dziejową swych spraw i przedsięwzięć; przyczynia się do tego okoliczność, że zawsze prawie na scenie znajduje się tłum słuchaczy — sprzysiężeni, lud, wojsko — i przemówienia głównych aktorów wskutek tego mają retoryczno-deklamatorski charakter. Podobny z tych wszystkich względów do dzieł panującej szkoły francuskiej, »Juliusz Cezar« stał się jednym z pierwszych utworów Shakespeara, które przyswoili sobie i Francuzi i Niemcy. Niema oczywiście w tej epoce jeszcze zrozumienia dla tematycznej jedności dzieła: John Sheffield, książę Buckingham, przerabiając rzecz na scenę w guście swego wieku, dzieli ją na dwa dramaty, »Cezar« i »Brutus« 1722; tak samo czyni Włoch Conti w swych dramatach »Cezar« i »Brutus« (1726); temat części drugiej tylko — losy Brutusa — dramatyzuje potem Alfieri. We Francyi Voltaire zajmuje się głównie częścią pierwszą: z niej przejmuje motyw posiedzenia senatu jako śmiałą innowacyę sceniczną do swego dramatu o Brutusie starszym (1730); ją czyni przedmiotem swego dramatu *La mort*

de César (1736); ją wreszcie (akty I—III) wydaje w tłómaczeniu francuskiem z »obserwacyami« krytycznemi (1764). W Niemczech tłómaczenie »Cezara« w aleksandrynach przez Borcka (1741) staje się punktem wyjścia dla krytyki shakespearowskiej, zrazu naturalnie polemicznej. Szwajcarski teoretyk-entuzyasta Bodmer w późniejszych swych latach napisał kilka dramatów o przedmiotach shakespearowskiego »Cezara«: »Juliusz Cezar« (1763), »Oktawiusz Cezar« (1768/9), »Brutus i Kasyusz« (1782). Lessinga temat shakespearowski natchnął w młodości do wiersza »Spiskowcy przeciw Cezarowi« (1751); tak samo młody Schiller w »Zbójcach« (IV, 5) każe bohaterowi deklamować dyalogowaną balladę o spotkaniu cieniów Brutusa i Cezara w podziemiu. Herder napisał libretto operowe »Brutus« (1772—4). Goethe nosił się wcześnie z planem dramatu o Cezarze, z czego pozostało kilka urywków; radził mu opracować dramatycznie ten przedmiot jeszcze Napoleon przy spotkaniu w Erfurcie w roku 1808, oczywiście z myślą o apoteozie Cezara i cezaryzmu. Apoteozą ideałów przeciwnych, ideałów Brutusa, jest republikański »Tell« Schillera, najpamiętniejszy po »Cezarze« dramatyczny obraz spisku i rewolucyi. Do powstania tego najpiękniejszego pomnika potęgi »Juliusza Cezara« nad fantazyą poetów potomnych przyczynił się Goethe, wprowadzając dramat shakespearowski w roku 1803 na scenę weimarską; przed nim we własnej parafrazie (na podstawie tłómaczenia Wielanda) wystawił był to dzieło Shakespeara w Niemczech już Dalberg (1785), a po Goethem niejednokrotnie nowe jeszcze święciło tryumfy, i zawsze szczytnym będzie przedmiotem reżyserskich i aktorskich ambicyi największych scen w Niemczech i w całym świecie cywilizowanym.

OSOBY:

Juliusz Cezar.	
Oktawiusz Cezar, **Marek Antoniusz,** **M. Emiliusz Lepidus,**	Tryumwirowie po śmierci Cezara.
Cycero, **Publiusz,** **Popiliusz Lena,**	Senatorowie.
Marek Brutus, **Kajusz Kasyusz,** **Kaska,** **Treboniusz,** **Ligaryusz,** **Decyusz Brutus,** **Metellus Cymber,** **Cynna,**	Sprzysiężeni przeciwko Cezarowi.
Flawiusz, **Marullus,**	Trybunowie ludu.
Lucyliusz, **Tycyniusz,** **Messala,** **Młody Kato,** **Wolumniusz,**	Przyjaciele Brutusa i Kasyusza.
Warro, **Klitus,** **Klaudyusz,** **Strato,** **Lucyusz,** **Dardaniusz,**	Słudzy Brutusa.

Pindarus, sługa Kasyusza.
Artemidorus, sofista z Knidos.
Wieszczbiarz.
Cynna, poeta.
Wierszopis (Fawoniusz).
Kalpurnia, żona Cezara.
Porcya, żona Brutusa.

Senatorowie. Lud. Obywatele. Straż.

Scena w pierwszych trzech aktach w Rzymie, w czwartym koło Sardes, w piątym pod Filippami.

JULIUSZ CEZAR.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

Ulica w Rzymie.

(Wchodzą: Flawiusz, Marullus i obywatele).

Flawiusz. Precz stąd! do domu... włóczęgi! próżniaki!
Czyż to dziś święto? Cóż to? czy nie wiecie,
Że w dzień powszedni wam, ludziom rzemiosła,
Nie wolno chodzić bez oznaki cechu?
Mów, jaki cech twój?
Pierwszy obywatel. Panie! jestem cieślą.
Marullus. Gdzież twój skórzany fartuch, twoja linia?
Czemuś się ubrał w twe najlepsze suknie?
Ty co za jeden?

Drugi obywatel. Prawdę powiedziawszy, panie! to w porównaniu z innemi wykwintnemi rzemiosłami, moje jest sobie tylko łataniną.

Marullus. Ale jakiegoś rzemiosła? Mów bez ogródki!

Drugi obywatel. Rzemiosła, panie, które, zdaje mi się, mogę prowadzić z czystem sumieniem; to jest, ja naprawiam złe postępowanie.

Marullus. Ale jakiegoś rzemiosła, łotrze! jakiego rzemiosła?

Drugi obywatel. Proszę, niechaj panu nie rwie się cierpliwość; a jeśli się panu co porwie, to ja mogę naprawić.

Marullus. Jak to rozumiesz, gapie! mnie naprawić?

Drugi obywatel. Tak jest, załatać, co się panu podrze.
Flawiusz. Więc jesteś łataczem obuwia? tak?
Drugi obywatel. W istocie, panie, że zarabiam szydłem [1]), jestem chirurgiem starych podeszew; gdy są w niebezpieczeństwie, ratuję je.
Flawiusz. Ale dlaczego nie jesteś w twym sklepie?
Czemu tych ludzi wodzisz po ulicach?
Drugi obywatel. Dlatego, panie, aby schadzali swoje obuwie, a ja miał zarobek. Zresztą, w istocie my dzisiaj świątkujemy, aby zobaczyć Cezara i cieszyć się jego tryumfem.
Marullus. Czegoż się cieszyć? jakąż zdobycz niesie?
Jakiż to naród podbity do Rzymu
Za tryumfalnym swoim wozem wlecze?
Wy kloce! głazy! bezduszne bałwany!
Ludzie bez serca! ze Rzymian najgorsi!
Czyście nie znali niegdyś Pompejusza?
Jakżeście często łazili na mury,
Na okna, wieże, nawet na kominy...
Z dziećmi na ręku tam siadywaliście,
Cały dzień boży czekając cierpliwie,
Aby zobaczyć wielkiego Pompeja,
Jak się przesuwał przez ulice Rzymu;
A gdyście z dala jego wóz ujrzeli,
Nie podnosiliżeście takiej wrzawy,
Że nieraz Tyber zadrżał w swojem łożu,
Słysząc jak echo waszego okrzyku
Jego skaliste powtarzały brzegi?
A dziś najlepsze przywdziewacie suknie,
Dzisiaj tworzycie sobie dzień świąteczny,
I temu kwiaty sypiecie po drodze
Co tryumfuje zbroczon krwią Pompeja!
Ruszajcie!
Śpieszcie do domów i tam na kolanach
Módlcie się bogom, niech odwrócą klęski,
Które za taką niewdzięczność spaść muszą.
Flawiusz. O! idźcie, dobrzy współobywatele!
Zgromadźcie wszystkich waszych biednych braci,
I za tę winę, idźcie nad brzeg Tybru
Zlewać do rzeki wasze łzy tak długo,

---

[1]) Część tej mowy, dla gry słów, w oryginale tylko zrozumiałej, nieprzetłómaczona została. (Przyp. tłómacza).

Żeby aż miejsce najpłytsze strumienia
Jego najwyższe całowało brzegi!
(Lud się rozchodzi).
Patrz! jak już żużle w ich łonie stopniały!
Pierzchli w milczącem uznaniu swej winy.
Ty idź tą drogą w dół, do Kapitolu...
Ja pójdę tędy. Z posągów po drodze,
Gdy spotkasz, zedrzyj świąteczne ozdoby.
Marullus. Lecz czyż możemy na to się odważyć?
Wszak wiesz, że teraz święta Luperkalskie.
Flawiusz. To nic nie znaczy! na żadnym posągu
Niechaj nie wiszą trofea Cezara!
Pójdę po mieście spędzać lud z ulicy,
I ty tak uczyń, kędy ścisk napotkasz.
Jeśli wydrzemy ze skrzydeł Cezara
Rosnące pierze, musi nizko latać;
On, co inaczej uniósłby się w górę,
Gdzie nie dosięgnie ludzki wzrok, i wszystkich
Nas w niewolniczej trzymałby bojaźni.
(Wychodzą).

SCENA II.

Tamże. Plac publiczny.

(Wchodzą w procesyi z muzyką: Cezar, Antoniusz przybrany do gonitw, Kalpurnia, Porcya, Decyusz, Cycero, Brutus, Kasyusz i Kaska. — Wielki tłum ludu za nimi — między ludem wieszczbiarz).

Cezar. Kalpurnio!
Kaska *(do muzyki).* Cicho! Cezar mówi.
(Muzyka przestaje grać).
Cezar. Kalpurnio!
Kalpurnia. Jestem tutaj, mężu!
Cezar. Prosto na drodze stań Antoniuszowi,
Gdy na wyścigi będzie biegł do mety.
Ho! Antoniuszu!
Antoniusz. Szlachetny Cezarze!
Cezar. O! nie zapomnij dotknąć Kalpurnii
Śród twego biegu. Niepłodne niewiasty,
Jak mówią starzy, dotknięte w gonitwie,
Zrzucają z siebie niepłodności klątwę.

Antoniusz. Będę pamiętał. Kiedy Cezar powie:
»Zrób tak!« — to dzieło już jest dokonane.
Cezar. Zacząć igrzyska! zachować obrzędy!
Wieszczbiarz. Cezarze!
Cezar. Kto woła?
Kaska. Niechaj gwar ucichnie!
(Do muzyki).
Cicho raz jeszcze!
(Muzyka ustaje).
Cezar. Kto wołał śród tłumu?
Głos usłyszałem, co przez gwar muzyki
Przebił się do mnie, wołając: »Cezarze!«
Mów! Cezar słucha.
Wieszczbiarz. Strzeż się Idów marca.
Cezar. Kto jest ten człowiek?
Brutus. Wieszczbiarz, co ostrzega
Ciebie, Cezarze, przed Idami marca.
Cezar. Niech się przede mną stawi, abym widział
Jego oblicze.
Kaska. Wyjdź z tłumu, wieszczbiarzu!
Patrz na Cezara.
Cezar. Coś mi mówił teraz,
Powtórz raz jeszcze.
Wieszczbiarz. Strzeż się Idów marca.
Cezar. Och! to marzyciel! Dajmy jemu pokój.
(Daje znak ręką, marsz wojenny, wszyscy oprócz Brutusa i Kasyusza wychodzą).
Kasyusz. Pójdziesz obaczyć igrzysko gonitew?
Brutus. Nie.
Kasyusz. Proszę cię, pójdź!
Brutus. Ja igrzysk nie lubię;
Mnie braknie nieco tej żywości ducha,
Co ma Antoniusz. Tobie w twoich chęciach
Nie chcę przeszkadzać; żegnam cię, Kasyuszu!
Kasyusz. Słuchaj, Brutusie! Od pewnego czasu
Uważam ciebie, i w twojem obliczu
Już nie spostrzegam owej życzliwości,
Którą mi dawniej okazywać zwykłeś;
Nadto się stałeś obcym, nadto skrytym
Dla przyjaciela, który ciebie kocha.
Brutus. Och! jesteś w błędzie. Jeślim wzrok zachmurzył,
To troska, którą widzisz w mojej twarzy,
Li mnie się tyczy. Od jakiegoś czasu

Różne uczucia mną miotają sprzeczne,
I myśli, które tylko mnie obchodzą...
To jeśli przeto mam stroskaną postać,
Niechaj to moich nie martwi przyjaciół,
Do których ciebie liczę, mój Kasyuszu;
Ani już innej chciej szukać przyczyny,
Że biedny Brutus, sam z sobą we wojnie,
Źle okazuje swą miłość dla drugich.
Kasyusz. A więc, Brutusie! źlem zrozumiał smutek,
Który cię tłoczy, i dlategom w duszy
Knuł wielkie myśli i ważne zamiary.
Powiedz, czy możesz widzieć twarz swą własną?
Brutus. Nie — bo nie widzi oko samo siebie,
Tylko w odbiciu, przez inne przedmioty.
Kasyusz. Tak jest! I wielu skarży się, Brutusie,
Że nie posiadasz takiego zwierciadła,
Coby twą wartość odbiło ci własną,
Ażebyś cień swój własny mógł obaczyć.
Słyszałem nieraz najzacniejszych Rzymian,
Nieśmiertelnego wyjąwszy Cezara,
Jak rozmawiając nieraz o Brutusie,
I pod tych czasów stękając uciskiem,
Pragną, by Brutus patrzał ich oczyma.
Brutus. Kasyuszu! jakże niebezpieczną drogą
Chodzić mi każesz; chcąc, bym szukał w sobie,
To, czego niema we mnie.
Kasyusz. I dlatego,
Drogi Brutusie! słuchaj mię z uwagą;
Gdy wiesz, że widzieć nie możesz sam siebie
Li przez odbicie; ja, twoje zwierciadło,
Tobie samemu chcę pokazać skromnie,
To, co jest w tobie, o czem nie wiesz jeszcze.
A nie bądź względem mnie nieufnym, bracie! [1])
Gdybym był jednym z śmiejącej się zgrai,
Lub z tych, co zwykli powszednią przysięgą
Narzucać przyjaźń pierwszemu lepszemu;
Lub gdybyś wiedział, że ja ludzi głaszczę,
Potem spotwarzam, albo że należę

---

[1]) Kasyusz był szwagrem Brutusa, pojąwszy za żonę jego siostrę, Junię. Tak dla tego pokrewieństwa, jak dla wielkiej ich przyjaźni, Kasyusz nazywa go bratem.

(Przyp. tłómacza).

Do powszedniego biesiadników tłumu,
Wtedybyś słusznie mógł mnie się obawiać.
(Słychać krzyk i wrzawę za sceną).
Brutus. Co te okrzyki znaczą? ja się lękam,
Czy lud Cezara królem nie ogłasza!
Kasyusz. Lękasz się tego? a więc wnosić muszę,
Brutusie, żebyś nie chciał, by tak było.
Brutus. Tak, nie chcę tego; a jednak go kocham.
Ale dlaczegoż tu mię zatrzymujesz,
Kasyuszu? co mi masz do udzielenia?
Jeśli to dobra ojczyzny się tyczy,
To śmierć i cnotę staw mi przed oczyma,
Z zimną krwią będę na oboje patrzeć;
Bo tak niechaj mi bogowie pomogą,
Że bardziej cnota memu sercu droga,
Niźli śmierć straszna.
Kasyusz. Znam tę wartość w tobie,
Równie jak dobrze znam twą powierzchowność.
Więc tak jest — cnota jest mej mowy treścią.
Nie wiem, Brutusie, co ty, lub co inni
Ludzie o życiu sądzą; lecz co do mnie,
Wolałbym nie żyć, niźli żyć w bojaźni
Przed drugą taką, jak ja sam, istotą.
Jam się urodził wolny, tak jak Cezar...
Ty również, bracie! pokarm nasz jednaki;
Jak on, zarówno mróz znosić potrafim.
Raz, kiedy czas był burzliwy i ostry,
I Tyber dziko tłukł o brzegi falą,
Cezar rzekł do mnie: »Czyżbyś się odważył,
Kasyuszu, skoczyć ze mną w bystre prądy,
I tam dopłynąć aż do tego miejsca?«
Na to, jak stałem w sukniach, tak skoczyłem,
I jemu płynąć kazałem za sobą.
On tak uczynił; strumień ryczał groźnie,
Myśmy go bili silnemi ramiony
I odpierali piersią uporczywą;
Lecz nim do mety mogliśmy dopłynąć,
Cezar wykrzyknął: »Ratuj mię, Kasyuszu!
Bo tonę!« A ja, jako ów Eneasz,
Nasz protoplasta, z trojańskich płomieni
Wyniósł na barkach starego Anchiza,
Tak omdlałego z fal niosłem Cezara...
I ten to człowiek teraz stał się bogiem!

A Kasyusz marnem stworzeniem, co musi
Grzbiet swój uginać, jeśli Cezar raczy
Choćby mu tylko zlekka głową skinąć!
Gdy był w Hiszpanii, dostał zimnej febry;
A gdy choroby napadły go dreszcze,
Widziałem dobrze, jak trząsł się... Doprawdy,
Że ten bóg trząsł się! wargi mu pobladły;[1])
To samo oko, co dziś światu grozi,
Straciło blask swój. Słyszałem, jak jęczał...
Te usta, które dziś Rzymianom każą
Słuchać i w księgi wpisywać swe słowa,
Wołały: »Daj mi pić, o Tycyniuszu!«
Jak chore dziewczę. Bogowie! dumieję,
Jak mógł ten człowiek, tak wątłej natury,
W tym dumnym świecie wysunąć się przodem,
I tak sam jeden odnieść palmę chwały!
(Słychać okrzyki za sceną).
Brutus. Znowu powszechny okrzyk. Mnie się zdaje,
Że te oklaski są oznaką nowych
Zaszczytów, co się na Cezara sypią.
Kasyusz. O! tak!... On kroczy po tym wązkim świecie,
Jak jaki kolos; a my, ludzie mali,
Pełzamy między olbrzyma nogami,
Sromotnych grobów szukając dla siebie.
Ludzie są czasem panami swych losów;
Nie gwiazdy winne, o, drogi Brutusie!
Ale my sami winni, żeśmy karły.
Brutus i Cezar! I cóż jest w Cezarze,
Że jego imię głośniejsze, niż twoje?
Napisz je razem, twoje równie piękne,
Wymów je razem, twoje równie dźwięczne,
Zważ je, a równej okażą się wagi,
Chciej niemi czynić zaklęcia, a Brutus
Wywoła duchy tak prędko, jak Cezar.
Teraz mi powiedz, w imię wszystkich bogów!
Jaką się strawą ten nasz Cezar karmi,
Że tak zolbrzymiał? O! hańba ci wieku!
Rzymie! straciłeś wielkich ludzi płodność...
Bo kiedyż wiek był, od najdalszych czasów,
Któryby tylko jednym mężem słynął?

---

[1]) W oryginale gra słów, nie dająca się przetłómaczyć.
(Przyp. tłómacza).

I aż do dzisiaj możnaż było wyrzec,
Że jeden człowiek cały Rzym zapełnia?
Teraz, zaprawdę, w Rzymie miejsca dosyć,[1])
Gdy tylko jeden mąż w nim się znajduje!
Och! wszakże nieraz słyszeliśmy obaj,
Od naszych ojców, że niegdyś był Brutus,
Któryby wolał widzieć w Rzymie rządy
Wiecznego dyabła, aniżeli króla.
Brutus. Nie wątpię wcale, że mię kochasz, bracie!
I to przeczuwam, co chcesz, żebym działał;
Co sądzę o tem i o naszych czasach,
Wyjaśnię później — na teraz cię proszę,
Żebyś mię dalej popchnąć się nie starał;
O tem, coś mówił, pomyślę z rozwagą,
Co powiesz jeszcze, wysłucham spokojnie,
I znajdę porę, by ci odpowiedzieć.
Ale dopóty, zacny przyjacielu,
Niechaj ci tylko to wiedzieć wystarczy,
Że Brutus wolałby być prostym chłopem,
Niźli się liczyć między synów Rzymu,
W czasach tak twardych, jak nam teraz grożą.
Kasyusz. Cieszę się, jeśli moje słabe słowa
Choć tyle ognia dobyły z Brutusa.
Brutus. Już po igrzyskach, i Cezar powraca.
(Wraca Cezar ze swoim orszakiem i lud).
Kasyusz. Gdy tu się zbliżą, pociągnij za rękaw
Kaskę, on swoim surowym sposobem
Powie nam, co się dziś ważnego stało.
Brutus. Dobrze; lecz patrzaj, na czole Cezara
Tli gniewu plama, a reszta wygląda
Niby służalców wyłajana rzesza.
Kalpurnii lica blade, a Cycero
Takie ma dziko zapalone oczy,
Jak widzieliśmy, gdy mu w Kapitolu
Senatorowie w radzie się sprzeciwią.
Kasyusz. Co to ma znaczyć, Kaska nam opowie.
Cezar. O Antoniuszu!
Antoniusz. Cezarze?
Cezar. Ja chciałbym
Mieć koło siebie li otyłych ludzi,

---

[1]) Tu znowu gra słów podobnie brzmiących: *Rome*, Rzym i *room* miejsce. (Przyp. tłómacza).

O gładkich twarzach, którzy śpią po nocach;
Ale ten Kasyusz ma głodne wejrzenie
I wklęsłe lica... on myśli za wiele!
Och! niebezpieczni są takowi ludzie.[1]).

Antoniusz. Nie lękaj go się, Cezarze! w nim niema
Niebezpieczeństwa — to zacny Rzymianin
I dobrych zasad.

Cezar. Oby był otylszy!
Nie lękam go się; ale gdyby trwoga
Nie była obcą mojemu imieniu,
To nie wiem, kogo bardziejbym unikał,
Niżeli tego chudego Kasyusza.
On dużo czyta, i uważa bacznie,
On ludzkie myśli umie wskróś przeniknąć.
Igrzysk nie lubi, jak ty, Antoniuszu!
Muzyka nie jest dla niego ponętną,
Rzadki ma uśmiech, a gdy się uśmiechnie,
To w taki sposób, jakby drwił sam z siebie,
Że dał się czemsić do śmiechu poruszyć.
Och! tacy ludzie nie mają spokoju,
Dopóki widzą wyższego od siebie;
I są dlatego nader niebezpieczni.
Mówię ci raczej co obawy warte,
Niż czego ja się boję; bo ja zawsze
Jestem Cezarem. Przejdź na prawą stronę,
Bo na to lewe ucho jestem głuchy,
I szczerze powiedz mi, co o nim sądzisz.

(Wychodzi Cezar ze swoim orszakiem. Kaska zostaje).

Kaska. Szarpnąłeś mnie za suknię, czy chcesz mówić ze mną?

Brutus. Tak jest, Kasko! powiedz nam, co się dzisiaj stało, że Cezar taki smutny?

Kaska. Wszak byliście z nim razem — nie byliście może?

Brutus. Nie pytałbym się wtedy Kaski, co się stało.

Kaska. No, ofiarowano mu koronę, a gdy mu ją ofiarowano, odsunął ją ręką, tak *(pokazuje gestem)*, a wtedy lud zaczął krzyczeć.

Brutus. A cóż znaczyła ta powtórna wrzawa?

Kaska. Znowu to samo.

Kasyusz. Krzyczeli po trzykroć; cóż trzeci krzyk znaczył?

---

[1]) Są to historyczne słowa Cezara.
(Przyp. tłómacza).

Kaska. Tak, zaiste — a on ją po trzykroć odepchnął; ale za każdym razem lżej, niżeli wprzódy, a za każdem odepchnięciem moi poczciwi sąsiedzi wrzeszczeli.

Kasyusz. Któż mu ofiarował koronę?

Kaska. No, Antoniusz.

Brutus. Opowiedz nam, jakim to się sposobem działo, drogi Kasko!

Kaska. Mógłbym się dać raczej powiesić, niż wam ten sposób opowiedzieć. To było tylko głupstwo; nie zważałem na to. Widziałem, że Marek Antoniusz podawał mu koronę; ale to nawet nie była właściwa korona, tylko tak, rodzaj dyademu, i jak wam mówiłem, on ją odsunął; ale, jak mi się zdaje, chętnie byłby ją przyjął Potem mu ją znowu ofiarował Antoniusz, a on ją znowu odsunął; ale zdaje mi się, że bardzo niechętnie od niej odjął ręce. A potem ofiarował mu ją po trzeci raz, a on po trzeci raz ją odsunął, i znowu kiedy się wzbraniał ją przyjąć, zgraja wrzeszczała w niebogłosy, i klaskała w szorstkie swe dłonie, i podrzucała w górę swe zapocone czapki, i tak zagęszczała powietrze swoim oddechem, dlatego że Cezar nie przyjął korony, aż Cezar omal się nie udusił, bo zemdlał i upadł. A co do mnie, nie odważyłem się nawet śmiać się, bojąc się, żebym ust nie otworzył i nie nałykał się takiego brzydkiego powietrza.

Kasyusz. Ale czekaj, proszę cię... Co? więc Cezar zemdlał?

Kaska. Upadł na rynku, zapienił usta i stracił mowę.

Brutus. To bardzo być może; on ma wielką chorobę.

Kasyusz. Nie! Cezar jej nie ma; ale ty, i ja, i zacny Kaska, my mamy wielką chorobę [1]).

Kaska. Nie wiem, co przez to rozumiesz, ale wiem, że Cezar upadł; a jeżeli mu motłoch uliczny nie klaskał i nie wygwizdywał go, jak jakiego aktora w teatrze, tom nie uczciwy człowiek.

Brutus. Cóż mówił, gdy przyszedł do siebie?

Kaska. Oto, nim upadł, gdy widział, że motłoch cieszy się z tego, iż nie przyjął korony, rozdarł swą odzież na piersiach i ofiarował im swoje gardło do ucięcia. Gdybym był jakim takim rzemieślnikiem, to niech z łotrami pójdę do piekła, jeślibym był go nie wziął za

---

[1]) W angielskiem brzmi to jeszcze dwuznaczniej: »*the falling-sickness*« *(Die fallende Sucht)*. (Przyp. tłómacza).

słowo! I wtem upadł. — Gdy znowu przyszedł do siebie, powiedział, że jeśli co zrobił lub wyrzekł niedorzecznego, prosi czcigodnych panów, aby to przypisali jego chorobie. Trzy, czy cztery dziewczęta obok mnie zawołały: »O poczciwa dusza!« i przebaczyły mu z serca. Ale na to niema co zważać, bo chociażby Cezar był pozabijał ich matki, byłyby zrobiły to samo.

Brutus. I potem odszedł taki smutny?

Kaska. Tak.

Kasyusz. Czy Cycero co mówił?

Kaska. Tak jest, mówił po grecku.

Kasyusz. Czegoż on chciał?

Kaska. Och! jeśli ci to umiem powiedzieć, to niech ci więcej w oczy nie popatrzę! Ale ci, co go rozumieli, uśmiechali się jedni do drugich, i potrząsali głowami; lecz dla mnie to było doprawdy po grecku. Mógłbym wam jeszcze powiedzieć coś nowego: Marullus i Flawiusz zrzuceni z urzędu, za to, że obdzierali szarfy z posągów Cezara. Bywajcie zdrowi! Działy tam się jeszcze jakieś głupstwa; gdybym je sobie tylko mógł przypomnieć.

Kasyusz. Przyjdziesz do mnie dziś na wieczerzę, Kasko?

Kaska. Nie — obiecałem się gdzieindziej.

Kasyusz. Może będziesz jutro u mnie na obiedzie?

Kaska. Dobrze, jeżeli ja będę żył, a ty będziesz trwał w twojej chęci, a twój obiad będzie smaczny.

Kasyusz. Więc będę cię oczekiwał.

Kaska. Dobrze — bywajcie zdrowi.

(Kaska odchodzi).

Brutus. Jakże ten człowiek ociężał na duchu!
Był pełen ognia w naszych szkolnych czasach.

Kasyusz. Takim do dzisiaj jest we wykonaniu
Wszystkich szlachetnych i śmiałych przedsięwzięć,
Jakbądź pozorną przybiera ospałość.
Ta jego szorstkość jest tylko przyprawą,
Co strawniejszymi czyni jego słowa.

Brutus. Tak jest w istocie. Żegnam cię tymczasem...
Jutro, jeżeli zechcesz mówić ze mną,
Przyjdę do ciebie; lub, jeśli tak wolisz,
Przyjdź do mnie, będę ciebie oczekiwał.

Kasyusz. Dobrze — tymczasem myśl o sprawach świata.

(Brutus odchodzi).

Szlachetny jesteś, Brutusie! lecz widzę,
Że duch twój zacny da się odwieść jeszcze
Od owej drogi, którą wytknął sobie.
Dlatego sercom szlachetnym przystoi
Obcować tylko z równie szlachetnymi.
Bo któż tak silnym jest, ażeby niczem
Uwieść się nie dał? Mnie Cezar nie cierpi,
Brutusa kocha, ale gdybym teraz
Ja był Brutusem, a zaś on Kasyuszem,
Mną onby przecie kierować nie zdołał.
Tej nocy jeszcze wrzucę mu przez okno
Kartki, pisane rozmaitą ręką,
Jakby od różnych pochodzące mężów,
Wyrażające wielkie poważanie,
Które Rzym łączy z imieniem Brutusa;
W każdej nieznacznie, jakby pod zasłoną,
Cezara chciwość władzy mu okażę...
Wtedy miej baczność o sobie, Cezarze!
Bo lub my twoje zrzucimy tyraństwo,
Lub jeszcze gorsze czeka nas poddaństwo!
(Wychodzi).

SCENA III.

Tamże. Ulica.

Grzmoty i błyskawice. Wchodzą ze stron przeciwnych: Kaska z dobytym mieczem i Cycero).

Cycero. Dobry wieczór ci, Kasko! Czyś Cezara
Już odprowadził do domu? Dlaczegoś
Tak zadyszany? czemu tak w słup patrzysz?
Kaska. Czyliż nie wzrusza ciebie, Cyceronie,
Że się zatrzęsła ziemia w swych posadach
I drży, jak listek? Wierz mi, Cyceronie,
Widziałem burze, kiedy wichry gniewne
Rwały z korzeniem dęby rozłożyste;
Widziałem dumny ocean wzburzony,
Jako się wzdymał i pienił i szalał,
Jakby z groźnemi chciał się zetknąć chmury;
Lecz nigdy jeszcze do dzisiejszej nocy,
Nigdy aż dotąd się nie przechadzałem
Śród takiej burzy, co ogniami miota!...

Albo w niebiosach wre wewnętrzna wojna,
Albo też świat ten, zbyt rozzuchwalony,
Bogów na własną swą wyzywa zgubę.
Cycero. Czyś widział jeszcze co więcej z tych dziwów?
Kaska. Prosty niewolnik, znany ci z widzenia,
Wzniósł rękę lewą, która ogniem tlała,
Jakby dwadzieścia związanych pochodni!
Jednak ta ręka, na ogień nieczuła,
Została całą. Oprócz tego jeszcze —
I odtąd miecza już w pochwę nie kładę —
Lwa napotkałem koło Kapitolu,
Zmierzył mię wzrokiem, i przeszedł ponuro,
Nie napastując mię. — Tam się zeszło
Ze sto wybladłych kobiet w jedną kupę,
Wyglądających dziko z przerażenia,
I przysięgały, że widziały mężów
Całych w płomieniach, kroczących przez miasto;
A wczoraj w samo południe ptak nocny
Siedział na rynku i huczał i krzyczał;
Gdy się tak razem gromadzą te dziwy,
Niech nikt nie mówi, że te albo owe
Mają przyczyny całkiem naturalne;
Bo jestem pewny, że to przepowiednie
Straszne dla kraju, nad którym się jawią.
Cycero. Zaiste czas się dziwnie usposobił;
Lecz po swojemu budując domysły,
Często się celu rzeczy nie odgadnie.
Czy Cezar jutro będzie w Kapitolu?
Kaska. Tak jest — bo kazał, ażeby Antoniusz
Oznajmił tobie, że tam jutro będzie.
Cycero. Dobranoc, Kasko! nie służą przechadzce
Burzliwe nieba.
Kaska. Bądź zdrów, Cyceronie!
(Wychodzi Cycero. Wchodzi Kasyusz).
Kasyusz. Kto tu?
Kaska. Rzymianin.
Kasyusz. Kaska, sądząc z głosu.
Kaska. Dobre masz ucho, Kasyuszu. — Co za noc!
Kasyusz. Bardzo przyjemna noc dla prawych ludzi.
Kaska. Któż kiedy widział nieba tak grożące?
Kasyusz. Ten, kto tak pełną zbrodni widział ziemię.
Co się mnie tyczy, szedłem po ulicach,
Narażając się na zgrozę tej nocy,

Taki bezbronny, jak mnie widzisz, Kasko!
Pierś obnażyłem na pocisk piorunów;
A gdy błękitne błyski zdawały się
Rozdzierać piersi niebios, wtedy właśnie
Sam się stawiałem za cel gromom burzy.
Kaska. Ale dlaczego tak kusiłeś nieba?
Ludzką jest rzeczą czuć trwogę i dreszcze,
Kiedy wszechwładni bogowie zsyłają
Takich zwiastunów, aby nas przerażać.
Kasyusz. Zbyt tępy jesteś, Kasko, i brak tobie
Tych iskier życia, któreby Rzymianin
Winien mieć w sobie... lub ich nie używasz·
Wyglądasz blado i wytrzeszczasz oczy,
Przejęty jesteś trwogą i zdumieniem,
Widząc ten dziwny wybuch gniewu niebios.
Lecz gdybyś zbadał prawdziwą przyczynę,
Skąd owe ognie i te błędne duchy;
Czemu naturę ptak i zwierzę zmienia,
Starcy śmieszkują, prorokują dzieci;
Czemu tak wszystko wywraca porządek
I przyrodzone swe własności zmienia
W taką potworność: poznałbyś, że nieba
Natchnęły one rzeczy takim duchem,
Ażeby były narzędziem przestrogi
I przerażenia potwornemu państwu!
A teraz mógłbym ci wymienić, Kasko,
Męża takiego groźnego, jak ta noc,
Który grzmi, błyska i otwiera groby,
I ryczy, jak ten lew na Kapitolu;
Męża, co nie jest mocniejszy od ciebie,
Albo ode mnie osobistą siłą,
Jednak się rozrósł w kształty tak potworne
I straszne, jak te cudowne wybuchy.
Kaska. Wszakże to Cezar tym mężem, Kasyuszu,
O którym mówisz.
Kasyusz. O! niechaj ktokolwiek
Nim sobie będzie!... bo Rzymianie teraz
Mają swych przodków lędźwie i ramiona;
Ale, o biada! duch ojców w nich skonał!
Dziś nami rządzą naszych matek dusze,
A nasze jarzmo i cierpliwość nasza
Wskazują jawnie, żeśmy niewieściuchy.
Kaska. Zaiste, mówią, że senatorowie

Chcą jutro królem ogłosić Cezara;
Koronę swoją ma nosić na morzu
I lądzie — wszędzie, oprócz tu, we Włoszech.
Kasyusz. Wiem ja, gdzie wtedy ten mój miecz poniosę!
Kasyusz z niewoli uwolni Kasyusza.
Tem, o bogowie! czynicie słabego
Silnym dzielnością nieprzezwyciężoną,
Tem, o bogowie! gromicie tyranów,
Że ani wieże kamienne, ni z miedzi
Ukute ściany, ni podziemne lochy,
Ani najgrubsze z żelaza łańcuchy,
Nie mogą sile ducha być zaporą;
Lecz życie, ziemską znużone niewolą,
Zawsze ma władzę samo jej się pozbyć!
A kiedy to wiem, niech wie reszta świata,
Że tę tyrańskiego część, co na mnie spada,
Mogę ze siebie zrzucić, kiedy zechcę.
Kaska. To i ja mogę — tak każdy niewolnik
Dzierży w swych ręku moc skruszenia pętów.
Kasyusz. I czemuż Cezar miałby być tyranem?
O! biedny człowiek! Wiem ja, że on nigdy
Nie byłby wilkiem, gdyby był w Rzymianach
Nie widział samych owiec; lwem by nie był,
Gdyby Rzymianie nie byli sarnami.
Kto wielki ogień prędko chce rozniecić,
Początek robi słabą tylko słomą;
Jakiemże śmieciem, jaką mierzwą Rzym jest,
Jeżeli służy za paliwo liche,
Ażeby przedmiot oświecać tak podły,
Jakim jest Cezar! Ale, o boleści!
Gdzież mię uniosłaś? może ja to mówię
Przed dobrowolnym służalcem? w tym razie
Wiem, że mi za to przyjdzie odpowiadać;
Ale mam oręż, a niebezpieczeństwa
Mnie nie zatrwożą.
Kaska. Mówisz to przed Kaską...
Przed takim mężem, który nie był nigdy
Donosicielem. Oto moja ręka!
Zbieraj stronników, ażeby naprawić
Te wszystkie klęski; a ta moja noga
Dotrzyma kroku temu, co najdalej
Pójdzie w tej sprawie.
Kasyusz. Zawarta ugoda!

A teraz, Kasko, wiedz, że nakłoniłem
Już pewną liczbę najzacniejszych Rzymian,
Aby podjęli ze mną przedsięwzięcie
Pełne zaszczytnie niebezpiecznych skutków.
Wiem, że czekają w portyku Pompeja
Na mnie w tej chwili, bo śród takiej nocy,
Nikt się pod gołem niebem nie ostoi;
Żywiołów postać sprzyjać nam się zdaje;
Taka podobna jest do naszej sprawy,
Jak ta noc strasznej, ognistej i krwawej.
(Wchodzi Cynna).
Kaska. Wstrzymaj się chwilę... ktoś tutaj pośpiesza.
Kasyusz. To Cynna idzie; znam ja go po chodzie,
To nasz przyjaciel. Cynno! gdzie tak śpieszysz?
Cynna. Ciebie szukałem... Kto tutaj jest z tobą?
Metellus Cymber?
Kasyusz. Nie... to Kaska — jeden
Z wtajemniczonych w nasze przedsięwzięcie.
Czy nie czekają tam już na mnie, Cynno?
Cynna. Cieszę się z tego. Co za noc okropna!
Kilku z nas dziwne widziało zjawiska.
Kasyusz. Czy nie czekają tam już na mnie? mów-że!
Cynna. Tak jest, czekają. O Kasyuszu! gdybyś
Mógł tylko zjednać zacnego Brutusa
Dla naszej sprawy!
Kasyusz. Bądź spokojny, Cynno!
Połóż ten papier na krześle pretora,
Gdzie Brutus musi go znaleźć; ten drugi
Wrzuć mu przez okno — a ten przylep woskiem
Tam do starego Brutusa posągu.
Zrób to i wróć do portyku Pompeja,
Gdzie nas zastaniesz. Czy jest tam Treboniusz
I Decyusz Brutus?
Cynna. Są wszyscy, prócz Cymbra...
Ten poszedł ciebie szukać w twoim domu;
A teraz idę umieścić te pisma,
Jak mi kazałeś.
Kasyusz. Do Pompejusza potem wróć teatru.
(Wychodzi Cynna).
Chodź ze mną, Kasko. Dziś jeszcze przededniem
Pójdziemy obaj do Brutusa domu;
Trzy jego ćwierci do nas już należą...
Przy pierwszym szturmie podda nam się cały.

Kaska. On ma wysokie miejsce w sercach ludu;
Rzecz, która w nas by zbrodnią się wydała,
Jego powaga alchemiczną sztuką
Zamieni w cnotę i godność jej nada.
Kasyusz. Jego i jego wartość i konieczną
Dla nas potrzebę jego uczestnictwa
Trafnie oceniasz. Pójdźmyż teraz, Kasko!
Już po północy; a nim dzień zaświta,
Musim go zbudzić i być jego pewni.
(Wychodzą).

AKT DRUGI.

SCENA I.

Tamże. Ogród Brutusa.

(Wchodzi Brutus).

Brutus. Ho! Lucyuszu! ho!... Nie mogę odgadnąć
Z gwiazd położenia, jak daleko do dnia.
Lucyuszu! wołam — chciałbym, żebym grzeszył
Snem takim twardym. Nie słyszysz, Lucyuszu?
Lucyuszu!... wstawaj!
(Wchodzi Lucyusz).
Lucyusz. Czyś mnie wołał, panie?
Brutus. Zanieś mi świecę do biblioteki;
A gdy zaświecisz, daj mi znać, Lucyuszu.
Lucyusz. Dobrze, panie! *(Odchodzi).*
Brutus. Tak — to się musi zdziałać jego śmiercią!...
Co do mnie, nie mam przyczyn osobistych
By go odepchnąć; tylko dobro kraju
Tego wymaga. On pragnie korony...
Jakby to mogło jego umysł zmienić,
To jest pytanie... Wszakże się na słońcu
Wylęga żmija... Tu trzeba mieć baczność.
Dać mu koronę?... O tak — wtedy, ręczę,
Dalibyśmy mu żądło niebezpieczne,
Któremby mógł nas kłuć wedle swej woli!
W tem nadużycie największe wielkości,
Jeśli rozłączy władzę od sumienia!
Chociaż, by prawdę wyznać o Cezarze,

Nigdym nie widział, aby namiętności
Brały w nim górę nad rozsądku władzą;
Lecz to powszednia sprawa, że pokora
Służy za szczeble młodej żądzy władzy;
Kto idzie w górę, ku nim twarz obraca;
Lecz skoro stanie na najwyższym stopniu,
Tyłem obraca się do tej drabiny,
Patrzy w obłoki i gardzi nizkimi
Szczeblami, które na szczyt go wyniosły.
Tak sobie może i Cezar postąpić...
Żeby zaś nie mógł, zapobiedz potrzeba.
A gdy ta sprawa nie ma dosyć barwy,
Z tego, czem Cezar dziś jest, więc musimy
Tak rzecz tłómaczyć, że gdyby wzrósł jeszcze,
Do takiej przyszłoby ostateczności;
A więc go miejmy za jajo gadziny,
Z którego lęgnie się płaz, jadowity
Jak jego rodzaj, i które potrzeba
Zdusić w skorupie.

(Wchodzi Lucyusz).

Lucyusz. Świeca już się pali
W twoim pokoju, panie! Gdym na oknie
Szukał krzemienia, opieczętowane
Znalazłem na niem pismo; a wiem pewnie,
Że nie leżało tam, gdy spać się kładłem.

(Oddaje Brutusowi pismo).

Brutus. Połóż się znowu spać... jeszcze nie świta.
Czy jutro, chłopcze, nie są Idy marca?
Lucyusz. Nie wiem, panie.
Brutus. Idź, obacz w kalendarzu,
Potem mi powiesz.
Lucyusz. Tak uczynię, panie.

(Lucyusz odchodzi).

Brutus. Te migające wyziewy powietrza
Dają dość światła, aby przy nich czytać.

(Otwiera list i czyta).

»Ty śpisz, Brutusie? zbudź się! wejrzyj w siebie!
Czyż ma Rzym?... powstań! — mów, uderz i wybaw!
Ty śpisz, Brutusie? zbudź się!« Tym podobne
Już podrzucano mi nieraz odezwy.
Czyż ma Rzym?... muszę tak to uzupełnić:
Czyż ma Rzym cały drżeć przed jednym mężem?

Co?... Rzym... Mój przodek niegdyś z ulic Rzymu
Wygnał Tarkwina, kiedy zwał się królem.
»Mów, uderz, wybaw!« Tak, a więc mi każą
Mówić... uderzyć? O! Rzymie! przysięgam,
Że jeśli przez to masz wolność odzyskać,
Na to, co żądasz, masz rękę Brutusa!

(Wraca Lucyusz).

Lucyusz. Panie! czternaście dni marca minęło.

(Słychać pukanie za sceną).

Brutus. Dobrze. Idź do drzwi, słyszałem pukanie.

(Lucyusz odchodzi).

Odkąd mi Kasyusz przeciw Cezarowi
Pierwszy raz ducha rozjątrzył, nie spałem.
Między spełnieniem jakiej strasznej rzeczy
A między pierwszym pomysłem jest przeciąg,
Podobny marze albo snom obrzydłym;
Wtedy nasz geniusz i śmiertelne zmysły
Są na obradach... cały stan człowieka
Wówczas podobny do małego państwa,
Które wewnętrznym rozszarpane buntem.

(Wraca Lucyusz).

Lucyusz. Panie! to brat twój Kasyusz u drzwi czeka,
Chcąc mówić z tobą.

Brutus. Czy sam jest?

Lucyusz. Nie, panie!
Jest ich z nim więcej.

Brutus. Czy znasz ich?

Lucyusz. Nie, panie;
Mają na uszy zasunięte czapki
I do połowy twarze skryte w płaszczach;
Nie mogę żadną miarą w nich rozpoznać
Znajomych rysów, panie!

Brutus. Niechaj wnijdą.

(Lucyusz odchodzi).

To sprzysiężeni. — O! spisku! czyż nawet
W nocy, gdzie wszystko złe bywa wolniejsze,
Wstydzisz się twoje niebezpieczne czoło
Na jaw ukazać? Gdzież-li znajdziesz we dnie
Jaskinię dosyć ciemną, by ukryła
Twarz twą ohydną? — Nie szukaj jej, spisku!
Ukryj ją raczej w uśmiech i uprzejmość;
Bo gdybyś chadzał w własnej twej postaci,

Nawetby Ereb nie był dosyć czarny,
Ażeby ciebie ustrzedz przed wykryciem!
(Wchodzą: Kasyusz, Kaska, Decyusz, Cynna, Metellus Cymber i Treboniusz).
Kasyusz. Lękam się, czyli ci nie przerywamy
Twego spoczynku, Brutusie?... Dzień dobry!
Brutus. Wstałem już dawno — czuwałem noc całą...
Czy znam tych mężów, którzy przyszli z tobą?
Kasyusz. Tak jest — znasz wszystkich; niema tu nikogo,
Któryby ciebie nie czcił — każdy pragnie,
Abyś sam tylko siebie tak oceniał,
Jak każdy zacny Rzymianin cię ceni...
To jest Treboniusz.
Brutus. Witam go serdecznie.
Kasyusz. To Decyusz Brutus.
Brutus. I jego pozdrawiam.
Kasyusz. Oto jest Kaska — to Cynna — a to zaś
Metellus Cymber.
Brutus. Wszystkich witam szczerze.
Jakaż to czujna troska się sadowi
Między waszemi oczyma a nocą?
Kasyusz. Mogę cię prosić na słowo, Brutusie?
(Szepcą na stronie).
Decyusz. Tutaj wschód leży... Czy to dzień już świta?
Kaska. Nie.
Cynna. O! darujesz! świta... A te szare
Rąbki obłoków, to już dnia zwiastuny.
Kaska. Oto musicie wyznać, żeście w błędzie;
Tu, gdzie wskazuję mieczem, słońce wschodzi;
To jest kawałek dobry na południe,
Zważywszy wczesną jeszcze porę roku;
Za dwa miesiące wyżej ku północy
Będzie brzask dzienny świtać; teraz wschód jest
Wprost naprzeciwko nas, za Kapitolem.
Brutus. Jeden po drugim podajcie mi ręce...
Kasyusz. I zaprzysiężmy nasze przedsięwzięcie.
Brutus. Nie — żadnych przysiąg... Jeśli cześć u ludzi, [1])
Boleść dusz naszych, i tych czasów zgroza,
Jeśli to wszystko słabe są przyczyny,
To się cofnijmy, póki jeszcze pora!

---

[1]) Tak Johnson tłómaczy nie dość zrozumiałe miejsce: »*If not the face of men*«. (Przyp. tłómacza).

Niech każdy wróci do gnuśnego łoża,
Niech dalej włada zuchwale tyraństwo,
Póki każdemu los nie padnie poledz!
Ale jeżeli te przyczyny mają
Dość w sobie ognia, jakem tego pewny,
By zapał nawet i w trwożliwym wzniecić,
Żeby i samych niewiast miękkie dusze
Uzbroić męstwem, wtedy, o! ziomkowie!
Na cóż innego bodźca, prócz tej sprawy,
Ażeby wolność ojczyźnie przywrócić?
Na co rękojmi nam, oprócz tej jednej:
Oto Rzymianie, umiejący milczeć,
Wyrzekli słowo, którego nie cofną!
Na co tu innej potrzeba przysięgi,
Kiedy uczciwi uczciwym przyrzekli,
Że tak się stanie, lub wszyscy polegniem?...
Niech przysięgają księża, albo tchórze,
Ostrożni starce, słabe kościotrupy,
Cierpliwe dusze, co krzywdzicielowi
Dziękują jeszcze! niechaj się wzajemnie
Wiążą przysięgą przy złej sprawie ludzie
Nie warci wiary! Ale my nie plammy
Sprawiedliwości tego przedsięwzięcia,
Ani serc naszych niezłomnego męstwa,
Myślą, że naszej sprawie lub czynowi
Trzeba przysięgi; gdy każda krwi kropla,
W każdym szlachetnym Rzymianie płynąca,
Stokroć utraca swój rodowód prawy,
Jeśliby złamał choć najmniejszą cząstkę
Danego słowa.

Kasyusz. Jakże z Cyceronem?
Mamyż go zbadać? Sądzę, że się z nami
Sprzymierzy silnie.

Kaska. O! nie pomińmy go!

Cynna. Och! żadną miarą!

Metellus. O! pozyskajmy go!
Jego włos srebrny zjedna nam opinię,
Przekupi głosy na naszą pochwałę;
Ludzie powiedzą, że jego dojrzały
Rozum kierował naszemi rękoma;
A nasza młodość i porywczość śmiała
Nie wyjdą na jaw, ale się zagrzebią
W jego powadze.

Brutus. O! nie wymieniaj go!
Dajmy mu pokój — nie przystąpi za nic
Do sprawy, którą rozpoczął kto inny.
Kasyusz. Więc go opuśćmy.
Kaska. W istocie, on na nic
Nam się nie przyda.
Decyusz. Czy nikt inny zgoła
Nie ma być tknięty, tylko jeden Cezar?
Kasyusz. Decyuszu! dobra uwaga... Ja sądzę,
Że nie wypada, by Marek Antoniusz,
Który jest w takich łaskach u Cezara,
Przeżył Cezara. On może nam twardym
Być przeciwnikiem; znacie jego środki,
Gdy ich użyje, może się nam wszystkim
Srodze naprzykrzyć. — By temu zapobiedz,
Niechaj Antoniusz wraz z Cezarem zginie.
Brutus. Nazbyt się krwawem wyda nasze dzieło,
Kaju Kasyuszu! gdy uciąwszy głowę,
Zechcemy jeszcze odrębywać członki;
Jak gdyby wściekłość wiodła nas do czynu,
A potem zawiść. Wierz mi, że Antoniusz
Jest tylko członkiem Cezara. O! bądźmy
Ofiarnikami, lecz nie rzeźnikami...
Kaju Kasyuszu! Powstajemy wszyscy
Przeciw duchowi Cezara; a w ludzkim
Duchu krwi niema. Och! gdybyśmy mogli
Pokonać ducha, który jest w Cezarze,
Nie rozsiekując ciała! lecz, niestety!
Cezar krwią za to musi odpowiedzieć.
Jednak, druhowie! zabijmy go śmiało,
Ale nie wściekle. Niech za naszą sprawą
Stanie się raczej daniem godnem bogów,
Niżeli ścierwem, które psom się rzuca;
Niech nasze serca, jak chytrzy panowie,
Do czynu zgrozy poduszczą swe sługi,
A potem niby na pozór im łają.
Takim sposobem nasz czyn się okaże
Tylko koniecznym, lecz nie nienawistnym;
To, gdy tak w oczach pospólstwa się wyda,
Oczyścicieli dostaniemy nazwę,
A nie zabójców. Co do Antoniusza,
Nie myślcie o nim! On nie może wcale

Być nam szkodliwym, jak Cezara ramię,
Gdy spadnie głowa Cezara.
Kasyusz. A jednak
Ja go się lękam, dla tej wkorzenionej
Miłości, którą żywi dla Cezara.
Brutus. O! nie myśl o nim, poczciwy Kasyuszu!
Jeżeli kocha Cezara, to tylko
Sam sobie może stać się tem szkodliwym,
Gryźć się i umrzeć z żalu po Cezarze;
I toby było wiele z jego strony,
Bo to miłośnik zabaw i rozpusty.
Treboniusz. Niema go co się lękać; niech nie ginie...
On to przeżyje, i sam jeszcze później
Drwić będzie z tego.
Brutus. Cyt! liczmy godzinę.
Kasyusz. Trzecia wybiła.
Treboniusz. Czas się rozejść.
Kasyusz. Jeszcze
Nie wiemy, czy dziś Cezar wyjdzie z domu;
On od niedawna stał się zabobonnym,
Całkiem wbrew swemu dawniejszemu zdaniu
O snach, widziadłach i świętych obrzędach.
Być może, że te cudowne zjawiska,
Dzisiejszej nocy niezwykłe rozruchy,
A przytem jego augurów przestrogi,
Na dziś wstrzymają go od Kapitolu.
Decyusz. Nie bój się tego; choćby tak przedsięwziął,
Potrafię odwieść go od przedsięwzięcia.
On lubi słuchać, że się jednorożca
Zdradza drzewami, niedźwiedzia zwierciadłem,
Lwa siecią, a zaś człowieka pochlebstwem;
A gdy mu mówię, że on nienawidzi
Pochlebców, to mi powiada, że tak jest;
Choć mu tem właśnie pochlebiam najwięcej.
Dajcie mi działać!
Umiem właściwy nadać mu kierunek,
I przyprowadzę go do Kapitolu.
Kasyusz. Chodźmy po niego raczej wszyscy razem.
Brutus. O ósmej z rana, najdalej?... nieprawdaż?
Cynna. Tak — to najdalej. Niech się nikt nie spóźnia.
Metellus. Kajus Ligaryusz nie cierpi Cezara,
Który mu zganił, że chwalił Pompeja;
Dziw mi, że nikt z was o nim nie pomyślał.

Brutus. Dobrze, Metellu! wstąp tylko do niego;
Kocha mię, bom mu dał do tego powód,
Przyślij go do mnie, ja go usposobię.
Kasyusz. Świt nas rozgania... Żegnaj nam, Brutusie!
Wy się rozproszcie, druhowie! lecz miejcie
Wszyscy w pamięci, coście tu wyrzekli,
I pokażcie się, jak prawi Rzymianie.
Brutus. Zacni mężowie! wypogodźcie lica!
Niech nasz wzrok naszych zamiarów nie zdradza;
Ale jak nasi rzymscy aktorowie,
Spełnijmy czyn nasz — z zewnętrzną powagą
I mocą ducha. A teraz dobry dzień!
(Odchodzą wszyscy, oprócz Brutusa).
Chłopcze! Lucyuszu! co? śpisz? mniejsza o to!
Używaj sobie snu miodowej rosy!
Nie masz widziadeł ani mar straszliwych,
Które w umysłach skrzętna troska kreśli,
Dlatego śpisz tak twardym snem.
(Wchodzi Porcya).
Porcya. Brutusie!
Mężu!
Brutus. Porcyo! co to ma się znaczyć?
Dlaczego wstałaś tak wcześnie? to twemu
Zdrowiu nie służy, na ostry chłód ranku
Twe delikatne ciało tak narażać.
Porcya. Równie i tobie. Niedobry Brutusie!
Milczkiem wykradłeś się z mojego łoża;
A wczoraj nagle wstałeś od wieczerzy,
I zamyślony, wzdychając głęboko,
Z założonemi kroczyłeś rękoma;
A gdym spytała cię, o co ci chodzi,
Ponurym we mnie wpatrzyłeś się wzrokiem;
A kiedym coraz nalegała bardziej,
Potarłeś czoło i tupnąłeś nogą.
Tak wciąż nalegam, wciąż nie odpowiadasz...
Wreszcie, skinieniem niecierpliwem ręki,
Dałeś mi znak, że chcesz, abym odeszła;
Tak uczyniłam, lękając się wzmagać
Gniew, co już zbytnie zdał się rozpalony,
A wreszcie tusząc sobie, że to tylko
Zły humor, który każdy czasem miewa;
Lecz to nie daje ci jeść, spać, ni mówić;
I gdyby mogło działać na twą postać,

Tak jak twój umysł owładnęło całkiem,
Nie poznałabym ciebie. Drogi mężu!
Udziel mi smutku twojego przyczynę.
Brutus. Nie dość się czuję zdrowym i nic więcej.
Porcya. Brutus jest mądry — gdyby nie był zdrowym,
Szukałby środków, by zdrowie odzyskać.
Brutus. I tak też czynię; Porcyo! idź do łóżka.
Porcya. Brutus jest chory? a czyliż to zdrowo
Tak nieodzianym chodzić i połykać
Wyziewy ranku? Co? Brutus jest chory?
A ze zdrowego wymyka się łoża,
Na wpływ szkodliwy nocy się narażać,
I na nieczyste, febrowe powietrze,
Aby swą słabość wzmagać? Nie, Brutusie!
Ty w głębi duszy jakąś masz chorobę,
Którą ja, z prawa mego stanowiska
Znać-bym powinna. I tu na kolanach
Zaklinam ciebie... na te tak wielbione
Niegdyś me wdzięki, na śluby miłosne,
I na ten wielki ślub, który nas złączył,
I zlał nas w jedno! ażebyś mi odkrył,
Mnie, która jestem drugą twą połową,
Dlaczegoś taki smutny? co za ludzie
Mieli do ciebie przystęp dzisiaj w nocy?
Bo ich tu było sześciu albo siedmiu,
Co kryli twarz swą nawet przed ciemnością.
Brutus. Nie klękaj, Porcyo!
Porcya. Och! nie musiałabym
Klęczeć, Brutusie! gdybyś ty był dobry.
Czy to zawarte w warunkach małżeństwa,
Powiedz, Brutusie! że ja nie mam wiedzieć
Twoich tajemnic? Jestżem drugim tobą
Tylko z pewnemi ograniczeniami?
Tylko by z tobą dzielić stół i łoże?
I czasem z tobą rozmawiać? czyż mieszkam
Tylko w przedmieściach twego przywiązania?
Jeżeli tak jest, Porcya Brutusa
Jest nałożnicą, lecz nie jego żoną!
Brutus. Tyś mą prawdziwą, moją wierną żoną!
I tak mi drogą, jako te krwi krople,
Które się cisną do mojego serca.
Porcya. Jeśli to prawda, powinnabym wiedzieć
Tę tajemnicę. Przyznaję, że jestem

Tylko kobietą, ale jestem taką
Kobietą, którą Brutus wziął za żonę!
Jestem kobietą — prawda; lecz kobietą
Uczciwej sławy... ja córka Katona!
Myślisz, żem nie jest nad mą płeć silniejsza?
Tak urodzona i tak zaślubiona!
Powiedz mi twoje zamiary, Brutusie!
Ja ich nie wydam. Och! ja silną próbą
Już doświadczyłam mojej wytrwałości,
Zadając sobie dobrowolną ranę
Tutaj w kolano. Jeślim potrafiła
To znieść cierpliwie, czyliżbym nie zniosła
Tajemnic męża?

Brutus. O! bogowie! godnym
Uczyńcie mnie tej szlachetnej kobiety!
Słuchaj!... ktoś puka... Porcyo! wyjdź na chwilę,
Wkrótce mieć będzie udział twoje łono
W tem, co jest mego serca tajemnicą;
Odkryję tobie wszystkie moje związki,
I mojej chmurnej skroni hieroglify;
Teraz stąd uchodź.

(Wychodzi Porcya. Wchodzą: Lucyusz i Ligaryusz).

Lucyusz. Jakiś chory chce mówić z tobą, panie!

Brutus. Kajus Ligaryusz — o którym Metellus
Mówił mi... Chłopcze! odejdź trochę na bok.
Cóż, Lucyuszu?

(Lucyusz odchodzi).

Ligaryusz. Z chorych ust, Brutusie,
Przyjmij dzień dobry.

Brutus. Co za czas wybrałeś,
Ażeby głowę obwiązywać chustką,
Szlachetny Kaju! Obyś nie był chorym!

Ligaryusz. Nie jestem chory, jeśli ty, Brutusie,
Masz w duszy zamiar godny zwać się cnotą.

Brutus. Mam taki zamiar w duszy, Ligaryuszu,
Gdybyś ty zdrowem mógł go słuchać uchem.

Ligaryusz. Na wszystkich bogów, których czczą Rzymianie!
Tu zrzucam moją słabość! Duszo Rzymu!
Szlachetny synu! zacnej krwi potomku!
Ty, jak czarownik, zaumarłe życie
Wskrzesiłeś we mnie; teraz każ mi biegać,
A przedsięwezmę niepodobne rzeczy,
I podołam im! Cóż więc mamy działać?

Brutus. Czyn, który wróci zdrowie tym, co chorzy.
Ligaryusz. Lecz czyż niektórzy nie są zdrowi, których
Musim pozbawić zdrowia?
Brutus. I to także.
O co rzecz idzie, to ci wytłómaczę,
Kaju! gdy będziem szli razem do tego,
Któremu to się stać ma.
Ligaryusz. Idź więc naprzód;
A ja z tym nowym w mem sercu zapałem
Pójdę za tobą. Chociaż nie wiem jeszcze,
Co mam uczynić; lecz dla mnie wystarcza,
Że mnie prowadzi Brutus.
Brutus. Chodź więc za mną!
(Wychodzą).

SCENA II.

Tamże. Pokój w pałacu Cezara.

(Grzmoty i błyskawice. Wchodzi Cezar w nocnej odzieży).

Cezar. Niebo i ziemia tej nocy we wojnie...
Po trzykroć przez sen wołała Kalpurnia:
»Gwałtu!... na pomoc!... mordują Cezara!«
Jest tam kto?
(Wchodzi sługa).
Sługa. Jestem, panie.
Cezar. Idź i powiedz
Kapłanom, aby spełnili ofiarę;
Donieś mi potem ich zdanie o skutku.
Sługa. Spełnię, co każesz.
(Wychodzi sługa. Wchodzi Kalpurnia).
Kalpurnia. Cóż to, Cezarze?... czy chcesz gdzie wychodzić?
Dziś ani na krok nie ruszysz się z domu.
Cezar. Wżdy Cezar wyjdzie — mnie niebezpieczeństwa
Groziły tylko z tyłu; gdy z oblicza
Ujrzą Cezara, wnet znikną ze szczętem.
Kalpurnia. Cezarze! nigdy na cudowne znaki
Nie uważałam; jednak dziś mnie trwożą.
Jest tu ktoś w domu, który oprócz tego,
Cośmy słyszeli i widzieli sami,
O różnych jeszcze innych opowiada
Okropnych dziwach, które straż widziała:

Pośród ulicy porodziła lwica,
Rozwarte groby wyzionęły trupów,
Ogniści męże walczyli na chmurach
W porządnych hufcach i wojennym szyku,
Skąd krew tryskała na dach Kapitolu;
Bojową wrzawą huczało powietrze!
Rżenie rumaków, konających jęki,
Wycia upiorów brzmiały po ulicach.
Cezarze! to są niesłychane rzeczy!
Ja ich się boję.

Cezar. Czyż można uniknąć
Tego, co sobie za cel postanowią
Możni bogowie? Cezar wyjdzie z domu!
Bo wszystkie owe wróżby się dotyczą
Ogółu świata, równie jak Cezara.

Kalpurnia. Nie widać komet przy żebraków śmierci;
Zgon książąt niebo w swych płomieniach ciska.

Cezar. Trwożliwy kona wielokroć, nim umrze;
Mężny raz tylko zakosztuje śmierci.
Ze wszystkich cudów, o których słyszałem,
Mnie najdziwniejszem: że ludzie się boją,
Choć wiedzą, że śmierć, koniec nieuchronny,
Przyjdzie, gdy przyjść ma.

(Wchodzi sługa).

Cóż mówią augury?

Sługa. Radzą ci dzisiaj nie wychodzić z domu;
Gdy w ofiarnego zwierzęcia wnętrznościach
Szperali, serca nie mogli w niem znaleźć.

Cezar. Tak zawstydzają bogowie tchórzostwo!
A Cezar byłby zwierzęciem bez serca,[1])
Gdyby z bojaźni dzisiaj w domu został.
Nie — tego nigdy Cezar nie uczyni.
Niebezpieczeństwo wie dobrze, że Cezar
Od niego jeszcze jest niebezpieczniejszy...
Dwa lwy jesteśmy, w jednym dniu zrodzeni,
A ja z nich starszy i straszniejszy jestem!
I Cezar wyjdzie z domu.

Kalpurnia. O! mój mężu!
W zbytniej ufności twoja mądrość niknie...
Nie wychodź dzisiaj. Zwij to moją trwogą,

---

[1]) To jest: bez duszy, małego serca, bez odwagi.
(Przyp. tłómacza).

Co ciebie dzisiaj zatrzymuje w domu,
Nie twoją własną. Marka Antoniusza
Poślemy, aby powiedział w senacie
Że dzisiaj jesteś niezdrów. O! mój mężu!
Niech to na klęczkach wybłagam u ciebie!

Cezar. Marek Antoniusz powie, żem dziś niezdrów,
I aby tobie dogodzić, zostanę.

(Wchodzi Decyusz Brutus).

Oto jest Decyusz — niech on im to powie.

Decyusz. Cezarze! cześć ci!... dzień dobry, Cezarze!
Przychodzę wziąć cię z sobą do senatu.

Cezar. I właśnie w porę przychodzisz, Decyuszu,
By senatorów pozdrowić ode mnie
I powiedzieć im, że dzisiaj nie przyjdę;
Że przyjść nie mogę, byłoby fałszywem;
A że przyjść nie śmiem, to fałszywsze jeszcze;
Ale przyjść nie chcę — tak powiedz, Decyuszu.

Kalpurnia. Powiedz, że chory.

Cezar. Czyż ma Cezar kłamać?
Natożem sięgnął zdobywczem ramieniem
W świat tak daleko, ażebym się lękał
Powiedzieć prawdę kilku siwobrodom?
Decyuszu, powiedz im: Cezar nie chce przyjść.

Decyusz. Możny Cezarze! daj jaką przyczynę,
By się nie śmiano ze mnie, gdy tak powiem.

Cezar. Przyczyną moja wola jest — nie chcę przyjść!
To dosyć, aby senat zadowolić.
Ale ażeby tobie osobiście
Uczynić zadość, ponieważ cię kocham,
Powiem ci szczerze, że oto Kalpurnia,
Moja żona mnie zatrzymuje w domu.
Jej się tej nocy śniło, że widziała
Mój posąg, który, jak jaka fontanna
O stu otworach, czystą krwią wytryskał,
A wielu dzielnych Rzymianów z uśmiechem
Biegło, by ręce w mojej krwi zanurzać.
To poczytuje za jakąś przestrogę,
Albo za wieszczbę, grożącą nieszczęściem,
I na kolanach wybłagała u mnie,
Żebym dziś krokiem z domu się nie ruszył.

Decyusz. Ten sen jest całkiem mylnie zrozumiany...
To jest widzenie piękne i szczęśliwe!
Twój posąg hojnie krwią wytryskujący,

W której z uśmiechem płuczą się Rzymianie,
Znaczy, że z ciebie wielki Rzym ssać będzie
Ożywiającą krew — i wielcy ludzie
Będą się garnąć po święte pamiątki
I po zaszczyty. To ów sen ma znaczyć.
Cezar. I tym sposobem dobrześ go wyłożył.
Decyusz. Tak jest — niech tylko sam usłyszysz wprzódy
Co ci mam donieść: senat postanowił
Dzisiaj koroną uwieńczyć Cezara!
Jeśli im każesz dać znać, że nie przyjdziesz,
Mogą odmienić zamiar. Oprócz tego,
To do szyderstwa mogłoby dać powód,
Jeśli kto powie: »Niech senat odłoży
Swe posiedzenie do innego czasu,
Póki się żonie Cezara nie przyśni
Sen pomyślniejszy!« Gdy Cezar się skryje,
Nie będąż szeptać: »Ho! Cezar się boi!«
Cezarze! przebacz mi, że moja miłość
Na twoją korzyść tak mi mówić każe,
A mój rozsądek mej miłości słucha.
Cezar. Jakże dziecinne wydają się teraz
Twoje obawy, Kalpurnio moja!...
Wstydzę się, żem im ustąpił na chwilę;
Teraz podajcie mi szatę, bo wyjdę.
(Wchodzą: Publiusz, Brutus, Ligaryusz, Metellus, Kaska, Treboniusz i Cynna).
Publiusz także już po mnie przychodzi?
Publiusz. Witaj, Cezarze!
Cezar. Witaj, Publiuszu!
Cóż to? Brutusie! tak rano już wstałeś?
Dzień dobry, Kasko! Kaju Ligaryuszu!
Cezar ci nigdy nie był takim wrogiem,
Jak owa febra, co cię tak wycieńcza.
Która godzina?
Brutus. Już ósma wybiła.
Cezar. Dzięki za trud wasz i waszą uprzejmość.
(Wchodzi Antoniusz).
Patrzcie — Antoniusz, co po nocach hula,
Pomimo tego wstał już. Dzień dobry ci!
Antoniusz. Równie i tobie, szlachetny Cezarze!
Cezar. Każ tam, niech w domu wszystko przygotują!
Nagany jestem godzien, że tak daję
Na siebie czekać. O! Cynna! Metellus!

Co? i Treboniusz? A mam z tobą właśnie
Do pomówienia na całą godzinę;
Pamiętaj być dziś u mnie — a bądź blizko
Przy mnie, ażebym miał ciebie w pamięci.
Treboniusz. Będę, Cezarze! *(Na str.)* I tak będę blizko,
Że twój najlepszy przyjaciel pragnąłby,
Abym był dalej.
Cezar. Teraz, moi mili!
Wejdźcie skosztować ze mną trochę wina;
A potem zaraz, jako przyjaciele,
Pójdziemy razem.
Brutus. Że wszystko tem nie jest,[1]
Cezarze! czem się na pozór być zdaje,
Na tę myśl serce Brutusa się kraje!
(Wychodzą).

SCENA III.

Tamże. Ulica koło Kapitolu.

(Wchodzi Artemidorus, czytając pismo).

Artemidorus. »Cezarze! strzeż się Brutusa, unikaj Kasyusza, nie zbliżaj się do Kaski; miej oko na Cynnę; nie ufaj Treboniuszowi, uważaj dobrze na Metella Cymbra; Decyusz Brutus nie lubi cię; skrzywdziłeś Kaja Ligaryusza. Jeden duch tylko jest w tych wszystkich mężach, a ten jest przeciwko Cezarowi. Jeżeli nie jesteś nieśmiertelnym, miej baczność! Zbyteczna ufność otwiera drogę spiskowi. Niechaj przemożni bogowie cię strzegą! Twój Artemidorus«.
Tutaj stać będę, aż Cezar nie przejdzie,
I jako prośbę, podam mu to pismo.
Serce mnie boli, że cnota nie może
Żyć, przed zawiści kłem zabezpieczona!
Jeśli te słowa przeczytasz, Cezarze,
Jeszcze twe życie przedłużą niebiosy;
Jeśli nie, zdrajcom pomagają losy!
(Wychodzi).

---

[1]) Te słowa Brutusa są niejako odpowiedzią na słowa Cezara: »Jako przyjaciele...« i t. d. (Przyp. tłómacza).

SCENA IV.

Tamże. Inna część tej samej ulicy przed domem Brutusa.

(Wchodzą: Porcya i Lucyusz).

Porcya. Proszę cię, chłopcze! biegnij do senatu!
Nie zatrzymuj mnie żadną odpowiedzią,
Lecz śpiesz!... dlaczego jeszcze stoisz?
Lucyusz. Pani!
By się dowiedzieć o mojem zleceniu.
Porcya. Chciałabym, żebyś tam był i już wrócił,
Nim ci powiedzieć mogę, co masz zrobić.
Stałości! wspieraj mnie i postaw skałę
Między mem sercem a memi ustami!...
Męską mam duszę, a siłę kobiety...
Jakże kobiecie cięży tajemnica!
Czyś jeszcze tutaj?
Lucyusz. Pani! cóż mam czynić?
Do Kapitolu pobiedz? i nic więcej?
I znów do pani wrócić?... i nic więcej?
Porcya. Tak jest — idź, donieś mi, czyli pan twój zdrów?...
Bo wyszedł chory... i uważaj dobrze
Co robi Cezar i kto się z prośbami
Do niego ciśnie? Ha!... słyszałeś, chłopcze?
Co to za hałas?
Lucyusz. Nic nie słyszę, pani!
Porcya. Proszę cię, słuchaj dobrze — ja słyszałam
Zmieszany łoskot, jakby wrzawę bitwy!
A wiatr te dźwięki niósł od Kapitolu.
Lucyusz. Doprawdy, pani! nic nie słychać wcale.

(Wchodzi Wieszczbiarz).

Porcya. Zbliż się, człowiecze! Skąd prowadzą bogi?
Wieszczbiarz. Prosto od siebie idę, dobra pani!
Porcya. Która godzina?
Wieszczbiarz. Około dziewiątej.
Porcya. Czy Cezar poszedł już do Kapitolu?
Wieszczbiarz. Nie jeszcze — właśnie patrzę, gdzieby [stanąć,
By się z nim spotkać, gdy będzie przechodził.
Porcya. Czyli masz jaką prośbę do Cezara?
Wieszczbiarz. Tak jest — mam, pani! i jeżeli Cezar
Będzie miał tyle łaski dla Cezara,

By mnie wysłuchał, to go będę prosić,
Aby sam sobie bardziej sprzyjać raczył.
Porcya. Wiesz o zamyśle jakim przeciw niemu?
Wieszczbiarz. Nie wiem o żadnym... obawiam się wielu.
Żegnam cię, pani! tu ulica wązka,
Tłum, co się ciśnie za Cezara stopą,
Senat, pretory i rój suplikantów,
Mógłby tu na śmierć mnie słabego zdusić...
Pójdę poszukać wolniejszego miejsca,
Skąd będę mówić mógł z wielkim Cezarem,
W jego przechodzie.
(Wychodzi Wieszczbiarz).
Porcya *(do siebie).* Muszę pójść do domu...
Och! jakże słabe jest serce kobiece!
Brutusie! niech ci pomagają nieba
W twoim zamyśle! — Ha! Lucyusz mię słyszał!
(Do Lucyusza).
Brutus ma prośbę, której Cezar pewnie
Nie chce wysłuchać — słabo mi się robi...
Biegnij, Lucyuszu! poleć mnie mężowi...
Powiedz, że jestem wesołą — powracaj
I wnet mi donieś to, co ci poleci.
(Wychodzi).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Tamże. Przed Kapitolem. Widać wewnątrz Senat siedzący.

(Tłum ludu na ulicy wiodącej do Kapitolu, między tłumem Artemidorus i Wieszczbiarz. Słychać trąby — wchodzą: Cezar, Brutus, Kasyusz, Kaska, Decyusz, Metellus, Treboniusz, Cynna, Antoniusz, Lepidus, Popiliusz, Publiusz i inni).

Cezar. No! Idy marca nadeszły już przecie.
Wieszczbiarz. Tak jest, Cezarze, ale nie minęły.
Artemidorus. Cześć ci, Cezarze! — Przeczytaj to pismo.
Decyusz. Treboniusz prosi, abyś pierwej raczył
Tę jego prośbę pokorną przeczytać.
Artemidorus. Och! moją pierwej przeczytaj, Cezarze!

Bo moja bliżej obchodzi Cezara...
Cezarze! czytaj.
Cezar. To, co mnie się tyczy,
Będzie ostatniem.
Artemidorus. Nie zwlekaj, Cezarze!
Przeczytaj zaraz.
Cezar. Czy ten człek oszalał?
Publiusz. Ho! zróbże miejsce!
Kasyusz. Czego się ciśniecie
Tu na ulicy z waszemi prośbami?
Do Kapitolu!
(Cezar wchodzi do Kapitolu, reszta za nim. Senatorowie powstają).
Popiliusz *(do Kasyusza).* Życzę wam szczęścia w dzisiej-
[szym zamyśle.
Kasyusz. W jakim zamyśle, Popiliuszu Leno?
Popiliusz. Bywajcie zdrowi.
(Zbliża się do Cezara).
Brutus *(do Kasyusza).* Co mówił Popiliusz?
Kasyusz. Życzył nam szczęścia w dzisiejszym zamyśle;
Lękam się, czy nasz zamiar nie odkryty?
Brutus. Patrz, jak się zbliża do Cezara... patrzaj!
Kasyusz. O! Kasko! śpiesz się... lękamy się zdrady.
Cóż mamy czynić, Brutusie? Och! jeśli
To się wydało... Kasyusz albo Cezar
Stąd nie powróci; bo ja się zabiję.
Brutus. Bądź stałym, bracie! Popiliusz nie mówi
Wcale o naszych zamiarach; bo patrzaj,
On się uśmiecha, a Cezar spokojny.
Kasyusz. Treboniusz dobrą wybrał porę — patrzaj
Jak nam uprzątnął z drogi Antoniusza.
(Antoniusz i Treboniusz wychodzą. Cezar i Senatorowie zasiadają).
Decyusz. Gdzie jest Metellus Cymber? niechaj zaraz
Przystąpi z prośbą swoją do Cezara.
Brutus. On gotów — wy go popierajcie z blizka.
Cynna. Kasko! ty musisz pierwszy podnieść rękę.
Cezar. Czyśmy gotowi wszyscy? Cóż ma Cezar
I jego senat zdrożnego naprawić?
Metellus. Dzielny, wyniosły, przemożny Cezarze!
Metellus Cymber rzuca ci pod nogi
Pokorne serce...
Cezar. Wstrzymaj się, Metellu!

Te płaszczenia się i nizkie pokłony
Mogą rozegrzać krew powszednich ludzi,
I zmienić wyrok, lub ustawy dawne
W prawo dziecięce. Ale nie myśl sobie,
Że krew Cezara tak łatwo się wzrusza,
Żeby stopniała w nim wrodzona siła
Przez to, co głupców zmiękcza: słodkie słówka,
Czołobitności albo psie pochlebstwa.
Brat twój wygnany został za wyrokiem;
Jeśli o niego błagasz, gniesz się, płaszczysz,
To ciebie kopnę, jak psa, precz od siebie!
Bo wiedz, że Cezar krzywdy nie wyrządza,
I bez przyczyny przebłagać się nie da.

Metellus. Niemasz tu głosu nad mój godniejszego,
Ażeby milej brzmiał w uszach Cezara,
I za wygnanym moim bratem błagał?

Brutus. Całuję rękę twoją, o Cezarze!
Nie przez pochlebstwo, ale błagam ciebie,
Żeby Publiusz Cymber mógł natychmiast
Powrót z wygnania zyskać.

Cezar. Co, Brutusie?

Kasyusz. Przebacz, Cezarze! O! Cezarze, przebacz!
Do samych nóg twych Kasyusz się uniża,
Żebrząc o powrót Publiusza Cymbra.

Cezar. Zaiste, dałbym się wzruszyć, gdybym był
Podobnym do was. Gdybym sam mógł prosić,
By wzruszyć, prośby mnie by wzruszyć mogły...
Lecz jestem stały, jak północna gwiazda,
Która w swej trwałej, niezmiennej własności
Na firmamencie nie ma towarzysza.
Niebo od iskier niezliczonych błyszczy,
Każda płomienna, każda jasno świeci;
Lecz tylko jedna tkwi w swem miejscu wiecznie.
Tak i na świecie — pełno na nim ludzi...
Ludzie są z ciała i krwi... są wrażliwi,
Lecz pośród mnóstwa znam tylko jednego,
Co niezachwianie tkwi w swojej posadzie,
Niewzruszon prądem. Ja jestem tym jednym!
A że nim jestem, to pragnę wam trochę
I w tem okazać, że, gdym postanowił,
Aby Publiusz Cymber był wygnanym,
Chcę także, aby na wygnaniu został.

Cynna. O Cezarze!

Cezar. Precz — chcesz Olimp podźwignąć?
Decyusz. Wielki Cezarze!
Cezar. Czyż nie nadaremnie
I Brutus klęczy?
Kaska. Mówcież za mnie ręce!
(Kaska uderza Cezara sztyletem w kark, Cezar chwyta go za ramię, poczem uderzają na niego inni sprzysiężeni, na ostatek Brutus).
Cezar. I ty, Brutusie?! A więc giń, Cezarze!
(Cezar kona — lud i Senatorowie cofają się w zamieszaniu).
Cynna. Wolność!... swoboda!... zabite tyraństwo!
Biegnijcie wieść tę obwołać po mieście!
Kasyusz. Ho! na mównicę!... i wołajcie na głos:
Oswobodzenie! wolność! niepodległość!
Brutus. Ludu! Senacie! bądźcie bez obawy!
Nie uciekajcie — stójcie! żądza władzy
Spłaciła dług swój.
Kaska. Na rostrę! Brutusie!
Decyusz. I ty, Kasyuszu, także.
Brutus. Gdzie Publiusz?
Cynna. Tu jest — zmieszany całkiem tym rozruchem.
Metellus. Stańmy w ściśnięty szereg, by przypadkiem
Który z przyjaciół Cezara...
Brutus. Nie mówcie
Teraz o staniu. Publiuszu, śmiało!
Nie zamierzamy nic przeciwko tobie,
Ani przeciwko żadnemu ze Rzymian...
Powiedz to wszystkim.
Kasyusz. I zostaw nas samych,
By lud wzburzony, przeciw nam się tłocząc,
Twojej siwiźnie krzywdy nie wyrządził.
Brutus. Zaiste, zrób tak — i niech nikt za czyn ten
Nie odpowiada, prócz nas, jego sprawców.
(Wraca Treboniusz).
Kasyusz. Gdzie jest Antoniusz?
Treboniusz. W wielkiem przerażeniu
Uciekł do domu -- mężczyźni, niewiasty,
Dzieci w słup patrzą, biegają i krzyczą,
Jakby w dzień sądny!
Brutus. Losy! teraz waszą
Poznamy wolę. Że umrzeć musimy,
Wiemy — odwlekać tylko kres ostatni
I dni przedłużyć starają się ludzie.

Kaska. O! tak — kto życiu wydrze lat dwadzieścia,
Ten wydrze tyleż lat obawie śmierci.
Brutus. Gdy to się przyzna, śmierć jest dobrodziejstwem...
My przyjaciółmi jesteśmy Cezara,
Żeśmy mu śmierci skrócili obawę.
Schylcie się, schylcie, Rzymianie, i ręce
We krwi Cezara zmaczajmy po łokcie,
I zafarbujmy krwią nasze oręże!
A potem wyjdźmy tak na rynek miasta,
Czerwone miecze wznosząc nad głowami,
Wołajmy wszyscy: wolność! pokój! wolność!
Kasyusz. Schylmyż się we krwi nurzać — ileż wieków
Będzie powtarzać naszą wzniosłą scenę,
W nieznanej jeszcze przyszłych ludów mowie!
Brutus. Ilekroć będzie na żart ginąć Cezar,
Co przy Pompeja tu legł piedestale,
I dziś nie więcej znaczy, jak garść prochu.
Kasyusz. A ile razy to się będzie działo,
Tylekroć garstka nasza się nazowie:
»Ludzie, co dali wolność swej ojczyźnie!«
Decyusz. Cóż? czy pójdziemy?
Kasyusz. Tak jest — wyjdziem wszyscy,
Brutus na czele, my poniesiem za nim
Rzymu najśmielsze i najlepsze serca.
(Wchodzi sługa).
Brutus. Kto tu się zbliża? Poseł Antoniusza.
Sługa. Tak mi, Brutusie, pan mój kazał klęknąć,
Marek Antoniusz tak mi upaść kazał,
I klęczącemu tak rozkazał mówić:
Brutus jest zacny, mądry i waleczny!
Cezar był możny, królewski, łaskawy.
Powiedz, że kocham i że czczę Brutusa!
Powiedz mu, że się lękałem Cezara,
Że go kochałem i czciłem! Jeżeli
Brutus pozwoli, ażeby Antoniusz
Przyszedł bezpiecznie do niego i zbadał,
Czem Cezar na śmierć takową zasłużył,
Antoniusz kochać nie będzie zmarłego
Cezara, tak jak żywego Brutusa...
I owszem, wiernie i ściśle się złączy
Z losem i sprawą zacnego Brutusa,
Śród niebezpieczeństw wzburzonego państwa.
Tak pan mój, Marek Antoniusz, powiada.

Brutus. Twój pan jest mądry i dzielny Rzymianin!
I nigdy o nim nie sądziłem gorzej.
Powiedz mu, jeśli tu się udać zechce,
To mu zdam sprawę, i czcią moją ręczę,
Że może odejść stąd nienaruszony.
Sługa. Pójdę po niego.
(Wychodzi sługa).
Brutus. Wiem, że przyjaciela
Będziem mieć z niego.
Kasyusz. Pragnę, by tak było;
Jednak coś w duszy źle mi o nim wróży...
Obawiam go się... a moje przeczucia
Dotychczas zawsze dziwnie się ziszczały.
(Wchodzi Antoniusz).
Brutus. Oto Antoniusz — witaj, Antoniuszu!
Antoniusz. Wielki Cezarze! więc tak ległeś w prochu!
A twe zwycięstwa, tryumfy, zdobycze,
Do tejże miary zmalały! O! żegnaj!...
Nie wiem, ziomkowie, o waszych zamiarach,
Czyja krew jeszcze ma płynąć i kto wam
Jest na zawadzie? Jeśli ja mam zginąć,
Żadna godzina nie jest tak stosowną,
Jak ta śmiertelna godzina Cezara;
Żadne narzędzie, przez pół tak szacowne,
Jako te wasze miecze, wzbogacone
Najszlachetniejszą krwią na całym świecie!
Proszę was, jeśli co przeciw mnie macie,
Póki się kurzą wasze krwawe dłonie,
Spełnijcie wyrok! Choćbym żył lat tysiąc,
Nigdybym nie był tak do śmierci gotów;
I niemasz miejsca, ni sposobu śmierci
Pożądańszego dla mnie, jak tu poledz
Obok Cezara, i zabitym przez was,
Naszego wieku najwybrańsze dusze!
Brutus. Nie błagaj od nas śmierci, Antoniuszu!
Chociaż ci teraz krwawi i okrutni
Zdawać się musim, jako nasze ręce
I teraźniejszy nasz czyn okazują;
Jednak ty tylko widzisz nasze dłonie,
Lecz serc nie widzisz... te pełne litości.
Litość nad Rzymu powszechną niedolą
Spełniła owo dzieło na Cezarze,
Jak ogień ogień, litość litość niszczy.

Ale dla ciebie, Marku Antoniuszu!
Naszych oręży ostrza są z ołowiu —
Nasze ramiona, tem zabójstwem silne,[1])
I nasze serca, złączone braterstwem,
Przyjmują ciebie z życzliwą przyjaźnią,
Rzetelną myślą i uszanowaniem.
Kasyusz. Głos twój tak ważnym będzie, jak czyjkolwiek,
Przy rozdawaniu urzędów na nowo.
Brutus. Tylko cierpliwym bądź, aż uspokoim
Lud, który z trwogi sam się nie posiada;
Wtedy ci ważne przełożym powody,
Dlaczego ja, choć kochałem Cezara,
Gdym go zabijał, tak sobiem postąpił.
Antoniusz. Nie powątpiewam o waszej mądrości!
Niech każdy z was mi krwawą dłoń swą poda!
Marku Brutusie! najprzód ściskam twoją.
Potem, Kasyuszu, twoją biorę rękę.
A teraz twoją, Decyuszu Brutusie!
Twoją Metellu! potem twoją, Cynno!
O! mój waleczny Kasko! twoją także...
I choć ostatni, lecz nie mniej kochany,
Twoją nareszcie, dobry Treboniuszu!
Zacni ziomkowie! biada!... cóż wam powiem?
Moje znaczenie dziś na ślizkim gruncie;
Za jedno z dwojga złego mię weźmiecie,
Albo za tchórza, albo za pochlebcę.
Że cię kochałem, Cezarze, to prawda.
Jeśli więc teraz duch twój patrzy na nas,
Czyliż cię bardziej, niż śmierć, nie zaboli
Widok twojego Antoniusza, który
Zawiera pokój z twoimi wrogami,
I krwawe ręce kolejno im ściska,
O! ty szlachetny! wobec twego trupa?...
Gdybym miał tyle ócz, ile ty ran masz,
Płakać tak hojnie, jak one krwią cieką,
Toby nierównie lepiej mi przystało,
Niż przyjaźń z twymi zawierać wrogami.
Przebacz, Juliuszu! O królewskie zwierzę
Tutaj poległeś, tutaj łowcy stali

---

[1]) Tak tłómaczy Steevens to ciemne miejsce, według dawnego sposobu czytania: »*in strength o malice, etc.*«

(Przyp. tłómacza).

Z oznaką mordu, twoją krwią szkarłatni.
Świecie! tyś borem dla tego jelenia...
Świecie! on boru swego był ozdobą! [1])
O! jakże ległeś tu teraz, jak jeleń,
Pod tylu książąt łowieckimi razy!
Kasyusz. O! Antoniuszu!
Antoniusz. Przebacz mi, Kasyuszu!
To o Cezarze i wrogi powiedzą...
Od druha zimne to umiarkowanie.
Kasyusz. Nie ganię w tobie, że chwalisz Cezara;
Lecz jakież z nami chcesz mieć zachowanie?
Czy chcesz być naszym przyjacielem, czyli
Mamy iść dalej, nie bacząc na ciebie?
Antoniusz. Dlategoż wasze uścisnąłem dłonie...
Lecz się uniosłem, patrząc na Cezara.
Kocham was wszystkich! przyjaźń mam dla wszystkich!
W nadziei, że mi złożycie dowody,
Komu i w czem był Cezar niebezpieczny?
Brutus. Tak jest — inaczej czyn nasz byłby tylko
Dzikiem igrzyskiem. A nasze powody
Takie są ważne, że ty, Antoniuszu,
Sam, choćbyś nawet był synem Cezara,
Musiałbyś uznać je za dostateczne.
Antoniusz. Więcej nie pragnę — i jeszcze was tylko
Oto upraszam, pozwólcie, ażebym
Mógł jego ciało ukazać na rynku;
I z rostry, jak jest rzeczą przyjaciela,
Na pogrzebowym obrzędzie miał mowę.
Brutus. Możesz to wszystko uczynić.
Kasyusz. Brutusie!
Na słowo z tobą — sam nie wiesz, co czynisz!
Nie pozwól, żeby Antoniusz miał mowę...
Wiesz-li, jak lud się może dać poruszyć,
Tem, co on powie!
Brutus. O! za pozwoleniem...
Wszak ja sam przódy stanę na mównicy,
Przyczyny śmierci Cezara okażę,
I co Antoniusz powie, wprzód oznajmię,
Że to za naszem mówi zezwoleniem,

---

[1]) W oryginale jest tu igranie słowami podobnego brzmienia: *heart* (serce) i *hart* (jeleń), które w tłómaczeniu niknie.
(Przyp. tłómacza).

I że my sami żądamy, by Cezar
Był przynależnym uczczony obrzędem;
To nam pomoże bardziej, niż zaszkodzi.
Kasyusz. Nie wiem, co może stąd wyniknąć; jednak
Tego nie chwalę.
Brutus. Marku Antoniuszu!
Oto Cezara zabierz sobie zwłoki;
Ale nas nie gań w twej pogrzebnej mowie.
Mów o Cezarze, ile chcesz dobrego,
Lecz powiedz, że to z naszem przyzwoleniem
Czynisz; inaczej nie zyskasz udziału
W jego pogrzebie. Twą mowę mieć będziesz
Z tej samej rostry, na którą ja idę,
Skoro ja mówić skończę.
Antoniusz. Niech tak będzie;
Więcej nie żądam.
Brutus. Więc przygotuj ciało;
Potem za nami miej się do pochodu.
(Wychodzą wszyscy, oprócz Antoniusza).
Antoniusz *(sam)*. O! przebacz ty mi, krwawa szczypto gliny!
Żem tak uprzejmy z twymi oprawcami.
Ty jesteś gruzem największego męża,
Który żył kiedy na czasów powodzi!
Biada tej ręce, która tę szacowną
Krew wytoczyła! Nad twemi ranami,
Które, jak nieme usta otwierają
Swe koralowe wargi i mojego
Głosu żebrają od mego języka,
Ja prorokuję: że ciężkie przekleństwo
Porazi ludzkie członki; że domowa
Wojna i wściekłość wewnętrznej niezgody
Rozszarpie wszystkie części Italii!
Krew i zniszczenie tak będą w zwyczaju,
Tak się powszednim stanie widok zgrozy,
Że matki będą się tylko uśmiechać,
Widząc swe dzieci krajane na ćwierci
Krwawemi dłońmi wojny; wszelką litość
Nałóg nieludzkich czynów ze serc wygna,
A duch Cezara, dyszący za zemstą,
Z jędzą przy boku, od piekielnych żarów
Całą gorącą, w granicach tych krajów
Monarszym głosem będzie wołał: »Mordu!«
I spuści wściekłe psy wojny ze sfory,

Aż ten czyn sprośny na ziemi zaśmierdzi
Ścierwami ludzi, co żebrzą pogrzebu.
(Wchodzi sługa).
Jesteś Cezara Oktawiusza sługą?
Czy nie tak?...
Sługa. Tak jest, Marku Antoniuszu!
Antoniusz. Cezar mu pisał, by przybył do Rzymu.
Sługa. Otrzymał jego pismo i przybywa;
A mnie polecił, aby ci powiedzieć...
(Spostrzega trupa).
O Cezarze!
Antoniusz. Ból przepełnia ci serce...
Odejdź na stronę i płacz tam — jak widzę,
Boleść zaraża; bo i moje oczy,
Gdy perły żalu obaczyły w twoich,
Trysnęły łzami. — Czy twój pan przybywa?
Sługa. Nocuje dzisiaj o siedm mil od Rzymu.
Antoniusz. Jedź-że napowrót śpiesznie i opowiedz
Twojemu panu, co się tutaj stało.
Tu Rzym żałobny, Rzym pełen rozruchu,
To niebezpieczny Rzym dla Oktawiusza!
Śpiesz mu to donieść. Jednak czekaj chwilę
I nie odjeżdżaj, nim wyniosę tego
Trupa na rynek; tam wprzód moją mową
Spróbuję, jak się wyda w oczach ludu
Tych krwawych mężów okrutny postępek;
A podług tego, zdasz sprawę młodemu
Oktawiuszowi, jak tu rzeczy stoją.
Teraz mi pomóż.
(Wychodzą, unosząc zwłoki Cezara).

SCENA II.

Tamże. Forum.

(Wchodzą: Brutus, Kasyusz i tłum obywateli).

Obywatele. Chcemy mieć sprawę!... macie nam zdać sprawę!
Brutus. Więc chodźcie za mną, dać mi posłuchanie.
Kasyuszu! ty idź na drugą ulicę
I rozdziel rzesze. Ci, co mojej mowy
Chcą słuchać, niechaj tu ze mną zostaną;
Ci, co Kasyusza, niechaj z nim odejdą,

A my publicznie wyjaśnim powody
Śmierci Cezara.

Pierwszy obywatel. Chcę słyszeć Brutusa.

Drugi obywatel. A ja Kasyusza — tak będziemy w stanie
Porównać obu przyczyny i zdania,
Gdy będziem obu słyszeli z osobna.

(Wychodzi Kasyusz, a z nim część obywateli — Brutus wstępuje na mównicę).

Trzeci obywatel. Szlachetny Brutus wstąpił na mównicę...
Milczenie!

Brutus. Bądźcie cierpliwi do końca!
Rzymianie! rodacy! przyjaciele! słuchajcie mnie dla sprawy mojej i zachowajcie milczenie, abyście słyszeć mogli; wierzcie mi dla zacności mojej i uszanujcie zacność moją, abyście mi wierzyć mogli; sądźcie mnie wedle mądrości waszej i rozbudźcie umysły wasze, abyście lepiej sądzić mogli. Jeżeli jest kto w tem zgromadzeniu, który był szczerym przyjacielem Cezara, do niego ja mówię: że miłość Brutusa dla Cezara nie mniejszą była, niż jego. Jeśli więc ten przyjaciel mnie zapyta, dlaczego Brutus powstał przeciw Cezarowi? Oto jest moja odpowiedź: Nie, że kochałem Cezara mniej, ale żem Rzym kochał więcej! Czy wolelibyście, żeby Cezar żył, a wy wszyscy umierali niewolnikami, czy żeby Cezar umarł, a wy wszyscy żyli jako wolni ludzie? Ponieważ Cezar mnie kochał, opłakuję go; że był szczęśliwy, cieszę się; że był waleczny, czczę go; lecz że był władzy chciwym, zabiłem go! Są łzy dla jego miłości, jest radość z jego szczęścia, cześć za jego waleczność, a śmierć za jego chciwość władzy. Kto tu z was jest tak nikczemnym, że chciałby być niewolnikiem? jeśli jest, niech mówi, bom jego obraził. Kto tu jest tak bezdusznym, żeby nie chciał być Rzymianinem? jeśli jest, niech mówi, bom jego obraził. Kto tu jest tak podłym, żeby nie kochał swojej ojczyzny? jeśli jest, niech mówi, bom jego obraził! — Czekam na odpowiedź.

Wszyscy. Nikt! nikt, Brutusie!

Brutus. Więc nie obraziłem nikogo — nie uczyniłem więcej Cezarowi, niżbyście wy Brutusowi uczynili [1]). Sprawa

---

[1]) To miejsce nie dość jasne tak sobie trzeba uzupełniać: »Niżbyście wy Brutusowi uczynili, gdyby sobie tak jak Cezar postępował z wami«. (Przyp. tłómacza).

jego śmierci jest zapisana w Kapitolu; sława jego w niczem nie umniejszona, w czem był zasłużonym; ani jego przewiny, za które śmierć poniósł, nie powiększone. *(Wchodzi Antoniusz i inni z ciałem Cezara).* Oto zbliżają się jego zwłoki, które opłakuje Marek Antoniusz; ten, chociaż nie miał udziału w jego śmierci, otrzyma z niej korzyści, to jest, urząd zaszczytny w państwie. Bo i któż z was tego nie otrzyma?... Teraz z tem odchodzę, że jako ja zabiłem najdroższego mojego przyjaciela dla dobra Rzymu, tak mam ten sam miecz na siebie, skoro się ojczyźnie mojej podobać będzie potrzebować mojej śmierci.

Wszyscy. Żyj! żyj, Brutusie!
Pierwszy obywatel. Odprowadźmy go w tryumfie do [domu!
Drugi obywatel. Stawmy mu posąg obok jego przodków!
Trzeci obywatel. Niech będzie Cezarem!
Czwarty obywatel. Ukoronujmy
W Brutusie lepsze przymioty Cezara.
Pierwszy obywatel. Odprowadźmy go do domu z okla- [skiem!
Brutus. Moi ziomkowie...
Drugi obywatel. Cicho! Brutus mówi.
Pierwszy obywatel. Cicho! milczenie!
Brutus. O! drodzy ziomkowie!
Dajcie mi odejść samemu, proszę was...
Zostańcie dla mnie tutaj z Antoniuszem,
By uczcić zwłoki Cezara i słuchać
Mowy ku jego chwale, którą tutaj
Marek Antoniusz z naszem przyzwoleniem
Będzie miał do was. Błagam was usilnie,
Niechaj z was żaden stąd się nie oddala,
Prócz mnie, dopóki Antoniusz nie skończy.
(Wychodzi Brutus).
Pierwszy obywatel. Zostańmy słuchać mowy Antoniusza.
Trzeci obywatel. Niechaj wystąpi na publiczną rostrę!
Chcemy go słyszeć. — Mów, cny Antoniuszu!
Antoniusz. Oglądam was tu za sprawą Brutusa...
Czwarty obywatel. Co on tam mówi o Brutusie?
Trzeci obywatel. Mówi,
Że nas ogląda za sprawą Brutusa.
Czwarty obywatel. Dobrzeby zrobił, żeby tutaj przy nas
Nic nie powiedział złego o Brutusie.

Pierwszy obywatel. Już to ten Cezar był tyranem.
Trzeci obywatel. Pewnie!
To szczęście dla nas, że go Rzym się pozbył.
Drugi obywatel. Cicho! słuchajcie, co Antoniusz powie.
Antoniusz. Zacni Rzymianie!...
Kilku obywateli. Cicho!... słuchajmy go!
Antoniusz. O! przyjaciele! Rzymianie! rodacy!
Obywatele! dajcie posłuchanie!
Przychodzę grzebać, nie chwalić Cezara.
Złe, które człowiek zdziała, trwa i po nim,
A dobre często razem z nim się grzebie...
Tak niech z Cezarem będzie. Zacny Brutus
Mówi, że Cezar zbyt był władzy chciwym;
Jeśli tak było, ciężka to przewina,
I ciężko Cezar ją odpokutował.
Tu, z przyzwolenia Brutusa i tamtych,
Bo Brutus wielce jest czcigodnym mężem,
I tamci wszyscy, wszyscy są czcigodni...
Przychodzę mówić przy zwłokach Cezara.
On mi był druhem, wiernym, szczerym dla mnie,
Lecz Brutus mówi, że był władzy chciwym...
A Brutus wielce jest czcigodnym mężem!
Mnogo on jeńców nieraz wiódł do Rzymu,
Ich okup skarb nasz publiczny napełniał!
Czyż to w Cezarze zdradza władzy chciwość?
Kiedy ubogi jęczał, Cezar płakał;
Kto chciwy władzy, twardsze zwykł mieć serce...
Lecz Brutus mówi, że był władzy chciwym,
A Brutus wielce jest czcigodnym mężem!
Wśród Luperkaliów wszyscyście widzieli,
Żem mu koronę trzykroć ofiarował...
Trzykroć odmówił, czyż to władzy chciwość?
Lecz Brutus mówi, że był władzy chciwym,
A Brutus pewnie jest czcigodnym mężem;
Temu, co Brutus mówi, ja nie przeczę,
Mówię tu tylko to, co mi wiadomo.
Wszakżeście wszyscy niegdyś go kochali
Nie bez przyczyny, i cóż was wstrzymuje,
Żebyście po nim nie czuli żałoby?...
O! prawy sądzie! tyś uciekł do zwierząt!
Ludzie stracili rozsądek!... Przebaczcie!
W trumnie Cezara teraz moje serce
I muszę przestać, aż znów do mnie wróci.

Pierwszy obywatel. Sądzę, że wiele jest prawdy w tych
[słowach.
Drugi obywatel. Jeśli się dobrze rzecz rozważy, Cezar
Niezmierną poniósł krzywdę.
Trzeci obywatel. Tak sądzicie?
Lękam się, żeby kto gorszy nie nastał
Na jego miejsce.
Czwarty obywatel. Czyście uważali?
Nie chciał korony przyjąć; więc to pewna,
Że nie był chciwym władzy.
Pierwszy obywatel. Jeśli tak jest,
Są tacy, którzy drogo to odpłacą!
Drugi obywatel. Biedny! od płaczu oczy mu jak ogień
Poczerwieniały.
Trzeci obywatel. Niema w całym Rzymie
Szlachetniejszego męża, jak Antoniusz!
Czwarty obywatel. Cyt! uważajcie!... znów zaczyna mówić.
Antoniusz. O! wczoraj jeszcze, jedno jego słowo
Przeciw całemu światu mogło ważyć!
Dziś on tu leży i najlichszy z tłumu
Nie uszanuje go nawet pokłonem!
Obywatele! gdybym wasze serca
Chciał do wściekłości i buntu podżegnąć,
Tobym Brutusa i Kasyusza skrzywdził,
Którzy, jak wiecie, są czcigodni męże!
Nie chcę ich krzywdzić; ale raczej wolę
Skrzywdzić zmarłego, siebie i was skrzywdzić,
Niżeli krzywdzić tak czcigodnych mężów...
Lecz ten pergamin z pieczęcią Cezara
Znalazłem w jego domu; to ostatnia
Wola Cezara. O! gdyby lud tylko
Usłyszał jego testament, przebaczcie!
Że go nie myślę wcale wam tu czytać...
Toby się ludzie schodzili całować
Rany zmarłego Cezara i w świętej
Krwi jego swoje chustki-by maczali,
O jego włosy prosząc na pamiątkę!
I umierając, w swoich testamentach,
Jak jakie skarby przekazywali-by
Owe pamiątki swojemu potomstwu.
Czwarty obywatel. Czytaj testament! Marku Antoniuszu!
Chcemy go słyszeć.

Wszyscy. Testament! testament!
Tak! chcemy słyszeć testament Cezara!
Antoniusz. Miejcie cierpliwość, mili przyjaciele!
Nie mogę wam go czytać; nie należy,
Byście wiedzieli, jak was Cezar kochał...
Wszak nie jesteście kloce, ani głazy;
Jesteście ludźmi — jako ludzie, gdyby
Usłyszeliście testament Cezara,
Musielibyście wpaść w zapał i szaleć!
Lepiej wam raczej ani wiedzieć o tem,
Że dziedziczycie po nim, bo gdybyście
Się dowiedzieli, cóżby stąd wynikło?
Czwarty obywatel. Czytaj testament, Marku Antoniuszu!
My chcemy słyszeć testament Cezara!
Musisz go czytać...
Antoniusz. Będziecież cierpliwi?
Chcecież poczekać? ja się wymówiłem,
Gdym wam nadmienił o tem; obawiam się
Wyrządzić krzywdę tym czcigodnym mężom,
Których sztylety zabiły Cezara...
Lękam się tego.
Czwarty obywatel. To są łotry! zdrajcy!
Czcigodni męże!...
Wszyscy. Testament! testament!
Drugi obywatel. To są złoczyńcy! zabójcy!... Testament!
Czytaj testament!
Antoniusz. A więc mnie zmuszacie
Czytać testament?... Więc otoczcie kołem
Zwłoki Cezara, a ja wam ukażę
Tego, co taki zapis wam uczynił!
Mogęż znijść na dół? Przystajecie na to?
Wszyscy. Znijdź! znijdź!
Drugi obywatel. Znijdź na dół!
Trzeci obywatel. Przystajemy na to.
Czwarty obywatel. Stańmy więc w koło!
Pierwszy obywatel. Zdala od trumny!... zdaleka od trupa!
Drugi obywatel. Dla szlachetnego Antoniusza miejsce!
Antoniusz. Nie ciśnijcie się tak!... stójcie opodal!
Wszyscy. Nazad! miejsca! nazad!
Antoniusz. Jeśli łzy macie, to się przygotujcie
Wylać je teraz — wszyscy znacie płaszcz ten,
Pamiętam, gdy go pierwszy raz wdział Cezar,
Było to letnim wieczorem, w namiocie,

Tego samego dnia zwyciężył Nerwiów.
Patrzcie! w to miejsce Kasyusz wbił swój sztylet...
Patrzcie! tu przedarł go zdradliwy Kaska,
A tutaj pchnął go ukochany Brutus!
A gdy wyciągnął swoją stal przeklętą,
Patrzcie! jak za nią krew Cezara biegła,
Jakby lecąca ku drzwiom, by obaczyć,
Czy to tak Brutus niemile kołace?
Bo, wiecie sami, że Brutus aniołem
Był dla Cezara. O! wielcy bogowie!
Sądźcie, jak Cezar jego kochał czule!
Najboleśniejszy to był cios ze wszystkich!
Skoro go Cezar ujrzał śród zabójców,
Od broni zdrajców silniejsza niewdzięczność
Pokonała go. Wielkie serce pękło!
I płaszczem sobie zakrywając lica,
Przy piedestale posągu Pompeja,
Który tymczasem ciągle krwią się sączył, [1])
Padł wielki Cezar!... Och! co za upadek!
Ziomkowie moi! współobywatele!
Wtedy ja i wy, wszyscyśmy upadli!
A krwawa zdrada z nas szydziła głośno.
Och! wy płaczecie! widzę, że czujecie
Litość głęboką... Och! to łzy szlachetne!
Tkliwi! płaczecie, choć widzicie tylko
Przekłutą odzież naszego Cezara?
Spojrzyjcie tutaj! bo oto on sam jest,
Tak jak widziecie, poszarpan od zdrajców!

Pierwszy obywatel. Żałosny widoku!
Drugi obywatel. O! zacny Cezarze!
Trzeci obywatel. O! dniu nieszczęścia!
Czwarty obywatel. O! zdrajcy! złoczyńcy!
Pierwszy obywatel. O! krwawy widoku!
Drugi obywatel. Chcemy zemsty! zemsty! chodźmy... szukajmy, niszczmy! palmy! zabijajmy! — Niech żaden zdrajca nie żyje!
Antoniusz. Stójcie, ziomkowie!
Pierwszy obywatel. Cicho! słuchajmy szlachetnego Antoniusza!

---

[1]) To jest, jak tłómaczy Johnson, że krew Cezara tryskała na posąg Pompejusza i z niego ściekała na ziemię; nie zaś, jak mniema Steevens, hyperbola poetyczna: że nawet posąg Pompejusza na czyn taki krwawemi łzami zapłakał. (Przyp. tłómacza).

Drugi obywatel. Będziemy go słuchać! pójdziemy za nim! polegniem za niego!

Antoniusz. O! moi mili! kochani! nie chciałbym
Do dzikiej burzy buntu was podżegać.
Ci, co spełnili ten czyn, są czcigodni...
Jakie urazy mieli osobiste,
Co ich do tego znagliły, niestety!
Nie wiem. — Oni są mądrzy i czcigodni!
Więc wam zapewne z tego zdadzą sprawę.
Ja nie przychodzę wykradać wam serca...
Nie jestem mówcą, tak jak Brutus, ale
Jako mnie wszyscy znacie, prosty człowiek;
Człowiek, co kocha swego przyjaciela,
I wiedzą o tem dobrze ci, co o nim
Tu mi publicznie mówić pozwolili;
Bo nie mam środków pisma, ni powagi,
Gestu, wymowy, ni potęgi słowa,
Aby krew ludzką wzburzyć. Ja po prostu
To tylko mówię, o czem wiecie sami,
I pokazuję wam rany Cezara;
Te biedne, nieme usta! niechaj one
Przemówią za mnie! Ale gdybym ja był
Brutusem, a zaś Brutus Antoniuszem,
Och! toby wtedy był taki Antoniusz,
Któryby wzburzył z gruntu wasze dusze,
W każdą Cezara ranę włożył język,
Któryby nawet i kamienie Rzymu
Wzruszył i powstać do buntu przymusił!

Wszyscy. Ho! zbuntujmy się!

Pierwszy obywatel. Spalmy dom Brutusa!

Trzeci obywatel. Chodźmy więc, chodźmy! szukajmy spi- [skowych.

Antoniusz. Jednak słuchajcie mnie jeszcze, rodacy!...

Wszyscy. Cicho! słuchajmy cnego Antoniusza!

Antoniusz. O przyjaciele! idziecie, nie wiedząc
Sami, co chcecie czynić; czemże Cezar
Na waszą miłość tak sobie zasłużył?
Niestety! jeszcze nie wiecie... więc muszę
Wam to powiedzieć. Czyście zapomnieli
O testamencie, o którym mówiłem?

Wszyscy. Prawda! testament — zostańmy — słuchajmy!

Antoniusz. Oto testament z pieczęcią Cezara...

Każdy ma dostać obywatel Rzymu,
Każdy z osobna, siedemdziesiąt pięć drachm.
Drugi obywatel. O! zacny Cezar!... pomścijmy śmierć jego!
Trzeci obywatel. Królewski Cezar!
Antoniusz. Słuchajcie cierpliwie!
Wszyscy. Cicho! słuchajmy!
Antoniusz. Oprócz tego jeszcze
Zostawia Cezar wam swoje ogrody,
Wszystkie swe sady i swe nowe gaje
Z tej strony Tybru; to on wam zostawia!
Wam i waszemu potomstwu, na zawsze
Ku przyjemności i rozrywce waszej,
Byście swobodnie tam się przechadzali.
To mi był Cezar! Kiedyż drugi taki
Zjawi się znowu?
Pierwszy obywatel. O! nigdy już, nigdy!
Chodźmy stąd, chodźmy! spalmy jego zwłoki
Na świętem miejscu, a z temi głowniami
Pójdziemy potem palić zdrajców domy!
Podnieście ciało.
Drugi obywatel. Idźcie przynieść ognia.
Trzeci obywatel. Połamcie ławki!
Czwarty obywatel. Połamcie krzesła, okna! łamcie wszystko!
(Obywatele odchodzą z ciałem Cezara).
Antoniusz *(sam).* Teraz niech zamęt działa!... złe już w ruchu...
Niech bierze obrót, jaki zechce! — Cóż tam?
(Wchodzi sługa).
Sługa. Panie! Oktawiusz już przybył do Rzymu.
Antoniusz. Gdzież jest?
Sługa. On i Lepidus są w domu Cezara.
Antoniusz. Więc tam go pójdę odwiedzić. Przybywa
Jak na żądanie — szczęście się uśmiecha
I da nam wszystko w tem usposobienie.
Sługa. Oktawiusz mówił, że Brutus i Kasyusz
Jak opętani pognali na koniach
Za bramy Rzymu.
Antoniusz. Zapewne ich doszły
Wieści o ludzie, który zbuntowałem.
Tymczasem prowadź mnie do Oktawiusza.
(Wychodzą).

SCENA III.

Tamże. Ulica.

(Wchodzi Cynna, poeta).

Cynna. Dziś mi się śniło, żem razem z Cezarem
Był przy biesiadzie — i nieszczęsne wróżby
Wciąż zapełniają moją wyobraźnię;
Nie mam ochoty za próg się wychylić,
A jednak coś mnie niby ciągnie z domu.

(Wchodzą obywatele).

Pierwszy obywatel. Jak się nazywasz?

Drugi obywatel. Dokąd idziesz?

Trzeci obywatel. Gdzie mieszkasz?

Czwarty obywatel. Czyś żonaty? czy bezżenny?

Drugi obywatel. Odpowiedz każdemu niezwłocznie!

Pierwszy obywatel. I krótko.

Czwarty obywatel. I rozumnie.

Trzeci obywatel. I rzetelnie, radzę ci szczerze.

Cynna. Jak się nazywam?... Dokąd idę?... Gdzie mieszkam?... Czym żonaty?... Czy bezżenny?... Więc aby każdemu odpowiedzieć niezwłocznie, krótko, rozumnie i rzetelnie, mówię rozumnie: jestem bezżenny.

Drugi obywatel. To tyle znaczy, jakbyś powiedział, że ci głupcy, którzy się żenią. Jeszcze ty za to oberwiesz ode mnie... Dalej! niezwłocznie...

Cynna. Niezwłocznie idę na pogrzeb Cezara.

Pierwszy obywatel. Jako przyjaciel, czy jako nieprzyjaciel?

Cynna. Jako przyjaciel.

Drugi obywatel. Na to już odpowiedział niezwłocznie.

Czwarty obywatel. Twoje mieszkanie?... krótko!

Cynna. Mieszkam koło Kapitolu.

Trzeci obywatel. Twoje imię?... rzetelnie.

Cynna. Rzetelnie, moje imię jest Cynna.

Pierwszy obywatel. Rozedrzyjcie go na sztuki! to spiskowy!

Cynna. Ja jestem Cynna, poeta! ja jestem Cynna, poeta!

Czwarty obywatel. Rozedrzeć go za jego złe wiersze! rozedrzeć go za jego złe wiersze!

Cynna. Ja nie jestem Cynna, spiskowy!

Drugi obywatel. To nic nie znaczy! jego imię jest

Cynna. Wyrwijmy mu jego imię z serca i dajmy mu pokój!

Trzeci obywatel. Rozedrzeć go! rozedrzeć go! — Chodźmy! Hej! głowni! głowni ognistych! Do Brutusa!... do Kasyusza!... spalmy wszystko! Ci do Decyusza! ci do Kaski! ci do Ligaryusza! Chodźmy! Chodźmy!

(Wychodzą).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Tamże. Pokój w domu Antoniusza [1]).

(Antoniusz, Oktawiusz i Lepidus siedzą koło stołu).

Antoniusz. Ci wszyscy muszą zginąć — ich imiona
Już naznaczone.
Oktawiusz. I twój brat ma zginąć...
Czyli przystajesz na to, Lepidusie?
Lepidus. Przystaję.
Oktawiusz. Naznacz go tam, Antoniuszu!
Lepidus. Z warunkiem, żeby i Publiusz nie żył,
Syn twojej siostry, Marku Antoniuszu.
Antoniusz. Niechaj nie żyje! Patrz, tą kreską na śmierć
Sam go potępiam. Ale, Lepidusie,
Udaj się zaraz do domu Cezara,
Przynieś testament, byśmy oznaczyli,
Co można z jego zapisów ukrócić.
Lepidus. Gdzież was zastanę?
Oktawiusz. Tu, lub w Kapitolu.

(Lepidus wychodzi).

Antoniusz. To człowiek błahy i bez żadnych zasług;
Dobry, by tylko na posyłki służyć.
Czyliż wypada, kiedy na trzy części
Świat się podziela, żeby on był jednym
Z trzech, co go mają posiąść?

---

[1]) Zjazd Tryumwirów, na którym wydali swoje proskrypcye, odbył się właściwie nie w Rzymie, ale na małej wysepce, którą Appian wymienia, jako wysepkę koło Mutiny, na rzece Lapinias.

(Przyp. tłómacza).

Oktawiusz. Tak uznałeś,
Sam go pytając o głos, kto ma zginąć
Za naszych czarnych wyroków uchwałą.
Antoniusz. Ja, Oktawiuszu, dłużej żyję w świecie,
Niż ty; a chociaż na tego człowieka
Kładziem zaszczyty, aby ulżyć sobie
Przykrych ciężarów, on je będzie dźwigał
Tylko jak osieł, który dźwiga złoto,
Aby się pocić i stękać przy pracy,
Czy prowadzony, czy też popędzany,
Gdzie mu wskażemy drogę; aż nareszcie,
Kiedy zaniesie nasz skarb tam, gdzie chcemy,
Naówczas z niego zdejmiemy ten ciężar
I napędzim go, jak luźnego osła,
By strząsł uszami i poszedł na paszę.
Oktawiusz. Możesz uczynić, jak chcesz; lecz to przecie
Jest doświadczony i waleczny żołnierz.
Antoniusz. Takim jest także mój koń, Oktawiuszu!
I za to jego obrok mu wymierzam;
Jest to stworzenie, które uczę walczyć,
Zwracać się i stać, lub biedz prosto naprzód,
Ruch jego ciała kierując mym duchem.
I takim w pewnym względzie jest Lepidus;
Trzeba go uczyć, ćwiczyć i nim władać;
Bo to jest człowiek jałowego ducha,
Który się karmi marnemi sztukami, [1])
naśladuje, co u drugich wyszło
Już ze zwyczaju; a więc nie mów o nim,
Tylko jak gdyby o jakiej własności.
A teraz wielkich chciej posłuchać rzeczy:
Brutus i Kasyusz uzbrajają lud swój,
Musimy czoło im natychmiast stawić;
A więc zgromadźmy naszych sprzymierzeńców,
Użyjmy naszych najlepszych przyjaciół,
I nasze środki najlepsze wytężmy!
Zasiądźmy zaraz do rady, by dociec,
Jak skryte rzeczy najlepiej wyjaśnić,
I jak najpewniej opór stawić jawnym
Niebezpieczeństwom.

---

[1]) Tak tłómaczę to miejsce według nowego sposobu czytania Theobalda: »*One that feeds on abject arts*«, nie jak dawniej czytano: »*on objects, arts &c.*« (Przypisek tłómacza).

Oktawiusz. Tak uczyńmy zaraz.
Gra idzie o nas — mnóstwo nieprzyjaciół
Poluje na nas; i sądzę, że wielu
Z tych, co się dzisiaj uśmiechają do nas,
Przeciw nam w sercach knuje zdrad miliony.
(Wychodzą).

SCENA II.

Przed namiotem Brutusa, koło Sardes.

(Bicie bębnów. — Wchodzą: Brutus, Lucyliusz, Lucyusz i żołnierze. Tycyniusz i Pindarus spotykają ich).

Brutus. Stój!
Lucyliusz. Daj hasło! stój!
Brutus. Cóż tam, Lucyliuszu?
Czy Kasyusz blizko?
Lucyliusz. Jest już niedaleko;
A tutaj właśnie Pindarus przybywa,
Aby od swego pana cię pozdrowić.
(Pindarus podaje list Brutusowi. Brutus czyta, potem mówi).
Brutus. Wita mnie mile twój pan, Pindarusie.
Czy sam zmieniony, czy ze złej porady,
Ważne powody dał mi do życzenia,
By się nie było stało, co się stało;
Lecz gdy przybędzie tutaj, to mi pewnie
Uczyni zadość.
Pindarus. Ani wątpię o tem,
Że mój szlachetny pan tak się okaże,
Jak jest w istocie, pełen czci i cnoty.
Brutus. Och! bez wątpienia. — Lucyliuszu! słowo
Z tobą; powiedz mi, jak też ciebie przyjął?
Lucyliusz. Nader uprzejmie i z uszanowaniem,
Ale nie z taką serdeczną szczerością,
Nie z tą przyjazną, poufną rozmową,
Jak to zwykł czynić dawniej.
Brutus. Opisujesz,
Jako gorący przyjaciel ostyga;
Miej, Lucyliuszu, zawsze to w pamięci,
Że kiedy miłość słabnie i usycha,
Przybiera na się grzeczność przymusową;

Prosta, otwarta przyjaźń sztuk tych nie zna;
Ale fałszywi ludzie są jak konie,
Które, dopóki w ręku prowadzone,
Pysznie się noszą, ogniste z pozoru;
Lecz gdy wytrzymać mają bodziec krwawy,
Zwieszają szyję i, jak liche szkapy,
Nie wytrzymują próby. — Czy tu jego
Wojsko nadciąga?

Lucyliusz. Tej nocy chcą w Sardes
Rozłożyć obóz; lecz większa połowa
I cała jazda z Kassyuszem przybywa.

(Słychać marsz wojenny za sceną. Wchodzi Kasyusz ze swojem wojskiem).

Brutus. Słuchaj! już przybył — idźcie wolnym marszem
Witać go.

Kasyusz. Stój!

Brutus. Stój! Podać dalej rozkaz.

(Za sceną słychać wołanie: Stój! stój! stój!).

Kassyusz. Szlachetny bracie! zrządziłeś mi krzywdę.

Brutus. Niech mnie bogowie sądzą! czyż ja krzywdzę
Mych wrogów? jakże miałbym skrzywdzić brata?

Kasyusz. Słuchaj, Brutusie! ty pod tym pozorem
Umiarkowania ukrywasz bezprawia;
A gdy je zrządzasz...

Brutus. Kasyuszu, spokojnie!
Mów, co masz mówić, cicho — znam cię dobrze...
Tu przed oczyma naszych wojsk obudwu,
Co tylko miłość w nas widzieć powinny,
Nie spierajmy się. Każ im odejść na bok;
A potem w moim namiocie, Kasyuszu,
Przełóż mi żal twój, a będę cię słuchał.

Kasyusz. Każ, Pindarusie, niech nasi dowódcy
Stąd swoje wojsko nieco w dal odwiodą.

Brutus. I ty to samo uczyń, Lucyliuszu!
Niech do namiotu nikt nam się nie zbliża,
Dopóki naszej nie skończym rozmowy,
I niech Tycyniusz z Lucyuszem drzwi strzegą.

(Wychodzą).

SCENA III.

W namiocie Brutusa.

(Lucyusz i Tycyniusz nieco opodal od namiotu. Wchodzą: Brutus i Kasyusz).

Kasyusz. Że mnie skrzywdziłeś, to się okazuje
W tem, żeś Lucyusza Pellę kazał skarać,
Za to, że dał się od Sardyan przekupić,
Na moje listy, w których się do ciebie
Wstawiałem za nim, ponieważ go znałem,
Nic nie zważając.
Brutus. Skrzywdziłeś sam siebie,
Pisząc w tej sprawie.
Kasyusz. W takich, jak dziś, czasach
Nie dobrze karać za lada przewinę.
Brutus. Niech ci, Kasyuszu, powiem, że i ciebie
Wielu posądza, że cię świerzbią palce,
I że sprzedajesz za złoto urzędy
Niezasłużonym.
Kasyusz. Co? mnie świerzbią palce?
Wiesz, gdy to mówisz, że jesteś Brutusem...
Bo mi bogowie świadkiem, że inaczej,
Ta mowa byłaby twoją ostatnią!
Brutus. Imię Kasyusza pokrywa przekupstwo
I przed skarceniem chroni cię.
Kasyusz. Skarceniem?...
Brutus. Przypomnij marzec! wspomnij Idy marca!
Czyż wielki Juliusz dla sprawiedliwości
Nie musiał przelać krew swą? Gdzież jest łotr ten,
Co jego ciała tknął się, co go zabił,
A inny cel miał, niźli sprawiedliwość?
Co? czyż z nas jeden, którzyśmy zabili
Najprzedniejszego w całym świecie męża,
Li tylko za to, że wspierał łupieżców,
Czyż mamy teraz nasze palce kalać
Podłem przekupstwem, sprzedając szeroki
Zakres urzędów i dostojeństw naszych
Za tyle śmiecia, co w garść chwycić można?
Wolałbym raczej być psem i na księżyc
Szczekać, niżeli takim Rzymianinem.
Kasyusz. Brutusie! nie drocz mnie. Nie zniosę tego...

Zapominasz się, gdy mi tak ubliżasz;
Jestem żołnierzem starszym, doświadczeńszym,
Zdolniejszym niż ty, by stanowić prawa.
Brutus. Idź, idź! nie jesteś nim wcale, Kasyuszu.
Kasyusz. Jestem.
Brutus. Mówię ci, nie jesteś.
Kasyusz. Nie drocz mnie,
Bo się zapomnę!... Miej wzgląd sam na siebie...
Przestań mnie drażnić.
Brutus. Precz, lichy człowieku!
Kasyusz. O! czyż być może?
Brutus. Słuchaj mnie, bo gadam.
Mamże ulegnąć zapamiętałości?
Mam się przestraszyć, gdy się waryat miota?
Kasyusz. O! wy bogowie! bogowie! i mamże
Znosić to wszystko?
Brutus. To — i jeszcze więcej.
Złość się, aż pęknie twe chełpliwe serce!
Idź okazywać gniew twój twym służalcom,
Niech drżą przed tobą twoi niewolnicy!
Jaż mam się cofać? mam ci nadskakiwać?
Mamże stać cicho lub mam się naginać
Do twych upartych chęci? O! na bogów!
Sam musisz zdławić żółci twej truciznę,
Choćbyś miał pęknąć; bo od dzisiaj dla mnie
Będziesz igraszką i czczem pośmiewiskiem,
Ilekroć będziesz żżymać się jak osa.
Kasyusz. Czyż aż do tego przyszło?...
Brutus. Powiedziałeś,
Że jesteś lepszym żołnierzem... Okaż to!
Usprawiedliwij twoje samochwalstwo,
A zadowolisz mnie. Co do mnie, chętnie
Od zacnych mężów przyjmuję naukę.
Kasyusz. Krzywdzisz mnie, ze wszech miar krzywdzisz, [Brutusie!
Ja powiedziałem, żem starszym żołnierzem,
Nie lepszym. Czyliż powiedziałem lepszym?
Brutus. Jeśliś powiedział, nie dbam o to.
Kasyusz. Cezar
Gdyby żył, nie śmiałby mnie tak obruszać.
Brutus. Daj pokój! tybyś nie śmiał go tak drażnić.
Kasyusz. Jabym nie śmiał?
Brutus. Nie!

Kasyusz. Co? nie śmiał go drażnić?
Brutus. Jak ci twe życie miłe, takbyś nie śmiał!
Kasyusz. Nie licz zbyt wiele na karb mej przyjaźni!
Mógłbym coś zrobić, czegobym żałował.
Brutus. Mógłbyś żałować tego, coś już zrobił.
Kasyuszu! twoje groźby mnie nie trwożą,
Bo ja tak jestem w moją cnotę zbrojny,
Że przemijają koło mnie, jak marny
Wiater, na który nie zważam. Posłałem
Po pewną sumę pieniędzy do ciebie,
Tyś mi odmówił. O! lecz ja nie umiem
Dostawać złota podłymi środkami.
Przez bogów! raczej wolałbym na pieniądz
Przekuć me serce i krew mą po kropli
Wylać za drachmy, niżeli wyciskać
Z szorstkich rąk chłopów jakiembądź bezprawiem
Ich liche mienie. Posłałem do ciebie
Po złoto na żołd dla moich legionów;
Tyś mi odmówił. Czyż tak Kasyusz działa?
Jażbym z Kasyuszem tak sobie postąpił?
Gdy Marek Brutus stanie się tak skąpym,
Ażeby grosz ten nikczemny zamykał
Przed przyjaciółmi swymi, o! bogowie!
We wszystkie wasze gromy się uzbrójcie
I zgruchoczcie go!
Kasyusz. Jam ci nie odmówił.
Brutus. Tak uczyniłeś.
Kasyusz. Nigdy, jako żywo!
Ten, kto odpowiedź przyniósł ci ode mnie,
Był głupcem — Brutus rozdarł moje serce!
Przyjaciel wady swego przyjaciela
Powinien znosić; ale Brutus moje
Jeszcze powiększa.
Brutus. Ja tego nie czynię,
Dopóki przeciw mnie ich nie obracasz.
Kasyusz. Ty mnie nie cierpisz.
Brutus. Nie cierpię wad twoich.
Kasyusz. Nigdy wad takich oko przyjaciela
Nie dostrzegało.
Brutus. Nie dostrzegłoby ich
Oko pochlebcy, choćby tak ogromne
Były, jak Olimp.
Kasyusz. Chodź więc, Antoniuszu!

I ty, o! młody Oktawiuszu, chodźcie!
Chodźcie się sami zemścić na Kasyuszu;
Bo Kasyusz syty już jest tego świata,
Znienawidzony od tego, którego
Kocha; od swego brata wyszydzony,
I wyłajany, jak jaki niewolnik;
Pilnie śledzone wszystkie jego wady,
Wpisane w księgę, chowane w pamięci,
Aby je potem w oczy mu wyrzucać!
Och! mógłbym duszę wypłakać oczyma!
Oto jest miecz mój i pierś moja naga,
Z sercem bogatszem, niż skarbiec Plutona,
Droższem, niż złoto — jeśliś Rzymianinem,
Wydrzyj go; ja, com ci odmówił złota,
Dam ci serce. Pchnij! jak Cezara pchnąłeś...
Bo wiem, że gdyś go najgorzej nie cierpiał,
Jeszcześ go kochał więcej, niźliś kiedy
Kochał Kasyusza.

Brutus. Schowaj w pochwę miecz twój!
Gniewaj się, kiedy chcesz, ja ci nie bronię,
I drażliwością tłómaczę zniewagę.
Kasyuszu! jesteś sprzężony z jagnięciem,
Którego gniew jest jak ogień krzemienia,
Który pod mnogim ciosem ulotnemi
Sypnie iskrami i wnet znów ostyga.

Kasyusz. Natoż żył Kasyusz, aby był igraszką
I pośmiewiskiem dla swego Brutusa,
Gdy krew wzburzona i żal go uniesie?

Brutus. Mówiąc to, miałem także krew wzburzoną.

Kasyusz. Więc sam przyznajesz tyle?... daj mi rękę!

Brutus. I moje serce także!

Kasyusz. O! Brutusie!

Brutus. Co?

Kasyusz. Czyliż nie masz dla mnie dość miłości,
Abyś przebaczył, gdy moja porywczość,
Którą mam z matki, uniesie mnie czasem?

Brutus. Tak, mój Kasyuszu! i odtąd, gdy będziesz
Nazbyt surowym dla twego Brutusa,
Pomyślę, że to twoja matka zrzędzi,
I dam ci pokój. *(Hałas za sceną).*

Wierszopis *(za sceną).* Puszczajcie mnie! muszę
Obaczyć wodzów, jest spór między nimi;
Nie trzeba teraz zostawiać ich samych.

Lucyusz *(za sceną).* Nie pójdziesz do nich.
Wierszopis *(również za sceną).* Chyba śmierć mnie wstrzyma!
(Wchodzi Wierszopis).
Kasyusz. Cóż tam?... co się stało?...
Wierszopis. Czyż się nie wstydzicie
Wodzowie!... jakżeż sobie poczynacie?
Kochajcie się... Żyć winni tacy męże zgodnie!
Więcej lat ja widziałem, niż wy, niezawodnie.
Kasyusz. Ha! ha! jak licho ten Cynik rymuje.
Brutus. Precz mi stąd zaraz! precz, zuchwały głupcze!
Kasyusz. Miej z nim cierpliwość, Brutusie, to jego
Zwyczajny sposób.
Brutus. Uznam jego zwyczaj,
Gdy on stosowną zechce uznać porę;
Na cóż nam takich półgłówków na wojnie?
Precz stąd, ladaco!
Kasyusz. Precz stąd, precz! wynoś się!
(Wychodzi Wierszopis. Wchodzą: Lucyliusz i Tycyniusz).
Brutus. Pójdź, Lucyliuszu, i ty, Tycyniuszu,
Każcie dowódcom, niech na nocleg swoje
Roty umieszczą.
Kasyusz. Potem wróćcie sami,
I przyprowadźcie tu do nas Messalę.
(Wychodzą: Lucyliusz i Tycyniusz).
Brutus. Lucyuszu, puhar wina!
Kasyusz. Nie myślałbym,
Że tak się możesz gniewać.
Brutus. O! Kasyuszu!
Jam na niejedną bolejący ranę.
Kasyusz. Z twej filozofii nie robisz użytku,
Złe przypadkowe tak biorąc do serca.
Brutus. Nikt lepiej cierpień nie znosi ode mnie.
Porcya umarła.
Kasyusz. Ha! Porcya!
Brutus. Umarła.
Kasyusz. Jakże się stało, że uszedłem śmierci,
Kiedy tak ci się stawiałem oporem?
Och! zbyt bolesna, o! nieznośna strato!
Na jakąż słabość?
Brutus. Mego oddalenia
Nie mogła ścierpieć; również tej zgryzoty,
Że młody Cezar i Marek Antoniusz
Tak wzmogli siły; bo razem z jej śmiercią

Przyszły te wieści — te cierpienia zmysły
Jej pomieszały i w nieobecności
Sług swoich węgle połknęła jarzące.
Kasyusz. I tak umarła?
Brutus. Tak.
Kasyusz. Wielcy bogowie!
(Wchodzi Lucyusz z winem i ze świecą).
Brutus. Nie mów już o niej — daj mi puhar wina!
Tu topię wszelką niezgodę, Kasyuszu!
Kasyusz. I moje serce pragnie odpowiedzieć
Na tak szlachetne wezwanie. — Lucyuszu,
Nalej powyżej brzegów! wszak nie mogę
Wypić za wiele miłości Brutusa. *(Pije).*
(Wraca Tycyniusz z Messalą).
Brutus. Chodź, Tycyniuszu! witaj mi, Messalo!
Usiądźmy razem tu około światła,
I rozmawiajmy o naszych potrzebach.
Kasyusz. Niemasz cię, Porcyo!
Brutus. Proszę cię, już przestań!
Messalo, właśnie otrzymałem listy
Z wieścią, że młody Cezar i Antoniusz
Przeciw nam wielkie zgromadzili siły
I ku Filippom kierują wyprawę.
Messala. Ja także listy mam tej samej treści.
Brutus. Z jakim dodatkiem?
Messala. Że przez swe wyroki
I wywołanie z pod prawa Oktawiusz,
Marek Antoniusz i z nimi Lepidus
Stu senatorów już kazali stracić.
Brutus. W tem niezupełnie zgodne nasze listy;
Bo podług moich, ich wyroków pastwą
Siedemdziesięciu senatorów padło;
Wśród tych: Cycero.
Kasyusz. I Cycero także?
Messala. Tak jest — z pod prawa wywołany, zginął.
Czy miałeś listy od twej żony, wodzu?
Brutus. Nie, mój Messalo!
Messala. Ani żadnej wzmianki
W twych listach o niej?
Brutus. Nie, Messalo! żadnej.
Messala. To przecie dziwne.
Brutus. Dlaczego się pytasz?
Czy w twoich listach masz jaką wieść o niej?

Messala. Nie, wodzu!
Brutus. Jeśli jesteś Rzymianinem,
Powiedz mi prawdę.
Messala. Więc też jak Rzymianin
Znieś prawdę, którą powiedzieć ci muszę:
Ona umarła — i to dziwną śmiercią.
Brutus. Więc żegnaj, Porcyo! — Musimy umierać!
Przez rozmyślanie, że raz umrzeć musi,
Nabrałem siły znieść ten cios, Messalo.[1]
Messala. Tak wielcy ludzie wielkie straty znoszą!
Kasyusz. I mnie tej sztuki rozum uczy; jednak
Moja natura tegoby nie zniosła.
Brutus. Teraz do dzieła. — Cóż myślicie o tem,
Żeby stąd prosto ruszyć ku Filippom?
Kasyusz. Z tem się nie zgadzam.
Brutus. Z przyczyny?
Kasyusz. Z tej oto:
Że lepiej, by nas nieprzyjaciel szukał;
Takim sposobem zużyje swe środki,
Znuży swe wojsko, ścierając sam siebie;
My spoczywając tymczasem bezpiecznie,
Będziem gotowi do dzielnej obrony.
Brutus. Dobre przyczyny niech lepszym ustąpią:
Wszystek lud między naszem stanowiskiem
A Filippami jest tylko w zmuszonem
Przymierzu z nami; wszakże nam się wzbraniał
Opłacać pobór. Jeśli wróg nasz będzie
Tędy przeciągał, wypełni swą liczbę
Nowym zaciągiem i przyjdzie wzmocniony
Świeżemi siły i świeżą odwagą.
Tę korzyść jemu odejmiem, jeżeli
Pod Filippami mu stawimy czoło,
Ten lud za sobą zostawiając w tyle.
Kasyusz. Drogi mój bracie! chciej mnie w tem posłuchać.

---

[1]) Brutus tai śmierć Porcyi, bo nie chce, aby wiedziano w obozie, że go dotknęło nieszczęście, i stąd nie brano złej wróżby. Gdy kto nadchodzi, prosi Kasyusza, aby już o tem zamilczał. Dlatego nie przyznaje się przed Messalą, że odebrał w swoich listach wieść o swojej żonie, a gdy się dowiaduje, że Messala wie już o jego nieszczęściu, znosi je z udaną spokojnością, aby nie osłabiać ufności podwładnych w wodzu. Równie i Gervinus tym tylko powodem tłómaczy ten rys, któryby się zresztą zdawał przeciwny otwartemu charakterowi Brutusa.
(Przyp. tłómacza).

Brutus. Za pozwoleniem twojem — zważ to także,
Żeśmy użyli do pomocy wszystkich
Naszych przyjaciół, że już w pełnej liczbie
Nasze legiony, nasza rzecz dojrzała;
A nieprzyjaciel z każdym dniem się wzmaga.
My dziś na szczycie, upadać gotowi;
W ludzkich kolejach jest powodzi zmienność,
Przypływ i odpływ; kto uchwyci porę
Rosnącej fali, do szczęścia się wzniesie;
Gdy ją opuści, cała podróż życia
Pójdzie mu między skały i mielizny.
Na takiem pełnem morzu dziś jesteśmy
I albo musim korzystać z powodzi,
Póki nam służy, albo wszystko stracić.
Kasyusz. A więc za twoją wolą idźmy naprzód,
Pod Filippami spotkać nieprzyjaciół.
Brutus. Noc już zapadła wśród naszej rozmowy;
Natura musi uledz konieczności,
Trzebaż choć chwilą spoczynku ją złudzić.
Czyli jest jeszcze co do powiedzenia?
Kasyusz. Nic już — dobranoc — a jutro ze świtem
Wstaniem co żywo i ruszymy w drogę.
Brutus. Lucyuszu! przynieś mi tu nocną szatę.
(Wychodzi Lucyusz).
Bądź zdrów, Messalo! Tycyniuszu, żegnaj!
Bywaj zdrów, zacny, zacny mój Kasyuszu!
Spokojnej nocy.
Kasyusz. O! mój drogi bracie!
Nie dobrze dla nas ta noc się zaczęła...
Och! niechaj nigdy już taka niezgoda
Nie dzieli naszych serc... nigdy, Brutusie!
Brutus. Teraz już wszystko dobrze.
Kasyusz. Dobranoc ci.
Brutus. Dobranoc, bracie!
Tycyniusz i Messala. Dobranoc ci, wodzu!
Brutus. Żegnam was wszystkich.
(Kasyusz, Tycyniusz i Messala wychodzą. Lucyusz wraca z nocną suknią).
Podaj mi szatę — gdzie jest twoja lutnia?
Lucyusz. Tutaj, w namiocie.
Brutus. Jakto? jużeś śpiący?
Nie ganię ciebie przeto, mój biedaku,
Nadto czuwałeś. Zawołaj Klaudyusza

I jeszcze kogo innego z mych ludzi,
Niechaj pokładą się spać na poduszkach
Tutaj, w namiocie.
Lucyusz *(wołając).* Warronie! Klaudyuszu!
(Wchodzą Warro i Klaudyusz).
Warro. Czyś wołał, panie?
Brutus. Proszę was, kochani,
Połóżcie się tu spać w moim namiocie;
Może was zbudzę i z jakiem zleceniem
Do mego brata Kasyusza wyprawię.
Warro. Jeśli pozwolisz, będziemy stać tutaj
I oczekiwać twojego rozkazu.
Brutus. Tak nie chcę — kładźcie się, moi kochani;
Być może, że się inaczej namyślę.
Patrzaj, Lucyuszu, oto jest ta książka
Której szukałem; snadź ją sam włożyłem
Tu, do kieszeni.
(Warro i Klaudyusz kładą się).
Lucyusz. Byłem pewny, panie,
Żeś mi jej nie dał.
Brutus. Miej ze mną cierpliwość,
Mój dobry chłopcze. Taką złą mam pamięć.
Możesz-li trochę od snu się powstrzymać
I jaką piosnkę zagrać mi na lutni?
Lucyusz. Jeśli ci, panie, tem przyjemność sprawię...
Brutus. Tak jest, Lucyuszu. Nadto cię utrudzam,
Lecz wiem, żeś chętny.
Lucyusz. To moja powinność.
Brutus. Nie chcę rozciągać twojej powinności.
Nad twoją możność; wiem, że młodzi ludzie
Lubią spoczynek.
Lucyusz. Ja już spałem, panie.
Brutus. Toś dobrze zrobił — i prześpisz się jeszcze;
Ja cię nie będę długo zatrzymywał.
Jeśli żyć będę, chciałbym coś dobrego
Tobie wyświadczyć.
(Muzyka i śpiew Lucyusza).
To senna nuta. — O! ty śnie zabójczy!
Kładniesz maczugę twoją ołowianą
Na mego chłopca, który ci przegrywa.
Dobranoc tobie, poczciwy biedaku!
Nie chcę ci robić przykrości, budząc cię;
Gdy kiwniesz głową, złamiesz twoją lutnię,

Muszę ją wziąć stąd. Dobranoc ci, chłopcze!
Obaczmy, czyli nie zagięta kartka,
Gdziem przestał czytać? to tu, zdaje mi się.
(Siada i czyta. Wchodzi duch Cezara).
Jak źle się pali ta świeca! — Ha! kto tu?
Sądzę, że tylko słabość moich oczu
Tworzy mi takie okropne zjawisko!
Zbliża się do mnie. — Jestżeś ty czemkolwiek?
Jesteś-li bogiem, aniołem, lub dyabłem?
Ty, co mi ścinasz krew i zjeżasz włos mój,
Mów! ktobądź jesteś...

Duch. Twój zły duch, Brutusie!

Brutus. Po co przychodzisz?

Duch. Aby ci powiedzieć,
Że mnie obaczysz znów pod Filippami.

Brutus. Dobrze — więc mam cię ujrzeć jeszcze?

Duch. Tak jest
Pod Filippami.
(Duch znika).

Brutus. A więc cię obaczę
Pod Filippami — teraz, kiedy znikasz,
Znowu nabieram serca. O! zły duchu!
Chciałbym był jeszcze dłużej mówić z tobą.
Lucyuszu, wstawaj! Warronie! Klaudyuszu!
Wstawajcie!

Lucyusz. Panie! to struny fałszywe.

Brutus. Myśli, że jeszcze jest przy swojej lutni...
Lucyuszu, wstawaj!

Lucyusz. Panie?

Brutus. Czy ci się śniło co, że tak krzyczałeś?...

Lucyusz. Ja nie wiem, panie, żem krzyczał.

Brutus. Krzyczałeś.
Czyliś co widział?

Lucyusz. Nie, panie!

Brutus. Śpij sobie
Znowu, Lucyuszu. Ho! Klaudyuszu, słyszysz!
Wstawaj, człowiecze!

Warro. Panie?

Klaudyusz. Panie?

Brutus. Czemu
Tak krzyczeliście przez sen?

Warro i Klaudyusz. My krzyczeli?

Brutus. Tak, krzyczeliście. Czyście co widzieli?

Warro. Ja, panie, nic nie widziałem.
Klaudyusz. I ja nic.
Brutus. Idźcie mnie memu bratu Kasyuszowi
Mile polecić i powiedzcie jemu:
Niech ze swem wojskiem wcześnie naprzód ruszy.
My pójdziem za nim.
Warro i Klaudyusz. Tak uczynim, panie.
(Wychodzą).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Dolina pod Filippami.

(Wchodzą: Oktawiusz i Antoniusz ze swojem wojskiem).

Oktawiusz. Więc, Antoniuszu, teraz się ziszczają
Moje nadzieje. Ty utrzymywałeś,
Że nieprzyjaciel nie zejdzie w dolinę,
Lecz będzie górnych trzymać się okolic;
Nie tak się stało — jego wojska blizko...
Chce we Filippach dać nam znać o sobie,
Odpowiadając wprzód, nim go pytamy.
Antoniusz. Ba! ja przenikam ich serca — wiem dobrze,
Czemu tak czynią: mogli byli w inne
Udać się miejsca, ale schodzą na dół,
Z trwogi udając męstwo — tym pozorem
Chcą nas przekonać, że mają odwagę;
Ale tak nie jest.
(Wchodzi goniec).
Goniec. Bądźcie w pogotowiu,
Wodzowie! już się nieprzyjaciel zbliża,
W porządnym szyku, z krwawem godłem boju;
I coś przedsięwziąć potrzeba niezwłocznie.
Antoniusz. Więc, Oktawiuszu, zwolna twoje hufce
Na lewe skrzydło wiedź w otwarte pole.
Oktawiusz. Ja chcę mieć prawe skrzydło — ty miej lewe.
Antoniusz. Czemu przeciwisz mi się w nagłym razie?
Oktawiusz. Ja nie przeciwię ci się, ale tak chcę.
(Słychać bicie bębnów, marsz. Wchodzą: Brutus i Kasyusz ze swojem wojskiem, Lucyliusz, Tycyniusz, Messala i inni).

Brutus. Stanęli — widać żądają rozmowy.
Kasyusz. Stać! — Tycyniuszu! będziem z nimi gadać.
Oktawiusz. Czy dać do boju hasło, Antoniuszu?
Antoniusz. Nie — ich natarcia czekajmy, Cezarze.
Wystąpmy naprzód — wodzowie żądają
Rozmowy z nami.
Oktawiusz *(do wojska)*. Czekajcie na hasło!
Brutus. Słowo przed ciosem? czy nie tak, ziomkowie?
Oktawiusz. Nie przeto, żebyśmy woleli słowa,
Jak wy czynicie.
Brutus. Lepsze, Oktawiuszu,
Są dobre słowa, niżeli złe ciosy.
Antoniusz. Do twych złych ciosów mieszasz dobre słowa,
Brutusie!... świadkiem rana, którąś zadał
Sercu Cezara, wołając: »Niech żyje!
Cześć Cezarowi!«
Kasyusz. Jeszcze, Antoniuszu,
Nie znamy twoich ciosów; ale twoje
Słowa hyblejskie okradają pszczoły,
I zostawiają je całkiem bez miodu.
Antoniusz. Lecz nie bez żądła.
Brutus. Owszem, i bez dźwięku;
Bo od nich kradniesz twój brzęk, Antoniuszu,
I bardzo mądrze grozisz, nim ukolesz.
Antoniusz. Nie tak, nikczemni! wyście uczynili,
Gdy wasze podłe sztylety się siekły
W biodrach Cezara; aleście jak małpy
Szczerzyli zęby, jak psy się łasili,
Jak niewolnicy gięli się, całując
Stopy Cezara, gdy przeklęty Kaska
Z tyłu, jak brytan, za kark go pochwycił...
O! wy pochlebcy!
Kasyusz. Pochlebcy?... Brutusie!
Sam sobie za to podziękuj. Ten język
Byłby już dzisiaj się nie uzuchwalał,
Gdybyś był poszedł za Kasyusza radą.
Oktawiusz. Prędzej! do rzeczy! Pocim się przy sporze;
Dowód czerwieńsze krople z nas wyciśnie.
Patrzcie, podnoszę miecz na sprzysiężonych!
Kiedyż, myślicie, do pochwy go włożę?
Nigdy — dopóki nie będą pomszczone
Dwadzieścia i trzy krwawych ran Cezara!

Albo dopóki znowu Cezar drugi
Krwią swoją miecza zdrajców nie nasyci!
Brutus. Cezarze! zginąć nie możesz od zdrajców;
Chybabyś sam ich tu przywiódł ze sobą.
Oktawiusz. Tak się spodziewam — bom się nie urodził
Na to, by zginąć od miecza Brutusa.
Brutus. Choćbyś był z twego rodu najzacniejszym,
Młodzieńcze, nie mógłbyś zginąć zaszczytniej.
Kasyusz. Zuchwały młokos! żak, co takiej cześci
Wcale nie godzien, złączony z kuglarzem
I rozpustnikiem!
Antoniusz. Zawsze ten sam Kasyusz!
Oktawiusz. Chodź, Antoniuszu! Tu nasze wyzwanie
W twarz wam ciskamy, wy zdrajcy! Jeżeli
Dziś starczy męstwa, wyjdźcie dzisiaj w pole...
Jeśli nie, kiedybądź się odważycie.
(Wychodzą Antoniusz i Oktawiusz ze swojem wojskiem).
Kasyusz. Teraz wiej, wietrze! szum, falo! płyń, łodzi!
Już huczy burza, wszystko na grę losu.
Brutus. Ho! Lucyliuszu! słuchaj, słowo z tobą.
Lucyliusz. Wodzu?
(Mówią ze sobą na stronie).
Kasyusz. Messalo!
Messala. Co rozkażesz, wodzu?
Kasyusz. Messalo, dzisiaj moje urodziny,
W tymże samym dniu Kasyusz się urodził;
Podaj mi rękę, Messalo, i bądź mi
Świadkiem, że dzisiaj, jak niegdyś Pompejusz,
Zmuszony jestem ważyć, wbrew mej woli,
Na jedną bitwę całą wolność naszą.
Wiesz, żem wysoko zawsze Epikura
Cenił naukę; teraz zmieniam zdanie,
I przepowiedniom nawet w części wierzę.
W marszu ze Sardes na nasz przedni sztandar
Spadły dwa wielkie orły, siadły na nim,
I brały jadło z rąk naszych żołnierzy,
Towarzysząc nam aż tu do Filippów;
Dziś rano od nas precz już odleciały,
A na ich miejsce kruki, kawki, wrony
Latają nam nad głowami, i z góry
Patrzają na nas, jak na pewną zdobycz.
Ich cień jest dla nas złowrogim całunem,

Pod którym wojsko nasze legło, ducha
Oddać gotowe.
Messala. Nie wierz w to, mój wodzu!
Kasyusz. Po części tylko też wierzę; bo jestem
Rzeźwego ducha, i gotów ze wszelkiem
Niebezpieczeństwem mężnie się potykać.
Brutus. Tak, Lucyliuszu.
Kasyusz. Więc, zacny Brutusie,
Niechaj nam dzisiaj sprzyjają bogowie,
Abyśmy w zgodzie późnych dni dożyli!
Lecz gdy niepewne zawsze ludzkie losy,
Przygotowani bądźmy na najgorsze;
Jeśli przegramy tę bitwę, natenczas
Po raz ostatni już mówimy z sobą...
Cóż postanawiasz uczynić w tym razie?
Brutus. Postąpię sobie zgodnie ze zasadą
Tej filozofii, podług której niegdyś
Śmierć dobrowolną ganiłem w Katonie.
Nie wiem dlaczego, ale mi się zdaje,
Że nikczemnością jest i brakiem męstwa,
Z obawy przed tem, co nas spotkać może,
Samemu sobie czas życia ukrócać;
Zbrojny w cierpliwość, wolę oczekiwać,
Co postanowi opatrzność wysoka,
Co nami rządzi [1]).
Kasyusz. Więc jeżeli bitwę
Przegramy, dasz się w tryumfie prowadzić
Śród ulic Rzymu?
Brutus. O! nie, mój Kasyuszu!
O! ty szlachetny Rzymianinie! nie myśl,
Że Brutus pójdzie we więzach do Rzymu.
Nadto ma wzniosłą duszę! Ale dzień ten
Musi koniecznie skończyć owo dzieło,
Które marcowe Idy rozpoczęły;
Nie wiem, czy jeszcze kiedy się spotkamy,

---

[1]) Między tą a następującą mową Brutusa jest widoczna sprzeczność; w tej wyraża Brutus swoje postanowienie zgadzania się cierpliwego z wolą Opatrzności, w tamtej daje do zrozumienia, że, chociażby przeżył bitwę przegraną, nie da się w kajdanach wieść do Rzymu. — Zdanie to jest w starym angielskim przekładzie Plutarcha zawiłe i ciemno wyrażone, i mogło być łatwo powodem do nieporozumienia. Szekspir wyraża w tej pierwszej mowie jako teraźniejsze zdanie Brutusa to, co Plutarch przytacza tylko jako jego dawniejszą zasadę, którą teraz odrzuca. *Steevens.*

Więc pożegnajmy się tu już na wieki:
Żegnaj na zawsze! żegnaj mi, Kasyuszu!
Jeśli się jeszcze spotkamy, będziemy
Się uśmiechali; lecz jeśli już nigdy,
Dobrze, że teraz żegnamy się z sobą.
Kasyusz. Żegnaj na zawsze, żegnaj mi, Brutusie!
Jeśli się jeszcze spotkamy, zaprawdę,
Uśmiechniemy się; jeśli nie, w istocie
Dobrze, że teraz żegnamy się z sobą.
Brutus. Dobrze — więc naprzód!... O! gdyby mógł człowiek
Wiedzieć dnia tego koniec, nim nadejdzie!
Ale dość na tem, że się musi skończyć;
Tak więc wiadomy koniec. Chodźmy! naprzód!
(Wychodzą).

SCENA II.

Tamże. Pole bitwy.

(Szczęk broni i wrzawa. Wchodzą: Brutus i Messala).

Brutus. Jedź, jedź, Messalo! jedź i te rozkazy
Zanieś legionom, tym po tamtej stronie,
Niechaj uderzą zaraz; bo spostrzegam,
Że już się chwieje Oktawiusza skrzydło,
I za raptownem natarciem się złamie.
Jedź! jedź, Messalo! Niechaj wszyscy ruszą!
(Wychodzą).

SCENA III.

Tamże. Inna część pola bitwy.

(Wrzawa. Wchodzą: Kasyusz i Tycyniusz).

Kasyusz. Patrz, Tycyniuszu, patrz, jak ci nikczemni
Idą w rozsypkę! sam nieprzyjacielem
Stać się musiałem mym własnym żołnierzom!
Ten mój chorąży już myślał uciekać...
Zabiłem tchórza i wyrwałem sztandar.
Tycyniusz. Kasyuszu, Brutus za wcześnie dał hasło;
Nad Oktawiuszem odniesioną korzyść
Wziął za gorąco, a jego żołnierze

Już się rzucili do łupu, tymczasem
Nas tutaj całkiem Antoniusz otacza.
(Wchodzi Pindarus).
Pindarus. Uciekaj dalej! uciekaj, o wodzu!
Marek Antoniusz już w twoich namiotach...
Uciekaj dalej, szlachetny Kasyuszu!
Kasyusz. To wzgórze dość jest odległe. O! patrzaj...
Patrz, Tycyniuszu! mojeż to namioty,
W których postrzegam pożar?
Tycyniusz. Tak jest, wodzu.
Kasyusz. O! Tycyniuszu! jeżeli mnie kochasz,
Siadaj na mego konia, kłuj ostrogą,
Jedź do tych szyków i powracaj tutaj,
Abym był pewny, czyli to są hufce
Nasze, czy wroga.
Tycyniusz. Wrócę w mgnieniu oka.
(Wychodzi Tycyniusz).
Kasyusz. Idź, Pindarusie, wstąp wyżej na wzgórek,
Bo mój wzrok krótki; stamtąd Tycyniusza
Ścigaj oczyma, co ujrzysz na polu,
To mi opowiedz.
(Pindarus odchodzi).
W tym dniu po raz pierwszy
Ujrzałem światło — czas przebiegł swe koło,
I gdzie zacząłem, tam i skończyć muszę.
Życie me doszło do kresu. — Cóż widzisz?
Pindarus *(na górze).* O! panie!
Kasyusz. Cóż tam?
Pindarus. Tycyniusza w koło
Opadli jezdni; już w pełnym galopie
Na niego pędzą, on pomyka cwałem,
Już są tuż przy nim!... teraz, Tycyniuszu...
Już wzięty — słyszysz ten okrzyk radości?
Kasyusz. Zejdź, Pindarusie, na dół — nie patrz dłużej.
Co za nikczemnik ze mnie! żyć tak długo,
By najlepszego widzieć przyjaciela
Wziętego w moich oczach!
(Wchodzi Pindarus).
Pójdź tu, chłopcze!
W Partyi ciebie pojmałem w niewolę,
A gdym ci życie ocalił, przysięgą
Zobowiązałem cię, że cobądź kiedy
Spełnić ci każę, wykonasz niechybnie;

Więc teraz twojej dotrzymaj przysięgi,
I bądź już wolnym. Tym dobrym orężem,
Który Cezara przebił, przeszyj pierś tę.
Nie odpowiadaj nic — lecz weź rękojeść,
A gdy zakryję sobie twarz, jak teraz,
Ty kieruj mieczem.

(Pindarus wykonywa rozkaz).

Pomszczonyś, Cezarze,
Tym samym mieczem, który ciebie zabił.

(Umiera).

Pindarus. Więc jestem wolny!... jednakbym nim nie był,
Gdybym miał własną wolę. O! Kasyuszu!
Pindarus pójdzie z tych krajów daleko,
Gdzie nie obaczy go żaden Rzymianin.

(Wychodzi Pindarus. Wraca Tycyniusz z Messalą).

Messala. To, Tycyniuszu, jest tylko wet za wet;
Bo Brutus złamał szyki Oktawiusza
Tak, jak Antoniusz Kasyusza legiony.
Tycyniusz. Te wieści bardzo pocieszą Kasyusza.
Messala. Gdzieś go zostawił?
Tycyniusz. Pełnego rozpaczy,
Tu na tem wzgórzu, ze swym Pindarusem.
Messala. Czyliż to nie on leży tu na ziemi?...
Tycyniusz. Och! lecz nie leży jak żywy. Biada mi!
Messala. Czyż to nie on jest?...
Tycyniusz. O! nie! nie, Messalo!
To on był! ale Kasyusza już niema!
O! zachodzące słońce! jak ty dzisiaj
W twoich czerwonych promieniach się nurzasz,
Tak w krwi czerwonej dzień Kasyusza zgasnął!
Zagasło słońce Rzymu! dzień nasz skonał;
Nadchodzą chmury, burze i nieszczęścia...
Skończone nasze czyny — to nieufność
W moją pomyślność ten czyn popełniła.
Messala. Nieufność w dobry skutek to zdziałała.
Ohydny błędzie! czarnych myśli dziecię,
Czemuż wzruszonym umysłom przedstawiasz
To, czego niema?... O! przeklęty błędzie!
Szybko poczęty, nigdy nie przychodzisz
Na świat szczęśliwym porodem, lecz zawsze
Zabijasz matkę, która cię poczęła.
Tycyniusz. Ho! Pindarusie! gdzie ty? Pindarusie!
Messala. Idź, Tycyniuszu, szukać go — tymczasem

Ja do zacnego Brutusa pośpieszę,
I jego ucho przeszyję tą wieścią...
I słusznie mogę mówić, że przeszyję,
Bo świst zatrutych strzał, lub ostrych grotów
Równieby miły był uszom Brutusa,
Jak takie wieści.

Tycyniusz. O! śpiesz, śpiesz, Messalo!
Ja Pindarusa poszukam tymczasem.

(Messala wychodzi).

Po cóż wysłałeś mnie, zacny Kasyuszu?
Czyżem ja twoich nie spotkał przyjaciół?
Czyż nie włożyli ten wieniec zwycięstwa
Na moje skronie, bym go zaniósł tobie?
Czyżeś nie słyszał ich radosnej wrzawy?
Och! wszystko sobie tłómaczyłeś błędnie!
Czekaj — ten wieniec na czoło ci włożę;
Twój Brutus kazał, abym ci go zaniósł,
Więc spełniam jego wolę. Chodź, Brutusie,
I patrz, jak cenię Kaja Kasyusza...
Pozwólcie, bogi, bo to rzymska rzecz...
Niech godzi w serce me Kasyusza miecz!

(Przebija się).

(Zgiełk i wrzawa. Wraca Messala, z nim wchodzą: Brutus, młody Kato, Lucyliusz, Strato i Wolumniusz).

Brutus. Gdzie, gdzie Messalo, leżą jego zwłoki?

Messala. Tam — a Tycyniusz jego opłakuje.

Brutus. Tycyniusz leży obliczem do góry.

Kato. On zabity.

Brutus. O Juliuszu Cezarze!
Potężnym jeszcze jesteś! duch twój kroczy
Dotąd po świecie i nasze oręże
Ku naszym własnym wnętrznościom obraca.

Kato. Zacny Tycyniusz! patrzcie, jak tym wieńcem
Otoczył czoło zmarłego Kasyusza.

(Głośna wrzawa).

Brutus. Żyjeż-li jeszcze dwóch takich Rzymianów?
O! żegnaj ty mi ze Rzymian ostatni!
Już niepodobna, by Rzym jeszcze kiedy
Wydał równego tobie! — O! druhowie!
Więcej jam dłużny łez temu zmarłemu,
Niż przed waszemi oczyma mu spłacę;
Lecz znajdę jeszcze porę, o Kasyuszu!
Znajdę ja porę. — Teraz chodźmy, bracia,

I jego zwłoki poślijmy do Thassos;
Nie chcę, ażeby pogrzeb był w obozie,
Toby zbyt mogło w nas pognębić ducha.
Chodź, Lucyliuszu!... Labeo i Flawiusz
Niech wiodą hufce — już trzecia godzina...
W powtórnej walce, Rzymianie, przed nocą
Spróbujmy jeszcze szczęścia zbrojną mocą!
(Wychodzą).

SCENA IV.

Inna część pola bitwy.

(Wrzawa wojenna. Wchodzą walczący żołnierze obu wojsk, potem Brutus, Kato, Lucyliusz i inni).

Brutus. Jeszcze, rodacy, jeszcze w górę czoła!
Kato. Jakiż syn wraży czyniłby inaczej?
Kto chce iść ze mną, ziomkowie?... Ja pójdę
Po polu bitwy obwołać me imię.
Słuchajcie! jam jest syn Marka Katona!
Ja, wróg tyranów! przyjaciel ojczyzny!
Ja jestem synem Marka Katona! hej...
(Naciera na nieprzyjaciela).
Brutus. A jam jest Brutus — Marek Brutus jestem!
Brutus, przyjaciel ojczyzny! poznajcie
We mnie Brutusa!
(Wychodzi, nacierając na nieprzyjaciela. Katona przemagają nieprzyjaciele, on pada).
Lucyliusz. O! zacny Katonie!
Ległeś, młodzieńcze? Oto, jak Tycyniusz,
Dzielnie umierasz i godzieneś cześci,
Synu Katona!
Pierwszy żołnierz. Poddaj się!... lub zginiesz!
Lucyliusz. Poddam się tylko na to, aby zginąć.
(Daje mu pieniądze).
Oto masz za to, byś mnie zabił zaraz.
Zabij Brutusa! sobie jego śmiercią
Zdobędziesz chwałę!
Pierwszy żołnierz. To nam zabroniono.
Szacowny jeniec!
Drugi żołnierz. Hej, miejsca! powiedzcie
Antoniuszowi, że Brutus pojmany.

Pierwszy żołnierz. Ja powiem wieść tę — oto wódz nasz [idzie.

(Wchodzi Antoniusz).

Brutus jest wzięty! Brutus wzięty, wodzu!

Antoniusz. Gdzie on?

Lucyliusz. Bezpieczny, Antoniuszu! — Brutus
Dość jest bezpieczny; zaręczyć ci mogę,
Że szlachetnego Brutusa wróg żaden
Nie pojma żywcem. Bogowie go strzegą
Przed taką hańbą — gdziebądź go spotkacie,
Żywcem, czy trupem, zawsze go znajdziecie
Jako Brutusa, zawsze godnym siebie.

Antoniusz. To nie jest Brutus, przyjacielu, jednak
Ręczę ci, zdobycz nie mniejszej wartości;
Trzymajcie go tu, pod bezpieczną strażą,
Bądźcie dla niego uprzejmi; wolałbym
Mieć w takich ludziach przyjaciół, niż wrogów.
Idźcie obaczyć, czyli Brutus żyje,
Lub czy też zginął? i do Oktawiusza
Namiotu przyjdźcie donieść nam o wszystkiem.

(Wychodzą).

SCENA V.

Inna część pobojowiska.

(Wchodzą: Brutus, Dardaniusz, Klitus, Strato i Wolumniusz).

Brutus. Chodźcie, przyjaciół moich niedobitki!
Usiądźmy tutaj na skale.

Klitus. Statyliusz
Poszedł pochodnię przynieść, lecz nie wrócił; [1])
Pewnie pojmany został, lub zabity.

Brutus. Siadaj. — Zabijać, to dzisiejsze hasło!...
Rzecz bardzo wzięta... Słuchaj-no, Klitusie!

(Szepce mu na ucho).

Klitus. Co?... ja, mój wodzu?... ani za świat cały!

Brutus. Więc ani słowa o tem.

Klitus. Raczej siebie
Wolałbym zabić.

---

[1]) Tak musieliśmy przetłómaczyć to miejsce, nieco ciemne w oryginale: »*Statilius show'd the torch-light*«. (Przyp. tłómacza).

Brutus. Słuchaj, Dardaniuszu!...
(Szepce z nim).
Dardaniusz. Jaż miałbym to zrobić?...
Klitus. O! Dardaniuszu!
Dardaniusz. O! Klitusie!
Klitus. Czegoż
Złego od ciebie domagał się Brutus?
Dardaniusz. Żebym go zabił, Klitusie! o! patrzaj,
Jak się zadumał.
Klitus. Teraz tak napełnia
Smutek tę cudną czarę, aż oczyma
Już się przelewa.
Brutus. Mój Wolumniuszu,
Chodź tu na słowo.
Wolumniusz. Cóż mi powiesz, wodzu?
Brutus. Wolumniuszu, to, że duch Cezara
Już mi się dwakroć zjawił nocną porą;
Raz jeszcze w Sardes, drugi raz tej nocy,
Na Filippijskich polach; już nadeszła
Moja godzina.
Wolumniusz. Wcale nie, mój wodzu!
Brutus. Tak jest — wiem o tem, mój Wolumniuszu!
Widzisz, co teraz na świecie się dzieje;
Nad samą przepaść zagnali nas wrogi.
Otóż jest godniej samemu w nią skoczyć,
Niż czekać, póki oni nas nie wtrącą.
Wolumniuszu, pomnisz, żeśmy razem
Chodzili do szkół; więc w imię tej dawnej
Przyjaźni naszej, proszę cię, podtrzymaj
Rękojeść mego miecza, bym nań skoczył.
Wolumniusz. Nie przyjacielska to usługa, wodzu!
(Głośna wrzawa za sceną).
Klitus. Uciekaj, wodzu! tu niema co czekać!
Brutus. Bywajcież zdrowi!... i ty!... i ty także!
(Ściska ich).
Tyś, mój Stratonie, ciągle spał tymczasem,
I ty mi żegnaj, Stratonie!... Rodacy!
Cieszę się z serca, żem w mem życiu całem
Ani jednego nie spotkał człowieka,
Któryby nie był mi wiernym. Zaprawdę!
Więcej ja chwały będę miał z tej klęski,
Niźli Oktawiusz i Marek Antoniusz
Tem swojem niecnem zwycięstwem osiągną!...

Żegnajcież wszyscy!... bo język Brutusa
Już prawie skończył dzieje jego życia...
Noc mroczy wzrok mój, spocząć pragną kości,
Co się trudziły na to, aby dożyć
Tej tylko chwili.
(Głośna wrzawa za sceną, słychać okrzyk: »Uciekajcie!«).
Klitus. Uciekaj, wodzu!...
Brutus. Uchodźcie! ja zaraz
Zdążę za wami.
(Klitus, Dardaniusz i Wolumniusz wychodzą).
Proszę cię, Stratonie,
Ty zostań przy twym wodzu. Ty masz serce,
W życiu twem zawsze był rodzaj godności;
Więc trzymaj miecz mój i odwróć oblicze,
Gdy się nań rzucę. Dobrze, mój Stratonie?...
Strato. Podaj mi tylko przódy twoją rękę.
Żegnam cię, wodzu!
Brutus. Bywaj zdrów, Stratonie!
Teraz, Cezarze, czas, by gniew twój mijał!
Ciebiem daleko niechętniej zabijał!
(Rzuca się na miecz, który Strato trzyma i kona).
(Wrzawa. Odwrót. Wchodzą: Oktawiusz, Antoniusz, Messala, Lucyliusz i wojsko).
Oktawiusz. Co to za człowiek?
Messala. Mego wodza sługa.
Stratonie, gdzie twój pan?
Strato. Wolny od więzów,
Które ty dźwigasz, Messalo. Zwycięzcy
Mogą już tylko w popiół go obrócić;
Lecz Brutus siebie sam tylko pokonał,
Nikt inny nie ma sławy z jego śmierci.
Lucyliusz. Tak musieliśmy cię znaleźć... Brutusie!
Dzięki-ć, żeś sprawdził słowo Lucyliusza.
Oktawiusz. Wszystkich Brutusa ludzi w służbę biorę.
(Do Stratona).
Czy chcesz, człowiecze, zostać moim sługą?
Strato. Dobrze, jeśli mi Messala pozwoli.
Oktawiusz. Uczyń to dla mnie, Messalo.
Messala. Stratonie,
Jak umarł wódz mój?
Strato. Ja mu miecz trzymałem,
A on nań skoczył.
Messala. A więc, Oktawiuszu,

Niech służy tobie człowiek, co ostatnią
Memu wodzowi wyrządził przysługę.
Antoniusz. To był najlepszy Rzymianin z nich wszystkich!
Prócz niego, wszyscy inni sprzysiężeni,
Co uczynili, czynili przez zawiść
Ku Cezarowi; a on jeden tylko
W zacnym zamiarze powszechnego dobra
Złączył się z nimi. Jego życie zawsze
Było łagodnem i tak w nim zmieszane
Były żywioły, że natura mogła
Powstać i światu całemu wygłosić:
»Oto był mąż!«
Oktawiusz. Więc się obejdźmy z nim wedle cnót jego,
I uszanujmy go czeńcią pogrzebu.
Niech jego zwłoki dziś będą złożone
W moim namiocie i tak jak przystoi
Dla wojownika, z oznaką godności.
Niech spocznie wojsko — my chodźmy w spokoju
Dzielić się chwałą po tym szczęsnym boju!
(Wychodzą).



TŁÓMACZENIE K. OSTROWSKIEGO.

W roku 1608 księgarz londyński Edward Blount zgłosił w cechu księgarskim jako projektowane wydawnictwa swego nakładu dwie »książki« pod tytułami *Pericles prynce of Tyre* i *Anthony and Cleopatra*. »Perykles« istotnie wyszedł — z nazwiskiem Shakespeara na tytule, ale nakładem innej firmy — w roku 1609; natomiast dramat o Antoniuszu i Kleopatrze posiadamy dopiero w pośmiertnym zbiorze dzieł Shakespeara *in folio* (1623). Z tego tomu w cechu księgarzy zgłaszano tylko te utwory, które nie były wpisane do rejestrów cechu poprzednio jako artykuły wydawnicze innych firm, niż nakładcy zbioru *in folio;* otóż wśród nakładców *folio* jest sam Edward Blount, a wśród dzieł formalnie zgłoszonych — »Antoniusz i Kleopatra«. Jak się mają do siebie te dwa zgłoszenia przez tego samego księgarza — to kwestya niewyjaśniona. Na oznaczenie daty dzieła brakuje nam jakichkolwiek innych świadectw zewnętrznych; przypuszczać tylko można, że Ben Jonson w komedyi *Epicoene* w roku 1609, wspominając z przekąsem o popularności dramatów, które pełne są »bitew morskich, hałasu trąb i bębnów i szczęku broni«, czynił jedną ze swych licznych zazdrosnych aluzyi do tryumfów scenicznych Shakespeara i miał na myśli świeżo oklaskiwaną tragedyę »Antoniusz i Kleopatra«. Krytyka, zawarta w jego uwadze, nie byłaby pozbawioną słuszności, a właśnie ta obfitość wypadków politycznych i wojennych, ten zgoła niedramatyczny ich natłok, to cecha nadająca dramatowi miejsce wśród najpóźniejszych dzieł poety, gdy rozluźnienie dramaturgii, niedbałość o koncentracyę i prostolinijny przebieg akcyi, coś jakby znużenie sztucznością teatru, łączy się z coraz głębszem i coraz bardziej wyłącznem zainteresowaniem dla szczegółów życia duchowego przedstawionych figur. W tym przypuszczal-

nym rozwoju stosunku poety do wymagań teatru z jednej, a do problemów psychologicznych z drugiej strony, tragedya rzymsko-egipska całkiem odpowiednie dla siebie zajęłaby stanowisko między największemi arcydziełami tragicznej Muzy Shakespeara, do których zbliżona jest i absolutną wartością artystyczną i posągową jednolitością naczelnego tematu, — a dramatami o strukturze niemal epickiej, jak »Powieść zimowa« i »Henryk VIII«, gdzie akcya do reszty się rozpada na studya dyalogiczne nad zajmującemi poetę przejściami poszczególnych figur, i niema już nawet jedności w osobach bohaterów.

Z datą około roku 1608 zgadza się także charakter wierszowania w tragedyi: metryka jest bardzo swobodna, myśl często płynie z wiersza do wiersza bez pauzy, nadliczbowe zgłoski a nawet stopy niekiedy jakby same przyrastają na końcu wierszy, tak je rozpiera treść. Obfitość refleksyi, dyktowanych głównym przedmiotem, — ta sama co w najdojrzalszych utworach od »Hamleta« do »Burzy«: zwrotów i zdań zawiłych i ciemnych nie brak; tak samo charakterystycznych dla okresu zadumy niedopowiedzeń [1]).

W stosunku do źródła literackiego miał poeta tym razem zadanie i łatwiejsze i trudniejsze, niż w pierwszej ze swych tragedyi rzymskich: akcyę »Juliusza Cezara« zestawiać sobie musiał z trzech życiorysów Plutarcha, — fabułę »Antoniusza i Kleopatry« znalazł całą w biografii Antoniusza, z której wiernie korzysta, począwszy od miejsca, gdzie stanął z końcem tamtego dramatu; to ułatwienie spowodowało miejscami przeładowanie dramatu wypadkami, nawpół mechanicznie i bez istotnej artystycznej potrzeby przeniesionymi z oryginału. Świadomy wysiłek twórczy włożył poeta głównie w charakterystykę, i tu więcej mu wypadło zadać sobie trudu, niż w »Cezarze«: do idealnego portretu Brutusa znalazł u Plutarcha materyał prawie gotowy, postacie Antoniusza i Kleopatry zmienił i uwypuklił.

Sprawy tragedyi pokrywają przestrzeń dziesięciu pełnych zamętu i zawikłań lat historyi rzymskiej w okresie

---

[1]) Zdarzające się jeszcze i w tem późnem dziele recydywy w bombastyczny styl młodości poety, a nawet niesmaczne *concetti*, niektórzy pomysłowi jego wielbiciele usiłują tłómaczyć jako rozmyślne naśladowanie napuszystej retoryki azyańskiego stylu, którą według Plutarcha w swych publicznych przemówieniach posługiwał się Antoniusz!

przejścia od rzeczypospolitej do cesarstwa (40—30 przed Chrystusem) [1]). Po śmierci zabójców Juliusza Cezara na polu bitwy odrazu się u Plutarcha roztacza ten obraz stosunków, w którym zawarty jest zasadniczy polityczny kontrast tragedyi: Oktawiusz — Plutarch już odtąd stale nazywa go tylko Cezarem — dźwiga troski władzy nad Rzymem i obrony jego powagi na Zachodzie; Antoniusz oddaje się rozkoszom Wschodu, najpierw estetycznym i filozoficznym w Grecyi, potem zmysłowym w Azyi; otoczony pochlebcami, oszukiwany i ograbiany przez podwładnych kosztem kraju, wreszcie popada w »ostatnie i ostateczne swe nieszczęście«, w niewolę miłosną u Kleopatry, i to »tłumi ostatnie iskry dobroci« w jego naturze. Wspaniale opisuje Plutarch pierwsze spotkanie Antoniusza z Kleopatrą na rzece Kydnos w Kilikii, potem uczty i biesiady, któremi się wzajemnie podejmowali w Aleksandryi. Shakespeare, którego sceny na przepych pierwszego spotkania kochanków stać nie było, parafrazuje ten świetny epizod przygodnie słowami naocznego świadka (II, 2) [2]);

---

[1]) Warto wspomnieć, że w słowach służebnicy, żądającej od wróżbiarza, by jej przepowiedział małżeństwo z trzema królami w jednem przedpołudniu, syna, któremu Herod ma hołdować, wreszcie godność małżonki Cezara (I, 2) — filolog Zieliński dopatrzył się fantastycznej i rozmyślnie powikłanej aluzyi do wypadków biblijnych, któreby istotnie były przypadały około »pięćdziesiątego roku życia« Charmiany, mianowicie do narodzin Chrystusa Pana i hołdu monarchów ze Wschodu.

[2]) Jako dowód zarazem wierności i sztuki poetyckiej Shakespeara w kopiowaniu Plutarcha przytaczam oryginał tego opisu dosłownie według angielskiego tłómaczenia Plutarcha przez Tomasza Northa (1579), którem posługiwał się Shakespeare, a które polega na francuskiej wersyi Amyota:

»Kleopatra po licznych wezwaniach raczyła wreszcie wybrać się na spotkanie Antoniusza w łodzi na rzece Kydnos. Rufa tej łodzi była ze złota, żagle z purpury, wiosła ze srebra; te biły w takt przy odgłosie fletów, oboi, cytar, skrzypiec i innych instrumentów, na których grano w łodzi. Co do osoby królowej samej: spoczywała pod namiotem szytym ze złotogłowiu, przyodziana i ustrojona jak bogini Wenus na obrazach; po obu jej stronach stały piękne chłopięta, ubrane tak, jak zwykle malarze przedstawiają Kupidyna, powiewając wkoło niej małymi wachlarzami. Z jej niewiast i służebnic najpiękniejsze przyodziane były jako nimfy wodne Nereidy, i jako Gracye; niektóre sterowały, inne pilnowały lin okrętu i żaglów, z których wiała słodka woń pachnideł, unosząc się nad brzegiem, pokrytym niezliczonymi tłumami ludzi. Niektórzy szli wzdłuż brzegu za okrętem; inni wybiegali z miasta, by widzieć przybycie; tylu ich się tam w końcu zebrało, by na nią patrzeć, że Antoniusz na rynku, na swym tronie audyencyonalnym, pozostał sam jak kołek; i szła pogłoska wśród ludu, że oto bogini Wenus przybyła igrać z bożkiem Bakchusem, na szczęście dla całej Azyi. Gdy Kleopa-

na początku dramatu ukazuje nam ich już w Egipcie, w stadyum późniejszem, pozostawiając reżyserom zasobniejszych teatrów potomności swobodę przyozdobienia tej sceny ekspozycyjnej w miarę ich własnej fantazyi i ambicyi. Słyszymy w tej scenie o nocnych wyprawach dostojnej pary *incognito* do uboższych dzielnic miasta Aleksandryi; wspomina te ekspedycye i Plutarch wśród innych przykładów, dowodzących, jak Kleopatra dla zachowania swej władzy nad Antoniuszem, nie odstępowała go ani na krok przy wszelkich jego zajęciach i rozrywkach. Inne tego rodzaju szczegóły poeta tu pomija; jeden z nich — łowienie ryb, zakładanych na wędkę przez nurków — dodaje w scenie późniejszej (II, 5); niektóre motywy tej grupy — Kleopatra w roli Omfali (II, 5) — z elementów konwencyonalnych wspaniale złożyła wyobraźnia poety. Tak samo już na początku dramatu dla scharakteryzowania wschodniej atmosfery na dworze Kleopatry wymyśla Shakespeare wielce znamienną scenę z wróżbiarzem (I, 2). Już tutaj na cele ekspozycyjne, jak i w dalszym ciągu dramatu na uzupełnienie scen przedstawionych przez komentarze i sprawozdania, nader przydatnem narzędziem w ręku poety staje się cyniczny Domitius Ahenobarbus, u Plutarcha ledwo przygodnie wspomniany.

Cały szereg wypadków, u Plutarcha rozdzielających się na większą przestrzeń w czasie i miejscu, poeta skoncentrował w jednej scenie na dworze egipskim (I, 2); według Plutarcha Antoniusz na wiadomość o zdobyczach Labienusa w Azyi z wielką ostentacyą począł się tam wyprawiać, »jak człowiek zbudzony z głębokiego snu albo wytrzeźwiały z upicia«; dotarł aż do Fenicyi; otrzymawszy »żałośliwe listy« od żony z Rzymu, wybrał się stamtąd do Włoch; Fulvia jednak umarła, nim się spotkali, i wtedy dopiero Antoniusz się dowiedział, że umyślnie wznieciła niepokoje we Włoszech, by go odciągnąć od Kleopatry. Wszystkie te fakta — w szczególności śmierć Fulvii — poeta po

---

tra wylądowała, Antoniusz posłał do niej z zaproszeniem na ucztę. Ona jednak kazała mu odpowiedzieć, żeby raczej do niej na ucztę przyszedł. Antoniusz, by się okazać uprzejmym wobec nowoprzybyłej, chętnie się zgodził i poszedł do niej na ucztę, gdzie go tak ugoszczono, że słowo ludzkie nie opisze tych wspaniałości«.

Hans Makart, który kilkakrotnie Kleopatrę malował, tę właśnie pełną oryentalnego przepychu scenę na rzece uwiecznił w pierwszym swym obrazie na ten temat (1874).

mistrzowsku zużytkował na dalszą charakterystykę Kleopatry. Scenę pożegnania z Antoniuszem (I, 3) — jak wszystkie w poemacie obrazy przypływów i odpływów, burzy i ciszy na oceanie tej wielkiej miłości — tworzy poeta samodzielnie i bez wzoru; tak samo dalszą jeszcze w tym akcie (I, 5), poświęconą wyłącznie naczelnemu przedmiotowi i wolną od domieszki politycznej. Widać już tu, z jakiem upodobaniem poeta do tych sytuacyi powraca, jak chętnie pozostałby wyłącznie w ich kole; sumienie dramaturgiczne nakazuje mu oderwać się od nich, by zaraz w pierwszym akcie przeciwstawić Antoniuszowi także jego przeciwnika w nadchodzącej rozprawie o panowanie nad całym światem rzymskim (I, 4). Dalsze fazy tej akcyi politycznej — nieporozumienie między tryumwirami, ich zgoda pod naciskiem niebezpieczeństwa ze strony Pompejusza, dyplomatyczne małżeństwo Antoniusza — dramatyzuje poeta według Plutarcha w znacznej części scen aktu drugiego; ogniskiem potęgi poetyckiej w tych kronikarskich partyach utworu jest pierwsza zaraz rozmowa między Antoniuszem a Cezarem (II, 2). W pierwszej tragedyi rzymskiej Shakespeara młody Oktawiusz pozostawał w cieniu, Antoniusz górował nad nim, jak nad wszystkimi, doświadczeniem politycznem i wytrawną znajomością ludzi; tutaj stosunek się odwrócił: Cezar od początku ma przewagę niezmąconego namiętnością umysłu; Antoniusz, teraz impulsywny i uczuciowy, biegunowo się oddalił od tego wyrachowania, z jakiem prowadził swe intrygi po zamordowaniu Juliusza Cezara. Słowa konferencyi, zastępujące krótkie i suche sprawozdanie u Plutarcha, są, jak zwykle, dziełem samego poety; umówiony w tem stadyum nowy podział imperyum rzymskiego między tryumwirów Shakespeare narazie pomija. U Plutarcha jako owoc nowej zgody zaraz następuje porozumienie między tryumwirami a Pompejuszem na przylądku mizeńskim; Shakespeare przedtem jeszcze sięga po dalszy szczegół w biografii: wrażenie dramatyczne, wywołane rozmową wielkich współzawodników, wzmacnia lirycznem, odtwarzając zaraz potem natchnione słowa wróżbiarza o nierównej sile tych duchów, co walczyć ze sobą mają (II, 3) [1]).

---

[1]) U Plutarcha wróżbiarz mówi: »Los twój — sam w sobie świetny i wielki — przyćmiony jest losem Cezara. Więc ci radzę: opuść jego towarzystwo, i oddal się od niego. Twój demon bowiem — to jest

Scenę bankietową po konferencyi z Pompejuszem (II, 7) uznano za niepotrzebną w dramacie; należy ona, jak powiedział Hartley Coleridge, »do biografii Antoniusza, ale nie do jego tragedyi«. Shakespeare w tych partyach zdaje się działać w poczuciu, że nie potrzebuje się chwilowo śpieszyć z główną akcyą; mając czas, tutaj wplata jedyną w dramacie aluzyę do wypadków »Juliusza Cezara«, z którymi ta tragedya w historyi się łączy [1]); tutaj też w długiej i swobodnej rozmowie między dowcipnym komentatorem akcyi a stronnikiem Pompejusza wtrącona jest skandaliczna anegdota o schadzce wielkiego Juliusza z Kleopatrą, przyniesioną do niego w materacu, — jeden więcej ciekawy dowód na to, jak pilnie Shakespeare wertował swego Plutarcha i poza obrębem materyału wybranego do dramatów. Tutaj też w żartach Antoniusza, potrosze może pod adresem gminu londyńskiego, poeta rzuca garść geograficznych realiów o Egipcie; i w tych figlach dyalogu zresztą niecałkiem zapomina o głównym swym celu dramatycznym: uwagi Lepidusa o »wężach egipskich« oswajają wyobraźnię publiczności z narzędziem samobójstwa Kleopatry. Nieorganicznym składnikiem dzieła wydać się musi ten epizod jako całość: Pompejusz mógłby się wcale nie pojawiać w tragedyi, tak jak nie pojawia się Fulvia; posługuje się jednak poeta jego osobą, by nam w tych świetnych scenach sytuacyjnych, słusznie jako takie wielbionych przez Gustawa Freytaga, dać najwyraźniejszy w dziele obraz ogólno-politycznego tła tragedyi osobistej. Dekadencyę patryotyzmu rzymskiego dobitnie wykazuje narzucające się czytelnikowi porównanie z »Juliuszem Cezarem«: tam stały naprzeciwko siebie siły dziejowe — cezaryzm i republikanizm; tu pretensye syna Pompejusza, oparte na wielkich dziełach ojca, ścierają się z monarszemi ambicyami tryumwirów; potężna ironia tra-

---

dobry duch, co cię strzeże — boi się jego ducha; odważny i dumny, gdy jest sam, zatrważa się, gdy się znajdzie w blizkości tamtego«.

[1]) »Cezar, który na polach Filippi
Stanął widomie przed Brutusa okiem,
Waszą prawicą krwawo był pomszczony.
Dlaczego blady Kasyusz spiski knował?
Dlaczego Brutus, wzór obywateli,
Pięknej wolności dworak, z przyjaciółmi
Krwią pomalował mury Kapitolu?
Chciał, żeby człowiek był tylko człowiekiem«.
(II, 6; tł. Paszkowski).

giczna zgrzytem się rozlega wśród tych targów, raz gdy losy władców Rzymu zależą od kilku słów korsarza — to epizod z Plutarcha — potem gdy »trzecią część świata wynoszą pijaną«; — Oktawiusz jeden wśród orgii pijackiej nie traci panowania nad sobą; on jeden zdolny w tym zamęcie państwem owładnąć i zbudować nowy ustrój na gruzach rzeczypospolitej.

Zatrzymawszy się z satyrycznem upodobaniem przy tym rodzajowym obrazie stosunków politycznych, Shakespeare od początku trzeciego aktu, jakby znużony mnogością wypadków państwowych i wojennych i koniecznością ich odtwarzania, chwyta się techniki prymitywnej, dojrzałym jego dziełom prawie obcej, co najwyżej przypominającej zgiełk wojenny najwcześniejszych dramatów królewskich: oto dalsze fazy kroniki politycznej przesuwa nam kalejdoskopicznie przed oczyma w szeregach króciutkich scen. Zależy poecie najwyraźniej tylko na bylejakiem wstawieniu do dramatu faktów, które mu opowiada Plutarch, zaś właściwy interes twórczy coraz wyłączniej należy do naczelnej pary kochanków; ich charakterystyce stara się Shakespeare podporządkować ten łańcuch drobnych wypadków; naprzemian stawia nam przed oczy na krótkie chwile Antoniusza i Kleopatrę (III, 2 — III, 3), Kleopatrę i Oktawię (III, 3, 7 — III, 2, 4, 6), Cezara i Antoniusza (III, 6 — III, 7) i w ten sposób intensywniej niż kiedykolwiek charakteryzuje metodą kontrastu. Historyę pożycia małżeńskiego między Antoniuszem a Oktawią ogranicza poeta do jednej krótkiej rozmowy (III, 4); u Plutarcha Oktawia drugie już jego dziecko w łonie nosi, gdy ponownie pośredniczy między nim a Cezarem; później nawet w krzywdzie i opuszczeniu roztacza troskliwą opiekę także nad jego dziećmi z pierwszego małżeństwa z Fulvią. Shakespeare w tym dramacie — w przeciwieństwie do blizkiej mu datą »Powieści zimowej« — dzieci na scenę nie wprowadza; ani nie obarczył moralnego rachunku bohatera przez takie obowiązki ponad sam ślub z Oktawią, ani też z drugiej strony nie skomplikował portretu Kleopatry przez macierzyństwo, które ją zdobi w historyi, a którego bezpośrednie przedstawienie nie byłoby się chyba dało zharmonizować z tonem scen miłosnych; wspomina poeta o potomstwie Kleopatry tylko przez usta Cezara (III, 6) w opisie ceremonii na rynku aleksandryjskim.

W krótkich scenach III aktu czyni dramaturg ten wielki skok poprzez dłuższą przestrzeń faktów, który w opracowaniu takiej biograficznej fabuły obok drobniejszych pominięć zawsze w jakiemś miejscu jest potrzebny: Shakespeare pomija obszerne sprawozdanie Plutarcha o niefortunnej wojnie z Partami, w której Antoniusz składa najwyraźniejszy dowód, że namiętność ostatecznie przyćmiła jego zdolności strategiczne i dyplomatyczne. Połączone z tą wyprawą pomniejsze przyczynki do charakterystyki bohatera także poeta opuścił: rozrzutność Antoniusza ilustrują u Plutarcha inne jeszcze przykłady, niż w dramacie: wygnanemu szlachcicowi partyjskiemu, Monesesowi, darowuje trzy miasta, porównywając jego z Temistoklesem, siebie z królem perskim; hojność swą uzasadnia maksymą, że więcej chwały Rzymowi przynosi, gdy daje, niż gdy grabi. Energicznej redukcyi dokonał także poeta w historyi biernego bohaterstwa opuszczonej Oktawii; Plutarch szczegółowo przedstawia jej cierpienia w Rzymie, których widok rozjątrzał serca obywateli przeciw Antoniuszowi; ze swej strony Cezar dolewa oliwy do tego ognia, odbierając Westalkom i publikując przed Senatem testament Antoniusza, który zawiera życzenie, żeby jego ciało przewieziono do Egiptu. Różne drobiazgowe zarzuty, dotyczące stosunku Antoniusza do Kleopatry, według Plutarcha po części były wymysłem niejakiego Calvisiusa. Przyjaciele Antoniusza w Rzymie bezskutecznie przez Geminusa ślą mu ostrzeżenia.

O wznowieniu stosunku do Kleopatry i towarzyszących temu uroczystościach, znowu, jak o pierwszem spotkaniu kochanków, dowiadujemy się tylko z krótkiego sprawozdania (III, 6), — znowu zapewne ze względu na ograniczone zasoby dekoracyjne teatru shakespearowskiego. Zabiegi królowej, by ją Antoniusz wziął ze sobą na wojnę, przejmuje Shakespeare z Plutarcha, nie uwydatnia jednak podanego tam motywu tych usiłowań; według Plutarcha chodziło jej głównie o to, by zazdrośnie strzedz Antoniusza przed spotkaniem z Oktawią i zachować bezpośrednią nad nim władzę. Już w tej scenie (III, 7) natomiast ukazują się u Shakespeara fatalne następstwa, przez Plutarcha dopiero nieco później opowiedziane: Antoniusz pod wpływem Kleopatry nierozumnie obstaje przy walce na morzu; u Plutarcha potem zaczyna myśleć o bitwie na lądzie, gdy już za późno. W tym obrazie przygotowań do walnej rozprawy niedramatyczność zarówno biograficznego mate-

ryału, jak shakespearowskiego opracowania, sięga punktu kulminacyjnego; wciąż przeskakujemy z jednego obozu do drugiego: zaraz po nierozważnej decyzyi Antoniusza dowiadujemy się w kilku słowach (III, 8), jak ona będzie na rękę Cezarowi. W przedstawieniu samego przebiegu rozstrzygającej bitwy Shakespeare, jak we wszystkich wybitnie epicznych częściach swej fabuły, jest uderzająco niesystematyczny i niedbały; drobne motywy dobiera jakby bez namysłu, inne równie samowolnie pomija lub rozrzuca po dalszych częściach utworu; najwidoczniej się niecierpliwi, i zależy mu tylko na tem, żeby się byle jak przedostać przez gąszcz wypadków do scen czysto psychologicznej treści. Instynktu dramatycznego dopatrzyć się tu jedynie można w traktowaniu pewnych szczegółów, dotyczących głównych figur: pominął poeta chybiony zamach na osobę Antoniusza przed bitwą — żołnierze Cezara o mało go nie schwytali w zasadzkę, gdy się pewnego dnia przechadzał po przylądku —; z drugiej strony pomija Shakespeare także rycerską wymianę wyzwań przed walką: Cezar u Plutarcha ofiarowuje się zrobić Antoniuszowi miejsce do rozprawy na wybrzeżu; Antoniusz w zamian wyzywa go na pojedynek, i powtarza to wyzwanie jeszcze po bitwie: Shakespeare zużytkował tylko ten drugi moment (III, 13; IV, 1) jako charakterystyczny objaw rozpaczliwych wysiłków Antoniusza, by podźwignąć z upadku swą godność bohaterską i zajaśnieć nią raz jeszcze przed światem — po klęsce, z własnej winy poniesionej. Co do Kleopatry, nie trzeba w dramacie szukać innego powodu jej ucieczki podczas bitwy, jak prosty strach i nerwowość kobieca; pragnienie wyłącznego posiadania Antoniusza, którego osobą w razie zwycięstwa dzielićby się musiała z urzędem monarszym — to interpretacya ludzi dzisiejszych, z pewnością obca intencyom renesansowego poety.

Po klęsce pominął poeta błędne wędrówki Antoniusza po Grecyi w towarzystwie dwóch tylko zaufanych przyjaciół, — tak samo jak później pominął drugi krótki okres pustelniczego odosobnienia w Egipcie w zamku na morzu, koło wyspy Pharos [1]). Zamiast tego wszystkiego, stworzył poeta samodzielnie potężny wyraz głębokiego upokorzenia

[1]) Plutarch ten stan bohatera porównywa z mizantropią Tymona Ateńczyka i w obszernej dygresyi opowiada historyę jego, — co może dało poecie impuls do zajęcia się tym przedmiotem.

Antoniusza w scenie z Kleopatrą (III, 11): to znowu jeden z tych dyalogów, w które poeta wkłada całą siłę swego natchnienia, które go nadewszystko interesują: wkoło sceny obojętniejsze, pisane tylko dla ciągłości fabuły. Z Plutarcha pochodzi małostkowa scena zazdrości o posła od Cezara (III, 13), — dalszy objaw moralnego upadku Antoniusza. U Plutarcha Antoniusz, pojednawszy się znowu z Kleopatrą, jako posła do Cezara wyprawia jakiegoś nauczyciela — na lepszego już go nie stać — z żądaniem, by mu pozwolono żyć w spokoju albo w Egipcie albo w Atenach. Posłańcem Cezara z odpowiedzią jest Thyreus [1]), przystojny i układny; zazdrość Antoniusza ma więcej podstawy, niż u Shakespeara, gdzie jest kaprysem zniszczonego moralnie człowieka. I u Plutarcha poseł jest obity i odesłany do Cezara z temi samemi prawie słowy, co w dramacie. Rzecz się kończy, jak u Shakespeara, wznowioną czułością wobec Kleopatry; w Aleksandryi wkrótce po klęsce pod Akcyum rozpoczynają się szaleńsze niż kiedykolwiek przedtem zabawy i uczty: zasadę »niezrównanego życia« — *Amimetobion* — którą przedtem uczynili swem godłem, zmieniają teraz kochankowie w ostatecznem zapamiętaniu na *Synapothanumenon* — »ugodę wspólnej śmierci«.

Zdradę i śmierć Ahenobarba — epizod bez organicznej funkcyi w dramacie, a mimo to przez poetę traktowany obszernie (III, 13; IV, 5, 6, 9) [2]) i w tak rzewne ubrany akcenty w fazie końcowej – Plutarch opowiada krótko w następujących słowach: »Antoniusz wbrew woli Kleopatry obszedł się po przyjacielsku i po rycersku z Domicyuszem. Ten mianowicie« — już przed bitwą pod Akcyum, nie po klęsce, jak u Shakespeara — »przeprawił się małą łódką do obozu Cezara; był wtedy chory na gorączkę; Antoniusz, choć bolał nad jego zdradą, posłał za nim wszystkie jego rzeczy i ludzi. Tenże Domicyusz, jakby chciał dać Antoniuszowi do zrozumienia, że żałuje swego postępku, — umarł wkrótce potem«.

Całe dwa akty — IV i V — wypełnia właściwie tylko

---

[1]) Shakespeare — przynajmniej wydanie *in folio* — nazywa go *Thidias;* tak samo w V akcie (sc. 1) *Decretas* zamiast *Dercetaeus,* w »Koryolanie« Titus *Lartius* zamiast *Latius,* w »Cezarze« *Decimus* Brutus zamiast *Decius* Brutus Albinus.

[2]) O losie innych, nikczemniejszych zdrajców, dowiadujemy się — ściśle według Plutarcha — w kilku krótkich zdaniach (IV, 6).

katastrofa; Shakespeare dlatego ją tak rozciąga, że w tym okresie dziejów miłosnych Antoniusza i Kleopatry szczególnie wiele znajduje owych psychologicznych momentów, które go głównie zajmują. Znowu, jak z końcem drugiego aktu, poeta zwalnia tempo akcyi; znajduje czas, by tu skorzystać z opisu tajemniczych zjawisk złowróżbnych, które u Plutarcha stale ważnym wypadkom towarzyszą, a które w poprzednich partyach dramatu były pominięte [1]. U Plutarcha opisany jest radosny powrót Antoniusza po zwycięstwie w drobnej potyczce: Shakespeare przedstawił w osobnych scenach i pożegnanie z Kleopatrą i powitanie powracającego (IV, 4, 8). Nie żałuje też poeta w całym przeciągu czwartego aktu drobnych i obszerniejszych przyczynków do wytworzenia i podtrzymywania lirycznego nastroju: przejmuje z Plutarcha i w osobnej scenie (IV, 2) przedstawia serdeczne pożegnanie Antoniusza ze służbą; na samym początku Cezarowi, gotującemu pogrom, każe wołać: »Biedny Antoniusz!« (IV, 1), — a po drugiej klęsce Antoniusza, którego okręty, jak u Plutarcha, na morzu przechodzą do floty Cezara (IV, 12), z ust pobitego płyną cudowną melodyą wiersze o marności usiłowań ludzkich (IV, 14), w obrazowaniu i treści dziwnie podobne do sławniejszych słów Prospera w »Burzy« (IV, 1): fantazyę poety zajmuje gra obłoków jako symbol znikomości wszystkiego, co nam w życiu istotnem wydawać się musi, czemu stałość i trwałość gorliwie nadać się staramy: kształty pałaców, jakie budujemy, kształty charakteru, jaki w sobie rzeźbimy, — wszystko jednako »na wiatr się lekki rozpłynie«. Czy to bilans z bolesnych dumań nad zagadkami metafizycznemi w najcięższych latach duchowego życia poety?

Pozostaje sam tragiczny koniec bohatera i bohaterki. Potężne sceny skonu Antoniusza (IV, 14, 15) we wszystkich szczegółach pochodzą z Plutarcha, którego tekst tutaj, nadewszystko w tak wielce osobliwym momencie windowania umierającego Antoniusza w górę do wieży Kleopa-

---

[1]) Zjawiska same Shakespeare ze względu na trudności sceniczne nieco uprościł: u Plutarcha wydaje się ludziom, jakoby cała procesya bakchijska w nocy opuszczała miasto, i tłómaczą to jako odejście Bakchusa, szczególnie przez Antoniusza czczonego: Shakespeare podstawił Herkulesa, symbol bohaterstwa, utopionego w nieszczęsnej namiętności.

try, wznosi się do znacznej siły dramatycznej [1]: dziwną tę sytuacyę scena shakespearowska — z balkonem na piętrze w środku tylnej ściany — daleko łatwiej i naturalniej uzmysłowiała, niż nawet dzisiejsza [2].

Śmierć Antoniusza jednolicie przyobleczona jest w przepych deklamacyi heroicznych, jakich w końcowej fazie tragedyi przywykliśmy się spodziewać. Kleopatra natomiast w ostatnich momentach (V, 2) w niemniejsze nas wprawia zdumienie, niż w tylu innych scenach swych kaprysów. Drugi raz w tragedyi widzimy ją znęcającą się nad podwładnym: biła posłańca, co przyniósł wiadomość o małżeństwie Antoniusza z Oktawią (II, 5); teraz łży skarbnika, co zdradza, że ukryła przed Cezarem znaczną część swych kosztowności — zachowanie zaiste tak samo nie harmonizujące z naszemi pojęciami o godności królowej w tragedyi, jak nie zgadza się z niemi policzek wymierzony księżnej Gloucester wobec dworu przez małżonkę Henryka VI (cz. II, akt I, sc. 3), albo swary dam ukoronowanych pod murami Angers (»Król Jan«, II, 1). Ale ten ideał godności tragicznej pochodzi z kanonu estetycznego dworskich dramaturgów Ludwika XIV, a nie krewkich Anglików Odrodzenia. Abstrahując więc od takich ana-

---

[1] »Kleopatra nie chciała otworzyć wrót swej wieży, lecz ukazała się przy oknie na górze, i spuściła stamtąd łańcuchy i powrozy, w które owinięto Antoniusza; zaś królowa sama, z dwiema niewiastami tylko, którym pozwoliła wejść ze sobą do wieży, wyciągnęła Antoniusza w górę. Ci, co byli obecni, opowiadali, że nigdy nie patrzyli na widok tak wzruszający. Antoniusz windowany w górę, krwią okryty i ciężko dyszący w agonii, wyciągał ręce ku Kleopatrze, dźwigając się jak mógł. Ciężką to było rzeczą dla kobiet wydostać go aż do góry; ale Kleopatra, schylona, z natężeniem wszystkich sił, nie ustawała, aż go wyciągnęła do siebie; niewiasty z dołu nawoływaniami dodawały jej odwagi, patrząc na jej pracę z tą samą boleścią, jaką i ona czuć musiała. Gdy wreszcie wciągnęły go do komnaty na górze i złożyły go na posłaniu, Kleopatra jęła drzeć szaty na sobie, i bić się w piersi, kaleczyć twarz i łono z żałości; otarłszy mu krew z twarzy, wołała nań jako na swego pana, małżonka, króla, w żalu i litości nad nim zapominając o własnem nieszczęściu i własnej nędzy«.

[2] Mając możność scenicznego urzeczywistnienia tego motywu, Shakespeare niewiele już się troszczy o różne techniczne szczegóły. Plutarch opowiada, w jaki sposób Rzymianie dostali się do wieży Kleopatry: jeden z nich zatrzymuje ją rozmową przez zamknięte drzwi na dole, drugi po drabince dostaje się przez okno do środka. Poetę ten fortel nie interesuje; pozostawia jego wykonanie pomysłowości reżysera, a druk *in folio* pozostawia je domyślności czytelnika, nie dając w krytycznem miejscu (V, 2) żadnej wskazówki scenicznej; objaśnienie według Plutarcha dodali dopiero wydawcy dramatu w XVIII wieku.

chronicznych zarzutów, przyznać raczej trzeba, że i te rysy wzbogacają i urozmaicają wielobarwny portret Kleopatry. Scena z Seleukiem jest u Plutarcha; przypuszczano, że Shakespeare przejął ją bez głębszego zastanowienia, i zarzucano, że przez tę przesadną wierność wobec oryginału zepsuł harmonię heroicznych scen zgonu. Ale u Plutarcha ten epizod ma organiczną funkcyę: jest to komedya, odegrana przez Kleopatrę dla wywołania u Cezara wrażenia, że pragnie żyć i dlatego chowa skarby; Cezarowi zaś zależało na tem, żeby ją żywą w tryumfie ukazać Rzymowi. Intencyi tej, u Plutarcha także wprost nie wypowiedzianej [1]), Shakespeare zgoła nie wyraził, i domyślać tylko się można, że Kleopatra ten właśnie podstęp sobie przypomina, gdy konając, nazywa Cezara »osłem i głupim prostakiem«. Dla widza, nie szukającego kombinacyi poza słowami tekstu, ten wybuch temperamentu jest jednym więcej objawem owej nieskończonej zmienności, która stanowi główny powab Kleopatry. Tej samej natury szczegółem jest — również przejęta z Plutarcha — kokieterya, z jaką Kleopatra stroi się w najlepsze szaty przed śmiercią [2]). Pewną przeciwwagę tych małostkowych objawów możnaby widzieć w fakcie, że po rozdrobnieniu i rozrzuceniu akcyi w króciutkich scenach aktów poprzednich tutaj interes tragiczny znowu się konsoliduje i koncentruje wokoło ostatniej królewskiej siedziby Kleopatry — samotnej, niedostępnej wieży. W jej komnacie rozgrywa się większa część piątego aktu, do niej wszyscy się schodzą — nawet Cezar-zwycięzca. Ta lokalizacya istotnie dodaje majestatu scenom śmierci Kleopatry; ale przeceniać wartości tego szczegółu nie będziemy, gdy sobie przypomnimy, że scena shakespearowska miejsca akcyi wyraźnie nie uwydatniała i ani poeci ani ich publiczność o nie zbytnio nie dbali. W każdym razie uderzać musi krańcowe przeciwieństwo między śmiercią Kleopatry a jej kochanka: on istotnie tego, »co dzielne i co jest szlachetne«, dokonał »w wielki rzymski sposób«, jak niegdyś jego przeciwnicy Brutus i Kasyusz na polu bitwy pod Filippi: Kleopatra, choć temi właśnie słowy swe pożegnanie ze światem zapowiada

---

[1]) »Cezar cieszył się z tych jej słów, czerpiąc z nich przekonanie, że Kleopatra pragnie zachować swe życie«.

[2]) Oszczędził jej poeta zeszpecenia fizycznego w przedśmiertnej fazie podejścia Cezara: u Plutarcha ona mu się ukazuje w zaniedbanem ubraniu, z rozdrapanemi piersiami i twarzą.

(IV, 15), jednak w obliczu śmierci objawia ten sam, co już w bitwie morskiej, brak odwagi: Plutarch powołuje się na świadectwo jej lekarza i biografa, Olympusa, że »już oddawna... badała, jaka śmierć najłagodniejsza«; Shakespeare stwierdza to w nekrologu, wypowiedzianym przez Cezara nad jej trupem. Znamiennem także jest, że Kleopatra do wykonania stanowczego czynu sztucznie się podburza myślą o poniżeniach, jakie ją czekają, jeżeli nie umrze, i takie głównie upokorzenia sobie uprzytomnia, które po życiu, spędzonem w zbytkach i próżności, straszne wydać się muszą, a które prawdziwie wielka dusza zniosłaby z tryumfującą wzgardą (V, 2).

Katastrofę poprzedza scena wymuszonej komiki — rozmowa z chłopem, który przynosi koszyk z wężami; takie intermezza komiczne w scenach tragicznego naprężenia są stałym rysem techniki dramatycznej Shakespeara: do tej kategoryi należą rozmowy muzykantów w domu Kapuletów (»Romeo i Julia«, IV, 5), grabarzy, kopiących dół dla Ofelii (»Hamlet«, V, 1), i najsławniejszy ze wszystkich monolog odźwiernego w »Makbecie« (II, 3). Tu scena raczej dla zwyczaju wpleciona, i mało w niej natężenia twórczego. U Plutarcha czytamy o naiwnym wieśniaku, który przynosi w koszyku figi, pozwala je straży oglądać i radzi kosztować; rozmowy między nim a Kleopatrą niema; później znajdują Kleopatrę umarłą; niema pewności, czy pod figami był wąż, i czy Kleopatra wogóle zginęła od trucizny. Jej niewiastę, Iras, prawdopodobnie wyobraża sobie Shakespeare jako umierającą z żalu nad panią, — tak samo jak Enobarbus umarł z żalu nad swą zdradą (IV, 9): Plutarch przyczynę śmierci niewiast pozostawia tak samo niewyjaśnioną, jak samą śmierć Kleopatry; wątpliwości i przypuszczenia, w relacyi Plutarcha otaczające wypadek, streścił poeta w słowach Cezara i jego żołnierzy. Zarówno Shakespeare jak i Plutarch wykluczyli motyw zdradzieckich zalotów królowej do zwycięskiego Cezara; u innych historyków starożytnych (jak Dion Cassius), a za ich wzorem i u innych nowoczesnych poetów, ta plama szerokie zajmuje miejsce w portrecie Kleopatry. U Shakespeara z ust konającej po raz pierwszy i ostatni rozlega się słowo »Mężu!« *(Husband!)* — jakby uroczyste świadectwo ostatecznego oczyszczenia jej moralnej natury i uświęcenia jej ziemskiej namiętności przez śmierć; nie bez słuszności porównano ten okrzyk z niebiańskimi

głosami »Ocalona!« zwiastującymi zbawienie Małgorzaty w pierwszej części »Fausta« Goethego. Z wszystkich kochanek i kochanków, konających w tragedyach Shakespeara, Antoniusz i Kleopatra tylko, żegnając się z życiem, roją sobie spotkanie za światem: on marzy o łąkach asfodelskich, »gdzie na kwiatach spoczywają dusze«, gdzie »wszystkie cienie za nimi pogonią« (IV, 14); jej dusza, wyrywając się za ukochanym człowiekiem, »wzdycha do nieśmiertelności« (V, 2).

* * *

Stanowisko tej tragedyi wśród utworów Shakespeara najpiękniej może określił już Coleridge, przeciwstawiając jej młodociany dramat miłosny »Romeo i Julia«. Tam posąg tragiczny pierwszej miłości, w jej nieskażonem pięknie, tu — ostatniej, w jej żywiołowej potędze. Tam bunt idealizmu młodzieńca przeciw twardym wymaganiom rzeczywistości, tu bunt głębokiego i nieprzepartego uczucia w mężu dojrzałym przeciwko rozsądkowi, obowiązkom, przeciw całemu programowi życia. Tam kochanka jest wcieleniem bezkształtnych a tęsknych marzeń młodzieńczych, tu — jakby koroną bogatych w doświadczenia, długich lat żywota. Tam wyśpiewał młody Shakespeare poranne upojenie pragnieniami, romantyczną ciekawość cudów tego życia, tu może zaklął w klasyczne kształty coś z przebytych i przemyślanych uniesień i udręczeń. Kleopatra każdemu czytelnikowi Shakespeara dziwnie podobną wydać się musi do tajemniczej bohaterki Sonetów poety — jak ona ciemnolicej, nie olśniewającej pięknością, a przykuwającej niezgłębionym urokiem, jak ona zmiennej i kapryśnej, jak ona wielbionej i przeklinanej, ubóstwianej i lżonej naprzemian przez kochanka. Czyż dramat byłby drugiem w poezyi Shakespeara odbiciem tego nieznanego a doniosłego epizodu w jego życiu londyńskiem? Wypadki, które natchnęły Sonety, zaszły pono w latach wcześniejszych, może po pierwszych tryumfach scenicznych młodego pisarza; Kleopatra zaś mogłaby być portretem jakiejś drugiej niewiasty, co weszła w życie poety, gdy istotnie już był w Antoniuszowym wieku; jest jednak, jak słusznie podniósł Garnett, w charakterystyce królowej pewien artystyczny objektywizm, pewien spokój w szczegółach wykończenia, licujący z hipotezą, że od namiętności

dla jej wzoru dzieli poetę przestrzeń lat, i że pokrewieństwo między bohaterką Sonetów a dramatu ma swoje źródło w tożsamości rzeczywistej osoby. Poza samą tę kombinacyę — najśmielej wypracowaną przez Brandesa — wykraczać nie mamy prawa: podobieństwo między cierpiącą małżonką Oktawią a niesprawiedliwie prześladowaną królową Hermioną w »Powieści zimowej« zbyt jest powierzchowne, zanadto obie one są typowe dla stałej shakespearowskiej koncepcyi biernego bohaterstwa niewieściego, by w Oktawii można dopatrywać się, jak w Hermionie, rysów opuszczonej żony poety. Obojętną też dla krytyki dramatu jest analogia, jaką wykryto między ciekawością Kleopatry co do osoby rywalki (III, 3) a zazdrosnemi zapytaniami królowej Elżbiety o Maryę Stuart, o których opowiada w swych pamiętnikach dworzanin Melville.

Najdłuższy z dramatów Shakespeara — 3964 wiersze — jest, jak orzekł Saintsbury, zarazem najdoskonalszym typem i najświetniejszym tryumfem tego epiczno-kronikarskiego sposobu pisania, od którego Shakespeare niegdyś jako nowicyusz rozpoczął był swoją dramatyczną karyerę. Rozdrobnienie akcyi na krótkie dyalogi — kłopotliwe dla dzisiejszego reżysera, technicznie obojętne dla sceny shakespearowskiej — choć czasem denerwuje czytelnika, ma jednakowoż, jak zauważył już Johnson, tę korzystną stronę, że wciąż podtrzymuje ciekawość i zainteresowanie; myśl nasza w ślad za zmianami scen pośpiesznie dąży naprzód ku coraz nowym wypadkom akcyi. Metoda ta była zresztą dla dramaturga jedynym sposobem przedostania się przez tak rozległy szmat zawiłej historyi politycznej. Jeżeli mimo pobieżnego traktowania mnóstwa różnorodnych faktów całe partye dramatu — jak układy z Pompejuszem — wydają się nieorganiczne i niepotrzebne, to przyczyną stanowisko poety wobec materyału, zgoła inne tutaj, niż w »Juliuszu Cezarze«. Tam napisał dla wszystkich wieków tragedyę demokratycznego idealizmu; tu polityczna strona tematu najwidoczniej mało stosunkowo go obchodzi, nie jest w jego oczach istotną. Z ducha nowoczesnej historyozofii i etnologii, a nie z ducha shakespearowskiego rodzą się takie interpretacye dramatu jak ta, którą Amerykanin H. W. Mabie zamyka w formułce, że dzieło jest dramatem konfliktu między Wschodem a Zachodem, że przedstawia najpierw Zachód ulegający zmysłowemu czarowi

Wschodu, potem Wschód zwyciężony przez wyższą energię i konsekwencyę Zachodu. Nowsze badania historyczne wyświetliły przeróżne plany i manewry polityczne Kleopatry, których ani słowem nie tyka Shakespeare; niewiele o nich co prawda opowiada i Plutarch, który w »Antoniuszu«, tak samo jak wszędzie indziej, jest biografem raczej niż historykiem i ujmuje przedmiot ze strony osobistej, podobnie jak dramaturg. Że w trzech dramatach Shakespeara, których głównym tematem jest miłość, wszędzie, jak zauważył Boas, łączy się ściśle z miłosną jakaś akcya polityczna — waśnie stronnictw miejskich (»Romeo i Julia«), wojna trojańska (»Troilus i Kressyda«), walka o Rzym (»Antoniusz i Kleopatra«), — z tego żadnych wniosków co do jakichś intencyi poety wyciągać nie można.

Dla Shakespeara niewątpliwie główną sprawą dramatu — jedyną, jaką z całem przejęciem przedstawiał — są postacie i losy dwojga ludzi, których wymienia tytuł dzieła; nie Rzym i Egipt, nie historya i anegdota, nie bitwy morskie i intrygi dyplomatyczne stanowią treść i siłę dzieła, lecz obraz tych dwóch charakterów i dzieje ich uczucia. Gdy po »Cezarze« poeta począł myśleć o dalszem dziele z tej samej sfery wypadków, bohaterem dramatu w pierwotnej koncepcyi zapewne był Antoniusz, ideą ten morał, w jakim jeszcze Goethe dobitnie streszcza swe wrażenie z tragedyi: »*Antonius und Kleopatra*« *spricht mit tausend Zungen, dass Genuss und Tat unverträglich sei*. Tę może elementarną tragedyę Antoniusza ma na myśli poeta, gdy w »Hamlecie« — pisanym wkrótce po »Cezarze« — żywemi słowy opisuje człowieka nieprzeparcie owładniętego i moralnie zniszczonego przez jedną potężną skłonność (I, 4) [1]. W dramacie widzieć mamy, co je-

[1] »I pojedyńczym ludziom się to zdarza:
Niejeden skutkiem naturalnych przywar, —
Czyli to z rodu (czemu nic nie winien,
Bo któż obiera sobie pochodzenie),
Czy to jakiegoś krwi usposobienia,
Które częstokroć rwie tamy rozumu;
Czy to nałogu, przeciwnego formom
Przyzwoitości, — niejeden, powiadam,
Upośledzony w taki sposób jaką
Szczególną wadą, bądź to organicznie,
Bądź przypadkowo, — choćby jego cnoty
Były skądinąd jako kryształ czyste
I mnogie, jako być mogą w człowieku, —

szcze w jego pierwszej scenie stanowczo jest zapowiedziane: jak

»Ten niegdyś trzeci filar ziemi całej
Zmienił się w błazna obcej wszetecznicy«.

Widzimy coś więcej: Kleopatra równe z Antoniuszem zajmuje miejsce w tytule i w dramacie; jest nie tylko narzędziem upadku wielkiego człowieka, ale sama bohaterką, współwładczynią duszy widza i czytelnika. Z narzędzi akcyi na wielkie, górujące postacie urośli już w dawniejszych dziełach, bez widocznej przyczyny prócz twórczej fantazyi poety, Falstaff i Shylock: w tym dramacie drogę wskazał Plutarch, który w biografii Antoniusza obszerne daje miejsce charakterystyce i losom Kleopatry. Wobec tego źródła koncepcyi Kleopatry wartość zabawy jedynie mają różne komentatorskie syntezy na temat roli kobiety w całych grupach dramatów. Że Kleopatra staje się narzędziem zguby Antoniusza jako przedmiot jego ślepej namiętności, tak samo jak lady Macbeth prowadzi do zguby swego męża, podniecając jego ambicyę, a Wolumnia swego syna Koryolana, utwierdzając go w dumie, — to zestawienie wiele światła nie rzuca na pojęcie Shakespeara o kobiecie. Jeszcze bardziej mechanicznie skombinował trzy tragedye rzymskie Wyndham w twierdzeniu, że Shakespeare dlatego te właśnie tematy z Plutarcha wybrał, ponieważ dawały mu sposobność ukazać kobietę w jej trojakim typowym stosunku do mężczyzny — jako matkę (Wolumnia), żonę (Porcya, Kalpurnia) i kochankę (Kleopatra).

Shakespearowska Kleopatra pochodzi z Plutarcha: więcej na wyjaśnienie jej genezy powiedzieć nie można. Jako próby materyałów, z których Shakespeare portret swej bohaterki tworzył, niech posłużą dwa ustępy z Plutarchowej biografii Antoniusza, — jeden opisujący, drugi opowiadający:

»Jej piękność — tak opowiadają — nie była tak nadzwyczajna i niezrównana, ani też tego rodzaju, żeby budzić u mężczyzn miłość na pierwsze wejrzenie; ale tak miłe było jej towarzystwo i rozmowa, że to musiało ujmować mężczyzn. Prócz piękności, wdzięk, z jakim rozpra-

---

Tą jedną skazą zarażony będzie
W opinii ludzi. Jedna drachma złego
Niweczy wszelkie szlachetne pierwiastki«.
(Tł. Paszkowskiego).

wiała, dworskość w słowach i obejściu, były jakby ostrogą, co bodła do żywego. Ponad to wszystko, jej śpiew i gra były rozkoszne: jej język był jakby narzędziem muzyki, towarzyszącej wszelkim rozrywkom; z łatwością go używała do jakiej tylko mowy jej się podobało: z mało którym wschodnim narodem porozumiewała się przez tłómacza, przeważnie sama była zdolna mówić z nimi: przemawiała w ich własnym języku do Etyopów, Arabów, Troglodytów, Żydów, Syryjczyków, Medów, Partów i innych. A niektórzy jej przodkowie, królowie egipscy, ledwo się mogli byli nauczyć samego języka egipskiego, zaś wielu z nich zapomniało rodzinny macedoński«.

»Gdy Antoniusz odjechał, chytrze udawała, że wzdycha za nim, poszcząc nawet z tęsknoty. Tak panowała nad wyrazem swej twarzy, że gdy Antoniusz przychodził do niej, patrzyła na niego jakby w uniesieniu radości; gdy odchodził, płakała głośno i nadawała sobie wszelkie pozory głębokiego żalu; zawsze umiała znaleźć sposób, żeby Antoniusz, przychodząc, zastawał ją zalaną łzami. Gdy przychodził niespodzianie, udawała, że łzy ociera, i odwracała twarz, tak jakby nie chciała, żeby on jej łzy widział. Wszystkich tych sztuczek używała na niego«.

Co z tego zrobił dramaturg? Shakespearowskiej charakterystyki »węża starego Nilu« (I, 5) wielbić nie trzeba, krytykować nie można, parafrazować nie wolno. Na szczęście dla potomnych komentatorów, co nie czują się godni mówić własnemi słowy o jego Kleopatrze, poeta w tym dramacie nader obfity robi użytek z tego środka dramatycznej charakteryzacyi, jakim są świadectwa współ-aktorów; i dwa takie hołdy, złożone królowej w dramacie, starczą za wszelkie nieudolne pochwały, jakieby poecie oddać można.

»Swarliwa królowo!
Której do twarzy wszystko [1]): gniewy, śmiechy,
Łzy nawet; w której wszystkie namiętności
Pełne uroku, uwielbienia godne!«
(I, 1).

»Ona z wiekiem nie starzeje,
Przyzwyczajenie żądz nie wyczerpuje,
Tak nieskończony jest powab przemiany.
Inne kobiety, kiedy chuć nakarmią,
Dają nam przesyt, ale z Kleopatrą
Ten najgłodniejszy, co najwięcej spożył.
Rzecz najpodlejsza w niej piękną się zdaje,
Tak, że ją święty kapłan błogosławi,
Kiedy ją widzi w objęciach kochanka«.
(II, 2; L. Ulrich).

---

[1]) *Wrangling queen! whom everything becomes...* Tak samo do swej czarnej kochanki wołał poeta w sonecie 150, że jej »do twarzy ze złem nawet«:

Whence hast thou this becoming of things ill?

Wyposażając ją w ten niewyczerpany powab zmienności, w całą skalę fascynacyi od majestatu do kaprysów, Shakespeare bynajmniej nie uogólnia i nie idealizuje. Kleopatra przez cały dramat wierna jest swej ostatniej i wielkiej miłości; ale poeta starannie uzupełnił jej charakterystykę także dawniejszymi faktami z jej biografii; jeszcze w pierwszym akcie (sc. 5) słyszymy w rozmowie ze służebnicą o stosunkach z Cezarem za »zielonych dni młodości« *(salad days)*; do tychże wypadków skandaliczną aluzyę czyni Enobarbus (II, 6); a później sam Antoniusz w rozgoryczeniu całą przeszłość w twarz jej rzuca w słowach:

»Ha, ja cię znalazłem
Jak zimne słodkiej potrawy ostatki
Na umarłego Cezara talerzu,
Ba! nawet byłaś resztką Pompejusza,
Nie licząc tego, co w gorętszych chwilach
Mogłaś uchwycić, a o czem świat nie wie:
Bo choć się możesz domyślać, co czystość,
Nie znasz jej wcale«.
(III, 13).

Z innej zgoła, świetniejszej strony, przewija się nam przed oczyma ten epizod z dawniejszych lat Kleopatry w jej własnych słowach:

»Cezarze, mężu szerokiego czoła,
Kiedy mieszkałeś jeszcze na tej ziemi,
Monarchy godnym byłam wtedy kąskiem;
Wielki Pompejusz stał jak odurzony,
Namiętne oko w mej utopił twarzy,
Tam chciał zarzucić losów swych kotwicę,
I umrzeć, patrząc na tę, która była
Życiem dla niego«.
(I, 5).

Podobna dwulicowość, podobnie jaskrawa gra świateł i cieniów, alternacya między wzniosłością a poniżeniem, ciągnie się przez całą rolę Antoniusza w dramacie; tylko u niego świetność i władza nad ludźmi — to chwała miniona, wciąż przez poetę wskrzeszana w słowach i wspomnieniach; zaś zatrata woli bohaterskiej i królewskiej rozwagi pod tchnieniem wszechwładnego uczucia — to teraźniejszość, którą oglądamy na scenie. O tamtym Antoniuszu zewsząd słyszymy — tego wciąż mamy przed oczyma; i on sam, gdy mu klęska uświadomiła tę przemianę, dawniejsze swe »ja« z rozpaczą przeciwstawia obecnemu:

[Scarus]. »Podobnej hańby nie widziałem jeszcze,
Nigdy tak męstwo, honor, doświadczenie
Same swej własnej sprawy nie zdradziły«.
. . . .
[Canidius]. »Ach, gdyby wódz nasz tem był, czem był dawniej,
Wypadek boju nie byłby wątpliwy!
Ale nikczemnej ucieczki dał przykład
I wszystko pierzchło!« —
(III, 10).

[Antoniusz]. »Żeby hańbę moję
Przed tobą ukryć, poglądam za siebie,
I widzę mego honoru ruiny.
. . . .
Wiedziałaś, że mnie pociągniesz za sobą,
Żeś była duszy mej wszechwładną panią,
Żem był gotowy na twoje skinienie
Ludzkie i boskie pogwałcić rozkazy.
. . . .
Ja, com połowę świata miał za cacko,
Mogłem rozdawać i odbierać berła!
Wiedziałaś, żem był przez ciebie podbity,
Że miecz mój, przez mą osłabiony miłość,
Wszystkim rozkazom jej posłuszny będzie!«
(III, 11).

»Bolesna zmiana przy dni moich końcu
Niech cię nie smuci; pociesz twoje myśli
Żywą pamiątką dawnych moich losów,
Gdym był najpierwszym i najszlachetniejszym,
Jak świat szeroki, żołnierzem i panem«.
(IV, 15).

Obojgu kochankom pospołu nadał poeta naczelną godność w dramacie, oni razem i tylko oni pierwszy plan w dziele zajmują; wpatrzeni w nieśmiertelną parę, zapominamy — jak zapomnieć winniśmy — i o szlachetnej a cierpiącej rywalce Kleopatry i o przebiegłym, ale nie małodusznym przeciwniku Antoniusza, i nawet o wplecionym w dramat wielki małym a wzruszającym dramacie Enobarba. W charakterystyce dwóch głównych figur, które postawił na równi, znać dbałość poety o równowagę — trudną tu zaiste do utrzymania, — o symetryczny między oboje rozdział starania artystycznego. Korespondują więc ze sobą ich słowa o samych sobie: Kleopatra z żalem wiek swój wspomina; wie, że jej lica

»Czas głębokiemi poznaczył zmarszczkami«.
(I, 5).

Wie i Antoniusz, że u niego

> »włos siwy
> Z młodszym się, czarnym, tu i owdzie miesza«.
> (IV, 8).

Równą też miarą rozdziela między nich poeta swe skarby liryczne: Antoniusz, jakby wybrane narzędzie jego muzyki, wygłasza przepiękne wiersze o »powietrznych ułudach« (IV, 14); ale i Kleopatra olśniewa fantazyę i czaruje ucho apoteozą kochanka:

> »Ja więc marzyłam, że był imperator;
> Zwał się Antoniusz; ach, jak pragnę usnąć,
> By marzyć znowu o takim rycerzu!
>
> ...Twarz jego jak niebo,
> Po którem słońce i księżyc krążyły
> I przyświecały drobnej ziemskiej kuli.
>
> ...Nogami ocean okraczał,
> Świat opasywał wzniesionem ramieniem:
> Dla przyjacieli głos jego był dźwięczny,
> Jak sfer harmonia; gdy chciał strach obudzić,
> Głos ten był groźny, jak piorunu grzmoty;
> Zimy nie znała serca jego dobroć,
> Lecz była wieczną dla świata jesienią,
> Ze żniwa nowe wykwitało żniwo;
> Jego zabawy, to młode delfiny
> Nad modrą falą świecące grzbietami;
> W jego liberyi chodziły korony,
> A kieszeń jego siała po ulicach
> Niby szelągi, wyspy i królestwa«.
> (V, 2).

Miłość i zguba dwojga istot, wznoszących się tak wysoko nad zwykłą ludzką miarę złego i dobrego, — to widowisko zaiste wielkie; gdy oni giną, świat cały wstrząśnięty wyrzec nad nimi musi wieszcze słowa królowej:

> »Co było wielkie, minęło, umarło,
> I nie zostało nic już pod księżycem,
> Coby uwielbień ludzkich było godne!«
> (IV, 15).

Ilekroć zaś na nowo powstają w kształtach shakespearowskiej poezyi, zawsze zachwyt potomnych pokoleń jako proroczą pochwałę potwierdzać będzie własne słowa poety, na początku tragedyi przez dumnego Rzymianina wyrzeczone:

»Światu rozkazuję,
Niech wie — lub ciężkiej niech lęka się kary! —
Że niema pary nam równej na ziemi«.
(I, 1).

* * *

Inne jeszcze proroctwo literackie w dramacie swym wypowiedział poeta, gdy Kleopatrze wśród upokorzeń, jakie ją w rzymskiej niewoli czekają, przewidzieć kazał, że

»Fałszywym głosem nędzny wierszokleta
Tłumom ballady o nas będzie śpiewał,
A tuzinkowych komedyantów zgraja,
W budach małpować będzie nasze święta;
Wyjdzie na scenę pijany Antoniusz,
Musimy słuchać, jak piskliwy dzieciuch
Będzie odgrywał rolę Kleopatry
W postawie jakiej nędznej wszetecznicy«.
(V, 2).

Jak w »Cezarze«, gdy zabójcy nad świeżym trupem podobną głoszą przepowiednię (III, 2), tak i tu przewidział Shakespeare bogate jeszcze w dalszej literaturze owoce złączonej fascynacyi postaci historycznej i jego dzieła. Jak tam, tak i tutaj do przepowiedni podstawę dawał obfity już i przed Shakespearem plon utworów natchnionych nieśmiertelnym urokiem »węża starego Nilu«. Wszak już Horacy uczcił odą świeżą jeszcze pamięć jej wielkich politycznych zamysłów i odważnej śmierci [1]). W Europie północnej od pierwszych przedwiosennych powiewów humanizmu ten przedmiot zajmuje wyobraźnię

---

[1]) *. . . . . . Capitolio*
regina dementis ruinas
funus et imperio parabat
. . . .
. . . . . quidlibet impotens
sperare fortunaque dulci
ebria . . . .
. . . .
. . . fortis . . . asperas
tractare serpentes, ut atrum
corpore combiberet venenum,
deliberata morte ferocior . . .
saevis Liburnis scilicet invidens
privata deduci superbo
non humilis mulier triumpho.
[*Carmina*, I, 37].

poetów. Stroficzną balladę o Kleopatrze już największy poeta średniowiecznej Anglii, Chaucer, włączył do swej »Legendy o dobrych niewiastach«, cyklu opowieści o bohaterkach sławnych w historyi i legendzie, wielbiąc ją jako męczennicę wiernej miłości. W szczególności jednak w dramacie, od samych narodzin jego renesansowej formy, często się ten tragiczny temat pojawia. Pierwsza tragedya Odrodzenia we Francyi (1552) nosi tytuł *Cléopâtre Captive;* autorem jej był Étienne Jodelle. Jak wszyscy późniejsi klasycyści, których dramaturgicznym wzorem był Seneka, tak już i Jodelle przedstawia z losów Kleopatry samą tylko katastrofę: Antoniusz pojawia się w dramacie jako duch, o śmierci królowej staro-greckim sposobem zdaje sprawę posłaniec. We Włoszech jest w XVI i XVII wieku kilka tegoż stylu tragedyi o Kleopatrze [1]), a jeszcze w XVIII młody Alfieri, późniejszy mistrz klasycznego dramatu, od »Antoniusza i Kleopatry« rozpoczyna swą twórczość tragiczną (1775). W Niemczech w XVI stuleciu Hans Sachs w swej obfitej produkcyi dramatycznej nie przepuścił i Kleopatrze *(Komedi,* 1550); w XVII zrobił ją bohaterką dramatu Daniel Kasper von Lohenstein, naczelny przedstawiciel osławionej »drugiej szkoły śląskiej« (1660); w zaraniu wieku XIX nie pominął oczywiście Kleopatry najpłodniejszy i najpopularniejszy z ówczesnych pisarzy dramatycznych niemieckich, Kotzebue; bohaterką jego sentymentalnego dramatu jednak jest Oktawia (1801).

W Anglii shakespearowskiej siostra rycerza-poety Filipa Sidney, hrabina Pembroke, przez tłómaczenie francuskiej tragedyi Roberta Garnier »Antoniusz« (1578, tł. 1592) zwróciła na temat uwagę nielicznej garstki dramaturgów ściśle klasycystycznego autoramentu; najzdolniejszy z nich Samuel Daniel wydał w roku 1594 dramat książkowy o Kleopatrze; dzieło to mogło być Shakespearowi znane; przypuszczano nawet, że niezwykle luźna budowa jego dramatu jest wyrazem świadomej reakcyi przeciwko sztucznemu rygorowi, panującemu w takich dramatach na sposób Seneki.

Tragedya Shakespeara, jak skała olbrzymia, zawaliła drogę poetom, co po nim zbliżają się do przedmiotu. Już najpopularniejsi u następnej generacyi pisarze dramatyczni, Beaumont i Fletcher, słusznie upatrując w postaci Kleo-

---

[1]) Landi 1551; Giraldi Cinthio, 1582; Delfino, 1660.

patry temat zgodny z ich zmysłowym i wyrafinowanym, dworskim stylem dramatycznym, jednak na bezpośrednią rywalizacyę z Shakespearem się nie odważyli: osnową ich tragedyi *The False One* (1620) jest stosunek młodej Kleopatry do Juliusza Cezara. Podobnie i nadal poeci, znęceni postacią Kleopatry, przeważnie albo klasycystyczną metodą ograniczają się do katastrofy, a więc znacznej części akcyi shakespearowskiej nie tykają, albo traktują ów epizod z Juliuszem Cezarem; jeszcze w XX wieku Bernard Shaw dowcipnie przedstawił tę właśnie część historyi Kleopatry.

Jedynym z angielskich następców Shakespeara, co miał śmiałość zmierzyć się z mistrzem na jego własnem polu, był pierwszy jego wielki krytyk, Dryden: ambicyi tego rywala zawdzięczamy dramat o niepospolitej wartości poetyckiej, »Wszystko dla miłości, czyli: Świat dobrze stracony« (*All for Love, or The World Well Lost*, 1678). I on, w swem programowem dążeniu do syntezy francuskiego stylu klasycystycznego z romantycznym narodowego dramatu, rozpoczyna rzecz po ostatecznej klęsce Antoniusza; w ciągu swej akcyi jednak nie unika sytuacyi, nastręczających porównanie z Shakespearem: nawet pierwsze spotkanie Kleopatry z Antoniuszem na rzece Kydnos ośmielił się na swój sposób opisać! Pisząc tutaj białym wierszem shakespearowskim — gdzieindziej używał rymowanego za wzorem Francuzów — Dryden niejednokrotnie umie nadać mu siłę wielkiej poezyi; ale piękność to odmienna od melodyi shakespearowskich deklamacyi, bardziej sztuczna i ozdobna, nadewszystko bardziej oratorska. Jak odmienną od shakespearowskich waśni i pojednań, wyrzutów i uniesień, jest potężna, retoryczna rozprawa między Antoniuszem a Kleopatrą na samym początku dramatu Drydena, streszczająca dzieje ich stosunku! W przeprowadzeniu akcyi główną różnicę między Drydenem a Shakespearem stanowi nieuchronna cecha epigonizmu — uwydatnianie postaci i motywów, przez poprzednika pozostawionych w cieniu lub całkiem pominiętych. Szerokie miejsce zajmuje eunuch Kleopatry, Alexas; uwypuklił także Dryden postać Ventidiusa, zrobił go stałym heroldem dawnej natury Antoniusza, głosem jego sumienia; w czwartym akcie, by odwieść Antoniusza od zgubnej namiętności, odgrywa on rolę Jaga w »Otellu«; w piątym zastępuje shakespearowskiego Erosa w scenie samobójstwa. Na pierwszy plan także jako serdeczny przyjaciel Antoniusza wysuwa się

u Drydena Dolabella; w czwartym akcie on głównym jest aktorem, gdyż Kleopatra rozmyślnie się do niego zaleca, chcąc obudzić zazdrość Antoniusza i tak się upewnić w jego posiadaniu; Antoniusz podwójny ma powód do rozpaczy, mniemając się zdradzonym i przez kochankę i przez przyjaciela. Aż do Egiptu sprowadza Dryden Oktawię z dziećmi Antoniusza, by sobie stworzyć sposobność do efektownej sceny spotkania i sporu rywalek. Nie przedstawił natomiast w akcie końcowym odwiedzin Cezara u Kleopatry przed katastrofą. Mimo wzbogacenia szczegółów i wysunięcia naprzód figur drugorzędnych utwór Drydena ma zaletę spoistej budowy dramatycznej, o którą Shakespeare w swej tragedyi wcale się nie starał. Ta zwartość co prawda okupiona jest ofiarą moralnego pogłębienia tematu: poeta wyuzdanego dworu Stuartów, choć w przedmowie moralizująco swe dzieło interpretuje, w gruncie rzeczy, jak to sam jego tytuł zapowiada, całkiem uniesiony jest zachwytem nad wielką namiętnością kochanków; tragizm upadku Antoniusza daleko mniej go przejmuje, niż Shakespeara; mniej intensywnie przeciwstawia miłosnej niewoli dawne bohaterstwo żołnierza i dawną sprawność dyplomaty. Shakespeare mało się stosunkowo zajmuje politycznem znaczeniem wypadków, z obowiązku raczej — ale zawsze z wielką intuicyą historyczną — wciąż je uwydatnia; Dryden dziejową stronę sprawy w porównaniu z erotyczną wyraźnie sobie lekceważy. — Dramat Drydena długo panował niepodzielnie na scenie angielskiej: jeszcze pani Siddons grała jego Kleopatrę, nie shakespearowską. Już jej brat Kemble jednak oprócz wersyi, kombinującej Shakespeara z Drydenem (1813), zredagował najprzydatniejszy może dla nowożytnej sceny układ samego dzieła shakespearowskiego [1]).

Z pomiędzy Anglików po Drydenie na wyszczególnienie zasługuje chyba jeszcze tylko wykwintny i uczony klasyk wśród poetów romantycznych XIX wieku — Walter Savage Landor; jego sceny między Antoniuszem a Kleopatrą w »Dyalogach wierszem« tchną dostojeństwem greckich posągów; i on, jak Dryden i inni, ukazuje nam

[1]) Redakcyę tę według rękopisu, w którym nam się zachowała, opisuje amerykański wydawca Furness, którego *New Variorum Edition* shakespearowskiej tragedyi (1907) obejmuje także przedruk dzieła Drydena i obszerne rozbiory dramatów o Antoniuszu i Kleopatrze z różnych epok literatur.

Kleopatrę także jako kochającą matkę, czego rozsądnie zaniechał Shakespeare.

Długi szereg nowszych dramatów o Antoniuszu i Kleopatrze w języku francuskim, niemieckim i innych [1]) — to przeważnie albo poronione płody pseudo-klasycyzmu, albo romantyczne eksperymenty pod mniejszym czy większym wpływem Shakespeara. Wymowniejszym i od naśladownictw i od samodzielnych wysiłków jest faktem, że wielcy poeci dramatyczni — jak Grillparzer — myślą o dramatach na ten temat, ale ich nie wykonywają. Nie brak oczywiście i poza obrębem tej wiekuiście czarującej historyi miłosnej świadectw literackich o władzy dzieła shakespearowskiego nad wyobraźnią poetów: młody Goethe w krótkich scenach »Goetza z Berlichingen« naśladuje technikę tragedyi, a w postaci Adelaidy von Walldorf, z którą Weislingen zdradza siostrę przyjaciela, niewątpliwie kopiuje Kleopatrę; — Byron w »Sardanapalu«, malując gnuśny, zmysłowy urok oryentalnego dworu królewskiego, także miał przed oczyma nieśmiertelny wzór u Shakespeara.

---

[1]) Z francuskich przez wartość poetycką na front się wysuwa dramat Delfiny Gay (Mme de Girardin), pisany dla aktorki, pani Rachel, w r. 1847; z niemieckich najpiękniejszym uznano jedno-aktowy utwór księcia Jerzego pruskiego, drukowany w r. 1868 pod pseudonimem »G. Conrad«.

OSOBY:

Marek Antoniusz, **Oktawiusz Cezar**, **M. Emiliusz Lepidus**, — Tryumwirowie.
Sekstus Pompejusz.
Domicyusz Enobarbus, **Wentydyusz**, **Eros**, **Skarus**, **Dercetas**, **Demetryusz**, **Filon**, — Stronnicy Antoniusza.
Mecenas, **Agryppa**, **Dolabella**, **Prokulejusz**, **Tyreusz**, **Gallus**, — Stronnicy Cezara.
Menas, **Menekrates**, **Waryusz**, — Stronnicy Pompeja.
Taurus, namiestnik Cezara.
Kanidyusz, namiestnik Antoniusza.
Syliusz, rotmistrz Wentydyusza.
Eufroniusz, posłaniec Antoniusza do Cezara.
Aleksas, Mardyan, Seleukus i Dyomedes, dworzanie Kleopatry.
Wieszcz i Pachołek.
Kleopatra, królowa Egiptu.
Oktawia, siostra Cezara, żona Antoniusza.
Charmian, **Iras**, — Dziewczęta Kleopatry.

Rotmistrze, Żołnierze, Posłańcy i Służba.

Rzecz się dzieje w różnych częściach państwa rzymskiego.

ANTONIUSZ I KLEOPATRA.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

W Aleksandryi. Pokój w pałacu Kleopatry.

(Demetryusz i Filon).

Filon. Wiesz co, ten dziwny szał naszego wodza
Przechodzi wszelką miarę; te spojrzenia,
Co nad rotami, wśród wojennych znaków
Jak zbrojny Mars jaśniały, dziś przyćmione,
Spływają z wątłym swych promieni blaskiem
Na śniadą skroń kochanki: to lwie serce,
Co dawniej w zgiełku strasznych walk zrywało
Pancerza łuski, dziś bez hartu prawie,
Jak miech lub wachlarz bije, dla chłodzenia
Cygańskiej chuci. Otóż on i ona.
(Odgłos trąb. Antoniusz i Kleopatra wchodzą z orszakami. Rzezańcy wachlujący królowę).
Uważaj pilnie, poznasz w nim ze smutkiem
Ów trzeci filar świata, dziś przebrany
Za błazna tej wietrznicy; patrz i słuchaj.
Kleopatra. To miłość, mówisz; jakaż jej potęga?
Antoniusz. Do morskiej głębi żaden wzrok nie sięga.
Kleopatra. Jej kres ostatni dziś mi poznać trzeba.
Antoniusz. W niej niema kresu, jak w obszarze nieba.
Służący *(wchodząc).* Posłowie z Rzymu.
Antoniusz. Dręczą mię: — mów żywo.
Kleopatra. Racz, Antoniuszu, dać im posłuchanie:

Czy Fulwia może gniewna? lub zapewne
Bezwłosy Cezar listem ci oznajmia
Najwyższą wolę: »Uczyń to, lub owo;
Weź to królestwo, temu daj swobodę;
Tak postąp, ja ci każę«.
Antoniusz. Dość, kochanko!
Kleopatra. A może też — to najpodobniej będzie —
Nie wolno ci tu bawić; sam Oktawiusz
Przysyła ci odprawę; bądź posłuszny. —
Gdzie Fulwii list? Cezara? — nie, obojga? —
Przywołać gońców. — Jakem z krwi królewskiej,
Rumienisz się, mój drogi; twój rumieniec
Hołd Cezarowi składa, czy małżonce;
Wstyd mu swarliwej Fulwii. — Gdzie posłowie?
Antoniusz. Niech Rzym się w Tybr zapadnie, niech powały
Cesarstwa runą! Tu mój świat, przy tobie.
Królestwa to są śmieci, ziemia karmi
Bydlęta z ludźmi, cześć najwyższa życia
To kochać się, jak my; gdy jedna dusza
W dwóch bliźnich sercach płonie; w tym uścisku
Wyzywam świat, był zeznał pod zaklęciem,
Że równych nam nie było.
Kleopatra. Milcz, obłudny!
Czyś bez kochania Fulwię wziął za żonę?
Jam przecież nie szalona, choć udaję;
Tyś Antoniuszem zawsze.
Antoniusz. Twem igrzyskiem. —
Na miłość mej miłości, na twe szczęście,
Nie traćmy chwil na te dotkliwe spory:
Niech każda w życiu nam otwiera nowych
Słodyczy zdroje. Jaka dziś zabawa?
Kleopatra. Przyjęcie gońców.
Antoniusz. Fe, królowo sprzeczna!
U której wszystko wdziękiem, złość, uśmiechy,
A nawet płacz; bo żądza lub cierpienie
Upiększa się powabem jej oblicza.
Precz z posłańcami; sam na sam chcę z tobą
Przechadzać się po mieście, by dokładniej
Obyczaj ludu poznać. Chodź, królowo;
Na rozkaz twój. — O gońcach ani słowo.
(Antoniusz i Kleopatra wychodzą z orszakami).
Demetryusz. No cóż, Cezara poseł tak przyjęty?
Filon. A tak; Antoniusz, gdy tym szałem tknięty,

Zbyt często z siebie tę powagę zrzuci,
Co z Antoniuszem wzrosła.
Demetryusz. To mię smuci,
Że sam potwierdza wszystko, co w tej dobie
Rzym o nim głosi. Bogom cześć i tobie.
(Wychodzą).

SCENA II.

Tamże. Inny pokój.

(Charmian, Iras, Aleksas i Wieszcz).

Charmian. Aleksas, Aleksaniu mój najsłodszy,
Najzupełniejszy z mężczyzn i najmłodszy,
Gdzie wieszcz, któregoś pani tak zalecał?
Ja chcę go poznać. Wszakżeś jej obiecał,
Że nam przepowie złą i dobrą dolę?
Aleksas. Wróżbito!
Wieszcz. Jestem.
Charmian. Starzec i pacholę:
Ach, on nie widzi!
Wieszcz. Lecz w przyrody księdze,
Oczyma duszy, badań mych nie szczędzę.
Enobarbus *(wchodząc).* Zastawiać ucztę; gości tłum, jak [mrowie:
Dziś będziem pić na Kleopatry zdrowie.
Charmian. Mój światły wieszczu, daj mi wróżbę szczęścia!
Wieszcz. Nie tworzę jej, zgaduję.
Aleksas. Trzy zamęścia.
Charmian. Czy mam z miłości umrzeć, lub gorączki?
Dziewicą, lub małżonką?
Aleksas. Daj mu rączki.
Charmian. Wszak jednej dosyć.
Wieszcz. Obie. — Krąg zawarty;
Duch mi wskazuje twej przyszłości karty. —
Urośniesz w piękność pod rozkoszy skrzydłem.
Charmian. Utyję trochę.
Iras. Schudniesz, pod bielidłem.
Charmian. Fe, nie chcę zmarszczek!
Aleksas. Nie bądźże natrętną;
Uważaj.
Charmian. Cicho!

Wieszcz. Masz odwagi piętno:
Od ulubieńca kochać masz goręcej.
Charmian. Napojem grzać go będę. I cóż więcej?
Aleksas. Aż biedak zaśnie.
Charmian. Wywróż mi, co lubię!
Więc niech trzech króli w jednym dniu zaślubię,
I wszystkich w rok utracę: w pięćdziesięciu
Gdy mi się syn urodzi, przy dziecięciu
Iudejski Herod będzie bił pokłony;
Oktawiusz Cezar gdy zapragnie żony,
Niech mnie wybierze, a nie Kleopatrę,
Tak blaskiem własnym ród królewski zatrę.
Wieszcz. Przeżyjesz ją.
Charmian. Wybornie! Precz intrygi;
Mnie życie słodsze, niż zatrute figi.
Wieszcz. Co było lepsze, niż co będzie z blizka.
Charmian. To jest, że spłodzę dzieci bez nazwiska.
A iluż synów Izys mi przysądza?
Wieszcz. O! jeśli każda twa miłosna żądza
Zapłodni żywot, najmniej dwa miliony.
Charmian. Ja mu przebaczam, guślarz ten szalony.
Aleksas. Twój rąbek świadkiem, żeś jest przy nadziei.
Charmian. Na ciebie, Iras.
Aleksas. Każdy po kolei.
Enobarbus. Ja zaś wywróżę wielu z was i sobie,
Że dziś hulanka.
Iras. Wszak te ręce obie
Zwiastują czystość.
Charmian. Tak jak wylew Nilu
Zwiastuje głód.
Iras. Zalotny mój motylu,
Nie znasz się na tem.
Charmian. Jeśli dłoń tak wiotka
Nie jest płodności znakiem u podlotka,
To ja nie mogę skubnąć się po uszku. —
Wróż jej poślednią dolę, mój staruszku!
Wieszcz. Do twej podobna, jak dwie krople deszczu.
Iras. Wszak moja dłuższa choć o cal, mój wieszczu!
Charmian. Cal czy dwa sążnie, skądże ci ta mrzonka?
Co chcesz mieć dłuższem?
Iras. Toć nie nos małżonka.
Charmian. Od grzesznych myśli chrońcie nas, bogowie!
Zbliż się, Aleksas, — niech ci też przepowie. —

Nastręcz mu żonę szpetną, jak on właśnie,
Zaklinam cię, cna Izys; gdy ta zgaśnie,
Racz mu dać gorszą, po niej gorszą jeszcze;
Aż co najgorsza, spiąwszy go jak w kleszcze,
Powlecze go na cmentarz, niby z płaczem,
Pięćdziesiąt razy wdowcem i rogaczem.
Choćbyś mię odjąć miała z twej opieki,
Spraw to, cna Izys!
Iras. Amen i na wieki.
Wszak ludzka prośba boską moc zwycięża;
Bo jeśli to zgorszenie, widzieć męża
Zacnego z lichą żoną, to sromota,
Gdy jaki bałwan, urwisz i niecnota
W małżeńskim wieńcu rogów nie dostanie;
Bogini wielka, spełnij to żądanie
I obdarz go porządnie!
Charmian. Niech tak będzie.
Wieszcz. Wysoko się wyniesiesz na urzędzie,
Bo będziesz wisiał.
Aleksas. Każę cię ochłostać. —
Już wolę mężem, niż wisielcem zostać.
Patrz, te gołąbki, by mi rogi sprawić,
Gotowe same na targ się wystawić.
Enobarbus. Antoniusz idzie.
Charmian. Nie, królowa gniewna.
Kleopatra *(wchodząc)*. Gdzie pan wasz?
Enobarbus. Nie wiem.
Kleopatra. Był tu, jestem pewna,
Bo zbiegł przede mną.
Charmian. Jam go nie widziała.
Kleopatra. Zdał się wesoły; nagle go zawiała
Myśl jakaś rzymska, spojrzał na mnie krzywo.
Wszak Enobarbus?
Enobarbus. Zdrów.
Kleopatra. Znajdź go co żywo,
I sprowadź mi, Aleksas!
Aleksas. Na usługi. —
Otóż się zbliża.
(Antoniusz wchodzi z Posłańcem i służbą).
Kleopatra. Nie chcę mu raz drugi
Przebaczyć. Chodźmy.
(Wychodzą Kleopatra, Enobarbus, Aleksas, Iras, Charmian, Wieszcz i słudzy).

Posłaniec. Fulwia bój zaczęła.
Antoniusz. Z Lucyuszem, moim bratem?
Posłaniec. Tak, lecz wkrótce
Zawarto pokój; a gdy wzgląd przeważny
Skojarzył ich przeciwko Cezarowi,
Ten, obrotniejszy, zmiótł ich z pól Italii,
Przy pierwszem starciu.
Antoniusz. Nic gorszego niema?
Posłaniec. Zła wieść zaraża tego, kto ją głosi.
Antoniusz. Tak, jeśli spotka tchórza, lub ciemięgę. —
Więc dalej: dla mnie to, co przeszło, niczem. —
Kto głosi prawdę, choćby śmierć w niej była,
Ten mi pochlebia. Cóż więc?
Posłaniec. Labienus
(To przykra wieść) z partyjskim swym zastępem
Aż poza Eufrat Azyi kres posunął;
Zwycięskim znakiem wionął z gór Libanu
Przez Lidyę i przez Jonię, gdy...
Antoniusz. Antoniusz,
Chcesz mówić...
Posłaniec. Panie!
Antoniusz. Mówże bez ogródek,
Powszechnej wieści nie szczędź mi odgłosu;
Zwij Kleopatrę, jak ją zwie lud rzymski;
Szydź z nas przekąsem Fulwii, skarć obłędy
W swobodzie całej, z jaką złość potępia,
Gdy zbrojna prawdą. O! my chwasty płodzim,
Gdy życia prąd mniej silny; mówić szczerze,
To pleć ten kąkol. Zostaw mię na chwilę.
Posłaniec. Powolne służby.
(Wychodzi).
Antoniusz. Jest tam kto z Sycyonu?
Służący. Od świtu goniec czeka.
Antoniusz. Niech się zjawi. —
Rozerwać muszę te egipskie pęta,
(Drugi posłaniec wchodzi).
Lub zginę w nich splątany. — Kto ty jesteś?
Drugi posłaniec. Twa żona Fulwia zmarła.
Antoniusz. Gdzie?
Drugi posłaniec. W Sycyonie:
Choroby przebieg i szczegóły bliższe,
Tyczące ciebie, w liście tym zawarte.
(List mu oddaje i wychodzi).

Antoniusz. Duch wielki gaśnie. Tegom się spodziewał.
Co zbyt porywczo przez nas odtrącone,
To pragniem znów posiadać; skarb dzisiejszy
Przez nawyknienie staje się bezecnym
A nawet wstrętnym. Żal mi jej po zgonie;
Wzgardziłem żywą, a za martwą gonię.
Z tej czarodziejki sideł się wyzwolę;
Jej gusła mi zwiastują gorszą dolę,
Niż jest obecna, sto tysięcy razy. —
Hej! Enobarbus!
Enobarbus *(wchodząc).* Jestem na rozkazy.
Antoniusz. Dziś, co najśpieszniej, w drogę się gotujem.
Enobarbus. Więc wszystkie żony na raz wymordujem.
O lada kłótnię łzy im z oczu płyną:
A cóż dopiero, gdy uciekniem! Zginą.
Antoniusz. Mnie trzeba stąd wyruszyć.
Enobarbus. Na to zgoda,
Gdy jest konieczność; lecz inaczej, szkoda
Tak czułe serca taką truć boleścią.
Już Kleopatra za najmniejszą wieścią
Odjazdu mdleje; stokroć już widziałem,
Jak u niej chętnie duch się żegna z ciałem.
Śmierć jakąś rozkosz musi nań wywierać,
Gdy jej tak pilno kochać i umierać.
Antoniusz. Kobieta chytra, jak prawników dwieście.
Enobarbus. Bynajmniej! wszystkie żądze jej niewieście,
To czysty żar miłości. Jej tęsknoty,
Łzy lub omdlenia, to nie drobne słoty;
To burze sroższe, niż o jakich wzmianka
W stu kalendarzach. Jeśli ta kochanka
Jest chytrą, zmokniesz i trzęsiączkę złowisz;
Bo mgły ma gęstsze, niż ulewny Jowisz.
Antoniusz. Bodajbym jej nie poznał!
Enobarbus. Ciesz się raczej,
Żeś widział cud Egiptu! gdyż inaczej
Nie było po co jeździć aż za morze.
Antoniusz. Wiesz, Fulwia zmarła.
Enobarbus. Zmarła? być nie może!
Antoniusz. Tak jest.
Enobarbus. Dziękczynną bogom złóż ofiarę.
Gdy zgon rozłączy źle dobraną parę,
W ich sądzie człowiek swych poznaje zbawców
I ma w tem ulgę, że z przemysłem krawców

Z łatanej sukni mu wykroją nową.
Gdyby płeć żeńska zgasła z twą połową,
O! byłbyś godnym ich litości, bracie:
Lecz na pociechę w tej dotkliwej stracie
Za szare płótno jedwab cię otuli;
Łzy dwustu wdowców zmieszczą się w cebuli.
Antoniusz. W cesarstwie sprawy przez nią zbyt napięte
Nie cierpią zwłoki.
Enobarbus. Te zaś, co poczęte
Przez Kleopatrę, z łaski twej, kolego,
Zależą całkiem od pobytu twego.
Antoniusz. Dość płochych rozmów. Idź oznajmić wodzom
Zamiary nasze. Ja zaś Kleopatrze
Wyjaśnię sam konieczność tej podróży
I serce jej przychylę; bo nietylko
Śmierć nagła Fulwii i ważniejsze względy
Wzywają nas do Rzymu, lecz usilne
Spólników naszych i przyjaciół listy
Ku temu dążą. Sekstus, syn Pompeja,
Wszczął bój z Cezarem; już wyłącznie rządzi
Na oceanie; a nasz lud niewdzięczny
(Co zasłużonym winną cześć przywraca,
Gdy służyć mu przestaną) wskrzesza ojca
Potęgę, wielkość i godności wszelkie
W żyjącym synu, który krwią, nazwiskiem,
Wybitniej jeszcze męstwem się odznacza
I w sławę wzrasta; te przymioty z czasem
Groźnymi stać się mogą. Są to kiełki
Jak włos rumaka, już mające życie,
Nim węża jad mieć będą. Naszą wolę
Setnikom odnieś, powiedz, że dziś jeszcze
Chcę stąd odpłynąć.
Enobarbus. Rozkaz twój obwieszczę.
(Wychodzą).

SCENA III.

(Kleopatra, Charmian, Iras i Aleksas).

Kleopatra. Gdzież on jest?
Charmian. Jeszczem spotkać go nie mogła.
Kleopatra. Idź, zobacz, gdzie jest, z kim i co porabia;

Lecz nie mów nic od kogo. — Jeśli smutny,
Gotowam tańczyć; jeśli przy zabawie,
Poprosisz o lekarza. Idź, i wracaj.
(Aleksas wychodzi).
Charmian. Jeżeli pani lubym jest, ja myślę,
Że nie tą drogą zmusić go potrafi
Do wzajemności.
Kleopatra. Cóżbyś ty czyniła?
Charmian. Schlebiałabym we wszystkiem, bez oporu.
Kleopatra. Szalona jesteś, wnetby mię porzucił.
Charmian. Wciąż mu przymawiasz, drażnisz bez potrzeby:
Do czasu znosim to, co nas uciska.
(Antoniusz wchodzi).
Patrz, oto wchodzi.
Kleopatra. Słabam i stęskniona.
Antoniusz. Z boleścią wielką jej wynurzyć muszę...
Kleopatra. Odprowadź mię stąd, Charmian, bo upadnę:
To trwać nie może, żadna pierś niewieścia
Nie zniesie tylu cierpień.
Antoniusz. Racz łaskawie...
Kleopatra. Ach, oddal się cokolwiek.
Antoniusz. Nie rozumiem.
Kleopatra. Ja z oczu twych zgaduję wieść radosną.
Co pisze ci małżonka? — Możesz jechać:
I nawet żal mi, żeście się rozstali!
O! niech nie myśli, że to ja cię wiążę,
Do tego nie mam prawa; tyś jej mężem.
Antoniusz. Bogowie świadczą...
Kleopatra. Bo też nigdy żadna
Nie była tak zdradzoną; choć odrazu
Dostrzegłam szczep tej zdrady.
Antoniusz. Kleopatro...
Kleopatra. Jak mogłam wierzyć, żeś jest moim szczerze,
Chociaż Olimpem trzęsły twe zaklęcia,
Ty, coś jej skłamał? To szalona zbrodnia,
Dać się uwikłać w te przysięgi szumne,
Nim przebrzmią już złamane!
Antoniusz. Pozwól, pani...
Kleopatra. Nie szukaj czczych wymówek, jedź do domu,
Szczęśliwa droga: gdyś się mnie zalecał,
Na słowa czas był wtedy; nierozłączna
Osiadła wieczność w ustach i spojrzeniach;
Łuk brwi promienił szczęściem; skroń i członki

Nosiły piętno niebios: jam ta sama,
Lub ty, największy dziś wojownik w świecie,
Tyś jest największym kłamcą.
Antoniusz. Dość, królowo!
Kleopatra. Twój wzrost bym rada mieć, byś się przekonał,
Że nie brak serc w Egipcie.
Antoniusz. Racz mię słuchać:
Niezbędny los ode mnie dziś wymaga
Chwilowej służby, lecz to serce nigdy
Niewiernem ci nie będzie. Nad Włochami
Lśni miecz domowej wojny, syn Pompeja
Nadpływa zbrojno do przystani Rzymu,
A równość dwóch walczących stron podwaja
Zaciętość walki. Wróg, rosnący w siłę,
I w miłość wzrasta: stąd wygnaniec dawny,
Zamożny w cześć ojcowską, garnie serca
Tych wszystkich, którzy na obecnym rządzie
Nic nie zyskali, a tych liczba groźna;
I coby radzi choć gwałtownym środkiem
Swój los naprawić. Co mój wyjazd nagli,
Ten wzgląd u ciebie winien mieć uznanie,
To śmierć mej żony.
Kleopatra. Jeśli nie z płochości,
Z dzieciństwa przecież wiek mię mój wyzwala, —
Czy Fulwia może umrzeć?
Antoniusz. Już nie żyje.
Masz list, przy wolnej chwili niech ci powie,
Co burz podniosła; w końcu, to najlepsze,
Gdzie, jak i kiedy zmarła.
Kleopatra. O niewdzięczny!
Gdzie święte bańki, które łzy małżonka
Napełnić mają? Teraz już przeczuwam
Po śmierci Fulwii, co mię samą czeka.
Antoniusz. Już przestań łajać, dowiedz się nareszcie,
Co w mym zamyśle żyje lub umiera,
Jak sama mną rozrządzisz! Na to słońce,
Co Nilu muł zapładnia, jam dozgonnie
Twym jeńcem, sługą, zdając mir lub wojnę
Na twoją łaskę.
Kleopatra. Przetnij mi sznurówkę. —
Nie, Charmian, zostaw. — Mdleję, znów mi lepiej,
To jak twa miłość.
Antoniusz. Ja od serca mówię;

Więc ufaj tej miłości, która zniosła
Stanowczą próbę.
Kleopatra. To mi Fulwia radzi.
Wiesz co, twarz odwróć, rozpłacz się do woli;
A potem mię pożegnasz, ja poczytam
Te łzy za swoje: scenę tak odegraj
Z królewską sztuką, by mi się zdawała
Najszczerszą prawdą.
Antoniusz. Krew rozpalasz we mnie.
Kleopatra. Mógłbyś grać lepiej, lecz to już uchodzi.
Antoniusz. Dość, na ten miecz...
Kleopatra. I tarczę. — Coraz piękniej;
Lecz jeszcze wznieść się możesz. Patrzaj, Charmian,
Jak Alcyd rzymski nam przedstawia dzielnie
Gniew swego przodka.
Antoniusz. Żegnam.
Kleopatra. Choć dwa słowa.
Musim się rozstać, książę, — nie, inaczej:
Kochaliśmy się, książę, — jeszcze nie to;
Już wiem i ty wiesz dobrze: to rzecz dziwna, —
W pamięci mam prawego Antoniusza,
Stąd myśli mi się plączą.
Antoniusz. Gdyby płochość
Nie była jej poddaną, mieniłbym królowę
Płochością samą.
Kleopatra. Ach, to znój nie lada
Tak smętną płochość zmuszać do uśmiechu,
I znosić jak ją znoszę. Przebacz, panie;
Mnie własne czary trują, gdy dla ciebie
Nie mają wdzięku: czyń co honor każe;
Nie lituj się nad mym bezsilnym szałem.
Bogowie mocni! niechaj laur zwycięski
Ten miecz uwieńczy, szczęścia kwiat niezwiędły
Uściele mu tę drogę!
Antoniusz. Chodź, kochanko!
Pożegnań chwila tak nam trwa i znika,
Że, tu zostając, za mną ślesz twą duszę,
Ja zaś, odchodząc, żyć przy tobie muszę.
(Wychodzą).

SCENA IV.

W Rzymie. Pokój w domu Cezara.

(Oktawiusz Cezar, Lepid i służba).

Cezar. Lepidzie, odtąd poznasz sam dowodnie,
Że jest i będzie myśli mej daleką
Nienawiść dla współrządców. Z Aleksandryi
Donoszą, że poluje, gra i pije,
Hulając noc i dzień; mniej męski duchem,
Niż Kleopatra, która też od niego
Mniej zniewieściałą; gońców nie przyjmuje,
Zaledwie zna swych równych; w nim się mieści
Zbiór wszystkich skaz i błędów, rozdzielonych
Na całą ludzkość.
Lepid. Przecież złe narowy
Wspaniałych zalet zatrzeć w nim nie mogą:
Te drobne skazy, to jak mgły na niebie,
Jaśniejsze wśród pomroku; ze krwi raczej,
Niż z własnej woli; bez poprawy może,
Lecz nie bez wiedzy.
Cezar. Umiesz mu pobłażać.
Bo dajmy na to, jeśli mu przystoi
Targnąwszy się na łoże Ptolemeja,
Królestwem żart opłacić; z niewolnikiem
W gospodzie usiąść, pić do upadłego;
W południe bruki zbijać, lub szermierzyć
Z cuchnącą zgrają: jeśli to uczciwie,
(A dziwnie rzadką musi mieć przyrodę,
Kto duszy tem nie splami) nasz tryumwir
Wymówki nie ma, skoro my znosimy
Płochości jego brzemię. Niech po trudzie
Swobodne chwile spędza wśród rozkoszy,
Niestrawność, rwanie kości mu wystarczą
Na słuszną karę; lecz ten czas marnować,
Co dźwiękiem trąb go budzi, równie głośnym
Jak wzgląd na wspólne dobro, — to występne,
To jak ów uczeń, już świadomy złego,
A zrywający wśród szalonej uczty
Kwiat swej młodości.

(Posłaniec wchodzi).

Lepid. Pewnie coś z obozu.

Posłaniec. Rozkazy już spełnione; co godzina
Wszechwładny Cezar będzie mieć wiadomość
Od wojska. Pompej ma przeważną flotę;
I snadź ma miłość wielu z tych, dla których
Oktawiusz był postrachem: do przystani
Niechętnych tłum się zbiega, głos powszechny
Skrzywdzonym go mianuje.
Cezar. Nic dziwnego.
Uczymy się od najdawniejszych czasów,
Że kto przy władzy, miłość wnet postrada;
Kto zaś upadnie, chociaż jej niegodny,
Znów staje się najmilszym. Tłum chwiejący,
To jak te błędne zioła na strumieniu,
Niesione zmiennym prądem tu i owdzie,
Aż w ruchu swym spróchnieją.
Posłaniec. Oprócz tego,
Menekrat, Menas, dwaj korsarze sławni,
Plądrują morze, prując je łodziami
Wszelkiego kroju: wściekłe ich napady
Lud rzymski płoszą; brzegów zaś mieszkańcy
Na samą myśl truchleją, wojsko pierzcha;
Najśmielszy statek, skoro się pojawi,
Już jest schwytanym; Pompej swem nazwiskiem
Bez walki już zwycięża.
Cezar. Antoniuszu,
Zapomnij o biesiadach. Gdyś uchodził
W porażce z pod Modeny, po zabiciu
Konsulów Pansy i Hircyusza, z głodem
Goniącym cię powtórną zwiodłeś walkę;
Choć miękko wychowany, bez odrazy,
Jak dzicy ludzie, piłeś mocz źrebięcy,
I te złocone męty na kałuży,
Na które bydło parska; twym pokarmem
Był głóg najtwardszy na najlichszym krzewie;
Jak jeleń, kiedy śnieg odziewa łąki,
Ustami rwałeś korę drzew; na Alpach,
Jak niesie wieść, spożyłeś pewną strawę,
Szerzącą śmierć w zarazie; a to wszystko
(Sromotna dziś pamiątka dla twej sławy)
Walecznie zniosłeś, tak że twe oblicze
Zaledwie schudło.
Lepid. Żal mi go serdecznie.
Cezar. Niech własny wstyd sprowadzi go do Rzymu,

I to najrychlej. Czas, byśmy z nim obaj
Ruszyli w pole; w tym zamiarze chcemy
Naradę zwołać: bo nieczynność nasza
Pompeja siły wzmaga.
Lepid. W przyszłej dobie
Zdolniejszym będę zdać ci wierną sprawę,
Co mamy sił na morzu i na lądzie,
By wrogom czoło stawić.
Cezar. W tym przeglądzie
Do wspólnej pracy chciałbym się ośmielić.
Lepid. Bądź zdrów, Cezarze. Raczysz mi udzielić,
Co ważniejszego ci doniosą straże.
Cezar. Bądź o tem pewien; tak powinność każe.
(Wychodzą).

SCENA V.

W Aleksandryi. Pokój w pałacu.

(Kleopatra, Charmian, Iras i Mardyan).

Kleopatra. Chodź, Charmian, — ha, ha! — Chcę pić man-
[dragorę.
Charmian. Co mówisz?
Kleopatra. Jakoś przespaćbym pragnęła
Ten czas nieznośny, aż Antoniusz wróci.
Charmian. Zbyt o nim myślisz.
Kleopatra. On mię zdradza!
Charmian. Pani,
Ja tak nie sądzę.
Kleopatra. Zbliż się, półczłowieku...
Mardyan. Co łaska słyszeć?
Kleopatra. Nie twój śpiew słowiczy:
Co eunuch może, jest mi obojętnem.
Ciesz się, bezwładny, że myśl twa spokojna
Za Egipt nie ulata. Masz ty żądze?
Mardyan. O, mam.
Kleopatra. Doprawdy?
Mardyan. Nie doprawdy, pani;
Jam zuch doprawdy tylko w tem, co skromne;
Mam przeto wściekłe żądze, i pamiętam,
Co przy Wenerze czynił Mars.
Kleopatra. O, Charmian!

Gdzież, myślisz, że jest teraz? Śpi, czy stoi?
Czy na przechadzce? lub cwałuje konno?
Szczęśliwy koń, że Antoniusza niesie!
Pędź, skrzydłonogi, wiesz, kto cię dosiada?
To Atlas pół stworzenia, prawe ramię
I hełm ludzkości. — Słuchaj, on coś mówi,
Lub szepce: »Gdzie mój wąż złotego Nilu?«
Bo tak mię zwykł nazywać. Jak nektarem,
Łez poję się trucizną: — o mnie myśli
Już ogorzałej od pieszczoty słońca,
O mnie, latami zwiędłej? O Juliuszu
Szerokoczoły, gdyś tu szedł olbrzymem,
Pięknością gwiazd jaśniałam; Pompej wielki
Stał oniemiały, wzrok wlepiwszy we mnie:
Jakby zachwytem zdjęty, chciał umierać
Oddając mi swe życie.
Aleksas *(wchodząc).* Cześć królowej!
Kleopatra. O jakżeś różny od bożyszcza mego;
Lecz cię Antoniusz widział, to spojrzenie
Wszechmocnym czarem w klejnot się przemienia.
Co też porabia mój Antoniusz dzielny?
Aleksas. Ostatni jego czyn, to pocałunek —
Z tysiącem innych — na tej perle wschodniej: —
A jego słowa w sercu mem utkwione.
Kleopatra. Niech w moje się przeleją.
Aleksas. »Mój Aleksas,
Jej sługa, mówił, śle królowej Nilu
Ten skarb perłowej muszli; by w jej oczach
Ten dar bezcenny podnieść, chcę nasadzić
Jej możny tron państwami: Azya cała
Ją nazwie swą boginią«. Skinął ręką
I dosiadł konia, który pod swym jeźdźcem
Tak głośno zarżał, że cobądźbym mówił,
Na wiatrby poszło.
Kleopatra. Tęskny, czy wesoły?
Aleksas. Ni to, ni owo, jak w jesiennej porze
Ni mróz, ni upał: tak coś, między dwoma.
Kleopatra. To równowaga, nie! to wielkość duszy! —
Uważaj, Charmian, lecz uważaj tylko:
On nie był tęskny, bo chciał rozpromienić
Spojrzenia sług i dworzan: nie wesoły,
Bo rad ich ostrzedz, że połowę serca
Zostawił przy mnie; lecz tak, między dwoma:

Nastroju boski! — radość i tęsknota
W najwyższym szczeblu, lepiej ci do twarzy,
Niż komu z ludzi. — Gońców mych spotkałeś?
Aleksas. Tak jest, królowo, liczę ich dwudziestu.
To jakoś gęsto.
Kleopatra. Kto się zrodzi w dobie,
Gdy mu wysyłać listy nie przestanę,
Ten umrze z nędzy. — Daj mi, co potrzeba,
Chcę pisać, Charmian. — Powiedz, za Cezarem
Czym tak szalała?
Charmian. O Juliuszu wielki!
Kleopatra. Śmiej to powtórzyć, ością ci uwięźnie!
Mów: Antoniuszu dzielny.
Charmian. O Cezarze!
Kleopatra. Milcz, na Izydę, zęby ci zakrwawię,
Jeżeli się odważysz znów porównać
Juliusza z mym wybranym.
Charmian. Przebacz, pani,
Ja po niej wtórzę.
Kleopatra. To zielenne lata,
Zaledwie źdźbło rozsądku: — trzeba było
Mieć jeszcze krew zastygłą! — Idźmy, Charmian;
Przywołasz gońca, list mu dam codzienny,
Aż się wyludni Egipt mój promienny.
(Wychodzą).

AKT DRUGI.

SCENA I.

W Messynie. Pokój w domu Pompejusza.

(Pompejusz, Menekrates i Menas).

Pompejusz. Sprawiedliwymi jeśli są bogowie,
Za naszą sprawę walczą.
Menekrates. Wiesz, Pompeju,
Że co w odwłoce, jeszcze nie stracone.
Pompejusz. Gdy klęczym przed ich tronem, nasze modły
Z przedmiotem ich marnieją.
Menekrates. My, bezwiedni,
Gdy własnej zguby pragniem, ich wszechwiedza

Odtrąca chęć szkodliwą; tak zyskujem
Na niespełnionych modłach.
Pompejusz. Ja zwyciężę:
Lud kocha mię, ocean drży przede mną;
Potęga moja wzrasta, mam nadzieję,
Że dojdzie pełni. Marek zaś Antoniusz
Na godach przy kochance, ani myśli
Bić się za morzem; Cezar skarb ładuje
A serca traci; Lepid im pochlebia,
Ci mu nawzajem; lecz nie cierpi obu,
I obaj go nie cierpią.
Menas. Już z Cezarem
Wyruszył w pole: siły ma przeważne.
Pompejusz. Skądże to wiesz? to kłamstwo.
Menas. Od Sylwiusza.
Pompejusz. On marzy: wiem, że w Rzymie bawią społem,
Czekając Antoniusza. Bóg miłości
Niech zetrze zmarszczki warg twych, Kleopatro!
Urokiem żądzy wdzięki twe podniesie,
Szaleńca zaklnie w ciągłych uczt odmęcie,
Przytępi mózg pijaństwem; sto kucharzy
Epikurejskich niech mu smak zaostrzą,
Aż sen i jadło, w nim stłumiwszy męstwo,
W głąb Lety go zanurzą. — Cóż, Waryuszu?
Waryusz *(wchodząc)*. Wiadomość niewątpliwą ci przynoszę:
Antoniusz w lada chwili ma zawinąć
Do Rzymu; odkąd Nilu brzeg porzucił,
Miał czas na przejazd.
Pompejusz. Chętniejbym dał ucho
Mniej ważnej wieści. — Menas, czy podobna,
By ten lubieżnik przywdział hełm i zbroję
Dla tak podrzędnej wojny? jako żołnierz
Dwa razy wart ich obu. Lecz tem wyżej
Nasz mir podniesiem, że z podniety naszej
Od Kleopatry łona się odrywa
Niesyty jej kochanek.
Menas. Ja nie wierzę,
By Cezar mógł iść w parze z Antoniuszem,
Gdyż mu i Fulwia dała się we znaki,
I brat z nim walczył, chociaż nie z wyraźnej
Namowy Antoniusza.
Pompejusz. Nie wiem, Menas,
Jak mniejsze gniewy pod większymi zgasły;

Lecz gdyby nie to, że wraz walczą z nami,
Widocznem jest, że z sobąby walczyli.
Dość nienawiści trwa pomiędzy nimi,
By spór odnowić: czy ta jedna trwoga
Zawziętość ich uśpiła, godząc nagle
Pokątne sprzeczki, tego dziś nie wiemy.
Bogowie niech rozsądzą! Nam wypada
Sił wszelkich użyć, jakie świat posiada.
(Wychodzą).

SCENA II.

W Rzymie. Pokój w domu Lepida.

(Enobarbus i Lepid).

Lepid. Cny Domicyuszu, dawny mój kolego,
Przystałoby nakłonić wodza twego
Do słów uprzejmych, ludzkich.
Enobarbus. Niech tak czyni,
Jak mówi: jeśli Cezar mu zawini,
Niech na Cezara spojrzy ponad głową,
I Marsa krtań zagłuszy swą wymową.
Włos Antoniusza gdybym miał na brodzie,
Dziś nie dałbym się golić.
Lepid. Przy narodzie
Domowe kłótnie niczem.
Enobarbus. Niech godzina
To wszystko spełni, co się z nią poczyna.
Lepid. Nad sprawą drobną wyższa ma pierwszeństwo.
Enobarbus. Nie, jeśli tamta pierwszą.
Lepid. Na przekleństwo
Zasłużysz, krocząc tym swarliwym torem.
Antoniusz idzie.
(Wchodzą Antoniusz i Wentydyusz).
Enobarbus. Tam — wasz Cezar z dworem.
(Cezar wchodzi z Agryppą i Mecenasem).
Antoniusz. Jeżeli zgoda stanie, w trop za Partem!
Słyszałeś, Wentydyuszu?
Cezar *(do Mecenasa).* Zbyć to żartem?
Agryppy się zapytaj.
Lepid. Przyjaciele,
Gdy nas tu łączą tak przeważne cele,

Niech wszelki spór ucichnie. Krzywdy zgasną
W mgle zapomnienia: kto urazę własną
Zbyt szumnie głosi, ten, chcąc goić blizny,
Popełnia mord. A więc na cześć ojczyzny,
(Na to uczucie pierwsze i najżywsze)
Lżejszemi słowy trącim, co drażliwsze,
By ran tych nie zajątrzyć.

Antoniusz. To przestroga.
Na czele wojska, przed spotkaniem wroga,
Takbym przemówił.

Cezar. Witaj nam w stolicy.

Antoniusz. Nawzajem.

Cezar. Siądźmy.

Antoniusz. Siądź, Cezarze.

Cezar. Dzięki.

Antoniusz. Za złe mi masz, jak słyszę, co godziwem,
Lub tylko mnie się tyczy.

Cezar. Byłbym śmiesznym,
Gdybym za nic, lub za drobnostkę marną,
Miał mieć urazę, zwłaszcza też do ciebie;
Śmieszniejszem jeszcze, gdybym twe nazwisko
Wymienił z ubliżeniem bez powodu.

Antoniusz. A w czem, Cezarze, pobyt mój w Egipcie
Miał cię obchodzić?

Cezar. Nie mniej i nie więcej,
Niż ciebie tron mój w Rzymie: przecież, jeśli
Tam zdrady knułeś, pobyt twój w Egipcie
Najmocniej mię obchodził.

Antoniusz. Jakie zdrady?

Cezar. Myśl moją łatwo pojmiesz, po tem wszystkiem,
Co mię spotkało. Brat twój, żona twoja,
Walczyli ze mną; ich zawiści ku mnie
Tyś był przyczyną, ty wojennem hasłem.

Antoniusz. Sam siebie chcesz uwodzić: brat mój nigdy
O los mój się nie troszczył, znam go dobrze;
I mam świadectwo stu przyjaciół wiernych,
Co z tobą broń podnieśli. Czy nie raczej
Chciał wydziedziczyć z władzy mię i ciebie?
I wojnę toczył przeciw mej prawości,
Wiążącej mię z narodem? Listy moje
To ci dowiodły. Jeśli chcesz niezgody,
Nie braknie ci pozorów do zaczepki,
Lecz nie tej treści.

Cezar. Wielbisz się, twą winę
Składając na mój sąd; obrona taka
Tem silniej cię potępia.
Antoniusz. O, bynajmniej.
Wiem, że nie jesteś w stanie, choć wszechwładny,
Tej prawdzie przeczyć, że ja, twój zastępca,
Twój wspólnik w sprawie przeciw nam podjętej,
Nie mogłem chętnie patrzeć na rozruchy,
Mój własny mir burzące. Co do Fulwii,
Radbym ci sprawić z duchem jej małżonkę:
Część trzecia świata lejcom twym posłuszna,
Ujeździsz ją, lecz taką żonę nigdy.
Enobarbus. Bodaj nam dostać żonki, w tym zakroju,
By każdy dwójką stanąć mógł do boju!
Antoniusz. Nieposkromione żądze jej, Cezarze,
(Przy pewnej przebiegłości) a wynikłe
Stąd nieporządki, z żalem to wyznaję,
Twój spokój zakłóciły, lecz nie moja
W tem wina.
Cezar. Wszak cię listy moje doszły,
Gdyś w Aleksandryi hulał; do kieszeni
Schowałeś je starannie, i z przekąsem
Pozbyłeś się posłańca.
Antoniusz. Lecz, Cezarze,
Znienacka mi się zjawił, przed wezwaniem,
I gdy, trzech króli goszcząc, już nie byłem,
Czem zwykle jestem z rana; lecz nazajutrz
Odpowiedź dostał, co znaczyło tyle,
Co przeprosiny. Niechże ten pachołek
Nie waśni nas; a jeśli są zwaśnienia,
Wykreślim go z rachunku.
Cezar. Sam zerwałeś
Złożoną mi przysięgę, o co nigdy
Oskarżyć mię nie zdołasz.
Lepid. To zbyt ostro.
Antoniusz. Lepidzie, pozwól gderać mu do woli;
Mnie świętszym jeszcze honor, niż przysięga,
I nigdy go nie splamię. Mów, Cezarze;
Cóżem ci przysiągł?
Cezar. Pomoc, broń i ramię
Poświęcić mi w potrzebie; jam zawołał,
A tyś odmówił.
Antoniusz. Lub zaniedbał raczej;

I to w zjadliwych tych godzinach, kiedy
Sam siebie nie posiadam. Lecz niebawem
Nagrodzę ci tę stratę; prawość moja
I męstwo chodzą w parze; to bez tego
Jest dla mnie niczem. Świadczę więc, że Fulwia,
By ściągnąć mię z Egiptu, wojnę wszczęła;
Za co ja sam, bezwiedna jej przyczyna,
Przepraszam cię, o ile cześć żołnierza
Na słowie tem nie traci.

Lepid. To szlachetnie.

Mecenas. Jak Lepid radził, już przestańcie jątrzyć
Wzajemne krzywdy płonnem ich wspomnieniem,
By tylko myśleć o potrzebie Rzymu
Nad wszystko wyższej.

Lepid. Prócz nad Mecenasa.

Enobarbus. Lub też na krótki czas pożyczcie sobie
Wzajemną przyjaźń; na Pompeja grobie
Dług odbierzecie, by znów bójkę zwodzić,
Aż nowy Pompej przyjdzie was pogodzić.

Antoniusz. Tyś tylko żołnierz, zbyt nadrabiasz głową.

Enobarbus. Już milczę, prawda musi być niemową.

Antoniusz. Tak zacne grono krzywdzisz tym wyrazem.

Enobarbus. Upadam do nóg, najkorniejszym głazem.

Cezar. Mnie więcej treść niż układ się podoba
Słów Domicyusza; radbym mieć nadzieję,
Byśmy tak różni myślą i zwyczajem
Zawarli trwałą zgodę. Jest li przecież
Niezłomny łańcuch związać nas mogący,
Wyszukam go na świecie, lub za światem.

Agryppa. O głos, Cezarze...

Cezar. Mów, Agryppo.

Agryppa. Marek
Antoniusz wie, że siostrę masz po matce,
Oktawię piękną; tobie zaś wiadomo,
Że on dziś wdowcem.

Cezar. Dość, bo Kleopatra
Niechże to zwietrzy, będziesz miał za swoje,
Żeś nierozważnie radził.

Antoniusz. Jam bezżenny:
Daj mi wysłuchać, co Agryppa mówi.

Agryppa. By między wami zgody cześć ustalić,
Miłością bratnią dwoje serc rozpalić
I wiecznie związać, niech Antoniusz pojmie

Cezara siostrę; ona, za rękojmię
Trwałego szczęścia, w nim dostanie męża,
Którego cnoty, godność, moc oręża
Jak słońce świecą. Przez ten związek wszelkie
Drobniejsze zwady, dziś na pozór wielkie,
I wielkie trwogi z drobnych wad wynikłe,
Do szczętu giną; w kłam się prawdy zwykłe,
Błąd w prawdę zmienia; miłość jej dla obu
Strażnicą waszej staje się do grobu,
I wszystkich dla was. Com powiedział, ściśle
To raczcie spełnić, gdyż to po namyśle
Sumiennie rzekłem.

Antoniusz. Cezar niech odpowie.

Cezar. Antoniusz pierwej zdanie swe otworzy
O tem, co słyszał.

Antoniusz. Jaką moc Agryppa
Posiada, gdybym odrzekł: »Niech tak będzie«,
By wniosek stał się czynem?

Agryppa. Moc Cezara,
Wpływ bratni na Oktawię.

Antoniusz. Ani myślę
Śnić o przeszkodzie w tym zamiarze błogim,
Tak dla mnie chlubnym! — Podaj mi prawicę:
Dokonaj czyn twej łaski, od tej chwili
Braterskie czucia niech sercami rządzą,
I światu szczęście wróżą!

Cezar. Weź tę rękę.
Z nią siostrę ci oddaję, którą kocham
Jak żaden brat przede mną: niechaj żyje
Łącznikiem serc i krajów, i niech nigdy
Nasz węzeł się nie skruszy!

Lepid. Daj nam, Panie.

Antoniusz. Nie chciałem podnieść miecza na Pompeja;
Bo miewał dla mnie przed niedawnym czasem
Szczególne względy. Prześlę mu podzięki,
Bym się nie zdawał płochym lub nieludzkim;
I wręcz mu powiem: broń się.

Lepid. Czas upływa:
Musim wytropić świeży ślad Pompeja,
Inaczej nas wytropi.

Antoniusz. Gdzie ma flotę?

Cezar. W zatoce pod Mizeną.

Antoniusz. Jego siły
Na lądzie?
Cezar. Już przeważne i rosnące;
Na morzu on Cezarem.
Antoniusz. Tak wieść niesie.
Radbym mu zajrzeć w oczy! Więc do czynu!
Lecz nim oręże chwycim, niech się spełni
To, cośmy tu zaczęli.
Cezar. Z całej duszy.
Oktawię racz odwiedzić; u mej matki
Sam będę twym zwiastunem.
Antoniusz. Wszak na świadki
Nasz Lepid stanie?
Lepid. I na wszelkie drużby;
Śmierć mię nie wstrzyma od tak miłej służby.
(Odgłos trąb. Cezar, Antoniusz i Lepid wychodzą).
Mecenas. A, witaj nam, serdeczny przyjacielu!
Enobarbus. Cny Mecenasie, ty najmędrszy z wielu! —
Wymowny nasz Agryppo, dziś i zawsze!
Mecenas. Z Egiptu gwiazdy świecą nam łaskawsze.
Dziś lepiej tuszyć o przyszłości możem.
Jak tam służyło zdrowie poza morzem?
Enobarbus. O, jak najświetniej; spaliśmy dzień cały,
A noc puharów dźwięki nam skracały.
Mecenas. Ośm dzików na śniadanie dla dwunastu;
Czy może być?
Enobarbus. Tak jest; cześć temu miastu
I tej królowej! lecz to sen, co dalsze:
Tam były uczty większe i wspanialsze!
Mecenas. To musi być królowa, jakich mało,
Cud, jednem słowem.
Enobarbus. Słowo nie skłamało;
W jej sieć Antoniusz wpadł poczwórnym biegiem,
Gdy się spotkali nad Cydnusu brzegiem.
Agryppa. Tam się zjawiła, jak posłańcy gwarzą,
W bogini stroju.
Enobarbus. I z bogini twarzą.
Siedziała w łodzi; perły i klejnoty
Jej tron zdobiły, przód był szczerozłoty;
Z purpury żagle, woń ich tak podniosła,
Że wiatr aż omdlał; srebrny maszt i wiosła,
Bijące w miarę przy stu fletni śpiewie.
Dotknięta fala, jak w miłosnym gniewie

Za łodzią goniąc, z lekka ją kołysze.
Co do niej samej, tego nie opiszę:
Leżąca pod namiotem w pół korabiu,
(Złotogłów lity, jasne tło z jedwabiu)
Kwiat sypie w kąpiel, gdzie się słońce płuka,
Piękniejsza od Wenery, w której sztuka
Przewyższa wdzięk przyrody; u jej boku,
Z dołkami w licach i z uśmiechem w oku,
Swawolnych dziatek pląsa rój wiosenny
Z wachlarzem pawim w ręku; wiatr wpółsenny,
Skroń ich całując pod różanym wieńcem,
Ubarwia żywszym gładką twarz rumieńcem
I chłodzi ją naprzemian.

Agryppa. To ponęta
Dla Antoniusza!

Enobarbus. Śliczne jej dziewczęta,
Jak nimfy wodne, lub jak Nereidy,
Z wlepionym wzrokiem w oczy swej Tetydy,
Skłonieniem jej się wdzięczą; tam, przy sterze,
Syrena rządzi; jak łabędzie pierze
Podnosi żagle, zwalnia lub przyśpiesza
Bieg złotej łodzi. Lud i miejska rzesza
Zalewa brzegi, gdzie w dziewiczem gronie
Jej syn ją wita. W rynku, sam na tronie,
Nasz wódz westchnienia śle na cztery wiatry;
Co też-by rade umknąć do Kleopatry,
Opróżnić przestwór, by się jej przyglądać.

Agryppa. Szczęśliwy Egipt! niema już co żądać.

Enobarbus. Wylądowano; gońca wódz wyprawia,
Zaprasza na wieczerzę; ta odmawia:
»Przystojniej będzie, gdy nasz gość wspaniały
Wprzód nas odwiedzi«. Ten, w zalotach śmiały,
Choć »nie« płci pięknej nigdy nie powiada,
Sześćkroć zgolony, z nią do stołu siada;
Swem sercem płaci to, co zjadł oczyma,
I wstaje głodny.

Agryppa. Więcej wnet otrzyma.
Tak Juliusz Cezar, w dniu gdy sieją zboże,
Zdobywał mieczem tej niebianki łoże;
Miecz zorał, sierp wyprzątnął.

Mecenas. Cezaryona.

Enobarbus. Raz tu przebiegła skoczkiem, jak szalona,
Czterdzieści kroków; brakło jej oddechu.

Coś chciała mówić, wśród omdlenia, śmiechu,
Jej śmiech był czarem, a jej mdłość potęgą.
Mecenas. Wódz ją zapomni.
Enobarbus. Nigdy; pod przysięgą.
Czas jej nie dotknie, zwyczaj żądz nie spłoszy:
Jej rozmaitość wzmacnia wdzięk rozkoszy.
Kobiety zwykle tępią smak przesytem,
Ta coraz nowym rzeźwi go zachwytem:
Powszednia słabość tak ją czyni piękną,
Że, błogosławiąc, aż kapłani miękną,
Gdy zgadną, że cierpiąca.
Mecenas. Jeśli cnota,
Rozwaga, skromność lepsze, niż pieszczota
Egipskiej wróżki, wszystko to przedstawia
W najżywszym blasku wiosny swej Oktawia.
Agryppa. Rycerzu dzielny, niech cię w dom podejmę,
Tyś moim gościem.
Enobarbus. Dzięki wam uprzejme.
(Wychodzą).

SCENA III.

Tamże. Pokój w domu Cezara.

(Cezar, Antoniusz, Oktawia między nimi, służba).

Antoniusz. Świat, moje rządy, z ramion twych łańcuchem
Zbyt często mię rozłączą.
Oktawia. Dniem i nocą
Na klęczkach będę błagać o twe szczęście
Domowych bogów.
Antoniusz. Żegnam cię, Cezarze.
Oktawio, nie wierz, co świat o mnie mówi:
Nie zawszem był, czem jestem, lecz wzór cnoty
Mam w twej osobie. Dobranoc mej pani,
Do jutra, bracie.
Cezar. Żegnam.
(Wychodzą Cezar i Oktawia).
Antoniusz. Hej, wróżbito!
(Wieszcz wchodzi).
Czy radbyś być w Egipcie?
Wieszcz. Antoniuszu,
Bodajbym nie był tu zawitał z tobą!

Antoniusz. Jak to rozumiesz?
Wieszcz. Przyszłość ci odpowie,
Lecz innym głosem: wracaj, skąd przybyłeś.
Antoniusz. Co wyżej stanie, los mój czy Cezara?
Wieszcz. Cezara. O! nie zbliżaj się do niego.
Duch opiekuńczy, co nad tobą czuwa,
Jest śmiałym, wzniosłym i niezwyciężonym,
Gdzie nie jest duch Cezara; gdy się złączą,
Twój drży, blednieje, gaśnie: ja ci radzę
Pół światem się rozdzielić.
Antoniusz. Nie mów tego.
Wieszcz. Nikomu, nigdy, prócz samemu tobie.
Gdy gracie z sobą, tak mu szczęście służy,
Żeś pewien przegrać, choć przy wyższej stawce;
On zbije cię po ciemku: w jego świetle
Twój promień znika. Mówię ci raz jeszcze,
Twój duch się trwoży przed Cezara duchem,
Gdy zdala, znów mężnieje.
Antoniusz. Idź do licha!
Wentydyuszowi powiedz, że go czekam.
(Wieszcz wychodzi).
Na Partów ruszy. — Gusła czy przypadek,
Powiedział prawdę: los mu wiecznie sprzyja;
I w każdej grze, rachuby moje pełzną
Przed jego szczęściem; rzucam kość, wygrywa;
Koguty jego wciąż dławiły moje,
Gdy zakład stał na równi; a przepiórki
Nad memi się znęcały. Do Egiptu:
I choć przyjąłem ślub dla zgody państwa,
(Wentydyusz wchodzi).
Mój duch swobodny wstydzi się poddaństwa.
Na Partów, bracie: żagiel dziś rozwiniesz;
Krassusa śladem, pomścisz go, lub zginiesz.

SCENA IV.

Tamże. Ulica.

(Lepid, Mecenas i Agryppa).

Lepid. Nie trudźcie się już dalej, bardzo proszę,
Przyśpieszcie raczej odjazd.
Agryppa. Mąż jej, skoro
Z Oktawią się rozłączy, wnet wyruszym.

Lepid. Aż obaj się zjawicie w stroju Marsa,
Tak wam do twarzy, żegnam.
Mecenas. Jak miarkuję
Z długości tej przeprawy, pod Mizeną
My pierwsi staniem.
Lepid. Pochód wasz jest krótszy;
Mój jest półkolem, więc dwa dni zyskacie.
Bywajcie zdrowi.
Mecenas i Agryppa. Szczęść Minerwo, bracie.
(Wychodzą).

SCENA V.

W Aleksandryi. U Kleopatry.

(Kleopatra, Charmian, Iras i Aleksas).

Kleopatra. Muzyki, Mardyan! śpiew to pokarm cienki
Tych, co miłości łakną.
Służące. Hej, piosenki!
(Mardyan wchodzi).
Kleopatra. Nie, co innego; Charmian, do kręgielni.
Charmian. Mnie ramię boli, są tu gracze dzielni,
Naprzykład Mardyan.
Kleopatra. Grać z eunuchem jedno
Co grać z kobietą. — Chcesz mię bawić biedną?
Mardyan. Chcę, bylem zdołał.
Kleopatra. Mniejsza o twe chęci.
Gdy w grze swej aktor da mi znak pamięci,
Niezdolność mu przebaczam. Już nie trzeba. —
Do rzeki, Charmian! Tam, w odblasku nieba,
Przy dźwięku lutni, chcę zanurzać wędę
Na złote płocie; kłuć haczykiem będę
Ich ślizkie skrzela, i przy każdej rybie
Zdobytej, myśląc, że kochanka zdybię,
Wyrzeknę: Znów cię trzymam!
Charmian. Śmiech był tani,
Gdy łowiąc z nim o zakład, nurek pani
Soloną rybę przypiął mu do wędki,
A on wyciągnął.
Kleopatra. Gdzież ten czas tak prędki,
Te dni przymówek, aż w nim gniew zapłonął;
Bezsenne noce śmiechu, aż ochłonął:

Gdy podciętego, z ranną mgłą jutrzenki,
Składałam w łoże, ścieląc nań sukienki;
A strojąc się, jak Pallas, w ubiór męski,
I z pod Filippi jego miecz zwycięski.
(Posłaniec wchodzi).
O! z Włoch zapewne? — Siej twe wieści płodne
W to wdowie ucho, już oddawna głodne.
Posłaniec. Królowo...
Kleopatra. Co! Antoniusz mój nie żyje?
Ta wieść, nikczemny, panią twą zabije;
Lecz powiedz: zdrów i wolny, będę szczodrą,
I skłonisz usta na tę żyłkę modrą,
Przy tym pierścieniu na mej ręce, którą
Całował Herod, klęcząc pod purpurą.
Posłaniec. Co do pierwszego, zdrów.
Kleopatra. Masz więcej złota.
Lecz słuchaj, często głosi nam hołota,
Że zmarli zdrowi: jeśli tam chcesz tropić,
To złoto, co ci daję, każę stopić,
I wlać do gardła.
Posłaniec. Pani...
Kleopatra. Znasz twą służbę,
Więc mów; na twarzy masz niedobrą wróżbę.
Jeżeli zdrów, — skąd szpetne te pozory
Dla wieści tak nadobnej! jeśli chory,
Zjaw się jak jędza z wężów ćmą na skroni,
Nie z głową ludzką.
Posłaniec. Niech mię Izys chroni!
Kleopatra. Ochotę mam cię wybić, nim uciekniesz:
Lecz zdrów i wolny, jeśli to wyrzekniesz,
Cezara przyjacielem, nie zaś jeńcem,
Obsypię cię perłami, złotym wieńcem
Włos twój ozdobię.
Posłaniec. Zdrów jest.
Kleopatra. To nie długo.
Posłaniec. Z Cezarem w zgodzie.
Kleopatra. Tyś uczciwym sługą.
Posłaniec. W przyjaźni większej żyją, niż poddani.
Kleopatra. Z mej łaski się wzbogacisz.
Posłaniec. Przecież, pani...
Kleopatra. Nie lubię tego; nie wiesz sam, co pleciesz:
Początek lepszy; wstydź się za to »przecież«!
To »przecież« to jak strażnik, co wygrzebie

Złoczyńcę z pod pręgierza. Proszę ciebie,
Zbierz we dwa słowa zapas twej powieści,
Złe razem z dobrem. Cezar z nim się pieści;
On zdrów, powiadasz; i dodajesz: wolny.
Posłaniec. Już wolnym nie jest; tegom rzec nie zdolny,
Bo związał się z Oktawią.
Kleopatra. W jakiej sprawie?
Posłaniec. W tej, skąd się rodzim.
Kleopatra. Żonę ma, Oktawię?
Posłaniec. Tak jest.
Kleopatra. Patrz, Charmian, bladość mię powlekła.
Niech wszystkie zmory porwą cię do piekła!
(Bije go i rzuca o ziemię).
Posłaniec. Ach, zmiłuj się!
Kleopatra. Co mówisz? Masz, ty trupie.
(Znowu go uderza).
Precz stąd, wisielcze! oczy ci wyłupię,
O ziemię rzucę, włos ci każę zgolić,
(Targa go za włosy).
Oćwiczyć drutem, rozciąć i nasolić
W kipiącym occie.
Posłaniec. Pani, jam niewinny,
Jam doniósł tylko, ślub im dał kto inny.
Kleopatra. Mów, że tak nie jest, dam ci z mej potęgi
Udzielny kraj, majątek, a twe cięgi
Wystarczą za to, żeś mię zwiódł nikczemnie;
Obdarzę cię tem wszystkiem, coś ode mnie
Wyżebrać pragnął.
Posłaniec. On jest...
Kleopatra. Co? ja czekam.
Posłaniec. Żonaty.
Kleopatra. Zginiesz, łotrze!
(Dobywa sztylet).
Posłaniec. Nóż! uciekam.
(Wybiega).
Charmian. Łaskawa pani, przebacz, to ciemięga.
Kleopatra. Są więksi głupcy, których grom dosięga.
Niech Egipt Nil zaleje; niech wyrzuci
Rój wściekłych gadzin! — Wołać go, niech wróci:
Gryźć go nie będę, choć mam w piersi żmiję.
Charmian. On nie śmie, pani.
Kleopatra. Ja go nie zabiję.
Niestarta wyjdzie na mej dłoni plama,

Gdy pastwiąc się nad niższym, ona sama
Mnie samej zawiniła. — Zbliż się do mnie.
(Posłaniec wraca).
A widzisz, jak to wstrętnie i nieskromnie
Złe wieści nosić. Daj języków tysiąc
Pomyślnym; innych możesz się wyprzysiądz,
Aż same się rozgłoszą.
Posłaniec. Jam powiedział
Rzetelną prawdę.
Kleopatra. Już dozgonny przedział;
O nieba! — Mówże, to mię już nie zrani,
Gdy mi powtórzysz: Tak jest.
Posłaniec. Tak jest, pani.
Kleopatra. Niech ziemia cię pochłonie! więc obstajesz
Przy swojem? zdrajco, ty mi serce krajesz!
Posłaniec. Czy będę kłamał?
Kleopatra. Zmyślaj, kręć obłudnie,
A pół Egiptu niech się zmieni w studnię
Dla krokodylów. Za drzwi z tym potworem!
Choćbyś miał twarz Narcyza, ty upiorem
Mniebyś się zdawał. Mów, gdzie Fulwii wdowiec?
Posłaniec. Niech pani się zlituje.
Kleopatra. Nie, odpowiedz!
Posłaniec. Ach, wybacz pani, nie chcę jej obrazić.
Jej rozkaz pełniąc, mamże się narazić
Na pewną śmierć? On jest Oktawii mężem.
Kleopatra. Bodajbyś przepadł, lub stąd uciekł wężem,
Jeśli to prawda! Czy na pewne głosisz?
Ten towar, który z Rzymu mi przynosisz,
Weź go na plecy: dziś nie jestem hojną,
Niech ci kark zgniecie.
(Posłaniec wychodzi).
Charmian. Pani, bądź spokojną.
Kleopatra. Czcząc Antoniusza, krzywdzę cześć Cezara.
Charmian. I nie raz pierwszy.
Kleopatra. To mój błąd i kara.
Odprowadź mię. O Charmian! trochę słońca!
To nic. Aleksas, idź i spytaj gońca
O wiek Oktawii, jaka twarz i oczy,
A nie zapomnij barwę jej warkoczy:
Co powie, zaraz donieś.
(Aleksas wychodzi).
Niech go stracę

Na wieki! — gdzie tam — życiem to przypłacę!
Bo z jednej strony ma Gorgony postać,
A z drugiej Marsa.
(Do Mardyana).
Masz mi jeszcze dostać
Wiadomość o jej wzroście. — Już nie szlocham,
Spokojna jestem. – Charmian, ja cię kocham.
(Wychodzą).

SCENA VI.

W pobliżu Mizeny.

(Odgłos trąb. Z jednej strony wchodzą Pompejusz i Menas z trębaczem i kotłami, z drugiej Cezar, Lepid, Antoniusz, Enobarbus i Mecenas z zastępem żołnierzy).

Pompejusz. Mam twoich zakładników, ty masz moich;
Rozmówim się przed bitwą.
Cezar. Bardzo słusznie,
Że słowa wprzód zamienim; w tymże celu
Wysłałem ci na piśmie, co żądamy.
Jeżeliś już rozważył, radbym wiedzieć,
Czym zdołał miecz twój wstrzymać od napaści,
Sycylii wrócić tę dorodną dziatwę,
Co zginie tu dla ciebie.
Pompejusz. Więc oświadczam
Przed wami, łączną ziemi tej starszyzną,
Przed zastępcami bogów, — iż nie widzę,
Skąd ojciec mój by nie miał być pomszczonym,
Gdy odżył w synie swym, gdy Juliusz Cezar,
Co pod Filippi zjawił się zabójcy,
Was trzech miał za mścicieli. Czy nie wiecie,
Co knował blady Kasyusz? lub dlaczego
Przezacny Brutus, swych pradziadów godny,
Wśród sprzysiężonych dla wolności świętej
Kapitol krwią zrumienił? bo nie chcieli
W człowieku mieć tyrana. W tejże myśli
Zebrałem flotę, pod brzemieniem której
Pieniący nurt się wzdyma; z nią zamierzam
Ojcowską krzywdę pomścić na wzgardliwym
I nienawistnym Rzymie.
Cezar. Czyń do woli.

Antoniusz. Nie straszysz nas, Pompeju, twoją flotą;
Rozprawim się na lądzie i na morzu,
Znasz naszych sił przewagę.
Pompejusz. Tak, na lądzie,
Bo tam przeważasz mię ojcowskim domem:
Kukułki też dla siebie gniazd nie ścielą,
Więc możesz być mym gościem.
Lepid. Racz powiedzieć,
(Gdyż ustęp ten od rzeczy) co też myślisz
O wnioskach ci przesłanych.
Cezar. To pilniejsze.
Antoniusz. O łaskę cię nie prosim: rozważ tylko,
Gdzie większa korzyść.
Cezar. Na to cię naraża
Podjęta wojna.
Pompejusz. Wiem, że mi dajecie
Sycylię i Sardynię; ja zaś winien
Oczyścić brzeg z korsarzy, sypy zboża
Do Rzymu przewieźć; skutkiem tej ugody
Rozejdziem się z niewyszczerbionym mieczem
I z nieskalaną tarczą.
Cezar, Antoniusz i Lepid. To przyznajem.
Pompejusz. Więc wiedzcie, żem tu wszedł, przygotowany
Ten układ przyjąć; lecz mię znów Antoniusz
Rozjątrzył do żywego. — Choć utracę
Zasługę jej wspomnieniem, właśnie kiedy
Twój brat i żona wiedli bój z Cezarem,
W Sycylii, przy mnie, matka twa znalazła
Przytułek i gościnę.
Antoniusz. To pamiętam;
I gotów jestem złożyć ci podziękę,
Na jaką stać mię będzie.
Pompejusz. Daj prawicę.
Jam ani myślał, że się tu spotkamy.
Antoniusz. Egipskie łoża pulchne; dzięki tobie,
Żeś mię tu ściągnął wcześniej, niż pragnąłem,
Bom na tem zyskał.
Cezar. Odkąd cię widziałem,
Zmieniłeś się do szczętu.
Pompejusz. Nie wiem, jakie
Zła dola brózdy ryje na mej twarzy,
Lecz wiem, że serca nigdy nie dosięgnie,
By zrobić go jej sługą.

Lepid. Dniu szczęśliwy!
Pompejusz. I dla mnie też, Lepidzie. — Zatem, zgoda.
Umowę zaszłą pismo niech uświęci,
Pod wszystkich trzech pieczęcią.
Cezar. Co najrychlej.
Pompejusz. Losujmy przed rozjazdem, kto z nas pierwszy
Ugości swych przyjaciół.
Antoniusz. Ja, Pompeju.
Pompejusz. Gdy los wyrzecze, pierwszy lub ostatni,
Rozgłośną sławę twej egipskiej kuchni
Z nadmiarem sprawdzisz. Juliusz, jak wiadomo,
Na niej się roztył.
Antoniusz. Jak wiadomo tobie.
Pompejusz. Myśl mam uprzejmą.
Antoniusz. I uprzejme słowa.
Pompejusz. Prócz tego, jakiś tam Apollodorus
Dostawił mu...
Enobarbus. To prawda.
Pompejusz. Cóż dostawił?
Enobarbus. Królowę jakąś mu w sienniku sprawił.
Pompejusz. Tyś Enobarbus: jak tam szło, pod zbroją?
Enobarbus. Nieźle; tu lepiej; bo się jakoś roją
Aż cztery uczty.
Pompejusz. Daj mi rękę, zuchu:
Jam, walcząc z tobą, zazdrościł ci w duchu,
Lecz nigdym nie był twym nieprzyjacielem.
Enobarbus. Jam, walcząc z tobą, był twym wielbicielem,
Lecz od mych pochwał twa zasługa większa.
Pompejusz. Żołnierska szczerość twoją twarz upiększa.
Niech cię uścisnę. — Czy wam służyć mogę
Do mej galery?
Cezar, Antoniusz i Lepid. Racz pokazać drogę.
(Wychodzą Pompejusz, Cezar, Antoniusz, Lepid, żołnierze i służba).
Menas *(na str.)*. Twój ojciec krwiąby zmazał ich przekąsy.
Tę brodę gdzieś widziałem.
Enobarbus. Ja te wąsy.
Tyś był na statku.
Menas. Tyś był na wielbłądzie.
Enobarbus. Na morzu zuchem byłeś.
Menas. Ty na lądzie.
Enobarbus. Łysego chwalę, powiem, że nie garbus;
Choć świat pamięta, czem jest Enobarbus.

Menas. Czem sławny Menas.
Enobarbus. Lecz jest coś takiego,
Co nie podnosi sławy twej, kolego:
Żeś wielkim łotrem zawsze był na morzu.
Menas. A ty na lądzie.
Enobarbus. Na co kąkol w zbożu?
Kochajmy się: czy kto z Cezara kmotrów
Nie patrzy na nas? widziałby dwóch łotrów
Tulących się do serca.
Menas. Cobądź ramię
Przeskrobać może, męska twarz nie kłamie.
Enobarbus. Najszczersza z kobiet zawsze twarz ma zdradną.
Menas. I bez oszczerstwa; bo nam serca kradną.
Enobarbus. Przychodzim bić się z wami.
Menas. Wielka szkoda,
Że się na piciu skończy ta przygoda:
Bo Pompej zemstę do kielicha wrzuci.
Enobarbus. I w śmiech zamienia, czego płacz nie wróci.
Menas. To wielka prawda. Któżby się spodziewał:
Antoniusz w Rzymie? A twój list opiewał,
Że z Kleopatrą Fulwii ślub odnawia.
Enobarbus. Cezara siostra zowie się Oktawia.
Menas. Marcella wdowa jest powszechnie czczoną.
Enobarbus. Taż sama dziś jest Antoniusza żoną.
Menas. Co mówisz?
Enobarbus. Prawdę.
Menas. Więc związani wiecznie?
Enobarbus. Gdybym ich losy wróżyć miał koniecznie,
Takbym nie sądził.
Menas. Myślę, że te śluby
Mniej są miłości dziełem, niż rachuby.
Enobarbus. I ja tak myślę, lecz ten związek rychły,
Pod którym ich zwaśnienia dziś ucichły,
Rozerwie nowa i zawziętsza walka.
Oktawia skromna, czysta jak Westalka.
Menas. To skarb dla męża.
Enobarbus. Nasz Antoniusz Marek
Cokolwiek tańszy radby mieć podarek.
On wróci, skąd przyjechał, później nieco:
Oktawii łzy, westchnienia, znów rozniecą
Cezara zawiść; i, jak powiedziałem,
Co ich przyjaźni duszą dziś i ciałem,
O głębszy rozdział wkrótce ją przyprawi.

Antoniusz serce tam, gdzie ma, zostawi:
On tu z Cezara żeni się fortuną.
Menas. To przyszłość powie. Los, to złote runo:
Kto umie doń żeglować, ten dostanie.
Czy łaska wsiąść na okręt, kapitanie?
Mam trochę win z Egiptu.
Enobarbus. To rozkosze:
Tam nasze gardła się wprawiły.
Menas. Proszę.
(Wychodzą).

SCENA VII.

Na łodzi Pompejusza, pod przylądkiem Mizeny.

(Muzyka. Dwóch lub trzech służących zastawia ucztę).

Pierwszy służący. Niebawem przyjdą. Już niektórych pięty
Jak przestrzelone: Cezar sam podcięty,
Antoniusz kwaśny, Lepid za wesoły;
Niech wietrzyk dmuchnie, wszyscy trzej pod stoły.
Drugi służący. Choć sam przez grzeczność wypił ich [ostatki,
Gdy ci się gryźli, jak przebiegłe swatki,
On krzyczał: »basta«, godził ich nienawiść,
A siebie z kuflem.
Pierwszy służący. Lecz tem gorszą zawiść
Pomiędzy sobą szerzył a rozumem.
Drugi służący. Tak, by do wyższych liczył się przed tłumem.
Jabym już wolał trzcinę mieć, niż kosę
Lub halabardę, której nie podniosę.
Pierwszy służący. Być w pierwszym rzędzie, a nie umieć [władać,
To jak ślepemu chcieć o świetle gadać.
(Przygrywka. Wchodzą: Cezar, Antoniusz, Pompej, Lepid, Agryppa, Mecenas, Enobarbus, Menas i inni wodzowie).
Antoniusz *(do Cezara).* To ich obyczaj. Mierzą nurt Nilowy
Kreskami wzdłuż piramid: tej wskazówki
Wysokość, lub głębokość, im zwiastuje
Urodzaj lub drożyznę. Im Nil wyższy,
Tem lepsze plony: gdy opadnie, rolnik
Na bróżdę szlamu ziarno swe zasiewa,
I wnet ma żniwo.

Lepid. Macie tam szczególne
Gadziny.
Antoniusz. I zjadliwe.
Lepid. Wasze węże
Wasz muł egipski płodzi, przez działanie
Waszego słońca: tak i wasz krokodyl.
Antoniusz. Tak jest.
Pompejusz. Siadajmy, — wino i puhary!
Lepida zdrowie.
Lepid. Trochę mi gorąco,
Lecz się nie poddam.
Enobarbus. Aż pod stół cię wtrącą:
Tam prześpisz się wygodnie.
Lepid. Piramidy
Ptolemejowe, słyszę, są wspaniałe;
Tom słyszał, na uczciwość.
Menas *(na str.).* Jedno słowo,
Pompeju.
Pompejusz *(podobnież).* Mów do ucha: cóż takiego?
Menas. Wstań z krzesła, wodzu; proszę cię, zaklinam:
Choć jedno słowo.
Pompejusz. Czekaj. — Do Lepida!
Lepid. A wasz krokodyl, cóż to za stworzenie?
Antoniusz. Stworzone, jak się zdaje, przy stworzeniu:
Podobne całkiem wszerz i wzdłuż do siebie;
Porusza się według właściwych ruchów;
Tem żyje, co go żywi, a gdy zdechnie,
Przechodzi w inne.
Lepid. Teraz, co do maści.
Antoniusz. Maść jego własna.
Lepid. To ciekawa żmija.
Antoniusz. Tak jest; i łzy ma mokre.
Lepid. Być nie może!
Cezar. No, jeśli opis ten go zadowoli...
Antoniusz. Do niego Pompej wypił, i ja także;
Epikurejskie zwierzę nie ubodzie.
Pompejusz *(do Menasa na str.).* Bodajbyś wisiał! Bredzisz!
[Idź do kata!
Rób, co ci każę. — Dajcież mi tę czarę!
Menas *(podobnież).* Na pamięć moich zasług racz mię słuchać,
Wstań z krzesła, wodzu.
Pompejusz. Myślę, żeś oszalał.
Cóż? gadaj! *(Odchodzą na stronę).*

Menas. Zawszem rudło miał zwrócone
Ku twemu szczęściu.
Pompejusz. Wiernie mi służyłeś,
To prawda. I cóż potem?
Enobarbus. Tu mielizny.
Lepidzie, toniesz.
Menas. Na te stare blizny,
Czy chcesz być panem świata?
Pompejusz. Co ty mówisz?
Menas. Czy chcesz być panem świata? po raz drugi.
Pompejusz. A w jaki sposób?
Menas. Słuchaj, co ci powiem;
Choć mię ubogim sądzisz, ja twój sługa,
Ja światem cię obdarzę.
Pompejusz. Czyś pijany?
Menas. Mych ust, Pompeju, czara nie dotknęła.
Być możesz, jeśli śmiesz, Jowiszem ziemskim:
Cobądź ocean kąpie, dzień oświeca,
To twojem, jeśli zechcesz.
Pompejusz. A gdzie droga?
Menas. Ci trzej współrządcy trzech okręgów świata
Są na twej łodzi: pozwól zdjąć kotwicę;
A gdy odbijem, skoczyć im do gardła:
Świat nasz, i oni.
Pompejusz. Ach! to zrobić było,
Nic mi nie mówiąc. Dla mnie, to podłością,
Co wyszłoby dla ciebie na zasługę.
Wiedz, że nie korzyść mym honorem rządzi,
Lecz on korzyścią. Żałuj, że twe słowa
Zdradziły czyn twój, który bez tej zdrady
Zasłużyłby w przyszłości na pochwałę
A dziś wart jest nagany. Pij, nie gadaj.
Menas *(na str.)*. Czy tak? twej zguby nie chcę być ofiarą.
Kto szukał, a nie zbierze, gdy wypatrzy,
Ten nigdy nic nie znajdzie.
Pompejusz. Do Lepida!
Antoniusz. Ja go wyręczę. — Na ląd go wynieście.
Enobarbus. Do ciebie, Menas.
Menas. Lat swobodnych dwieście!
Pompejusz. Lej, aż przepełnisz.
Enobarbus. Patrz, to zuch, jak żyję!
(Wskazując na służącego, podnoszącego Lepida).
Podnosi trzecią świata część za szyję.

Menas. Więc trzecia część pijana, bodaj cały,
Koleje szczęścia prędzejby wracały.
Enobarbus. Nasmaruj duszkiem.
Pompejusz. Na egipskim dworze
Bywało lepiej.
Antoniusz. Tam jest Nil, tu morze. —
Zadzwońmy w czary! w krąg Cezara zdrowie.
Cezar. Co za potrzeba mózg zalewać w głowie,
By jeszcze był mętniejszym.
Antoniusz. To na czasie.
Cezar. Niech czas ci służy, w zbroi lub w atłasie;
Lecz jabym wolał pościć pół tygodnia,
Niż tyle wypić w jednym dniu: to zbrodnia.
Enobarbus. Cóż, naczelniku, póki śmiech pod wąsem,
Czy się nie pozna Rzym z egipskim pląsem?
Pompejusz. Prosimy.
Antoniusz. Zgoda, wszyscy dłoń do dłoni,
Aż nasze zmysły winna mgła zasłoni
I w Lety zdrój pogrąży.
Enobarbus. Dalej w szyki!
Niech w słuch i serce bije prąd muzyki;
Ja was ustawię: tej bachantki pienia
Niech każdy wtórzy zgodnie, bez wytchnienia,
I z całej piersi.
(Przygrywka. Enobarbus wszystkich w krąg ustawia).

ŚPIEW.

Chodź, monarcho winopłodny,
Chodź, Bachusie nasz urodny!
W twej beczułce szczęścia kwiat;
Niech twój liść nam skronie wieńczy,
Lej rozkoszy zdrój młodzieńczy,
Aż się w krąg potoczy świat!

Cezar. Cóż nam więcej trzeba?
Pompeju, dobrej nocy. — Niech was nieba
Snem błogim darzą. Żegnam. — Chodź, mój bracie,
Ważniejsze sprawy cierpią na tej stracie
Drogiego czasu. Ty, choć tęga głowa,
Jak winny szczep kulejesz; moje słowa
Lgną jakoś w ustach. Wpadliśmy w obłędy,
Zbyt pieszcząc się z puharem. Droga tędy.
Bywajcie zdrowi.

Pompejusz. Na brzeg was wysadzę.
Antoniusz. Najchętniej.
Pompejusz. W ręku masz ojcowską władzę
I dom ojcowski. — Lecz do czasu zgoda.
Na łódkę ze mną!
Enobarbus. Strzeżcie się, tam woda.
(Wychodzą Pompejusz, Cezar, Antoniusz i służba).
My do kajuty, Menas.
Menas. Do kielicha.
Hej! — kotły, trąby, fletnie, cóż u licha!
Niech Neptun słyszy, jak cenimy wielce
Tak wielkich ludzi: trąbcież, wy wisielce!
(Zatrąbka).
Enobarbus. Hej, hola! — Za Cezarem, w górę czapka!
Menas. Chodź, kapitanie! jest na spodzie kapka.
(Wychodzą).

AKT TRZECI.

SCENA I.

Płaszczyzna w Syryi.

(Wentydyusz wchodzi w zwycięskim orszaku; Syliusz, Rzymianie, rotmistrze i żołnierze w żałobnym pochodzie za zwłokami Pakorusa).

Wentydyusz. Uległaś, Partyo, mimo strzał zjadliwych,
Wszechwładzy rzymskiej; zgon Krassusa Marka
O pomstę wołał. — Syn twój, Orodesie,
Pakorus mężny, wśród zwycięskich szyków,
Żałobną cześć odbierze.
Syliusz. Wentydyuszu,
Nim ze krwi Partów twoja broń ostygnie,
Puść się za nimi; tropiąc ich przez Medyę,
Mezopotamię, zapędź aż w bezludne
Północne stepy: tak nasz wódz, Antoniusz,
Na tryumfalny rydwan cię podniesie
I laurem skroń uwieńczy.
Wentydyusz. O Syliuszu!
Jam swoje skończył: wódz podrzędny musi
Na mniejszym czynie przestać; bo pamiętaj,

Że lepiej nic nie zrobić, niż zbyt głośne
Pozyskać imię, gdy nasz pan w namiocie.
I on i Cezar więcej przez podwładnych
Niż siebie ziem zdobyli. Sosyusz, dzielny
Poprzednik mój, namiestnik jego w Syryi,
Za zbytni pośpiech w sławy swej rozwoju,
Skarany został wieczną już niełaską.
Kto więcej sprawi, niż naczelnik może,
Za wodza mu się stawia; chęć podbojów,
Żołnierska cnota, woli skryć przegraną,
Niż głosić zdobycz, która jej ubliża.
Dla Antoniusza więcejbym dokonał,
Lecz lękam się urazić; a zasługi
W urazieby przepadły.

Syliusz. Masz to w sobie,
Bez czego żołnierz ledwo się odróżnia
Od swego miecza. List mu przesłać miałeś?

Wentydyusz. Donoszę kornie, com imieniem jego,
Czarownem bojów hasłem, dłań uczynił;
Żem z wojskiem dobrze płatnem i orłami
Niezbitą Partów po dziś dzień konnicę
Za świat przepędził.

Syliusz. Gdzież on teraz bawi?

Wentydyusz. Do Aten dąży; gdzie, jak nam pozwolą
Z tak ciężkim plonem naszych wojsk obroty,
Zapewne się złączymy. — Naprzód, roty!
(Wychodzą).

SCENA II.

W Rzymie. Przedpokój w domu Cezara.

(Agryppa i Enobarbus).

Agryppa. Cóż! to przymierze już zawarte święcie?

Enobarbus. Dobili targu: Pompej na okręcie;
Oktawia płacze, klnąc na los okrutny,
Że musi Rzym opuścić; Cezar smutny;
A Lepid, skutkiem uczty, ma blednicę,
Jak Menas mówi.

Agryppa. Tak poważne lice!

Enobarbus. Tak bystry rozum! Jak on czci Cezara!

Agryppa. Lecz Antoniusza kocha co niemiara.
Enobarbus. Co, Cezar? bóstwo, Jowisz sam barłogiem.
Agryppa. A co Antoniusz? On Jowisza bogiem.
Enobarbus. Rzecz o Cezarze? Większych serc nie trzeba.
Agryppa. O Antoniuszu? Spadł feniksem z nieba.
Enobarbus. Chcesz wielbić go, mów: Cezar, i nic więcej.
Agryppa. Którego widzi, tego czci goręcej.
Enobarbus. Gdy razem idą, równa w nich zaleta.
O! serce, język, liczba, wieszcz, poeta,
Krwią, mową, pismem, śpiewem nie wyrażą,
Czem dlań Antoniusz. Przed Cezara twarzą,
Klękajcie ludy, korzcie się z modłami.
Agryppa. On dla nich chrząszczem...
Enobarbus. Oni dlań skrzydłami.
(Zatrąbka).
Agryppo, żegnam; trąbka na koń woła.
Agryppa. Niech świeże laury wam ozdobią czoła.
(Wchodzą Cezar, Antoniusz, Lepid i Oktawia).
Antoniusz. Już nie pozwolę dalej iść, Cezarze.
Cezar. Zabierasz mi połowę mnie samego;
Mnie w niej uszanuj. — Siostro, bądź w małżeństwie,
Czem jesteś w myśli bratniej, niech twe serce
Z nadmiarem sąd mój spełni. — Antoniuszu,
Niech ten wzór cnoty, wpośród nas stojący
Jak trwały cement naszych serc przymierza,
Nie stanie się taranem tej budowy,
By wyłom w niej otworzyć; lepiej było
Pozbawić się tej spójni, niż ją widzieć
Zmienności twej ofiarą.
Antoniusz. To krzywdząca
Nieufność.
Cezar. Rzekłem.
Antoniusz. Nie, Cezarze, nigdy,
Jakkolwiek o mnie sądzisz, nie dopuszczę,
Byś taką miał obawę. Niech bogowie
Do twych zamiarów rzymski lud nakłonią!
Tu się rozejdziem.
Cezar. Siostro, bądź mi zdrowa!
Niech los ci sprzyja wszędzie i we wszystkiem,
Zachowaj myśl pogodną! żegnam ciebie.
Oktawia. Najdroższy bracie!...
Cezar. Kwiecień w twem spojrzeniu;

To wiosna serca. Deszczyk maj zwiastuje.
Uspokój się.
Oktawia. Nasz dom odwiedzać raczysz,
I...
Cezar. Cóż, Oktawio?
Oktawia. Powiem ci z osobna.
Antoniusz. Jej serca głos nie słucha, ani serce
Nie śmie nim rządzić; to jak puch łabędzi,
Co, nad jeziorem lśniąc barwami tęczy,
I tu i tam się chwieje.
Enobarbus *(do Agryppy na str.)*. Cezar jęczy?
Agryppa. Mgłę ma na czole.
Enobarbus. Tuman się rozpłakał;
Co w koniu plamą, to w Cezarze zakał.
Agryppa. Wszak i Antoniusz nad Juliusza ciałem
Potwornym rykiem jęknął; sam widziałem
Płacz jego szczery przy Brutusa stosie.
Enobarbus. Miał wtedy katar tak zawzięty w nosie,
Że kwilił nad tem, co sam zbroił chętnie;
Wierz w to, aż łkaniem w uchu ci zatętnię.
Cezar. Otrzymasz bratni list o każdej dobie:
Czas nie prześcignie myśli mej ku tobie.
Antoniusz. Miłości mej potęgą cię przemogę,
Jak tym uściskiem.
Cezar. Dość już.
Antoniusz. Teraz, w drogę.
Lepid. Niech roje gwiazd jej podróż błogosławią!
Cezar. Bądź zdrów, bądź zdrowa.
(Całuje Oktawię).
Antoniusz. Czekam cię, Oktawio.
(Zatrąbka. Wychodzą).

SCENA III.

W Aleksandryi. Pokój w pałacu.

(Kleopatra, Charmian, Iras i Aleksas).

Kleopatra. Gdzie jest ten człowiek?
Aleksas. Drży w służbowej sieni.
Kleopatra. Sprowadzić go tu.
(Posłaniec wchodzi).
Aleksas. Najjaśniejsza ksieni,

Sam Herod nie śmie spojrzeć na królowę,
Gdy twarz jej gniewna.
Kleopatra. Ściąć Heroda głowę
I zaraz przynieść; lecz to chęci płoche,
Antoniusz ich nie spełni. — Zbliż się trochę.
Posłaniec. Co, najjaśniejsza pani...
Kleopatra. Wszak jej imię
Oktawia?
Posłaniec. Tak jest.
Kleopatra. Gdzieś ją widział?
Posłaniec. W Rzymie.
Patrzałem na nią, gdy w odzieniu szarem
Szła między Antoniuszem i Cezarem.
Kleopatra. Słuszniejsza jest ode mnie?
Posłaniec. Gdy urośnie.
Kleopatra. A jak też mówi? cicho, czy donośnie?
Posłaniec. Zazwyczaj cicho: modli się i przędzie.
Kleopatra. To nieźle: długo kochać jej nie będzie.
Charmian. O Izys! kochać? nie, to niepodobna.
Kleopatra. Tak myślę, Charmian: cichy głos i drobna! —
Czy ma wspaniały chód? przypomnij sobie,
Królowę przecież znałeś w mej osobie.
Posłaniec. Chód pełzający; stoi, lub się rusza,
To raczej piękny trup, niż żywa dusza;
Kamienny posąg, jak w Ramzesa krypcie.
Kleopatra. Czyś pewien?
Posłaniec. Lub się nie znam.
Charmian. Trzech w Egipcie
Nie znajdziesz takich znawców.
Kleopatra. Bez wątpienia
Ma smak wyborny. — Postać jak z kamienia. —
A co do wieku? To wyrachuj ściśle.
Posłaniec. Już wdową po Marcellu. Niech pomyślę. —
A więc około lat trzydziestu liczę.
Kleopatra. Czy słyszysz, Charmian, wdową! — Jej oblicze?
Okrągłe, czy podłużne?
Posłaniec. W pół okrągłe,
Jak księżyc w pełni. Lecz ma rysy ściągłe.
Kleopatra. Twarz bez wyrazu; to zapewne gąska.
Jej włos?
Posłaniec. Jasno brunatny; skroń tak wązka,
Jak liść wierzbiny.
Kleopatra. Zbieraj te pieniądze:

Źle cię przyjęłam; dziś cię lepiej sądzę.
Chcę znów do Rzymu cię wyprawić gońcem:
Lepszego posła nie znał nikt pod słońcem.
Na list poczekasz.
(Posłaniec wychodzi).
Charmian. Zda się człek porządny.
Kleopatra. Jest nim w istocie, Charmian, i rozsądny:
Żal mi, żem uszu trochę mu natarła.
Oktawia, to lichota.
Charmian. To pół karła.
Kleopatra. On wie, co jest królewskość, tam jej niema.
Charmian. Co jest królewskość, on? Co pani mniema,
On od dzieciństwa w jej usłudze karmion!
Kleopatra. Mam o coś jeszcze go zapytać, Charmian:
W czytelni mojej sama list mu wręczę.
Antoniusz do mnie wróci.
Charmian. Za to ręczę.
(Wychodzą).

SCENA IV.

W Atenach. Pokój w domu Antoniusza.

(Antoniusz i Oktawia).

Antoniusz. Nie tylko to, jak wiesz, Oktawio droga, —
To możnaby przebaczyć, i tysiące
Podobnych krzywd, — lecz wznawia bój z Pompejem;
Testament pisze, czyta go przed ludem.
On mnie słów skąpi; gdy konieczność każe
Należną czcią mi płacić, z chłodnym wstrętem
Przytłumia głos i lichą stopą mierzy.
Z najlepszej sposobności nie korzysta,
Lub chwali mię przez zęby.
Oktawia. O mój mężu!
Wszystkiemu nie wierz; lub, gdy wątpić trudno,
Nie tłómacz na złe. Jeśli to zerwanie
Nastąpić musi, jakiż los mię czeka,
Modlącą się codzień za obie strony.
Bogowie będą szydzić z mej modlitwy,
Gdy powiem: »Zbawcie męża i obrońcę!«
A zniszczę ją, wołając równie głośno:
»I brata zbawcie!« Brat czy mąż wygrywa,

Z modlitwą wraz przepadam bez ratunku
Pomiędzy tym i tamtym.
Antoniusz. Lecz, Oktawio,
Najszczersza miłość temu się należy,
Kto ją najwyżej ceni. Z mym honorem
Ja życie stracę; lepiej nie mieć męża,
Niż mieć go tak starganym. Skoro żądasz,
Stań między nami: przez ten czas, Oktawio,
Gotując się do walki, może wstrzymam
Wyzwanie twego brata. Śpiesz do Rzymu,
Tak ziszczą się twe chęci.
Oktawia. Dzięki tobie.
Niech boska wszechmoc wątłą mię uczyni
Rozjemcą waszym! On walczący z tobą,
To jakby świat się rozpadł; krocie trupów
Szczeliny nie zapełnią.
Antoniusz. Skoro wątku
Tej kłótni dojdziesz, zwróć twój gniew na sprawcę;
Gdyż naszych win tak zrównać nie podobna,
Byś równo nam sprzyjała. Do podróży
Przybocznych wybierz; nim na okręt wsiędziesz,
Cobądź zapragniesz, natychmiast mieć będziesz.
(Wychodzą).

SCENA V.

Inny pokój, tamże.

(Enobarbus i Eros).

Enobarbus. Właśniem cię szukał.
Eros. Dziwna wieść tu chodzi.
Enobarbus. No, cóż?
Eros. Znów Cezar na Lepida godzi.
Enobarbus. To stare. Kto zwycięża?
Eros. Kto szczęśliwszy.
W poprzednich walkach jego sił używszy,
A nie chcąc uznać za równego sobie,
Lepida wnętrze ptak Cezara dziobie;
I mimo to zarzuca mu otwarcie,
Że pismem prosił o Pompeja wsparcie;
Pod tym zarzutem wzięty do niewoli,
Tryumwir w kozie, aż go śmierć wyzwoli.

Enobarbus. Świat więc już tylko parę szczęk posiada;
Wrzuć między nie, cokolwiek wojna zjada,
Wciąż gryźć się będą. Gdzie Antoniusz, dziecię?
Eros. W ogrodzie się przechadza; rwie i gniecie,
Co wpadnie mu pod rękę. — »To ten głupiec,
To Lepid!« woła, radby żywcem upiec
Setnika, który śmiał Pompeja zgładzić.
Enobarbus. Już flotę zbroi.
Eros. Sam ją ma prowadzić.
Chce bić Cezara, Włochy, co się zmieści.
A, wzywa cię na radę, moje wieści
Odkładam więc na później.
Enobarbus. Znowu spory
O jakieś bzdurstwo. — Ludzie, to upiory.
(Wychodzą).

SCENA VI.

Pokój w domu Cezara.

(Cezar, Agryppa i Mecenas).

Cezar. W pogardzie Rzymu działa wciąż; co więcej,
Tak sprawił się niedawno w Aleksandryi.
W targowym rynku, na podstawie srebrnej,
W złocistych krzesłach, on i Kleopatra,
Zabrali miejsce, u ich stóp Cezaryon,
Juliusza synem błędnie przez nich zwany,
I cały ród nieprawy, bo wynikły
Z dziewięciu lat rozpusty. Swej kochance
Zostawił rząd Egiptu; nazwał panią
Udzielną i królową Cypru, Lidyi
I niższej Syryi.
Mecenas. Czy to wobec ludu?
Cezar. Na rynku, gdzie przeglądy wojsk odbywa.
Królami królów synów swych ogłosił:
Aleksandrowi dał Armenię, Partyę
I wielką Medyę, dział zaś Ptolemeja
Cylicya, Syrya i Fenicya. Ona
Zjawiła się w Izydy boskiej stroju,
Rozumiesz, w którym, jak donoszą gońce,
Już często ją widziano.

Mecenas. Daj Rzymowi
Znać o tem.
Agryppa. Rzym, znużony do ckliwości
Zuchwalstwem jego, już mu nie przychylny.
Cezar. Lud wie o wszystkiem; znowu dziś odbiera
Skarżące listy.
Agryppa. Kogoż on oskarża?
Cezar. Cezara; o to, żem z Sycylii rządów
Pompeja złupił, a nie przyznał jemu
Należnej części; dalej, żem nie zwrócił
Przysłanych mi okrętów; łaje, wreszcie,
Za odsunięcie od tryumwiratu
Lepida i zabranie mu przychodów
Na własny skarb.
Agryppa. To zarzut niegodziwy:
Bez odpowiedzi tego znieść nie można.
Cezar. Przez umyślnego już mu ją posłałem.
Tryumwir, rzekłem, za okrutne czyny,
Za nadużycie swej wysokiej władzy,
Na stratę jej zasłużył; co do wyspy,
Część jej odbierze, byle mi w Armenii
I w innych państwach, które sam owładnął,
Wyznaczył moją.
Mecenas. Na to nie przystanie.
Cezar. Tak też na jego zgadzam się żądanie.
(Wchodzi Oktawia z małym orszakiem).
Oktawia. Mój bracie, witaj! tobie cześć, Cezarze!
Cezar. Czym się spodziewał zwać cię odrzuconą!
Oktawia. Tak mię nie nazwiesz, panie, bez powodu.
Cezar. Cóż mogło zajść? Nie jak Cezara siostra
Powracasz do nas. Antoniusza żonie
Za przednią straż huf cały mieć przystało,
Rumaków rżenie winno jej przybycie
Zdaleka głosić, drzewa nad gościńcem
Żyjącą mieć osadę, tłum stęskniony
Przyśpieszać jej zjawienie; nawet ziemia
Wzruszona stopą licznych jej szeregów,
Aż w niebo prochem ciskać. Gdy tymczasem
Do Rzymu wchodzisz jak przekupka biedna,
Uprzedzasz z góry objaw mej miłości
Bez niego płonnej; radbym cię powitać
Na morzu i na lądzie, w każdym kroku
Hołd wyższy niosąc.

Oktawia. Panie zbyt łaskawy,
Przybywam tak nie z musu, lecz to czynię
Z mej własnej woli. Mąż mój, gdy zasłyszał,
Że zbroisz się na wojnę, raczył ze mną
Podzielić się tą wieścią i zezwolił
Na powrót mój do Rzymu.
Cezar. Zbyt skwapliwie,
Boś między nim stanęła i nierządem.
Oktawia. O, nie mów tego.
Cezar. Wiem już, co zamyśla,
Postępki jego z wiatrem mię dochodzą.
Gdzie teraz bawi?
Oktawia. Jest w Atenach, panie.
Cezar. Nie, siostro, tyś skrzywdzona; Kleopatra
Skinieniem go zwabiła; tej sprośnicy
On rząd swój oddał, i oboje wiodą
Pół świata na tę wojnę. Już zebrani
Król Libii Bochus; przy nim Archelaus,
Król Kapadocyi; jest król Paflagonii
Filadelf; dalej Tracyi król Abdallas;
Arabii Malchus i Judejski Herod,
Król Pontu, a Mitrydat Komageny;
Polemon i Amintas, ten król Medyi,
Ten Likaonii, że nie wspomnę wielu
Mniej znanych sprzymierzeńców.
Oktawia. O nieszczęsna,
Żem rozdzieliła serce na dwie części,
Tak wstrętne jedna drugiej!
Cezar. Ta ci wierna.
Twym listom zadość, długom się ociągał,
Aż wielkość twej zniewagi mię znagliła
Do przyśpieszenia zemsty. Bądź spokojna,
Otrzymasz ją zupełną; jakiekolwiek
Nad twojem szczęściem czas gromadzi burze,
Niech rzeczy pójdą bez przeszkody, torem
Przez los wytkniętym. Dziś cię Rzym pozdrawia;
Tyś droższą mi nad wszystko. Twoja krzywda
Przechodzi zakres myśli; a bogowie
Wzywają nas i wszystkich nam przyjaznych,
By słuszność ci wyrządzić. Twoja sprawa
Jest naszą sprawą.
Agryppa. I całego Rzymu.
Mecenas. Witamy cię, Oktawio. Co ma serce,

To wszystko ciebie kocha i poważa;
Antoniusz sam, ten cudzołożnik hardy,
W rozpuście swej zagrzęzły, cię odtrąca,
I rządy swe powierza zalotnicy,
Przeciwko nam wichrzącej.
Oktawia. Czy być może?
Cezar. Bądź o tem pewna. Zbrodni tej zbyt ostro
Nie możem skarcić. Chodź, najmilsza siostro.
(Wychodzą).

SCENA VII.

Obóz Antoniusza, nad przylądkiem Akcyum.

(Kleopatra i Enobarbus).

Kleopatra. Ja chcę się zemścić, zanim gniew mój zgaśnie.
Enobarbus. Lecz za co, za co, za co?
Kleopatra. Za to właśnie,
Żeś mię w obozie, przed wodzami kilku,
Szkodliwą mienił.
Enobarbus. Za to, za to tylko?
Kleopatra. Czy więcej trzeba? skądże, to mi dowiedź,
Nie wolno mi tu zostać?
Enobarbus *(na str.).* Mam odpowiedź:
Jeżeli z jazdą klaczy pułk przybędzie,
Na cóż rumaki? każdą klacz dosiędzie
Wierzchowiec z jeźdźcem.
Kleopatra. Śmieszysz mię; cóż potem?
Enobarbus. Okropnym dla nas będziesz tu kłopotem;
Nasz wódz nadwątli serce swe olbrzymie,
Czas, mózg i zdrowie. Już go łają w Rzymie
Za lekkomyślność; wojskiem, jak tam sądzą,
Rzezaniec Fotyn i kokoszki rządzą.
Kleopatra. Niech Rzym przepadnie! Niech języki zwiędną,
Co mnie szkalują, mnie, wśród was niezbędną!
Mnie, com powinna, z królów krwi królowa,
Dać przykład mężom. Dość już, ani słowa;
Ja wam dostoję.
Enobarbus. Wara z nią szermierzyć.
Otóż naczelnik.
(Antoniusz wchodzi z Kanidyuszem).
Antoniusz. Któżby śmiał uwierzyć,

Że pominąwszy Tarent i Brunduzyum,
Jońskiego morza rozciął już obszary,
I Toryn zabrał? — Wiesz o tem, kochana?
Kleopatra. Wiem, że pośpiechu nikt nie ceni więcej,
Niż opieszały.
Antoniusz. Przekąs niepośledni,
Bo najczujniejszym przystałby rycerzom,
W zgromieniu gnuśnych. — A więc, Kanidyuszu,
Spotkamy się na morzu.
Kleopatra. Gdzieżby lepiej?
Kanidyusz. Na morzu, czemu?
Antoniusz. Bo mię tam wyzywa.
Enobarbus. Wyzwanie twoje nieraz już odrzucił.
Kanidyusz. Gdyś chciał odnowić tę farsalską bitwę,
Gdzie Cezar zniósł Pompeja, on przeczuwał
Nierówną walkę, więc ustąpił śmiało;
Tak z nim dziś uczyń.
Enobarbus. Nędzne masz osady;
Majtkowie, to mulnicy lub żniwiarze,
Spędzeni pod naciskiem, gdy u niego
Są ci, co dawniej bili się z Pompejem.
Ich statki zwrotne, twoje są przysiadłe,
Bez hańby więc odrzucisz morską walkę,
Gdy stajesz mu na lądzie.
Antoniusz. Nie, na morzu.
Enobarbus. Przezacny wodzu, sam niweczysz przeto
Stanowczą wyższość, jaką masz na lądzie;
Rozdzielasz zastęp twój, złożony zwłaszcza
Z piechoty bitnej; tracisz bez użytku
Tak słynną twą świadomość; i pomijasz
Jedyną pewną drogę do zwycięstwa,
By wszystko rzucić na bezdenną szalę
Zwodniczych nurtów.
Antoniusz. Nie, na morzu sprawa.
Kleopatra. Sześćdziesiąt statków ja postawię w rzędzie.
Antoniusz. Spalimy nadmiar floty; co zostanie,
Z osadą pełną, pod przylądkiem Akcyum
Rzucimy na Cezara, po przegranej
(Posłaniec wchodzi).
Dopiero rzecz na lądzie. — Co mi niesiesz?
Posłaniec. Wieść była słuszną; Cezar jest w pobliżu;
A Toryn wzięty.
Antoniusz. Co, już? niepodobna;

I z całem wojskiem? — Niech Kanidyusz weźmie
Legionów dziewiętnaście i dwanaście
Tysięcy jazdy; my na statek z tobą.
(Wchodzi Skarus).
Dalej, Tetydo! — Skarus, zbliż się śmiało!
Skarus. Prześwietny wodzu, chroń się walki morskiej;
Nie wierz spróchniałym deskom. Masz w usłudze
Ten miecz, te moje blizny! Niech tam kaczki
Egipskie lub fenickie nurkiem płyną;
My zwykliśmy po ziemi, co nas płodzi,
Krok w krok za wrogiem stąpać.
Antoniusz. Precz! — Do łodzi!
(Wychodzą Antoniusz, Kleopatra i Enobarbus).
Skarus. Na Herkulesa, prawdę mu wyrzekłem.
Kanidyusz. Cóż z tego, jeśli prawda nim nie rządzi.
Nasz wódz jest wiedzion: wierzchem są kobiety,
A my na spodzie.
Skarus. Wszak legionów pieszych
I całej jazdy oddał wam dowództwo?
Kanidyusz. Oktawiusz Marek i Justejus drugi,
Publikola i Celius mają morze,
Ja wszystko, co na lądzie. Lot Cezara,
To jak lot orli.
Skarus. On był jeszcze w Rzymie,
A wojsko szło drobnymi oddziałami,
By zwiady zmylić.
Kanidyusz. Kto pod nim dowodzi?
Skarus. Jak słyszę, Taurus.
Kanidyusz. Z tym nie łatwa sprawa.
Posłaniec *(wchodząc).* Naczelnik prosi.
Kanidyusz. Sądnym dniem brzemienny,
Czas wszystko zmienia, chociaż sam niezmienny.
(Wychodzą).

SCENA VIII.

Równina w pobliżu Akcyum.

(Cezar, Taurus, rotmistrze i inni).

Cezar. Gdzie Taurus?
Taurus. Służę.
Cezar. Stój w odwodzie słupem,

Nie ruszaj stąd, aż wrócę z morskim łupem.
Masz na tej karcie treść rozkazu ścisłą:
Od jednej stawki wszystko dziś zawisło.
(Wychodzą. Wchodzą Antoniusz i Enobarbus).
Antoniusz. Ustawisz flotę pod przylądku brzegiem,
Ku ziemi wklęsłym łamiąc ją szeregiem;
Cezara łodzie stąd policzym snadnie,
I według tego natrzem, jak wypadnie. *(Wychodzą).*
(Wchodzą z jednej strony Kanidyusz z piechotą w głębi, z drugiej Taurus, namiestnik Cezara. Po ich wejściu, słychac wrzawę bitwy morskiej. Odgłos trąb i kotłów).
Enobarbus *(wracając).* Skończona rzecz! Wstyd oczy mi [wyjada.
Egipski prom naczelny, Antoniada,
W sześćdziesiąt żagli, zwraca ster i ginie.
Aż mi się ćmi.
Skarus *(wchodząc).* Bogowie i boginie,
Z Olimpu całym zborem!
Enobarbus. Cóż, u kata?
Skarus. Przegraliśmy najdroższy klejnot świata;
Za całus tracim w hańbie i ohydzie
Królestwa i prowincye.
Enobarbus. Jak tam idzie?
Skarus. Najlepiej dla Cezara, jakby piekło
Z nim się sprzysięgło. Niech tę szkapę wściekłą
Egipski trąd roztoczy! Ćma przeklęta!
Gdy los się z losem ważył, jak bliźnięta
Podobne sobie, nam się lepiej wiodło;
Jak w czerwcu krowę, coś ją tam ubodło,
Zwróciła ster i pierzchła.
Enobarbus. To widziałem:
Oślepłem prawie, patrząc, i musiałem
Aż oczy zmrużyć.
Skarus. Gdy ta sprośna mara
Zniknęła, wódz nasz, złudzeń jej ofiara,
Jak dziki kaczor, gdy go spłoszą sieci,
Wśród najzaciętszej walki, za nią leci.
Jeszczem nie widział tak szpetnego czynu:
Rozwaga, męstwo, wodzów cześć i gminu
Nie były tak splamione.
Enobarbus. Biada, biada!
Kanidyusz *(wchodząc).* Nasz los na morzu tchnieniem już [nie włada.

I tonie bez ratunku. Gdyby raczej
Wódz mię był słuchał, poszłoby inaczej:
O! dał nam wzór ucieczki swym przykładem,
Na wpół zwycięstwa.
Enobarbus. Tym idziecie śladem?
Więc bywaj zdrów.
Kanidyusz. My do Peloponezu
Żeglujem.
Skarus. Droga łatwa; z pod Efezu
Za wami zdążę.
Enobarbus. Więc bywajcie zdrowi;
Szczęśliwa droga.
Kanidyusz. Ja zdam Cezarowi
Legiony z jazdą, już mu się w niewolę
Oddało sześciu królów.
Enobarbus. Ja zaś wolę
Zwichniętej sprawie służyć, choć rozwaga
Tam zbiegów ciągnie, gdzie się szczęście wzmaga.
(Wychodzą).

SCENA IX.

W Aleksandryi. Pokój w pałacu.

(Antoniusz i służba).

Antoniusz. Słyszycie! ziemia wichrzy się pode mną,
Ze wstydu, że mię znosi. — Chodźcie bliżej,
Takem zapóźnił się żegludze życia,
Żem zbłądził od przystani. — Mam galerę
Ładowną złotem; weźcie ją, rozdzielcie
I zgódźcie się z Cezarem.
Słudzy. My? O, nigdy!
Antoniusz. Ja sam uciekłem, jam nauczył tchórzów,
Jak wrogom tył podawać. — Przyjaciele,
Odstąpcie mnie; wybrałem się w przeprawę,
Do której was nie trzeba; bądźcie zdrowi!
Mój skarb jest na zatoce, weźcie wszystko.
Przed tem, com kochał, dziś się płonić muszę:
Aż włos mój się buntuje; gdyż ten siwy
Czarnego lży za prędkość, czarny łaje
Siwemu za lenistwo. — Przed rozstaniem
Weźmiecie pismo do przyjaciół, które

Wstęp Rzymu wam otworzy. Bez wyrzutów
Lub odpowiedzi wstrętnych się rozejdziem;
Porzućcie tedy, kto się sam porzuca:
Uwłaszczam was tym skarbem i tą łodzią.
Zostawcie mię samego; jam bezwładny,
Rozkazać już nie mogę, więc was proszę:
Odejdźcie stąd. Pokrótce się zobaczym. *(Siada).*
(Wchodzą Eros, Iras i Charmian, prowadzące Kleopatrę).
Eros. Łaskawa pani, zbliż się doń z pociechą.
Iras. To on, królowo.
Charmian. Przystąp, cóż ci wzbrania?
Kleopatra. Pozwólcie, niech usiądę. O Junono!
Antoniusz. Nie, nie, nie, nie.
Eros. Racz spojrzeć.
Antoniusz. Tfu, to hańba!
Charmian. O pani...
Iras. O królowo!...
Eros. Naczelniku...
Antoniusz. Naczelnik, ja? — Gdy pod Filippi trzymał
Swój miecz jak istny tancerz, jam na odlew
Zwiędłego ściął Kasyusza; jam szlachetną
Brutusa krew wytoczył; on jedynie
Przez wodzów swych zwyciężał, bez żadnego
Poczucia wojny; teraz — o to mniejsza.
Kleopatra. Pomóżcie mi.
Eros. Królowa, Kleopatra.
Iras. Racz podejść trochę, przemów coś od serca:
On przygnębiony wstydem.
Kleopatra. O! nie mogę.
Eros. Przezacny wodzu, wstań, królowa idzie;
Jej skroń się słania, śmierć ją chwyci, jeśli
Nie wesprzesz jej otuchą.
Antoniusz. Nieuczciwie
Nazwisko me splamiłem.
Eros. To królowa.
Antoniusz. Gdzieś mię zawiodła, ty egipska wiedźmo?
Patrz, nie chcąc tobie w oczy pluć mym sromem,
Odwracam się i widzę poza sobą
To wszystko, com zniesławił.
Kleopatra. Przebacz, panie,
Trwożliwym żaglom; ani śnićbym mogła,
Że za mną zbiegniesz.
Antoniusz. Owszem, tyś wiedziała,

Że do twej łodzi serce to przykute
Pociągniesz tam, gdzie zechcesz; znałaś twoją
Przewagę nad mym duchem; tyś wiedziała,
Że mię skinieniem zmusisz do zdeptania
Rozkazu bogów.
Kleopatra. Przebacz!
Antoniusz. Dziś mi trzeba
Do niedorostka korne słać błagania,
W matactwach podłych czołgać się przed wrogiem,
Mnie, com półświatem trząsał dla rozrywki,
Niwecząc to, com stworzył. Tyś wiedziała,
Żem był zdobyczą twoją; że stępione
Płomieniem żądzy miecz ten i to ramię
We wszystkiem ci służyły.
Kleopatra. Przebacz, panie!
Antoniusz. Ni jednej łzy. O! jedna z nich przeważa,
Com zyskał lub utracił. Całus jeden
Opłaca mi świat cały. — Gdzie Eufroniusz,
Przewodnik dzieci? — Ołów mam na sercu.
Dać wina i wieczerzę! — O Fortuno,
Drwię z twoich ciosów, aż niebiosa runą.
(Wychodzą).

SCENA X.

Obóz Cezara w Egipcie.

(Cezar, Dolabella, Tyreusz i inni).

Cezar. Niech Antoniusza zjawi się posłaniec.
Czy znacie go?
Dolabella. To nauczyciel dziatek;
Snadź oskubany z pierza, gdy do ciebie
Tak liche piórko skrzydeł swych wysyła,
On, co miał ciżbę królów na rozkazy,
Zaledwie miesiąc temu.
(Wchodzi Eufroniusz).
Cezar. Chodź, mów śmiało.
Eufroniusz. Antoniusz, pan mój, śle mię do Cezara:
Mnie, com tak drobne miał przy nim znaczenie,
Co kropla rosy na mirtowym liściu
Przy oceanie.
Cezar. Dosyć słów. Do rzeczy.

Eufroniusz. Wszechwładnym panem cię wódz nasz po-
[zdrawia:
Chce żyć w Egipcie; w razie zaś odmowy
Swą prośbę ścieśnia, prosząc o to tylko,
By wolnym był oddychać między niebem
A ziemią, jako prosty mąż w Atenach;
Zaś Kleopatra, ufna twej opiece,
Poddaje się twej mocy, lecz uprasza
O Ptolemejów berło dla swych dzieci,
Od dziś dnia twych lenników.
Cezar. Co do niego,
Nie słucham nawet jego próśb. Królowej
Nie zbędzie na mych względach; byle tylko
Zausznik jej z Egiptu był wygnany,
Lub życie stracił; jeśli to wykona,
Jej chęć się spełni czynem. Gdzie Tyreusz?
Eufroniusz. Szczęść ci, Fortuno.
Cezar. Dać mu wolne przejście.
(Eufroniusz wychodzi. — Do Tyreusza).
Dla twej wymowy masz otwarte pole;
Odstręczyć masz królowę od wspólnika:
Nie szczędź obietnic; daj, co tylko zechce,
Co wreszcie sam wymyślisz. Płeć niewieścia
W najlepszej doli wątła, lecz w nieszczęściu
Westalka wiarę złamie. Bądź przezorny;
Wyznaczysz sam zapłatę za twe trudy,
Ja zaś uświęcę prawem.
Tyreusz. Do twej woli.
Cezar. Uważaj, jak on znosi swą przegraną,
Przez jakie czyny jego myśl objawia
Zamiary dalsze. Cezar cię pozdrawia.
(Wychodzą).

SCENA XI.

W Aleksandryi. Pokój w pałacu.

(Kleopatra, Enobarbus, Charmian i Iras).

Kleopatra. Co mamy począć?
Enobarbus. Dumać i umierać.
Kleopatra. Kto w tem winniejszy?
Enobarbus. Że się nie chcę spierać,

Więc on, Antoniusz, bo w nim żądza wściekła
Przemogła rozum. Czemu, gdyś uciekła
Z tej wielkiej walki, gdy się dwa zastępy
Straszyły wzajem jak zażarte sępy,
Zbiegł za twym śladem? Czy nie była świętsza
Powinność wodza nad zachcianki wnętrza?
I to w tej chwili, gdy się świat ze światem
O niego ścierał. To sromotą zatem
Niemniej jak zgubą, czepiać się twej flagi
W obliczu całej floty.

Kleopatra. O! zniewagi!

(Antoniusz wchodzi z Eufroniuszem).

Antoniusz. Czy taką dał odpowiedź?

Eufroniusz. Taką, panie.

Antoniusz. Jej samej względy, nam śmierć lub wygnanie.

Eufroniusz. Lub to lub tamto.

Antoniusz. Sprawę zdać jej trzeba.
Przed niedorostkiem rzuć tę siwą głowę,
On za to z górą chęci twe wypełni
Państwami Wschodu.

Kleopatra. Co, tę głowę twoją?

Antoniusz. Wróć do Cezara. Powiedz, że go zdobi
Młodzieńcza róża, której woń zwiastuje
Najrzadsze cnoty: skarb, legiony, statki,
To wszystko tchórz mieć może; a wodzowi
Bić się tak dobrze pod chłopięcia znakiem,
Jak pod Cezara; zatem go wyzywam,
Złożywszy pychę tych korzyści świetnych,
By zmierzył się z upadłym Antoniuszem;
Miecz z mieczem, oko w oko. Chodź, napiszę.

(Antoniusz wychodzi z Eufroniuszem).

Enobarbus. Tak, bardzo wierzę, iż zwycięzca możny
Wda się z szermierzem, jak ów drab narożny
Z podobnym sobie. — Snadź rozsądek ludzi
Z ich szczęściem złączon; mózg niedola studzi,
A blask zewnętrzny zwykł za sobą gubić
Wewnętrzną godność. Jakże mógł się chlubić,
By Cezar nadmiar swej potęgi raczył
Zlać z jego próżnią! — Wielki duch się spaczył
W tej wielkiej klęsce.

Służący *(wchodząc).* Od Cezara goniec.

Kleopatra. Bez prośby wstępnej? — To wielkości koniec.

Przed zwiędłą różą ten dziś węchu skąpi,
Co klęczał przed jej pączkiem. — Niech przystąpi.
Enobarbus *(na str.).* Uczciwość moja ze mną spór wytacza.
Bo wierność dla szaleńców przeistacza
W szaleństwo naszą wiarę; choć kto wiernie
Uprawia rolę, gdzie mu płacą ciernie,
Krajowi służąc po zdarzonej klęsce,
Zwycięzcom jego staje za zwycięzcę,
I w dziejach się uwiecznia.
(Tyreusz wchodzi).
Kleopatra. Cezar żąda?
Tyreusz. Z osobna powiem.
Kleopatra. Dwór na cię spogląda:
Mów śmiało.
Tyreusz. Czy przed Antoniusza dworem?
Enobarbus. On tylu ma przyjaciół, i z honorem,
Co Cezar szpiegów. Jeśli pan twój skłonny,
Wódz pójdzie doń z ochotą, i bezbronny;
My zaś gotowi, taka w nas ofiara,
Pójść za nim wszędzie, choćby do Cezara.
Tyreusz. Czy tak? Więc, pani, Cezar cię zaklina,
Byś na to jedno miała dziś baczenie,
Iż Cezar jest Cezarem.
Kleopatra. To rzecz jawna.
Tyreusz. On wie, żeś z Antoniuszem nie miłością
Związana, lecz bojaźnią.
Kleopatra. O!
Tyreusz. Więc blizny
Na twym honorze budzą w nim współczucie,
Bo skutkiem są przemocy.
Kleopatra. On jest bogiem,
On wie, co prawdą. Ta stęskniona dusza
Zdobyta, nie oddana.
Enobarbus *(na str.).* Antoniusza
Zapytam o to. — Wodzu, twe okręty
Tak skołatane, że najdroższe sprzęty
Spadają w morze. *(Wychodzi).*
Tyreusz. Czy mam przed Cezarem
Obwieścić, czego żądasz? On zachęca
Twą prośbę, by ją spełnić. Wielce pragnie,
Byś jego berło wzięła za podporę
Dla własnej doli; lecz rad mieć przeze mnie
Wiadomość, iż porzucasz Antoniusza

I chronisz się pod opiekuńcze skrzydło
Wszechwładcy świata.
Kleopatra. Jakże ci na imię?
Tyreusz. Tyreusz, pani.
Kleopatra. Mój wymowny gościu,
Zdaj Cezarowi to: iż przez zastępcę
Wszechwładną dłoń całuję; żem gotowa
Koronę złożyć klęcząc u stóp jego;
Że los Egiptu sam wszechmocnym głosem
Oznajmić raczy.
Tyreusz. Zamiar to szlachetny;
Gdy mądrość walczy z losem jej przeciwnym,
A tyle śmie, co może, żadna klęska
Jej nie dosięgnie. Niech mi będzie wolno
Dłoń ucałować.
Kleopatra. Juliusz, wzór Cezara,
Gdy miał na myśli zgarnąć z niej królestwo,
Przykładał usta do tej kornej dłoni,
Aż mdlał, całując.
(Wchodzą Antoniusz i Enobarbus).
Antoniusz. Cóż to, do pioruna!
Coś ty za jeden?
Tyreusz. Ja wypełniam ściśle,
Co mi przykazał ten, kto swej potęgi
Jest najgodniejszym.
Enobarbus. Ty dostaniesz cięgi.
Antoniusz. Tu, chodźcie! — A ty sępie! — Wy złoczyńcy!
Już mię odbiegli; dawniej, gdym zawołał,
Tłum królów do mnie pędził na wyścigi,
Chwytając w lot rozkazy. Czy słyszycie?
(Służący wchodzą).
Jam jest Antoniusz. Wziąć, oćwiczyć trutnia.
Enobarbus. Łatwiejsza z lwiątkiem, niż z lwem starym kłótnia,
Gdy ranny zwłaszcza.
Antoniusz. Piekło i niebiosa!
Zbić go. — Gdybym którego z tych dwudziestu
Wielmożnych sług Cezara widział kiedy
Tak śmiałym z ręką tej — jakże się zowie,
Ta dawniej Kleopatra? — Zbić go, chłopcy,
Aż jak łobuza twarz mu się wykrzywi
I łkać i skomleć będzie. Precz z tym łotrem.
Tyreusz. O Marku Antoniuszu...
Antoniusz. Ściąć rózgami,

I wrócić tu. — Cezara pełnomocnik
Odpowiedź weźmie.
(Wychodzą służący z Tyreuszem).
Zanim cię poznałem,
Już byłaś nawpół zwiędłą, ty niegodna!
Dziewicze łoże czym zostawił w Rzymie,
Czym wyrzekł się być ojcem prawych dzieci,
Z najświętszej żony, by mię ta zhańbiła,
Co mizdrzy się włóczęgom?
Kleopatra. Antoniuszu!...
Antoniusz. Wietrznicą zawsze byłaś i dziś jeszcze;
Lecz gdy w narowach stajem się niezgięci
(O nędzo!) Jowisz oczy nam zasklepia,
Sąd zdrowy tarza w brudzie i zniewala
Czcić własne błędy, szydząc z nas, gdy lecim
Na oślep w otchłań.
Kleopatra. Aż do tego przyszło?
Antoniusz. Poznałem cię ogryzkiem już ostygłym
Z Juliusza stołu — nie, okruchem ojca
Pompeja: że nie wspomnę chwil rozkoszy,
Niezaciągniętych do powszechnej wieści
A ślubom twym skradzionych; bom jest pewien,
Że jeśli się domyślasz, co jest cnota,
Znać jej nie możesz.
Kleopatra. Przecież znam i ciebie!
Antoniusz. Dozwolić, by najemnik, co ci powie
Za grosz: »Bóg zapłać!« tak się poufalił
Z tą ręką, mem pieścidłem, z tym sygnetem,
Królewskich serc ofiarą! — O! niech wstąpię
Na wzgórze Bazan, gdzie zagłuszę jękiem
Ryczące trzody, bom skrzywdzony dziko;
Bo miałbym postać, żaląc się po ludzku,
Wisielca, który, gdy mu sznur zarzuca,
Wysławia zręczność kata.
(Służący wracają z Tyreuszem).
Czy wziął w skórę?
Pierwszy służący. Porządnie.
Antoniusz. Krzyczał?
Pierwszy służący. W głos o litość prosił.
Antoniusz. Jeżeli ojca masz, niech pożałuje,
Że córką cię nie spłodził; ty podobnie,
Żeś twego pana chlubił się zwycięstwem,
Boś za to rózgi dostał. Od tej chwili

Niech biała rączka wprawia cię w omdlenie;
Drżyj, gdy ją zoczysz. — Wracaj do Cezara,
Opowiedz mu, coś wskórał: niech się strzeże,
By więcej mię nie jątrzył; gdyż niepomny
Na to, com był, znieważać to, czem jestem,
To niecnie i zuchwale. On mnie drażni,
W tej chwili właśnie, gdy się mnie nie lęka,
Gdy szczęsne gwiazdy, co mię dotąd wiodły,
Zboczywszy z dróg odwiecznych, swoje blaski
Rzuciły w piekło. Jeśli się oburzy
Na to, co mówię i co czynię, wszakże
Jest przy nim Hiparch, to mój wyzwoleniec;
Niech każe go powiesić, ściąć, umęczyć,
Do woli, dla odwetu. Spraw się dobrze.
A teraz precz, uciekaj! *(Tyreusz wychodzi).*

Kleopatra. Czy skończyłeś?

Antoniusz. Niestety! księżyc nasz zaćmieniem świadczy
Upadek Antoniusza.

Kleopatra. Ja poczekam.

Antoniusz. By schlebiać panu, wdać się ze służalcem,
Co szaty mu przypina!

Kleopatra. On mię krzywdzi!

Antoniusz. Twe serce dla mnie z lodu!

Kleopatra. Ach, okrutny!
Niech piorun lód ten w ostry grad roztłucze,
Zatruje żółcią, i niech pierwsze ziarno,
W mą pierś wrzucone, stopi się z mem życiem!
W skroń Cezaryona drugie niech ugodzi,
Aż wszystkie żywe mojej krwi pamiątki,
Wraz z całą rzeszą mych Egipcyan dzielnych,
Pod gradobiciem tej śmiertelnej burzy
Bez grobu legną, póki much i gadów
Nilowych nie nakarmią!

Antoniusz. Milcz, już dosyć.
Pod Aleksandryą Cezar się rozłożył,
Więc z blizka się rozprawim. Wojsko piesze
Cios wytrzymało; flota zaś w rozsypce,
Zebrawszy się, wspaniale nurty pruje.
A gdzieżeś był, mój duchu? — Kleopatro,
Azali z pola jeszcze raz powrócę,
Uściskasz mię zlanego krwią mych wrogów;
Ten sierp mi zbierze plon wieczystej sławy:
Tu jest nadzieja.

Kleopatra. Oto znów mój luby!
Antoniusz. Muskuły, serce, zmysły się potroją,
Bić będę ślepo. Gdy me dni płynęły
Szczęśliwie, świetnie, lada żart wytrącał
Zabójczy topór; dziś zacisnę zęby,
I w piekło poślę, co mi się nawinie.
Chodź, jeszcze noc wesołą. — Każę zwołać
Rotmistrzów smętnych; będziem pić dokoła,
Aż kur zapieje.
Kleopatra. Dzień urodzin moich
Przepłakać miałam; lecz gdy pan mój znowu
Jest Antoniuszem, jam jest Kleopatrą.
Antoniusz. Pogodzim się serdecznie.
Kleopatra. Na wieczerzę
Zaprosić wodzów.
Antoniusz. Rad im będę szczerze;
Aż przez ich rany wino się przeciśnie.
Mam ogień w żyłach. Jutro, gdy dzień błyśnie,
Śmierć we mnie się rozkocha, bo z jej kosą
Ten miecz chcę zbratać, krwi przelanej rosą.
(Wychodzą Antoniusz, Kleopatra i służba).
Enobarbus. On teraz piorun zwalczy. Wściec się w boju
To strachem strach odpędzić; w tym nastroju,
Turkawka strusia dziobnie: stąd wynika,
Że gdy się ścieśnia mózg u naczelnika,
Duch w sercu rośnie. Szał, gdy rozum grzebie,
Połyka miecz, co służy mu w potrzebie.
Zostawię go szczęśliwej Kleopatrze,
Pewniejszą służbę jutro sam wypatrzę.
(Wychodzi).

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Obóz Cezara pod Aleksandryą.

(Cezar, czytając list; Agryppa, Mecenas i inni).

Cezar. Zwie mię chłopięciem, łży bezsilną groźbą,
Że wygna mnie z Egiptu; mego sługę
Oćwiczyć kazał, wyzwał mnie na rękę,

Ja bić się z nim! niech wie lubieżnik stary,
Że zginąć tak nie myślę, że tymczasem
Z gróźb jego szydzę.
Mecenas. Cezar niech rozważy,
Że gdy się wściecze taki mąż, widocznie
Ostatkiem goni. Nie daj mu wytchnienia,
Korzystaj z jego błędów. Mózg bezwiedny,
To dom bez stróża.
Cezar. Racz oznajmić wodzom,
Że jutro chcemy z tylu walk pamiętnych
Ostatnią stoczyć. Jest w szeregach naszych
Dość Antoniusza zbiegów, by na zwiady
Mieć kogo posłać. Wojsko do biesiady!
Zapasów jest dostatkiem. Wnet na karku
Antoniusz nas obaczy. Biedny Marku!
(Wychodzą).

SCENA II.

W Aleksandryi. Pokój w pałacu.

(Antoniusz, Kleopatra, Enobarbus, Charmian, Iras, Aleksas i inni).

Antoniusz. On nie chce bić się ze mną?
Enobarbus. Nie.
Antoniusz. Dlaczego?
Enobarbus. Sam z dwudziestoma? niech cię nieba strzegą!
Wszak on szczęśliwszym po dwadzieścia razy.
Antoniusz. To zła wymówka. Słuchaj!
Enobarbus. Na rozkazy.
Antoniusz. Stanowcza jutro bitwa: lub żyć będę,
Lub czci mej taką kąpiel krwi zdobędę,
Że w niej odżyję. Skonać tak, to pięknie.
Wszak mi pomożesz?
Enobarbus. Aż ten miecz nie pęknie.
Antoniusz. Dobrześ powiedział. Niech tu wejdą słudzy.
(Słudzy wchodzą).
W ostatniej uczcie będziem, ja i drudzy,
Równymi sobie. — Dajcież mi te ręce.
Rzetelność waszą tym uściskiem święcę;
I ty, — i ty, — wy wszyscy: — w waszem gronie,

Mniej zacni od was, płaszcząc się w koronie,
Królowie hołd mi nieśli.
Kleopatra. Cóż to znaczy?
Enobarbus. To jakiś wybryk, którym szał rozpaczy.
Przedrzeźnia radość.
Antoniusz. Dla was, przyjaciele,
Ja sam z jednego w kilku się rozdzielę;
Wy w Antoniusza wszyscy się złączycie,
By mógł wam służyć, jak wy mu służycie.
Słudzy. To zbytnia łaska.
Antoniusz. Jeszcze noc przyjemną
Chcę z wami spędzić; więc ucztujcie ze mną,
Jak kiedy kraj ten królem zwał żołnierza,
I w służbie wam pomagał.
Kleopatra. Gdzież on zmierza?
Enobarbus. Chce nas do łez rozczulić.
Antoniusz. Tę noc jeszcze;
Gdyż jutro już wpół martwy wam obwieszczę
Kres waszych usług, lub, nim wzejdzie słońce,
Mój duch innego wskaże wam obrońcę.
Choć pożegnania słowem was pozdrawiam,
Wasz pan do śmierci, ja was nie odprawiam;
Nie, lecz ostrzegam tą niemylną wróżbą,
Spokrewnion z wami już dozgonną służbą.
Dwie godzin tylko, więcej mi nie trzeba,
Za tę przewłokę wam nagrodzą nieba.
Enobarbus. Co czynisz, wodzu? wszyscy w płacz, jak osły!
Od słów tak rzewnych uszy nam urosły.
Cebulę mam w źrenicy. Przez Bachusa,
Nie róbże z nas kobiety.
Antoniusz. Niech pokusa
Mnie porwie, jeśli kto z was mnie rozumie.
Wy, przyjaciele, ty, mój stary kumie,
Choć wasze serca myśli mej nie zgadły,
Niech radość kwitnie, gdzie te krople spadły.
Chcę was pokrzepić; chcę przed rannym brzaskiem
Noc rozpłomienić stu pochodni blaskiem.
Najlepszą mam otuchę. Gdzie was wiodę,
Zwycięstwo znajdziem, dzielnych serc nagrodę,
Nie śmierć i sławę. Już wieczerza płonie;
Do stołu! troski wina zdrój pochłonie.
(Wychodzą).

SCENA III.

Tamże. Przed pałacem.

(Dwóch żołnierzy na warcie).

Pierwszy żołnierz. A, witaj, bracie! Jutro to dzień sądny.
Drugi żołnierz. Ogólne żniwo: będzie ścisk porządny.
A czy słyszałeś, co gadają w mieście?
Pierwszy żołnierz. Nie. Cóż takiego?
Drugi żołnierz. Strachy to niewieście.
Więc bywaj zdrów.
(Dwaj inni żołnierze wchodzą).
Pierwszy żołnierz. Kto idzie?
Trzeci żołnierz. Baczność wszędzie,
Żołnierze!
Drugi żołnierz. Baczność!
(Pierwsi dwaj stają w głębi).
Czwarty żołnierz. My tu, w pierwszym rzędzie.
(Drudzy dwaj stają na przodzie).
Jeżeli jutro nam dopisze flota,
Jak zawsze, dzielnie sprawi się piechota.
Trzeci żołnierz. To tęgi żołnierz i wytrawny.
(Słychać granie obojów pod sceną).
Czwarty żołnierz. Cicho!
Cóż to za szmer?
Trzeci żołnierz. Gdzie?
Czwarty żołnierz. Tam!
Pierwszy żołnierz. To jakieś licho
W powietrzu.
Trzeci żołnierz. Tu, pod ziemią.
Czwarty żołnierz. Śpiew zwycięski,
Nieprawda?
Trzeci żołnierz. Nie.
Pierwszy żołnierz. To wróży wielkie klęski.
Drugi żołnierz. To z Antoniuszem Herkules w przyjaźni,
Dziś go porzuca.
Pierwszy żołnierz. Popłoch ten mię drażni;
Spytajmy drugich.
(Postępują na przód sceny).
Drugi żołnierz. Cóż tam, towarzysze?
Trzeci żołnierz. Co? jakieś dźwięki tu, pod ziemią słyszę.
Pierwszy żołnierz. Ja tam, w powietrzu.

Czwarty żołnierz. Za puklerzy stosem.
Wszyscy razem. Tu, tam i wszędzie.
Pierwszy żołnierz. Idźmy za tym głosem,
Aż po kres warty; może sam ustanie.
Pierwsi dwaj. Na obóz baczność.
Drudzy dwaj. Baczność na przystanie!
(Wychodzą).

SCENA IV.

Tamże. Pokój w pałacu.

(Antoniusz, Kleopatra, Charmian i służba).

Antoniusz. Eros! daj pancerz, Eros!
Kleopatra. Śpij, noc długa.
Antoniusz. Już dnieje, kurko. — Eros, gdzie kolczuga?
(Eros wchodzi ze zbroją).
Zbudź się, chłopaku, odziej mię żelazem:
Jeśli Fortuna zdradzi mię tym razem,
To że z niej szydzę. — Śpiesz się.
Kleopatra. Ja pomogę.
Do czego to?
Antoniusz. Ach, zostaw, nie na nogę!
Ty serce lepiej zbroisz: — to mię dusi.
Kleopatra. Lecz pozwól, tu! pomagam. Tak być musi.
Antoniusz. A, nieźle; teraz nam sprzyjają wieszcze.
Daj hełm i tarczę.
Eros. Zaraz.
Antoniusz. Ty śpisz jeszcze!
Kleopatra. Wszak zręcznie to przypięłam?
Antoniusz. Wyśmienicie.
Kto zaś odepnie, ten narazi życie,
Bo tym toporem głowę mu napieprzym.
Ty krewisz, Eros; patrz, królowa lepszym
Od ciebie giermkiem. Prędzej. — O, kochanie!
Żebyś ty widzieć mogła to spotkanie,
Wnetbyś poznała, żem nie lada wiarus
W Marsowym trudzie.
(Skarus wchodzi uzbrojony).
A, dzień dobry, Skarus;
Pomyślną wieść przynosisz, twym zwyczajem.

Do miłej pracy my przed zorzą wstajem,
I garniem się wesoło.
Skarus. Tysiąc ludzi
Okutych w zbroje, zanim dzień się zbudzi,
Czekają na wybrzeżu.
Antoniusz. To olbrzymy.
(Słychać granie trąb. Wchodzą rotmistrze i żołnierze).
Rotmistrze. Dzień dobry, wodzu.
Wszyscy. Szczęścia ci życzymy.
Antoniusz. Nawzajem. Dzień ten, jak rychlejsze dzieci,
O których świat się dowie, w czas nam świeci.
Dajże mi pas; przymocuj! teraz dobrze.
Cóż myślisz o tem, ty mój stary bobrze?
Skarus. Pamiętaj, że na lądzie...
Antoniusz. Już słyszałem. —
Domicyusz zaspał: czy z miłosnym szałem
Na trzeźwo się położył? To mu szkodzi.
O, wstyd mu będzie, że dziś nie dowodzi!
Zostawiam panią: bądź co bądź mię czeka,
Masz uścisk mój żołnierski. Czas ucieka,
(Całuje ją).
Niegodnie, szpetnie byłoby, na próżne
Czułostki go marnować. Daj podróżne.
Jam wskróś ze stali. — Wy zaś, przyjaciele,
Co chcecie walczyć, za mną! ja na czele.
(Wychodzą Antoniusz, Eros, rotmistrze i żołnierze).
Charmian. Czy łaska wejść do siebie?
Kleopatra. Już za progiem.
Walecznie odszedł. Gdyby wręcz miał z wrogiem
Ten spór zakończyć, bez narodów straty,
O! wtenczas... lecz obaczym. — Do komnaty!
(Wychodzą).

SCENA V.

Obóz Antoniusza pod Aleksandryą.

(Odgłos trąb. Antoniusz, Eros i Skarus).

Skarus. Niech bitwa szczęści twej, rycerzu, sławie!
Antoniusz. Ty, rany twoje, czemuż nie przemogły,
Bym toczył bój na lądzie!
Skarus. Oj, to prawda.

Byłbyś żołnierza, który cię odstąpił,
I zbuntowanych królów miał przy sobie,
Jak po dziś dzień.
Antoniusz. Któż mnie odstąpił?
Skarus. Wieczny
Zausznik twój; zawołaj Domicyusza,
On nie dosłyszy, lub z obozu Rzymian
Odpowie: »Już cię nie znam«.
Antoniusz. Enobarbus?
Skarus. Zbiegł do Cezara.
Eros. Panie, skrzyń i skarbów
Nie zabrał z sobą.
Antoniusz. Kto?
Eros. Domicyusz.
Skarus. Prawda.
Antoniusz. Idź, Eros, idź, odeślij mu, co jego;
Nic nie zatrzymasz. A napiszesz przytem
(A ja podpiszę) list najmilszej treści:
Że go pozdrawiam, życząc mu, by nigdy
Ważniejszych nie miał przyczyn do niewiary.
O! co za klątwa: — mój przyjaciel stary!
(Wychodzą).

SCENA VI.

Obóz Cezara pod Aleksandryą.

(Odgłos trąb. Cezar, Agryppa, Enobarbus i inni).

Cezar. Naprzód, Agryppo, niech się wojsko rusza.
Koniecznie chcę wziąć żywcem Antoniusza;
Zdaj rozkaz wodzom.
(Agryppa wychodzi).
Dzień powszechnej zgody
Już blizki: po zwycięstwie, niech narody
Oliwny szczep ocieni.
Posłaniec *(wchodząc).* Naczelniku,
Antoniusz w polu.
Cezar. Idź, niech w pierwszym szyku
Ci wszyscy staną, którzy go zdradzili,
Tak sam na sobie pierwszy cios wysili.
(Cezar wychodzi z wodzami).
Enobarbus. Aleksas też był zdrajcą, bo, wysłany

Przez niego do Judei, chciał Heroda
Nakłonić, by się zaparł Antoniusza
I złączył się z Cezarem. Za nagrodę
Ten kazał go powiesić. Kanidyusza
Ze zgrają zbiegów płaci, lecz zaprzańcom
Nie daje wiary. Taki los mię czeka.
O, źlem postąpił; czuję, że już nigdy
Nie będę wesół.

Żołnierz *(od Cezara, wchodząc).* Wódz twój, Domicyuszu,
Odsyła ci twe skarby, podwojone
Szczodrością jego własną, w twym namiocie
Przybyły goniec z mułów je zdejmuje.

Enobarbus. Weź sobie wszystko.

Żołnierz. Czy żartujesz ze mnie?
Naprawdę mówię: staraj się posłańca
Bezpiecznie stąd odprawić; sam nie mogę,
Bo służbę mam w obozie. Twój naczelnik
Jowiszem zawsze.

Enobarbus. A jam jest złoczyńcą,
I muszę sam to przyznać. Antoniuszu,
Kopalnio łaski, jakżebyś zawdzięczył
Za wierną służbę, kiedy za łotrostwo
Tak hojnie płacisz! Serce krwią nabiega:
Jeśli go żal nie skruszy, prędszy środek
Dopełni karę; lecz i żal wystarczy.
Ja z tobą walczyć? — Nie! by skryć tę nędzę,
W najlichszym rowie dni ostatnie spędzę.

(Wychodzi).

SCENA VII.

Pole bitwy między dwoma obozami.

(Wrzawa trąb i kotłów. Agryppa i kilku wodzów).

Agryppa. Na odwrót! żołnierz natarł zbyt gorąco.
Sam Cezar walczy, szyki nam się mącą;
Wróg silny opór stawia.

(Wychodzą).

(Zatrąbienie. Antoniusz i Skarus ranny).

Skarus. To wygrana!
O mój cesarzu, gdyby tak od rana,

Wypchnęlibyśmy tamtych aż do piekła
Z łatanym czubem.
Antoniusz. Krwią ci skroń ociekła.
Skarus. Dwie drobne blizny; była tu litera
Jak wielkie C, a teraz w kształcie zera.
To Cezar się podpisał.
Antoniusz. Już pierzchają.
Skarus. Przez sito go przepędzim z całą zgrają.
Sześć guzów tu się zmieści.
Eros *(wchodząc).* Rzym ulega;
Dziś Egipt górą.
Skarus. Wsiąść na barki zbiega,
Za skórę z tyłu chwytać tę hołotę.
Hej, łowy na zająca!
Antoniusz. Za ochotę
Raz ci zawdzięczę, a sześćkroć za męstwo.
Chodź ze mną.
Skarus. Prowadź, i daj na zwycięstwo.
(Wychodzą).

SCENA VIII.

Pod basztami Aleksandryi.

(Zatrąbienie. Antoniusz w pochodzie, Skarus i wojsko).

Antoniusz. Spędzeni z pola. Niech kto z was obwieści
Królowej tę wygraną. — Jutro, bracia,
Nim słońce błyśnie, resztę krwi wytoczym,
Co dziś nam zbiegła. Wszystkim wam dziękuję;
Boście tak dzielnie oburącz walczyli,
Jak gdyby sprawa ta nie była moją,
Lecz wszystkim wspólną: każdy z was Hektorem.
Na miasto więc, do rodzin i przyjaciół,
Ogłoście wasze czyny; niech łzy szczęścia
Z ran skrzepłą krew obmyją, a całusy
Zagoją chlubne szramy. *(Do Skarusa).* Daj mi rękę.
(Kleopatra wchodzi ze służbą).
Polecam cię tej wielkiej czarodziejce,
Jej dzięki cię uzdrowią. — Kleopatro,
Uściśnij zbrojną szyję; wstąp jak bóstwo
Do piersi przez ten pancerz, i radośnie
Z bijącem sercem pląsaj.

Kleopatra. O mój królu!
O niezgłębiona cnoto! z walk otchłani
Powracasz mi nietknięty?
Antoniusz. Mój słowiczku,
Na puch Cezara zgniotłem. Ha, gosposiu!
Choć siwe włosy kłócą się z czarnymi,
Tak nerwy mózg zasila, że potrafią
Dotrzymać pola młodszym. Spójrz łaskawie
Na tego zucha; zbliż do ust prawicę;
Mianuję cię rotmistrzem: — tak się spisał,
Jak gdyby bóg zawistny ludziom w jego
Postaci walczył.
Kleopatra. Dam ci, przyjacielu,
Złocistą zbroję po rodzonym ojcu.
Antoniusz. Zasłużył nań, choćby w rubiny cała,
Jak świetny wóz Febusa. — Idźmy, pani.
Radosny wjazd odbędziem do stolicy,
Z tarczami zrąbanemi, jak ich czoła.
Gdyby królewski gmach mógł was pomieścić,
Dziś z całem wojskiem siadłbym do wieczerzy,
Puharem pełnym święcąc dzień jutrzejszy,
Brzemienny plonem sławy. — Niech trębacze
Spiżowy dźwięk rozniosą wkoło miasta,
Niech bębnów łoskot w grom pioruny wzrasta;
A niebo z ziemią pod nocnymi blaski,
Nasz pochód głosząc, miesza swe oklaski.
(Wychodzą).

SCENA IX.

Obóz Cezara.

(Żołnierze, stojący na warcie, później Enobarbus).

Pierwszy żołnierz. Jeśli za kwadrans nas nie ściągną,
[dzieci,
Na odwach wrócim. Noc gwiazdami świeci;
Do boju, mówią, stanąć już wypadnie
O drugiej z rana.
Drugi żołnierz. Dzień ten nam szkaradnie
Dokuczył; Cezar marzy gdzieś w ukryciu.
Trzeci żołnierz. Mecenas milczy, pierwszy raz w swem
[życiu.

Drugi żołnierz. Agryppa skały swą wymową wzrusza.
Pierwszy żołnierz. Dziś jakiś rycerz zbiegł od Antoniusza;
Twarz krył pod płaszczem, jak skradziony arbuz;
Nazwisko rzymskie: — już wiem, Enobarbus.
Drugi żołnierz. Przy Antoniuszu zbyt niepewna służba.
Więc wraca do Cezara.
Trzeci żołnierz. Dobra wróżba!
Pierwszy żołnierz. Ktoś idzie, ciszej.
Enobarbus *(wchodząc).* Nocy, i wy, gwiazdy...
Trzeci żołnierz. Skądże ten głos?
Drugi żołnierz. Zapewne na pojazdy.
Enobarbus. Bogini wielka! świadczę się twym blaskiem,
Że jeśli zdrajcy pamięć jest przeklętą,
Ja, Enobarbus, przed obliczem twojem
Wyznałem żal mój.
Pierwszy żołnierz. Enobarbus!
Trzeci żołnierz. Cicho!
Enobarbus. Wszechwładna ksieni dusz prawdziwie smę-
[tnych!
Nademną wysącz nocy mgłę zatrutą,
Niech życie to, mej woli nieposłuszne,
Katować mię przestanie; ciśnij serce
O twardy kamień mej okropnej zbrodni,
By wyschłe żalem i zgryzotą spiekłe,
W proch się rozbiło. O mój Antoniuszu!
Ty szlachetniejszy niż mój czyn jest podłym,
Dość wielkim jesteś, abyś mi przebaczył;
Lecz niech mię świat zapisze w poczet zbiegów,
Niewdzięcznych sług i zdrajców. Antoniuszu!
Zwycięstwo tobie.
Drugi żołnierz. Przemów ty do niego.
Pierwszy żołnierz. Słuchajcie; może powie coś ważnego
Dla naszej sprawy.
Trzeci żołnierz. Patrz, usypia święcie.
Pierwszy żołnierz. Gdzie tam, omdlewa; straszne to za-
[klęcie
Nie sen zwiastuje.
Drugi żołnierz. Jak on strasznie dyszy.
Trzeci żołnierz. Zbudź się, rycerzu, przemów!
Pierwszy żołnierz. Już nie słyszy,
Dłoń śmierci go dotknęła. Otóż kotły.
(Słychać kotły zdala).

Pobudkę bijąc, mgły jesienne zmiotły.
Dzień świta nad obozem.
Drugi żołnierz. Ja ci mówię,
Że to ktoś z wyższych: sute ma obuwie.
Pierwszy żołnierz. Już kwadrans minął.
Trzeci żołnierz. Strach, co ginie ludzi.
Na odwach!
Drugi żołnierz. Może bitwy zgiełk go zbudzi.
(Wynoszą ciało).

SCENA X.

Między dwoma obozami.

(Antoniusz, Skarus i wojsko w pochodzie).

Antoniusz. Na morzu świetna będzie dziś rozprawa:
Ląd im nie służy.
Skarus. Coś na dwie zakrawa.
Antoniusz. Niechże się chronią w ogień lub powietrze,
I tam ich głowy ta prawica zetrze.
Legiony, w górach już stojące głazem,
Czekają hasła (flota za rozkazem
Wypłynie z portu), my na stanowiska,
Skąd nieprzyjaciół ruch dopatrzym z blizka.
(Wychodzą).
(Cezar i wojsko w pochodzie).
Cezar. Aż wróg nam natrze, walki nie przyśpieszym,
Co nie nastąpi, bo żołnierzem pieszym
Osadził statki. Sprawa nie zginęła,
Lecz tylko w porę weźmy się do dzieła. *(Wychodzą).*
(Antoniusz i Skarus wracają).
Antoniusz. Opodal jeszcze. Stamtąd, gdzie ta jodła,
Dostrzegę łatwo, jak się rzecz powiodła,
I wnet ci powiem. *(Wychodzi).*
Skarus. Na królowej żaglach
Jaskółki się gnieździły, a wieszczowie
Nie śmieją, — nie chcą mówić; — jakieś klęski
Ponurość ich zwiastuje. Sam Antoniusz
Choć mężny, zda się smętny; zmienność losu
To wzbudza w nim obawę, to nadzieję,
Czy wygra, lub czy straci.
(Wrzawa trąb i kotłów zdala, jak podczas bitwy morskiej).

Antoniusz *(wracając).* Wszystko w szmaty!
Ta ćma egipska znowu mię zdradziła:
Okręty się poddały; jej żeglarze
Weselą się, ciskając czapki w górę,
Jak dawni bracia z braćmi. — Ty niewierna!
Żakowi mię sprzedałaś! moje serce
Twej zguby tylko pragnie. — Niech uciekną;
Idź! gdy się zemszczę nad tą czarownicą,
Skończone wszystko. — Niech uciekną, mówię!
(Skarus wychodzi).
O słońce! już nie ujrzę twego wschodu:
Antoniusz i Fortuna się żegnają
W uścisku rąk ostatnim. — Spaść tak nizko?
Że ci, co stopy mi jak psy lizali,
O łaskę żebrząc, biegną za kwitnącym
Cezarem; a ten dąb, co ich ocieniał,
Na próchno starty. Ona też mię zdradza.
Ty chytra wiedźmo, coś oczyma jędzy
Kusiła mię do wojny lub spoczynku,
Ty, w której łonie był mój wieniec chwały,
Cyganko z piekła, sztuką twą zabójczą
Dziś mię pogrążasz w samą głąb otchłani!
Gdzie Eros, Eros!
(Kleopatra wchodzi).
Ach, toś ty! Uciekaj!
Kleopatra. Czy na kochankę pan mój tak się dąsa?
Antoniusz. Precz, znikaj! lub odpłacę ci za wszystko,
I spodlę łup Cezara! Idź do niego,
Niech cię wystawi na okrzyki tłumu,
Za swym rydwanem, jako srom największy
Twej całej płci; niech cię pokaże nagą
Za lichy grosz ciemięgom; niech cnotliwa
Oktawia paznogciem krwi niesytym
Twarz ci rozedrze.
(Kleopatra uchodzi).
Lepiej, żeś uciekła,
Ratując życie; lecz najlepiej było
Pod moją ręką zginąć, i raz umrzeć,
Niż tysiąc razy. — Eros, hej! — Nessusa
Koszulę mam na piersi. Ty mój przodku,
Alcydzie wściekły, naucz mię twej zemsty:
Na sierp Dyany tyś Lichasa rzucił;
Niech dłoń ta, co maczugą twą miotała,

Dziś w grób mię wtrąci. Czekaj, ty guślarko:
Twą zdradą Cezar zgniótł mię wiarołomnie,
Więc musisz za to zginąć. — Eros, do mnie!
(Wychodzi).

SCENA XI.

W Aleksandryi. Pokój w pałacu.

(Kleopatra, Charmian, Iras i Mardyan).

Kleopatra. Ratujcie, siostry! On szalony, wściekły,
Jak Ajaks o pawężę; dzik tessalski
Tak nigdy się nie srożył.
Charmian. Do grobowca!
Tam się zamknąwszy, powiedz, żeś umarła.
Duch z ciałem się rozłącza mniej boleśnie,
Niż on z wielkością.
Kleopatra. Do grobowca zatem.
Mardyanie, powiedz mu, żem się zabiła;
Żem go nazwała w mem ostatniem tchnieniu,
I rozczul go do łez, jeżeli możesz.
Idź, powiesz mi, jak przyjął tę nowinę.
My do grobowca! Skruszę go, lub zginę.
(Wychodzą).

SCENA XII.

Tamże. Inny pokój.

(Antoniusz i Eros).

Antoniusz. Czy ty mię widzisz jeszcze?
Eros. Tak jest, panie.
Antoniusz. Czasami widzim smoczy wzór w obłoku,
Niekiedy mgłę w postaci lwa, niedźwiedzia,
Obronne baszty na urwisku skały,
Rozpadłą górę, lub przylądek modry,
Sadzony drzewem niby się chwiejącem
W zmyślonym wietrze. Czy widziałeś kiedy
Wieczorne te zjawiska?
Eros. Nieraz, panie.
Antoniusz. Ów rumak na błękicie w okamgnieniu

W tumanie się rozpływa i zaciera,
Jak woda w wodzie.
Eros. To są chmur widziadła.
Antoniusz. O mój chłopczyno, pan twój jest podobnym
Złudzenia tworem; widzisz mię w tej chwili,
Lecz rychło stracę postać tę widomą.
Dla Kleopatry wojny te podjąłem,
Bom kochał ją, mniemając, że mię kocha;
Z tem sercem jej oddałem serc miliony,
Garnące się do niego; a dziś ona,
Mój Eros, dla Cezara karty rzuca,
I wroga tryumf płaci mą niesławą.
O, nie płacz tak, mój chłopcze; od nas samych
Zależy nas wyzwolić. — Oj, ta wróżka!
Wykradła miecz za sercem.
Mardyan *(wchodząc).* Antoniuszu!
Królowa cię kochała, los jej wiecznie
Związany z twoim.
Antoniusz. Precz, rzezańcze podły!
Za swoją zdradę rychło śmierć odbierze.
Mardyan. Śmierć jednej duszy jeden raz się płaci,
Więc już nie dłużna. Stało się bez ciebie,
Coś chciał uczynić. Jej ostatnie słowo
Ja ci odnoszę: mój kochanek drogi!
Wśród rozpaczliwych jęków twe nazwisko,
Przerwane między sercem i ustami,
W jej piersi zgasło. Tak oddała ducha
Z tą nazwą w niej zawartą.
Antoniusz. Więc umarła?
Mardyan. Umarła.
Antoniusz. Eros, rozbrój mię! skończyłem,
Już czas wypocząć. *(Do Mardyana).* Płacę ci wspaniale,
Gdy cały stąd uchodzisz.
(Mardyan wychodzi).
Zdejm to wszystko!
Ajaksa siedmioskórny krąg nie zniesie
Uderzeń mego serca. W proch, to ciało!
Ty serce, bądź silniejszem dziś od piersi,
Rozerwij twą powłokę! — Śpiesz się, Eros.
Wódz, żołnierz zniknął: precz, okruchy zbroi;
Dość godnie was nosiłem. — Idź, mój chłopcze.
(Eros wychodzi).
Doścignę cię, kochana, i wypłaczę

Twe przebaczenie. Tak być musi, zwłoka
Przedłuża mękę. Gdy kaganiec gaśnie,
Na co się tłuc po nocy. Trud zbyteczny
Niweczy plon swój; ciągłe wysilenie
Rozpręża siły: czas przyłożyć piętno.
Eros! — Chcę iść za tobą. — Eros! — Czekaj na mnie!
Gdzie dusze śnią na kwiatach, ręka w rękę,
Wspaniale przejdziem wśród olśnionych cieni:
Dydonę z Eneaszem ćmy odbiegną,
I będą szły za nami. — Eros! Eros!

Eros *(wchodząc)*. Co wódz rozkaże?

Antoniusz. Śmierć mej Kleopatry
Tak mi sromotnie przeżyć, że niebianom
Wstyd mej podłości. Ja, com świat na części
Rozdzielał mieczem, na Neptuna grzbiecie
Warownie stawiał, dziś mi braknie męstwa
Niewiasty słabej, wyższej w tem ode mnie,
Że Cezarowi zgonem swym powiada:
»Ja sama się zwyciężam«. Tyś mi przysiągł,
Że gdy godzina przyjdzie (a zaiste
Dziś już nadeszła), gdy mi będzie trzeba
Wybierać między śmiercią a niesławą,
Że na mój rozkaz wtedy mię zabijesz:
Więc uczyń to; czas nagli, ja ci każę.
Ty nie mnie zgładzisz, lecz Cezara szczęście.
Bledniejesz, Eros!

Eros. O bogowie mocni!
Ja mam to zrobić, czego strzał tysiącem
Zawzięty Part nie zdołał?

Antoniusz. Zatem, Eros,
Ty wolisz w Rzymie patrzeć się z ukrycia
Na twego pana z ręką w tył związaną,
Z ugiętym karkiem, z twarzą tą śmiertelnym
Oblaną sromem, gdy na złotym wozie
Zwycięski Cezar, przodem się toczący,
Swą pychą go zbezcześci?

Eros. Pierwej skonam.

Antoniusz. Chodź więc; od hańby jeden cios uwalnia.
Ten miecz nosiłeś dla obrony kraju,
Dla mnie go dziś dobędziesz.

Eros. Przebacz, panie!

Antoniusz. Gdym cię wyzwolił, wszakże mi przysiągłeś,
Że spełnisz, co ci każę, bez namysłu?

Czyli mam sądzić, że twa wierność była
Bezwiedną lub zmyśloną? Więc dokonaj.
Eros. Ach, odwróć pierwej twarz tę bohaterską,
Gdzie świata cześć jaśnieje.
Antoniusz *(odwracając się).* Dobądź miecza!
Eros. Już go dobyłem.
Antoniusz. Uczyń to niezwłocznie,
Do czegoś go wyciągnął.
Eros. Panie drogi,
Mój wodzu, mój cesarzu, pozwól słudze
Pożegnać cię, nim krwawy cios wymierzy.
Antoniusz. Do woli twej, chłopczyno.
Eros. Żegnam ciebie,
Najdroższy panie. Czyś jest gotów?
Antoniusz. Uderz.
Eros. Więc stało się!
(Przebija się, padając na swój miecz).
Tak patrzeć już nie będę
Na twoją śmierć.
Antoniusz. O, trzykroć on mężniejszy!
Nauczasz mię, com winien był uczynić,
A ty nie mogłeś. On i Kleopatra
Przykładem szczytnym czucie mi wrócili
Młodzieńczej cnoty: chcę przed śmiercią stanąć
Jej oblubieńcem, biegnąć doń, jak w łoże
Mej narzeczonej. Eros, mistrz twój dawny
Twym uczniem ginie: tyś mi wskazał drogę,
(Pada na swój miecz).
Za tobą stąpam. — Co! nie zmarły jeszcze?
Śmierć mię odtrąca? — Do mnie, wy, żołnierze!
(Wchodzą Dercetas i żołnierze).
Pierwszy żołnierz. Nasz wódz?
Antoniusz. Chybiłem: wy poprawcie, bracia,
Com zaczął.
Drugi żołnierz. Świat się kończy.
Trzeci żołnierz. Gwiazda spada.
Pierwszy żołnierz. I czasy są spełnione.
Wszyscy razem. Biada, biada!
Antoniusz. Kto kocha mię, dobije mię do szczętu.
Pierwszy żołnierz. Nie ja.
Drugi żołnierz. I nie ja.
Trzeci żołnierz. Żaden z nas.
(Wychodzą).

Dercetas. Zgon jego,
Jak życie, sługi do ucieczki zmusza.
Ten miecz, z tą wieścią, dla mnie u Cezara
Wyjedna łaskę.
Dyomedes *(wchodząc)*. Gdzie nasz wódz, Antoniusz?
Dercetas. Tu, Dyomedzie.
Dyomedes. Żyje? Mów, człowieku!
(Dercetas wychodzi).
Antoniusz. Tyś jest Dyomed? Weź ten miecz, przez litość,
I zadaj cios ostatni.
Dyomedes. Wodzu dzielny,
Do ciebie Kleopatra mię przysyła.
Antoniusz. Przysyła ciebie?
Dyomedes. Tak jest.
Antoniusz. Skąd?
Dyomedes. Z grobowca,
Gdzie się schroniła. Ma złowieszczą trwogę
O to, co się tu stało; bo, poznawszy,
Żeś miłość jej znieważył podejrzeniem
Tajemnych zmów z Cezarem, i że twoja
Zawziętość nie ma granic, znać ci dała
O swojej śmierci, lecz w obawie skutków,
Przysyła mię, bym prawdę ci powiedział
Zapóźno może.
Antoniusz. Tak, zapóźno, patrzaj.
Racz moją straż przywołać.
Dyomedes. Straż cesarza!
Gdzież straż? pan woła.
(Żołnierze wchodzą po jednemu).
Antoniusz. Do królowej ze mną;
Oddajcie mi braterską tę usługę.
Pierwszy żołnierz. O biada nam, że nie przeżyłeś, panie,
Ostatnich twych żołnierzy.
Wszyscy razem. Dniu nieszczęsny!
Antoniusz. Nie, przyjaciele, nie pozwólcie losom
Z waszych łez szydzić! przyjmcie to skarcenie,
Jak ja przyjmuję, karcąc je nawzajem
Pozorną wzgardą. W bitwach, mym zwyczajem,
Jam was prowadził; dziś na spokój wieczny
Wy mię zanieście: wszystkim dzięk serdeczny.
(Wychodzą, niosąc Antoniusza).

SCENA XIII.

Tamże. Grobowiec.

(U góry Kleopatra, Charmian i Iras).

Kleopatra. O Charmian! już nie wyjdę z tego grobu.
Charmian. Uspokój się na chwilę.
Kleopatra. Nie, ja nie chcę.
Gotowam znieść najokropniejsze ciosy,
Lecz gardzę łez jałmużną: żal mój srogi,
Jak przedmiot jego, winien być niezmiernym.
(U dołu Dyomedes wchodzi).
Więc umarł?
Dyomedes. Żyje, chociaż śmierć już blizka.
Kleopatra. On żyje, Charmian!
Dyomedes. Patrz na spód grobowca,
Tam wierni słudzy go przynoszą.
(U dołu Antoniusz niesiony przez żołnierzy).
Kleopatra. Słońce,
Spal zmienny obszar świata! — niech ciemności
Ogarną go na wieki. Antoniuszu,
O Antoniuszu, o mój Antoniuszu!
Pomóżcie, Charmian, Iras, i wy wszyscy,
Wy tam, na dole, wnieść go tu.
Antoniusz. Dwa słowa,
Nim skończę! lecz nie przez Cezara męstwo,
Antoniusz sam pokonał Antoniusza.
Kleopatra. Tak być musiało: ktoby też był godnym
Zwyciężyć ciebie; lecz to mię zabija!
Antoniusz. Rozstajem się, kochanko; choć od śmierci
Radbym wyżebrać chwilę, bym z miliona
Mych pocałunków złożyć mógł ostatni
Na twoich wargach.
Kleopatra. Nie śmiem, o mój luby,
(Racz słudze twej przebaczyć) zejść do ciebie,
By mię nie wzięto; wśród zwycięskiej wrzawy
Cezara wjazdu nie chcę być ozdobą.
Jeżeli węże, nóż, trucizna, mają
Jad, ostrze, żądło, ja się go nie boję;
Małżonka twa, Oktawia, z krwią zastygłą,
Z obłudnem okiem, tego nie dostąpi,

By mogła mi urągać. — Chodź, kochanku!
Dźwigajcie ze mną wszystkie, aż go wniesiem.
I wy, żołnierze.

Antoniusz. Śpiesznie, bo umieram.

Kleopatra. To trud nie lada! Serce tak olbrzymie!
A nasze siły smutku moc przeważa.
O, gdybym mogła mieć Junony władzę,
Piorunnem skrzydłem zdjąłby cię Merkury
I złożył wśród Olimpu. Jeszcze trochę,
Chęć płocha w szał przechodzi. Mam cię wreszcie;
(Wciągają Antoniusza do grobowca).
Bądź pozdrowiony! skonaj tu, gdzie żyłeś!
Uściskiem cię orzeźwię: wargi moje
Do szczętu tak chcę zużyć.

Wszyscy. Widok smętny!

Antoniusz. Umieram. Kroplę wina, niech przemówię.

Kleopatra. Ja mówić będę i wyrzekać głośno,
Aż mych złorzeczeń zląkłszy się, Fortuna
Swe koło skruszy.

Antoniusz. Słuchaj mię raz jeszcze —
Przyjm od Cezara honor i swobodę.
O!

Kleopatra. To z tem nadto sprzeczne.

Antoniusz. Przy Cezarze
Prokulej sam jest godzien twej ufności.

Kleopatra. Mej własnej ręce ufam i odwadze,
Nikomu więcej.

Antoniusz. Niech mój los przedśmiertny
Zbyt cię nie smuci; pociesz się wspomnieniem
Tych lat ubiegłych szczęścia i wielkości,
Gdym żył najpierwszym wśród mocarzy świata
I najwspanialszym; dziś nie bez czci ginę,
Nie po tchórzowsku zdaję hełm i berło
W zwycięzcy dłoń, lecz jak Rzymianin prawy,
Zwalczony przez Cezara. Duch mój gaśnie;
Żyj, ja skończyłem.
(Umiera).

Kleopatra. O największy z ludzi!
Czyś mię nie kochał? Ja mam żyć bez ciebie
W tym nędznym świecie, który po twym zgonie
Podlejszym jest od błota? — Patrzcie, siostry,
Korona ziemi pełznie. — O mój królu! —

Wojenny wieniec pada i więdnieje,
Rycerski szczep stracony! ród niewieści
Zrównany z męskim; los i szczęście niczem,
I księżyc błędny świecić już nie będzie
Nad żadną chwałą. *(Mdleje).*
Charmian. Ach, to zbyt okropne!
Iras. Królowa z nim umarła.
Charmian. Pani!...
Iras. Ciszej!
Charmian. O pani, pani, pani!
Iras. Cześć Egiptu
Zaćmiona!
Charmian. Cesarzowo!
Kleopatra. Nie, jam tylko
Niewiastą nędzną, i tym samym lichym
Podległa troskom, co mleczarka wiejska,
Dysząca przy robocie. — Dziśbym chciała
Zawistnym bogom w twarz tem berłem rzucić,
Wołając, że świat nasz był wart ich nieba,
Nim skarb ten mu wykradli: wszystko marne;
Cierpliwość głupstwem, sierdzić się i srożyć
Wściekłemu psu przystoi: czyż to zbrodnia,
Przed czasem zejść w tajemne kraje śmierci,
Nim po nas przyjdzie? – Cóż to wam, kobiety?
Bądźcież wesołe! Charmian, wy, dziewczęta,
Przestańcie szlochać! — Ach, sieroty, patrzcie,
Nasz świecznik zbladł, już kona. – Przyjaciele,
(Do żołnierzy na dole).
Nie trwóżcie się; pogrzebiem go, a potem
Zwyczajem rzymskim spełnim czyn tak wielki,
Że sama śmierć poszczyci się swym łupem.
Duch jego żyje, choć powłoka trupem.
Ach, siostry, siostry! nic nam nie zostaje
Prócz mężnej śmierci; ja wam przykład daję.
(Wychodzą).

AKT PIĄTY.

SCENA I.

Obóz Cezara pod Aleksandrą.

(Cezar, Agryppa, Dolabella, Mecenas, Gallus, Prokulejusz i inni).

Cezar. Idź, Dolabello, niech broń wreszcie złoży;
Po takiej klęsce, powiedz mu otwarcie,
Że bezskuteczną szydzi z nas odwłoką.
Dolabella. Do usług.
(Wychodzi. Dercetas wchodzi z mieczem Antoniusza)
Cezar. Ktoś ty jest? któż cię ośmiela
Przed nami stawać?
Dercetas. Dercetas mię zowią.
Służyłem temu, kto był najgodniejszym
Najlepszej służby: póki żył dla sławy,
Był moim panem, a jam znosił życie,
By dać je mu w ofierze. Jeśli łaska,
Cezarze, przyjąć mię, chcę stać przy tobie,
Jak przy nim stałem; jeślim ci zbyteczny,
Weź moją krew bezpłatnie.
Cezar. Co ty mówisz?
Dercetas. Cezarze, mówię, że Antoniusz zmarły.
Cezar. O nie! zgon taki sprawiłby silniejszy
Po świecie rozgłos, grom ten lwyby rzucił
W ulice miast, a mieszczan w ich jaskinie.
Śmierć Antoniusza nie jest jak zwyczajna:
W nim zgasłoby pół świata.
Dercetas. Skonał przecie,
Lecz nie zgładzony przez katowską rękę
Lub nóż najemny; bo tym samym mieczem,
Co w czynach swych zapisał jego sławę,
A dziś, z odwagą z serca mu natchnioną,
To serce przeszył. Miecz ci ten przynoszę,
Wydarty z ran ziejących i zbroczony
Krwią najzacniejszą.
Cezar. Wszyscy się smucicie?
To słusznie i chwalebnie; przy tej wieści
Bogowie się rozpłaczą.
Agryppa. Rzecz szczególna,

Że serca głos nam każe się litować
Nad własnym czynem.
Mecenas. Pełnią cnót przeważał
Znikome skazy.
Agryppa. Nigdy duch wznioślejszy
Ludzkości nie przodkował; lecz niebianie
Człowieka godłem chcieli mieć ułomność.
Sam Cezar płacze.
Mecenas. To zwierciadło świetne
Mu własny los przedstawia.
Cezar. Antoniuszu!
Jam sprawcą twej niedoli; są choroby,
Dla których nóż niezbędny. Trzeba było
Dla ciebie Rzym poświęcić, lub dla Rzymu
Twą władzę skruszyć: w świecie dla nas obu
Przestrzeni brakło. Przyjm to słowo żalu,
Z tą szczerą łzą jak nasza krew serdeczna,
Wylaną nad mym bratem, rówiennikiem,
U szczytu sławy zgasłym, nad współrządcą
I towarzyszem wśród wojennych trudów,
Zastępców mych prawicą, wzniosłem sercem,
Gdzie duch mój się rozżarzał, — że też nasze
Nieprzejednane gwiazdy to braterstwo
Rozerwać nam kazały! — Wiedzcie, wszyscy...
Lecz więcej powiem przy swobodnej chwili,
(Skarus wchodzi).
Bo człowiek ten ma ważną wieść w obliczu;
Musimy go wysłuchać. — Skąd przychodzisz?
Skarus. Jam prosty kmieć egipski. Moja pani
Dziś bez przytułku, w swym grobowcu skryta,
Świadomą pragnie być o twych zamiarach,
By według nich się mogła przysposobić
Do swej zmuszonej doli.
Cezar. Na otuchę,
Już dziś się dowie przez którego z naszych,
Jak względem niej zaszczytnie i uprzejmie
Postąpić chcemy; bo Cezara szczęściem
Jest przebaczenie.
Skarus. Żegnam cię, Cezarze!
(Wychodzi).
Cezar. Na ciebie, Prokuleju. Idź i powiedz,
Że nie znam zemsty: zanieś jej pociechę
Stosowną do wielkości jej cierpienia,

By w dumie swej zamachem samobójczym
Nie uszła z naszych rąk; żyjąca w Rzymie
Zwycięstwom naszym świetność da niezgasłą.
Idź i najśpieszniej donieś nam, co mówi,
A zwłaszcza co stąd wnosisz.

Prokulejusz. Wnet odpowiem.

(Wychodzi).

Cezar. Idź za nim, Gallu. Niech i Dolabella
W tej sprawie wam pomoże.

(Gallus wychodzi).

Wszyscy. Dolabella!

Cezar. Sam właśnie go wysłałem; nim powróci,
Wy ze mną do namiotu; zobaczycie,
Jakem niechętnie wdał się w tę wyprawę,
Jak moje listy, zgodne i spokojne,
Zażegnać chciały tę powszechną wojnę.

(Wychodzą).

SCENA II.

W Aleksandryi. W grobowcu.

(Kleopatra, Charmian i Iras).

Kleopatra. Strapiony duch już się uczciwiej rządzi.
O Charmian, co za wstyd zwać się Cezarem:
Być nie Fortuną, lecz jej posługaczem,
Narzędziem jej swawoli; wszak szlachetniej
Uczynić to, co wszelki czyn dopełnia,
Przygody wiąże, zmienny los krępuje,
Usypia i odsadza nas od mierzwy,
Karmiącej kmiecia i Cezara.

(Wchodzą i obsadzają wejścia na zewnątrz Prokulejusz, Gallus i żołnierze).

Prokulejusz. Pani,
Egiptu księżno, Cezar cię pozdrawia,
Wzywając do namysłu nad prośbami
Godnemi jego względów.

Kleopatra. Twe nazwisko?

Prokulejusz. Prokulej, na usługi.

Kleopatra. Sam Antoniusz
Zachęcił mię, bym ci wierzyła; wszakże
Nie bardzo dbam o wierność obcych ludzi,

Gdy zdrad już się nie lękam. Jeśli Cezar
Chce w księżnej mieć żebraczkę, to mu powiedz,
Że mój majestat, dla godności tronu,
O mniej niż o królestwo się nie schyli:
Zdobyty Egipt niech mój syn posiędzie,
To ja mu klęcząc złożę hołd dziękczynny
Za zwrot choć tej własności.

Prokulejusz. Miej nadzieję,
W monarsze dłonie wpadłaś, to ci ręczę.
Dowolnie zdaj się na Cezara łaskę,
Bo tak jest szczodrą, że jej nadmiar spływa
Na wszelką nędzę. Niech mu więc odniosę
Wieść twej lenności, znajdziesz w nim zwycięzcę,
Co tem wspanialszą wesprze cię pomocą,
Im korniej przed nim klękniesz.

Kleopatra. Powiedz, proszę,
Żem jest zdobyczą jego, więc uznaję
Objętą przezeń władzę. Wciąż się wprawiam
W niezwykłą mi naukę posłuszeństwa,
I radabym go poznać.

Prokulejusz. On wzajemnie;
Bo wiem, że nad twą dolą się lituje,
I radby ją polepszyć.

Gallus. Patrz, jak łatwo
Zdobywać twierdze.

(Gallus i dwaj żołnierze wstępują po drabinie do grobowca, otwierają rygle i wejścia; za nimi Prokulejusz z resztą żołnierzy).

Strzedz jej dla Cezara!

(Wychodzi).

Iras. O pani!

Charmian. Kleopatro! tyś ujęta!

Kleopatra. O, jeszcze nie! Do czynu!

(Dobywa sztyletu).

Prokulejusz. Stój, królowo!

(Rozbraja Kleopatrę).

Co czynisz? to szaleństwo! nie przychodzę
Cię zdradzić, lecz wyzwolić.

Kleopatra. Czy od śmierci,
Co chorych psów uzdrawia?

Prokulejusz. Kleopatro,
Nie szydź z Cezara łaski; chcieć się zabić,
To myśl niegodna ciebie: niech świat widzi

Spełnioną jego dobroć, a śmierć twoja
Zniweczy plon jej.
Kleopatra. Śmierci, śmierci, śmierci!
Gdzież jesteś? chodźże, czeka cię królowa
Pilniejsza od niemowląt i żebraków!
Prokulejusz. Miarkuj się.
Kleopatra. Już jeść nie będę, panie,
Już nie chcę pić, a jeśli to nie starczy,
Nie będę spać. Roztrącę tę powłokę,
Niech Cezar sobie radzi. Ja zaś żywcem
Nie dam się wlec w orszaku twego władcy,
I nie pozwolę, by Oktawia głupia
Zelżyła mię spojrzeniem. Wyście chcieli
Wystawić mię na widok podłej tłuszczy
Ohydnych Rzymian? Raczej rów w Egipcie
Mię dziś pogrzebie! raczej w muł nilowy
Zagrzęznę naga, i robactwo wodne
Roztoczy mię do kości! raczej wzniosę
Na szczycie mych piramid szubienicę,
I nań łańcuchem rzymskim się powieszę!
Prokulejusz. Obecny Cezar wnet ci udowodni,
Że postrach twój go krzywdzi.
Dolabella *(wchodząc).* Prokuleju,
O twym zamachu Cezar już świadomy,
Przysyła mię po ciebie a królowę
Pod moją straż oddaje.
Prokulejusz. Dolabello,
Spełniłem rozkaz: bądźże dlań uprzejmym.
Co tylko zlecisz mi, łaskawa pani,
To mu obwieszczę.
Kleopatra. Umrzećbym pragnęła.
(Wychodzą Prokulejusz i żołnierze).
Dolabella. Wszak już słyszałaś o mnie, cesarzowo?
Kleopatra. Nie pomnę wcale.
Dolabella. Jam jest Dolabella.
Kleopatra. Dziękuję. Znam czy nie znam, cóż mi z tego.
Śmiejecie się, gdy chłopcy lub dziewczęta
O swoich snach gadają.
Dolabella. Nie rozumiem.
Kleopatra. Otóż mnie śniło się, że pewien mocarz...
O, więcej takich snów, bym wyśnić mogła
Równego mu człowieka!
Dolabella. Racz łaskawie...

Kleopatra. Twarz jego słońcem, a księżycem skronie
Pod wieńcem gwiazd, złocące w swym obiegu
Ten drobny krąg, tę ziemię.
Dolabella. Chciej, królowo...
Kleopatra. Nad oceanem stąpał; swem ramieniem
Ocieniał świat; głos jego brzmiał jak lutnia
Harmonii wiecznych, mówiąc do przyjaciół;
Lecz gdy w natarciu rzucał krzyk zwycięski,
W grom śmierci się rozdźwięczał. W jego łasce
Nie było zimy; to jak jesień wschodnia,
Plenniejsza po zebraniu; miłość jego
To młody rój delfinów, pląsający
Nad modrym swym żywiołem; miał przy sobie
Tłum królów, książąt; wyspy i mocarstwa
Perłami z rąk płynęły.
Dolabella. Kleopatro...
Kleopatra. Czy kiedy był, lub mógł być, taki człowiek
Jak ten, o którym śniłam?
Dolabella. Nie, zaiste.
Kleopatra. Ty kłamiesz, świadczę się jasnością nieba.
Lecz jeśli żył lub żyć ma ktoś podobny,
To tylko sen wymarzy: bo przyroda
W twórczości mu nie zrówna; takim tworem
Przemogłaby zmyślenie wyobraźni,
I snom zadała kłamstwo.
Dolabella. Racz mię słuchać.
Nieszczęście twoje, wielkie jak ty sama,
Z godnością znosisz; niech mój zamiar nigdy
Nie dojdzie skutku, jeślim jest nieczuły
Na boleść twoją, w sercu mem odbitą.
Kleopatra. Czy wiesz, co Cezar o mnie postanawia?
Dolabella. Choć wiem, z niechęcią spełniam to zlecenie.
Kleopatra. Ach, powiedz, proszę...
Dolabella. Żadna w tem sromota.
Kleopatra. Mam żywcem wejść do Rzymu?
Dolabella. Tak jest, pani.
Kleopatra. Już dość. — I tyś się podjął tej podłości?
Precz stąd, zuchwalcze!
Dolabella. Pani...
Kleopatra. Do mnie, siostry!
(Głos za sceną).
Na ustęp! Oto Cezar!
(Wchodzą Cezar, Gallus, Prokulej, Mecenas, Seleukus i służba).

Cezar. To królowa?
Dolabella. Tak jest. — Oktawiusz, twój zwycięzca.
(Kleopatra klęka).
Cezar. Powstań,
Nie klękaj, pani; proszę cię.
Kleopatra. Bogowie
Tak rozrządzili: składam hołd powinny
Mojemu panu.
Cezar. Nie korz się przede mną.
Choć w naszem łonie tkwią doznane krzywdy,
Zapomnim o nich, jakby tylko były
Przypadku dziełem.
Kleopatra. O wszechwładco świata,
Nie zdołam tak wysłowić mej obrony,
By mię twój sąd rozgrzeszył; lecz wyznaję,
Żem, choć królowa, była zbyt przystępną
Ułomnej płci słabościom.
Cezar. Kleopatro,
Jam twym obrońcą, nie oskarżycielem:
Do naszej chęci jeśli się odwołasz,
(A ta ci jest przyjazną) w tej dążności
Odniesiesz wielką korzyść; lecz nie zmuszaj
Do srogich praw odwetu, Antoniusza
Stąpając torem: gdyż nietylko siebie
Pozbawisz mych dobrodziejstw, twoje dzieci
Pchniesz w otchłań, z której pragnę je wydobyć
Przy twej pomocy. Rzekłem i pozdrawiam.
Kleopatra. Świat ci otworem stoi: ty nim władasz;
My twej zdobyczy godłem i pomnikiem,
Tam staniem, gdzie rozkażesz. Przyjm to pismo.
Cezar. Bądź mym doradcą co do Kleopatry.
Kleopatra. To spis pieniędzy, sreber i klejnotów,
Będących mą własnością: spis rzetelny,
Drobnostki w nim nie zbywa. — Gdzie Seleukus?
Seleukus. Co łaska?
Kleopatra. Mój podskarbi niech zaświadczy
Pod karą miecza, czym zastrzegła sobie
Najmniejszą rzecz. Seleuku, powiedz prawdę.
Seleukus. Niech język mój zdrętwieje, zanim skłamię,
Pod karą miecza.
Kleopatra. Com ze skarbca wzięła?
Seleukus. Dość, by wykupić wszystko, co zawiera.

Cezar. Nie rumień się, królowo; dziś mocarzom
Przezorność jest konieczną.
Kleopatra. Patrz, Cezarze!
Jak szczęście zwabia! moi chcą być twymi,
W zamianie losów byłoby odwrotnie.
Niewdzięczność tego kłamcy do wściekłości
Mię przyprowadza. — Sługo tak niewierny,
Jak miłość wynajęta! — Ty się cofasz?
Ty mi nie zbiegniesz; ja ci oczy wydrę,
Choćbyś miał sępie skrzydła. Psie bez duszy!
Najlichszy łotrze!
Cezar. Błagam cię, królowo.
Kleopatra. Cezarze! patrzaj, co za wstyd okropny;
Że gdy w tym grobie raczysz mię odwiedzać,
Twym majestatem szczycąc mię bezwładną,
Mój własny sługa ciężar mej niedoli
Obarcza swą podłością! Dajmy na to,
Żem przechowała jakiś grat niewieści,
Bezcenny drobiazg, takie źdźbło znikome,
Jakiemi płoche darzą się mieszczanki;
Żem nawet skryła pewien fant świetniejszy
Dla Liwii, lub Oktawii, by wyjednać
Ich pośrednictwo, mamże być skarżoną
Przez tych, co ze mnie żyli? O bogowie!
Ten cios mię głębiej strąca. Precz ode mnie,
(Do Seleukusa).
Nim tchnieniem zemsty duch mój rozpłomienię
Na zgliszczach mej niedoli. — Będąc człekiem,
Miałbyś nade mną litość.
Cezar. Idź, Seleuku.
(Seleukus wychodzi).
Kleopatra. Widzicie, że nas, królów, świat potępia
Za to, co drudzy czynią; gdy upadniem,
Co było cnotą, staje się występkiem.
Ach, wielkość, to nieszczęście!
Cezar. Kleopatro,
Coś ukryć mogła, lub coś tu przyznała,
Nie wchodzi w skład zdobyczy: to jest twojem,
Rozrządzaj niem do woli w przekonaniu,
Że Cezar nie jest zbójcą i nie umie
Brać to, co nabyć może. Nie czyń sobie
Katuszy z własnych myśli: nie, królowo;
Bo zamierzamy tak postąpić z tobą,

Jak sama nam poradzisz. Jedz, spoczywaj:
A nadewszystko wierz w Cezara chęci,
Przyjazne ci do końca. Żegnam zatem.
Kleopatra. Łaskawy panie!
Cezar. Zwij mię raczej bratem.
(Zatrąbienie. Cezar wychodzi z orszakiem).
Kleopatra. On łudzi mię słowami, bym straciła
Poczucie mej godności. Słuchaj, Charmian.
(Mówi jej do ucha).
Iras. Już dość, królowo; jasny dzień się zmierzcha,
Wnet pomrok cię zaskoczy.
Kleopatra. Śpiesz i wracaj:
Mój wyrok już wydany, jam gotowa;
Idź, powiedz, że mi pilno.
(Charmian wychodzi).
Dolabella?
Dolabella *(wchodząc).* Rozkazem pani dane mi zlecenie
Współczucie własne spełnić mi doradza.
Więc jej obwieszczam, że z Cezarem wojsko
Przez Syrię kroczy, że przed trzecią dobą
Sam wyśle przodem ciebie i twe dzieci.
Z tej wieści zrób użytek; jam uczynił,
Com przyrzekł, com powinien.
Kleopatra. Dolabello,
Ja dłużną ci zostaję.
Dolabella. Ja twym sługą
Najuniżeńszym.
Kleopatra. Żegnam, i na długo.
(Dolabella wychodzi).
Nareszciem wolna. Iras, cóż ty myślisz?
Egipska lalko, chcesz być wystawioną
Wraz ze mną, w Rzymie, gdzie tragarze brudni,
Z fartuchem stęchłym, łokciem i młotami,
Podniosą nas na pręgierz, ich oddechem
Zatrutym lichą strawą wskróś przejęte
I potem ich skąpane?
Iras. Nie, o nigdy!
Kleopatra. A przecież to nas czeka. Tłum liktorów
Pogłaszcze, jak sprośnice; wieszcz obdarty
Satyrą nas oszczeka; miejskie błazny
Prologiem poczęstują i przedstawią
Aleksandryjskie uczty, gdzie Antoniusz
Pod stołem zaśnie, ja zaś widzieć będę

Chłopaka grającego mię królowę
W postaci dziewki!
Iras. O bogowie mocni!
Kleopatra. I to nas czeka.
Iras. Tego nie zobaczę!
Paznogcie pierwej w oczach mych utopię.
Kleopatra. Tak, to jedyny sposób, by zniweczyć
I wyśmiać ich zamiary. — Oto Charmian.
(Charmian wraca).
Ubierzcie mię, siostrzyce, jak do tronu:
W szkarłatne stroje; — znów na Cydnus wsiędę
I spotkam Antoniusza. — Śpiesz się, Iras. —
Ty, wdzięczna Charmian, z nią przyrządzisz wszystko;
Po pracy tej ostatniej będziesz wolną
Aż po dzień sądu. — Daj koronę, perły.
Skądże ten zgiełk?
(Iras wychodzi. Zgiełk za sceną).
Żołnierz *(wchodząc).* Jest tam pachołek wiejski;
Domaga się przystępu do królowej,
Z plecionką fig.
Kleopatra. Niech wejdzie. Czyn szlachetny
(Żołnierz wychodzi).
Ten płaz dokończy! on mi wolność niesie.
Mój zamiar już stanowczy, nie mam w sobie
Nic niewieściego: całam jak z marmuru,
Od stóp do głowy. Zmienny krąg miesiąca
Przestaje być mą gwiazdą.
(Wraca żołnierz z pachołkiem, przynoszącym figi).
Żołnierz. Oto człowiek.
(Wychodzi).
Kleopatra. Ustąpcie mu. Masz żmijkę tę Nilową,
Dającą śmierć bez bólu?
Pachołek. Mam, królowo;
Lecz jej nie radzę drażnić to stworzenie,
Bo nieśmiertelne ma być ukąszenie:
Ci, co zeń zmarli, odżyć już nie mogą,
Lub rzadko kiedy.
Kleopatra. Czy pamiętasz kogo,
Coby tak umarł?
Pachołek. O, i ludzi wiele,
I wiele kobiet. Właśnie w tę niedzielę
Uczciwa żona, choć od rzeczy gada
I łże, jak moja, toć niewieścia wada,

Usnęła od przylgnięcia tej gadziny.
Cierpiała, słyszę, małe pół godziny.
Najlepsze chwali w zwierzu tem zalety;
Lecz ktoby wierzył wszystko, co kobiety
Zmyślają, zmarłby przez połowę tego,
Co czynią. Słowem, jest li coś mylnego,
To że ten robak dziwnym jest robakiem.

Kleopatra. Bądź zdrów; idź sobie.

Pachołek. Życzę jej, z orszakiem,
Zabawy wszelkiej.

Kleopatra. Bądź zdrów.

Pachołek *(stawiając koszyk).* Niech pamięta,
Że jadowite w Nilu są zwierzęta.

Kleopatra. No, dobrze.

Pachołek. Widzi pani, to są żmije:
Nie można dać ich w ręce lada czyje,
Bo do kąsania bardzo są nałożne.

Kleopatra. Bądź bez obawy: sługi mam ostrożne.

Pachołek. Więc idę. Żmijom, o tem państwo wiedzą,
Nie trzeba jadła.

Kleopatra. A mnie czy też zjedzą?

Pachołek. O, wa! jam prostak, przecież nie w obłędzie;
Wiem, że kobiety sam czart jeść nie będzie:
Snadź nasze dziewki są dla bogów strawą,
Aż dyabeł swoją skisi je przyprawą;
Lecz to łajdactwo tak im wściekle szkodzi,
Że byle jakie dziesięć się narodzi,
Czart pięć zepsuje.

Kleopatra. Bardzo w czas te śmiechy.
Precz!...

Pachołek. Z gadem wszelkiej życzę im uciechy.
(Wychodzi. Iras wraca z koroną, płaszczem i t. d.).

Kleopatra. Dajże mi płaszcz, koronę; nieśmiertelne
Przejmują mię pragnienia. Od tej chwili
Miód gron egipskich już tych ust nie zmoczy.
Co żywo, Iras. — Zda mi się, że słyszę
Głos Antoniusza: gdy powstały z grobu
Mój czyn uwielbia i wyszydza marne
Cezara szczęście, z niebios mu zesłane,
Jak przyszłych klęsk wyrocznię. Otóż idę
Do ciebie, mężu: jam tej nazwy godna!
Jam duch i płomień; ziemskie me żywioły
Niech w ziemię wrócą. — Czyście już gotowe?

Więc przyjmcie moich warg ostatnie żary.
Bądź zdrowa, Charmian — Iras, żyj szczęśliwa.
(Całuje dziewczęta. Iras pada i umiera).
Czy mam gadzinę w ustach? Tyś upadła?
Jeżeli z życiem żegnasz się tak mile,
To snadź grom śmierci jest boleścią lubą,
Jak dreszcz miłosny. Czy nie wstaniesz więcej?
Tak szybkim zgonem świadczysz, że świat cały
Nie godzien pożegnania.

Charmian. Mgły wezbrane,
Rozpłyńcie się strumieniem, niech łzy wasze
Z jej duchem w raj odlecą!

Kleopatra. To mię gnębi.
Jeżeli pierwsza spotka go w Olimpie,
Pytając o mnie, da jej pocałunek,
Co był mem niebem. Chodź, śmiertelny gadzie,
(Przykładając żmiję do piersi).
Zatrutem żądłem rozwiąż lub rozerwij
Zwinięty kłąb żywota. Nędzny zbójco,
Czyś niedość gniewny? Niech twój pisk usłyszę,
Kąsając, powiedz, że ów Cezar wielki
Jest wielkim karłem.

Charmian. O bogini Wschodu!

Kleopatra. Milcz! u mej piersi widzisz to niemowlę,
Co, ssąc, usypia mamkę?

Charmian. Sen okropny!

Kleopatra. Jak balsam słodki, lekki jak powietrze. —
Antoniusz woła! — Druga ślad jej zetrze. —
(Przykłada drugą żmiję do ramienia).
Nie warto żyć...
(Pada na łoże i kona).

Charmian. Na ziemi? — Żegnam ciebie. —
O śmierci, chwal się, żeś zaćmiła w niebie
Najżywszą gwiazdę. — Zmrużcie się, okienka;
Słoneczne blaski miała ta jutrzenka,
Już zgasła! kiedyż przejrzą się niebiosa
W tak świetnem źródle? Wieniec twój z ukosa;
Daj, niech poprawię: to mej służby koniec,
A potem — wolność.

Pierwszy żołnierz *(wpadając).* Od Cezara goniec!

Charmian *(chwytając żmiję).* Zapóźno! — Chodźże; już
[twe żądło czuję.

Pierwszy żołnierz. Żołnierze, za mną! Ktoś tu zdradę knuje.

Drugi żołnierz. Patrz, przed jej trupem Cezar sam uklęknie.
Pierwszy żołnierz. Coście zrobiły? — Charmian, czy to [pięknie?
Charmian. Mów ciszej; córce książąt i rycerzy,
Królowej z królów, umrzeć tak należy.
Ach, pani! *(Kona).*
Dolabella *(wchodząc).* Cóż tu zaszło?
Drugi żołnierz. Wszystkie zmarły.
Dolabella. To ród olbrzymi, my jesteśmy karły.
Za wielkość Rzymu ginie ta ofiara
Wspaniałym zgonem.
Głosy *(za sceną).* Miejsce dla Cezara!
(Cezar wchodzi z całym orszakiem).
Dolabella. Cezarze! coś przewidział, to się stało:
Z rąk nam uchodzą.
Cezar. To szlachetnie, śmiało!
Odgadła naszą myśl, i własnym torem
Królewskim poszła. — Lecz jak się zabiły?
Nie widzę krwi.
Dolabella. Kto był ostatni z niemi?
Pierwszy żołnierz. Ów prosty wieśniak, co im przyniósł figi:
W tym koszu.
Cezar. Więc otrute?
Pierwszy żołnierz. Niewiadomo.
Dopiero co ta żyła; bom ją widział
I słyszał, jak się zaprzątała wieńcem
Swej zmarłej pani; wstała, drżąc, i nagle
Na ziemię padła.
Cezar. Mężny duch w mdłej piersi!
Gdyby się struły, toby poznać można
W nabrzmieniu członków; sen jej tak pogodny,
Jak gdyby siecią czarów swych łowiła
Drugiego Antoniusza.
Dolabella. Tu, na piersi,
Jest krwawy znaczek, i spuchnięcie drobne·
Tu drugie, na ramieniu.
Pierwszy żołnierz. To ślad żmii.
Na liściach piany, jak w nilowej grocie
Po przejściu węża.
Cezar. Zdaje się w istocie
Że tak skonała; lekarz jej powiadał,
Że z nią tysiącznych już sposobów badał
Najlżejszej śmierci. — Złożyć ją na tronie,

I zmarłe sługi wynieść. Niech po zgonie
Spoczywa przy tym, który żył jej życiem.
Gdzież znajdę ziemię godną być nakryciem
Tak świetnej pary? Pamięć ich nietknięta
W litości wieków będzie żyć tak święta,
Jak sława ich zwycięzcy. Przy obrzędzie
Za trumną wojsko iść orszakiem będzie,
A stąd — do Rzymu. — Rozkaz daj niebawem:
Uczczenie zmarłych jest ludzkości prawem.

(Wychodzą).

SPIS RZECZY.